

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Luty Nr 16-17 Marzec 1949



A. KOESTLER — CIEMNOŚĆ W POŁUDNIU

THIERRY MAULNIER — To, czego nawet Koestler nie przewidział * A. BOBKOWSKI — Na tyłach * T. TERLECKI — Mickiewicz wieczny ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ *SCIEŻKI* ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI*: K. IRANEK-OSMECKI — A.K. zdobywa tajemnicę „V” * M. CZAPSKA — Z doświadczeń Wielkiej Emigracji ♦ *KRONIKA KULTURALNA* ♦ *KSIĄŻKI* ♦ *LISTY DO REDAKCJI*.

SPIS RZECZY

Arthur Koestler:	<i>CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE</i> (autoryzowany przekład Ty- mona Terleckiego)	1
	<i>Od wydawnictwa</i>	3
	<i>Pierwsze przesłuchanie</i>	9
	<i>Drugie przesłuchanie</i>	64
	<i>Trzecie przesłuchanie</i>	105
	<i>Fikcja gramatyczna</i>	151

Thierry Maulnier:	<i>To, czego Koestler nie przewi- dział</i>	167
Andrzej Bobkowski:	<i>Na tyłach</i>	176
Tymon Terlecki:	<i>Mickiewicz wieczny</i>	187

ARKUSZE POETYCKIE

Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiatr</i>	195
»	<i>O ceratowej wstążce</i>	195
»	<i>O moim geniuszu</i>	196
»	<i>O naszych kwiatach</i>	197
»	<i>Rośliny</i>	197
Jewhen Małaniuk:	<i>Z wierszy warszawskich</i>	198
Aleksander Janta:	<i>Słowo o kłótni</i>	199
Józef Żywina:	<i>Podróż poranna</i>	202
Jan Olechowski:	<i>Wczoraj i dziś</i>	203

ŚCIEŻKI

Józef Czapski:	<i>Mel</i>	204
----------------	------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

K. Iranek-Osmecki:	<i>A.K. zdobywa tajemnicę «V»</i> ..	214
Maria Czapska:	<i>Z doświadczeń Wielkiej Emi- gracji</i>	220

KRONIKA KULTURALNA

Alicja Drwęska:	<i>Wystawa T. Potworowskiego</i> ..	236
-----------------	-------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

W. A. Zbyszewski:	<i>Opus Magnum A. Krzyżanow- skiego</i>	239
Aleksander Korczyński:	<i>Książki o Niemczech</i>	244
Jerzy Lerski:	<i>Konferencja w San Francisco</i> ..	251

LISTY DO REDAKCJI

Aleksander Janta:	256
-------------------	-------	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

przełożył

TYMON TERLECKI

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1949

Charaktery tej książki są zmyślone. Rzeczywiste natomiast są okoliczności historyczne, które uwarunkowały ich postępowanie. Życie człowieka imieniem M. S. Rubaszow stanowi syntezę żyć wielu ludzi, którzy byli ofiarami tak zwanych procesów moskiewskich. Wielu z nich autor znał osobiście. Ta książka jest poświęcona ich pamięci.

Paryż,

Październik 1938 — Kwiecień 1940.

Pierwsze wydanie angielskie ukazało się w grudniu 1940 pt.:
Darkness at Noon.

Autoryzowanego przekładu na język polski dokonano z piątego wydania, które ukazało się w maju 1944.

PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Od Wydawnictwa

Powieść niniejsza ukazała się w 1940 r., w czasie ogólnego zamętu pojęć, mało sprzyjającego rozpoznaniu jej doniosłości. Rozważano jej niemałe zalety literackie, przeocząc inny aspekt, który w oczach czytelnika europejskiego musi się dziś wysuwać na pierwszy plan.

Powieść Artura Koestlera osnuta jest na procesach moskiewskich z 1936-1937. Rozprawy sądowe miały miejsce publicznie wobec ciżby zaproszonych z całego świata gości i dziennikarzy. Kompletne sprawozdania z nich znajdują się w wielu bibliotekach publicznych Zachodu, dostępne dla publiczności.

Ówczesnych czytelników gazet najbardziej uderzył fakt, że oskarżeni odwotywali publicznie swe błędy, przyznawali się do wiarygodnych i niewiarygodnych przestępstw i prosili o surowy wymiar kary. Obcych zastawiała okoliczność, że oskarżenia składali swe zeznania niejako bezinteresownie, bo nie za cenę ocalenia życia. Fakt ten został przez czytelników zachodnich zanotowany jako niezwykle osiągnięcie wiedzy i techniki policyjnej, nikt jednak, zdaje się, nie zrozumiał wówczas jego epokowego znaczenia.

Opinia Zachodu szukała w procesach moskiewskich przede wszystkim zadatków nowej polityki Kremla. Sprawę zaciemniała nadto okoliczność, że oskarżeni przeszli w ciągu 20 lat ogromną ewolucję: z nieustraszonych rewolucjonistów stali się rodzajem dworzan pełzających przed dyktatorem. Motywy i reakcje osób, które przeszły tak niezwykle metamorfozy, były z natury swej niejasne dla czytelników zachodnich.

Sprawozdanie urzędowe, nie przynosząc żadnego klucza do zrozumienia zachowania się podsądnych, nie obudziło zainteresowania i znalazło znikomą liczbę czytelników.

W formie powieściowej sens procesów moskiewskich okazał się bardziej przejrzysty. Artur Koestler odstąpił częściowo mechanizm procesów i tajemnicę kapitulacji i skrucy podsądnych. Bada uważnie motywy i reakcje tych ostatnich, ale powstrzymuje się od ich osądu lub apologii. W jego postawie jest coś z badacza pozytywisty, coś z lekarza opisującego fakty od strony ich powtarzalności i związków funkcjonalnych z faktami sąsiednimi. Taka postawa autora daje jego relacji charakter prze-

kraczący nieco granice, w jakich zazwyczaj obraca się literatura piękna.

Od ukazania się „Ciemności w południe” w zasięg wpływów sowieckich wpadło wiele nowych krajów. Przybyło też kilka nowych procesów typu moskiewskiego. W ręce organów śledczych szkoły moskiewskiej wpadły osoby mało przypominające Bucharina, Zinowiewa i Rakowskiego: działacze parlamentarni, przedstawiciele najwyższych sfer duchowieństwa itd. Procesy ich przebiegały również w świetle białego dnia, z jasnością doświadczeń laboratoryjnych. Oskarżeni odwoływali swe błędy i przyznawali się do zarzucanych im — wiarygodnych i niewiarygodnych — czynów. Uniwersalność tych zjawisk nie ulega więcej wątpliwości. Ktokolwiek upadnie w ręce władz śledczych szkoły moskiewskiej, będzie musiał odwołać błędy, przyznać się do winy i prosić o surowy wymiar kary.

W obliczu tych faktów staje się zrozumiałe, że uczeni, pisarze i artyści, po przywołaniu ich do porządku, mogą tylko wyrzec się błędów, okazać skruczę i podporządkować się inspiracji muzy urzędowej.

Wiekі poprzednie są pełne przykładów zorganizowanej przemocy, ucisku, strachu przed torturą i śmiercią z ręki oprawców. Brak jednak podjętych na większą skalę prób całkowitej reglamentacji życia i myśli obywateli. Być może tyrani poprzednich wieków nie posiadali takich ambicji. Być może żaden z nich nie był zupełnie wolny od przesądów humanitarnych. Machiaveli, mogący uchodzić za autorytet w tej dziedzinie, przychylił się do tego ostatniego zdania i sądzi, że najgorsi nawet nie byli zupełnie źli, i niewielu tylko decydowało się na doprowadzenie systemu przemocy do jego ostatnich konsekwencji*).

Władza absolutna wykonywana była najczęściej na niewielkich obszarach, przez monarchów lub dyktatorów o sprzecznych interesach, co zostawiało ich poddanym pewne luzy. Cenzura nie potrafiła nigdy przeszkodzić szerzeniu się myśli niezależnej. Obojętność i analfabetyzm stawały tej ostatniej większe przeszkody. Inkwizytorzy rzadko tylko korzystali z bezwzględnej poparcia władz świeckich i nie żywili złudzeń, aby kiedykolwiek udało się im narzucić całej Europie swą dogmatykę, bez żadnych odchyżeń i wariantów.

Wielu utraciło życie w prześladowaniach religijnych i politycznych. Mimo to jedną z zasadniczych przesłanek naszej cywilizacji było powszechne przekonanie, że myśl indywidualna — zarówno w dziedzinie badań jak w dziedzinie religii — jest silniejsza od wszelkiej władzy, nawet od władzy ludowej, opartej na opinii większości obywateli. Władze mogły pozbawić swych poddanych życia, ale nigdy nie pretendowały na serio do całkowitego zniszczenia ich myśli. W obliczu męczenników oprawcy zdradzali pewną nieporadność i zniechęcenie. Stąd

brak ciągłości we wszystkich znanych z historii prześladowaniach. Wyniki znane z procesów moskiewskich stały się możliwe dopiero w czasach obecnych, po wyszkoleniu w laboratoriach paru pokoleń wolnych od przesądów, nawykłych do systematycznego myślenia i krytycznej oceny eksperymentów.

W pierwszym okresie cywilizacji europejskiej miały miejsce dwa procesy, których pamięć pozostała żywa aż do naszych czasów. Mamy tu na myśli proces Sokratesa i proces Jezusa.

Przedmiotem procesu Sokratesa była wolność badań w zakresie, który dziś — w epoce fizyki atomowej — wydaje się bardzo niewinny, mianowicie w zakresie filozofii jako umiejętności poprawnego myślenia. Życie polityczne Aten przebiegało na ulicach, wśród dyskusji między obywatelami. Sokrates nie miał więc trudności w wciąganiu znanych osobistości w rozmowy, w których przez zręczne obmyślanie pytania ujawniał chwilowość i sprzeczności wewnętrzne w myśli rozmówców. Stąd niechęć doń wielu wpływowych osób i oskarżenie o podważanie ustalonych pojęć i szerzenie zepsucia wśród młodzieży, przystępującej się ze zrozumiałym zainteresowaniem tym rozmowom.

Sokrates znalazł się przed ateńskim sądem ludowym, zgromadzeniem liczącym około 500 obywateli i wyrokującym po jednodniowych obradach większością głosów. Sąd ten skazał go 280-ciu głosami na śmierć.

Według świadectwa Platona, Sokrates zachowywał się przed sądem z największą godnością. Nie obawiając się zrazić sobie sędziów, oświadczył, że w razie niewinnienia nie zamierza w niczym zmienić trybu swego publicznego filozofowania. Śmierci nie obawiał się. Życie pozbawione możliwości swobodnego badania wydawało mu się niewiele warte.

Po wyroku Sokrates zwrócił się jeszcze raz do sędziów, zapewniając ich, że śmierć jego nie położy kresu wolności badań. Następne pokolenia nie dadzą się odstraszyć, i z ust ich sędziowie postyszą pytania śmielsze i bardziej drażniące od tych, jakie im stawiał Sokrates*).

Takie były początki postulatu wolności badań. Nawet w Atenach zwolennicy jego nie stanowili większości. Było to, być może, skutkiem taktyki samego Sokratesa, który sformułował całe zagadnienie w sposób jednostronny, drażniący ambicje osobiste wielu współobywateli. Odtąd „libre examen” w obrębie naszej cywilizacji znajdował zawsze zwolenników, stanowiących zazwyczaj pokaźną mniejszość obywateli. Najważniejszym wynikiem procesu Sokratesa było ustalenie powszechnego mniemania, że decyzje władz i wyroki sądowe nie mogą skutecznie zatamować pędu do niezależnego badania, który zdawał się stanowić trwałą właściwość natury ludzkiej.

O procesie Jezusa wiemy nierównie mniej. Z krótkich relacji ewangelistów wynika, że proces ten miał miejsce w warunkach

*) Disc. s. Tito Livio, 26 i 27.

*) Apol. Socr. 39.

tw. sądów ludowych, pod naciskiem władz i wrogiej postawy tłumy.

W opowiadaniu ewangelistów uderza najwięcej łagodność, ciepło i stodycy miłości promieniująca z Jezusa w jego niedoli, postawa z natury swej nie dająca się uchwycić ani w artykuły praw, ani w siła przemocy i cynizmu. Wzruszenie, bijące z naiwnej opowieści ewangelistów, udzieliło się następnym pokoleniom, i odtąd w całym świecie chrześcijańskim było żywą siłą, poruszającą pewną, chociażby niewielką ilość obywateli.

Dwa najstawniejsze procesy historii zakończyły się śmiercią podsądnych lecz zwycięstwem ich myśli i postawy moralnej. Od nich też datuje się ogólnie przyjęte mniemanie, że niezależna myśl i nowa wrażliwość moralna lub artystyczna są nieuchwytnie dla władz państwowych i — aby się ostać i utrwalić — nie wymagają aprobaty większości. Doświadczenie wysnute z tych dwóch procesów, potwierdzone w toku niezliczonych prześladowań i procesów późniejszych i uznane wreszcie za empirycznie stwierdzone zjawisko natury, przewija się jak czerwona nić przez całą historię naszej cywilizacji.

Jako empiryczne, pojęcia te mogły być oczywiście obalone przez nowe doświadczenia. Rolę tę odegrały procesy moskiewskie, dostarczając dowodu, że w obliczu partii, posiadającej w swym ręku całkowitą władzę polityczną oraz wszystkie środki produkcji i badania, myśl indywidualna nie posiada konsystencji. Nie potrafi jej sformułować nikt, kto by nazajutrz — przywołany do porządku lub pociągnięty do odpowiedzialności — nie odwołał jej jako błędnej.

Najważniejszą rewelacją procesów moskiewskich jest stałość nieznanych uprzednio dobrze reakcji podsądnych na presję metodyczną ze strony władz śledczych.

Wprawdzie presja taka stosowana jest na razie tylko do mieszkańców hemisfery sowieckiej, stałość jej skutków jest jednak zjawiskiem uniwersalnym, ważnym dla wszystkich mieszkańców globu, bez względu na to, czy znajdują się w tej chwili w zasięgu sowieckich władz śledczych, czy nie.

Procesy moskiewskie niewiele zmieniły w Związku Sowieckim i większe znaczenie zdają się na razie posiadać dla hemisfery atlantyckiej.

Pierwszą konsekwencją ich jest pewnego rodzaju warunkowość wszystkiego co wypowiada się dziś w zachodniej części świata. Idee głoszone przez męża stanu, reprezentującego opinię większości wyborców, są ważne pod warunkiem, że autor ich nie wpadnie w ręce sędziego śledczego szkoły moskiewskiej. Teoria naukowa może uchodzić za prawdziwą tak długo, dopóki autor jej nie znalazł się w zasięgu władz hemisfery sowieckiej i — przywołany do porządku — nie uznał jej sam za błędną.

Rozumowanie to może się jeszcze wydawać przesadne po drugiej stronie Atlantyku, ale nabiera właściwego sensu w miarę zbliżania się do linii demarkacyjnej. W obliczu nowych faktów,

myśl starej Europy przedstawia się na tryb niepewny i warunkowy. Z Moskwy padł na nią cień, którego nie rozprasza więcej światło potudnia.

To jest pierwsza, najbardziej oczywista konsekwencja procesów moskiewskich. Za nią zdążają inne, których rozpoznanie nie da się już długo odkładać.

Szarpanemu przez wojnę światu zachodniemu nie łatwo było podjąć rewizję pojęć, mających za sobą dwa tysiące lat tradycji. Trudno mu też przychodzi wyznanie swego pomniejszenia w oczach ludów pozaeuropejskich lub odepchniętych od Zachodu, które patrzą dziś uważnie na ośrodki starej cywilizacji, zadając sobie pytanie czy przedstawiona na tryb warunkowy myśl zachodnia jest jeszcze wierna sobie i czy posiada jakąś konsystencję.

W powstałym stąd zamęcie pojęć powieść Koestlera uderza swą jasnością i prostotą, tj. zaletami leżącymi w najlepszych tradycjach europejskich. Jest to pierwsza próba rozpoznania przez świat zachodni swej nowej sytuacji. Stąd jej odrębne miejsce w literaturze jako ważnego etapu myśli żyjących obecnie pokoleń.

P. H.

„Kto ustalając dyktaturę, nie zabije Brutusa, albo kto ustanawiając republikę, nie zabije synów Brutusa — ten będzie panował tylko krótki okres czasu”.

MACHIAVELLI:
Discorsi.

„O człowieku, człowieku — nie można żyć bez odrobiny litości”.

DOSTOJEWSKI:
Wina i kara.

Pierwsze przesłuchanie

„Nikt nie rządzi bez winy”.

ST. JUST.

1

Drzwi celi zatrzęsnęły się za Rubaszowem.

Stał jeszcze kilka sekund oparty o nie i zapalił papierosa. Na łóżku, po prawej stronie, leżały dwa dość czyste koce i siennik wyglądał jakby dopiero co wypchano go na nowo. Umywalnia, znajdująca się po lewej stronie, nie miała zatyczki, ale kurek działał. Kubeł, stojący obok, był świeżo odkażony i nie cuchnął. Mury po obu stronach celi były z solidnej cegły, zapewne tłumiącej odgłos stukania, ale miejsca, w których przeprowadzono rury ogrzewające i wodociągowe, były zalepione wapnem i dobrze przewodziły dźwięk; zresztą sama rura od ogrzewania wydawała się dobrym przewodnikiem dźwięku. Na wysokości oczu zaczynało się okno; można było patrzeć w dół na podwórze, bez podciągania się na kratkach. Wszystko było w porządku.

Ziewnął, zdjął palto, zwinął je i położył na sienniku w miejsce poduszki. Spojrzał na podwórze. Śnieg skrzył się żółtawo w podwójnym świetle księżyca i latarni elektrycznych. Dokoła podwórza, wzdłuż murów, biegła wąska ścieżka oczyszczona ze śniegu dla codziennego spaceru. Świt jeszcze nie nadszedł; na przekór latarniom gwiazdy świeciły jasno i mroźnie. Po parapiecie muru zewnętrznego, naprzeciw celi Rubaszowa, żołnierz z pochylonym karabinem przemierzał sto kroków tam i sto kroków z powrotem; tupał przy każdym kroku, jakby maszerował na paradzie. Żółte światło latarni od czasu do czasu błyskało na bagnecie.

Ciągle jeszcze stojąc przy oknie, Rubaszow zdjął buty. Zagasił papierosa, położył niedopałek na ziemi obok łóżka i przez parę minut siedział bez ruchu na sienniku. Jeszcze wrócił do okna. Na podwórzu panowała ta sama cisza; wartownik właśnie zawracał; nad wieżą z karabinem maszynowym jaśniało pasmo Mlecznej Drogi.

Rubaszow wyciągnął się na pryczy i zawinął w koc, leżący na wierzchu. Była piąta godzina, i prawdopodobnie w zimie nie

wstawano tutaj przed siódmą. Był bardzo śpiący i po namyśle doszedł do przekonania, że na pewno nie zawołają go na przesłuchanie przed upływem trzech czy czterech dni. Zdjął binokle, położył je na kamiennej posadzce obok niedopałka, uśmiechnął się i zamknął oczy. Był ciepło otulony w koc i czuł się bezpiecznie; po raz pierwszy od wielu miesięcy nie bał się snów.

Kilka minut później, gdy dozorca zgasił światło od zewnątrz i zajrzał przez judasza do celi, Rubaszow, były Komisarz Ludowy, spał, obróciwszy się tyłem do ściany. Głowę wsparł na lewym, niezgiętym ramieniu, które sztywno wystawało z łóżka; tylko luźno zwisająca ręka drgała przez sen.

2

Kiedy godzinę temu, dwaj urzędnicy Komisariatu Spraw Wewnętrznych walili w drzwi Rubaszowa, aby go zaaresztować, śniło mu się właśnie, że go aresztują.

Stukanie przybierało na sile i Rubaszow usiłował się obudzić. Był już wprawiony do wrywania się z nekającego koszmaru, bo sen o pierwszym jego aresztowaniu przez lata wracał co pewien czas i przetaczał się z regularnością mechanizmu zegarowego. Niekiedy, dużym wysiłkiem woli, potrafił zatrzymać mechanizm i wydobyć się z sennego rojenia własnymi siłami, ale tym razem to się nie powiodło; wyczerpany życiem ostatnich tygodni, pocił się i dyszał we śnie; mechanizm działał, obraz senny trwał.

Jak zawsze, śniło mu się, że dobijano się do drzwi, że trzech ludzi mających go aresztować, stało za nimi. Widział poprzez zamknięte drzwi jak stali na zewnątrz, łomocąc w oddrzwia. Mieli na sobie nowiuteńkie mundury, twarzowy strój gwardii pretoriańskiej Niemieckiego Dyktatora; na czapkach i rękawach nosili odznakę: agresywnie kołczasty krzyż; w wolnej ręce trzymali śmiesznie duże pistolety; pasy pachniały nową skórą. Teraz weszli do pokoju, zbliżyli się do łóżka. Dwu z nich, to przydługie wyrostki wiejskie, z grubymi wargami i rybimi oczami; trzeci jest mały i tęgi. Stoją przy łóżku z pistoletami w ręku i ciężko nad nim dyszą. Jest zupełnie cicho, tylko mały grubas sapie astmatycznie. Potem, na jednym z górnych pięter, ktoś wyciąga zatyczkę umywalni i woda zaczyna miarowo ściekać przez rury w ścianie.

Mechanizm zegarowy dobiegał końca. Łomotanie w drzwi Rubaszowa stawało się coraz głośniejsze; dwaj ludzie, którzy przyszli go aresztować, na zmianę walili w drzwi i chuchali w zmarznięte ręce. Ale Rubaszow nie mógł się obudzić, choć wiedział, że czeka go teraz scena szczególnie bolesna: tamci trzej stoją przy łóżku, a on próbuje nałożyć szlafrok. Rękaw wychnął się na zewnątrz i nie można się w niego trafić ręką. Boryka się z nim daremnie, aż wreszcie ogarnia go jakby paraliż: nie może się ruszyć, choć wszystko zależy od tego, aby zdążył na czas wciągnąć rękaw. Ta dręcząca bezsilność trwa parę sekund

Rubaszow jęczy i czuje, jak mu zimny pot występuje na skronie, a walenie w drzwi dochodzi go przez sen, niby dalekie bicie w bęben; ręka pod poduszką drga w febrycznym usiłowaniu, aby znaleźć rękaw; aż wreszcie wyzwala go pierwsze ogłuszające uderzenie kolbą pistoletu w ucho...

Zwykle budził się z tym doskonale znanym odczuciem pierwszego uderzenia — po którym pozostała mu głuchota — odczuciem powtarzającym się i przeżyтым setki razy. Przez chwilę jeszcze drżał i ręka, przyciśnięta poduszką, ciągle próbowała trafić do rękawa; bo na ogół, zanim obudził się całkowicie, musiał jeszcze przejść ostatnią, najgorszą fazę snu. Polegała ona na niewyraźnym, zamglonym poczuciu, że dopiero przebudzenie się jest właściwym snem i że w rzeczywistości ciągle jeszcze leży w ciemnej celi, na wilgotnej, kamiennej posadzce, z wiadrem stojącym przy nogach, z dzbankiem wody i kromką chleba tuż przy głowie...

I tym razem, przez parę sekund, trwał ten półsen, przewlekała się mglista niepewność, czy ręka namaca wiadro, czy też lampę na nocnym stoliku. Potem zapaliło się światło i mgła zniknęła. Rubaszow kilka razy głęboko odetchnął i, jak człowiek powracający do zdrowia, złożywszy ręce na piersi, cieszył się rzekkosnym poczuciem wolności i bezpieczeństwa. Wytarł czoło i łysinę na czubku głowy prześcieradłem, i, z powracającą już ironią, spojrzął w górę na oleodruk, wyobrażający przywódcę partii czyli Nr 1. Wisiał nad łóżkiem na ścianie jego pokoju — i na ścianie każdego z pokojów obok, nad lub pod jego własnym; na każdej ścianie tego domu, tego miasta, tego olbrzymiego kraju, za który Rubaszow walczył i cierpiał i który oto znowu przygarnął go do swego olbrzymiego, opiekuńczego łona. Obudził się już zupełnie; ale łomotanie w drzwi trwało bez ustanku.

3

Dwaj ludzie, którzy przyszli aresztować Rubaszowa, stali na zewnątrz w ciemnym kurytarzu i naradzali się między sobą. W otwartych drzwiach windy stał dozorca Wasyli, który wskazał im drogę na górę i sapał z przerażenia. Był to stary, chudy człowiek; nad wystrzępionym kołnierzem wojskowego płaszczka, który narzucił na nocną koszulę, widać było szeroką, czerwoną bliznę, nadającą mu wygląd skrofuliczny. Był to ślad rany w szyję. Otrzymał ją w Wojnie Domowej, podczas której walczył w oddziale partyzantów Rubaszowa.

Później Rubaszowa wysłano za granicę i od czasu do czasu Wasyli słyszał o nim tylko z gazet, które mu córka czytała wieczorami. Czytywała przemówienia Rubaszowa na Kongresach; były długie i mało zrozumiałe i Wasylemu trudno w nich było odnaleźć wyobraźnię głoś małego, brodatego dowódcy partyzantów, który znał tak wspaniałe przekleństwa, że chyba nawet Najświętsza Paniienka Kazańska, słysząc je, musiała się uśmiechać. Wasyli zwykle zasypiał w połowie tych przemówień, ale

budził się zawsze, gdy córka dochodziła do ostatnich zdań i do oklasków, przy których uroczyście podnosiła głos. Po każdym ze stereotypowych zdań końcowych, po każdym „Niech żyje Międzynarodówka!”, „Niech żyje Rewolucja!”, „Niech żyje Nr 1!” — Wasyli po cichu, tak, aby go córka nie usłyszała, dodawał z serca płynące „Amen”; potem zdejmował marynarkę, żegnał się ukradkiem i z nieczystym sumieniem szedł do łóżka. Nad jego łóżkiem wisiał także portret Nr 1, a obok niego fotografia Rubaszowa jako dowódcy partyzantów. Jeśli znajdują tę fotografię, to go pewnie też zabiorą.

Na schodach było zimno, ciemno i bardzo cicho. Młodszy z dwu ludzi Komisariatu dla Spraw Wewnętrznych zaproponował rozwalić zamek wystrzałem z rewolweru. Wasyli oparł się o drzwi windy; nie miał przedtem czasu porządnie wciągnąć kurtów i ręce mu tak drżały, że nie był w stanie zawiązać sznurówek. Starszy z tamtych dwu był przeciwny strzelaniu; aresztowanie miało się odbyć dyskretnie.

Obaj chuchnęli w zgrabiące dionie i znowu zaczęli grzmocić w drzwi; młodszy używał do tego kolby rewolweru. Parę piętér niżej jakaś kobieta zaczęła krzyczeć przejmującym głosem. „Powiedz jej, żeby zamknęła gębę”, zwrócił się młodszy do Wasylego. „Cicho tam”, odkrzyknął Wasyli. „To władza”. Kobieta uspokoiła się natychmiast. Młodzieniec zmienił metodę i zaczął obrabiać drzwi butami. Schody rozbrzmiewały hałasem; wreszcie drzwi się poddały.

Wszyscy trzej stanęli nad łóżkiem Rubaszowa, młodszy z pistoletem w rękę, starszy wyciągnięty sztywno, jakby stał na baczność; Wasyli zatrzymał się parę kroków za nimi, opierając się o ścianę. Rubaszow ścierał jeszcze pot z czubka głowy; patrzył na nich zaspianymi, przymrużonymi oczami krótkowidza. „Obywatelu Rubaszow, Mikołaju Salomonowiczu, aresztujemy was w imieniu prawa”, rzekł młodszy. Rubaszow namacał binokle pod poduszką i trochę się podniósł. Teraz, gdy nałożył szklę, oczy jego nabrały tego wyrazu, który Wasyli i starszy funkcjonariusz znali ze starych fotografii i kolorowych druków. Starszy wyprężył się na baczność jeszcze bardziej; młodszy, już wychowany wśród nowych bohaterów, zbliżył się o krok do łóżka: wszyscy trzej czuli, że powie albo zrobi coś brutalnego, by ukryć zakłopotanie.

„Schowajcie rewolwer, towarzyszu”, rzekł Rubaszow. „Czego właściwie ode mnie chcecie?”

„Słyszeliście przecież, że was aresztujemy”, odparł chłopak. „Ubierzcie się i nie zawracajcie głowy”.

„Czy macie nakaz?” zapytał Rubaszow.

Starszy wydobyl z kieszeni jakiś papier, oddał go Rubaszowowi i znów stanął na baczność.

Rubaszow przeczytał go uważnie. „No dobrze”, rzekł. „I tak się człowiek niczego z takiego papierka nie dowiaduje; niech was diabli wezmą”.

„Ubierajcie się szybko”, rzekł chłopak. Teraz się czuło, że jego

brutalność przestała być sztuczna, ale była czymś przyrodzonym. Ładne wychowaliśmy pokolenie, pomyślał Rubaszow. Przypomniały mu się afisze propagandowe, na których młodzież była zawsze roześmiana. Czuł się bardzo zmęczony. „Zamiast bawić się rewolwerem, podajcie mi lepiej szlafrok”, powiedział do chłopaka. Ten się zacerwienił, ale milczał. Starszy funkcjonariusz podał Rubaszowowi szlafrok. Rubaszow naciągnął rękaw. „Tym razem się przynajmniej udało”, powiedział z wymuszonym uśmiechem. Tamci trzej nie zrozumieli i nie odpowiedzieli. Śledzili, jak powoli wstał z łóżka i zbierał pogniecione części garderoby.

Po tym jednym przejmującym krzyku kobiecym, kamienica zapadła w ciszę, ale oni mieli wrażenie, że nikt z mieszkańców nie śpi, i że wszyscy wstrzymują oddech.

Potem usłyszeli, jak na jednym z górnych pięter ktoś wyciągnął zatyczkę i woda zaczęła równomiernie ściekać rurami.

4

Auto, którym funkcjonariusze przyjechali, nowy model amerykański, stało przed bramą. Było jeszcze ciemno; szofer zapalił światła, ulica spała, albo udawała, że śpi. Wsiadli, wpierv chłopak, następnie Rubaszow, potem starszy funkcjonariusz. Szofer, także w mundurze, zapuścił motor. Za rogami kończyła się asfaltowa nawierzchnia; byli jeszcze w centrum miasta, dookoła nich wznosiły się wysokie nowoczesne kamienice, dziewięcio- czy dziesięcio-piętrowe, ale ulice były zwyczajnymi drogami polnymi, zalegają je zamrożone błoto ze śniegiem, cienko nawianym w brudzy.

Szofer jechał powoli, ale auto, mimo wspaniałych resorów, skrzypiało i jęczało jak fura.

„Jedź szybciej”, powiedział chłopak, który nie mógł wytrzymać ciszy, panującej w aucie.

Szofer, nie oglądając się, wzruszył ramionami. Kiedy przed chwilą, Rubaszow wsiadał do auta, obrzucił go chłodnym i nieprzyjaznym spojrzeniem. Rubaszow miał kiedyś wypadek; kierowca ambulansu popatrzył wtedy w taki sam sposób. Jazda powolna, a w podskokach, wśród wymarłych ulic, przy światłach reflektorów, chwiejących się na przodzie — była trudna do zniesienia. „Jak to daleko?” zapytał Rubaszow, nie patrząc na swoich towarzyszy. O mały włos nie dodał: „do szpitala”. „Przeszło pół godziny”, odpowiedział starszy w mundurze. Rubaszow wygrzebał z kieszeni papierosy, włożył jeden do ust i automatycznie wszystkich poczęstował. Młodzieniec odmówił gwałtownie, starszy wziął dwa i dał jednego szoferowi. Szofer zasalutował lekko i — trzymając jedną ręką kierownicę — po-dał wszystkim ognia.

Rubaszowowi zrobiło się lżej na sercu; jednocześnie był zły na siebie. W sam raz pora do rozczulania się, pomyślał. Ale nie mógł się oprzeć pokusie rozmawiania i wzbudzenia wokół siebie

odrobiny ludzkiego ciepła. „Szkoda wozu”, powiedział. „Za auta sprowadzane z zagranicy płaci się sporą ilością złota, a po pół roku jazdy na naszych drogach, są do niczego.”

„Słusznie. Nasze drogi są jeszcze bardzo marne”, rzekł starszy funkcjonariusz. Rubaszow wyczuł z tonu, że tamten zrozumiał jego bezbronność. Poczul się jak pies, któremu rzucono kość; postanowił nic więcej nie mówić. Ale nagle chłopak odezwał się agresywnym tonem:

„Może w państwach kapitalistycznych są lepsze?”

Rubaszow uśmiechnął się. „Byliście kiedy zagranicą?” zapytał.

„Wiem i tak, jak tam wygląda”, rzekł chłopak. „Nie próbujcie mi opowiadać cudów”.

„Za kogo wy mnie właściwie bierzecie?” zapytał Rubaszow bardzo spokojnym głosem. Ale nie mógł się powstrzymać i dodał: „Powinności się jednak trochę poduczyć historii Partii”.

Chłopak zamilkł i z uporem wpatrywał się w plecy szofera. Nikt już nie mówił. Kierowca po raz trzeci zmienił bieg i klnąc zwiększył szybkość. Minęli w podrygach przedmieścia; wygląd nędżnych chałup w niczym się tu nie zmienił. Nad ich krzywym sylwetkami wisił nieruchomo błądy i zimny księżyc.

5

Światło elektryczne paliło się na wszystkich korytarzach nowego, wzorowego więzienia. Leżało chłodno na żelaznych galeiach, na nagich, bielonych ścianach, na drzwiach cel, oznaczonych kartkami z nazwiskiem i na czarnych otworach judaszów. To bezbarwne światło i ostry dźwięk kroków, rozlegających się bez echa na kamiennej posadzce, były dla Rubaszowa czymś tak dobrze znanym, że przez kilka sekund pozwolił sobie na złudzenie, że śni znowu. Usiłował w siebie wmówić, że to wszystko jest nierealne. Jeśli uda mi się uwierzyć, że śnię, to wszystko stanie się naprawdę snem, myślał.

Starał się o to tak intensywnie, że prawie dostał zawrotu głowy; aż nagle ogarnął go dławiący wstyd. Trzeba to wytrzymać, pomyślał. Wytrzymać do samego końca. Doszli do celi nr 404. Nad judaszem tkwiła kartka z jego nazwiskiem: Mikołaj Salomonowicz Rubaszow. Ładnie wszystko przygotowali, pomyślał; widok nazwiska na kartce zrobił na nim dziwne wrażenie. Chciał poprosić dozorcę o dodatkowy koc, ale drzwi już się za nim zatrzasnęły.

6

Dozorca zaglądał przez judasza do celi w regularnych odstępach czasu. Rubaszow leżał spokojnie na pryczy; tylko od czasu do czasu przez sen drgała jego ręka. Obok pryczy leżały binokle, a na kamiennej podłodze niedopałek.

O 7-ej rano — dwie godziny po przybyciu do celi nr 404 — obudziła Rubaszowa trąbka grająca pobudkę. Spał bez snów i

głową miał jasną. Trąbka powtórzyła trzy razy tę samą wrzaskliwą frazę. Drgające dźwięki wróciły echem i zamarły; pozostała złowroga cisza.

Dzień jeszcze całkiem nie nastał; w niewyraźnym świetle widać było miękkie zarysy umywalni i kubła. Kraty na oknach wyglądały jak czarny wzór, rzucony na brudne szkło; po lewej stronie, u góry, zbitą szybę zalepiono kawałkiem papieru. Rubaszow podniósł się, sięgnął po binokle i niedopałony papieros, leżący przy łóżku i znow się położył. Nasadził binokle i jakoś udało mu się na nowo rozżarzyć niedopałek. Cisza trwała. We wszystkich bielonych celach tego betonowego ula, podnosili się jednocześnie ze wszystkich przyz ludzi, klnąc i po omacku ruszając się po kamiennej podłodze, ale z cel izolacyjnych nie dochodziły żadne odgłosy — tylko od czasu do czasu słychać było na korytarzu jakieś oddalające się kroki. Rubaszow wiedział, że znajduje się w izolatce i że pozostanie w niej aż do chwili rozstrzelania. Przeciągnął palce przez krótką, śpiczastą brodę, dopalał koniuszek papierosa i nie ruszał się.

„Zatem, rozstrzelają mnie”, myślał Rubaszow. Ze zmrużonymi oczami przypatrywał się ruchom dużego palca u nogi, który sterczał prostopadle na końcu łóżka. Było mu ciepło, czuł się bezpiecznie i bardzo zmęczony; nie miał nic przeciwko temu, by przedrzemać aż do śmierci tak jak teraz, byleby go tylko pozostawili w spokoju pod ciepłym kocem. „Więc rozstrzelają cię”, przemówił sam do siebie. Powoli poruszył palcami w skarpetce i przypomniał mu się wiersz, w którym było porównanie stóp Chrystusa do białego jelenia w krzewie cierniowym. Wytań binokle o rękaw ruchem, dobrze znanym wszystkim jego wyznawcom. Ciepło koca napełniało go szczęściem prawie doskonałym; obawiał się tylko tego, że będzie musiał wstać i ruszyć się. „Więc zniszczą cię”, powiedział do siebie półgłosem i zapalił drugiego papierosa, choć pozostały mu już tylko trzy.

Pierwsze papierosy wypalane na czczo wywoływały czasem uczucie lekkiego podchmielenia; i teraz rozpoznał w sobie ten szczególnie stan ekscytacji, w jakim był zawsze, ilekroć ocierał się o śmierć. Zdawał sobie także sprawę z tego, że był to nastroj karygodny i, z pewnego punktu widzenia, niedopuszczalny, ale w tej właśnie chwili nie miał najmniejszej ochoty przychylić się do takiego zdania. Natomiast pilnie obserwował grę swoich palców w skarpetkach. Uśmiechnął się. Ogarnęła go fala gorącego współczucia dla własnego ciała, którego na ogół nie lubił, a perspektywa bliskiej zguby napełniała go rozkosznym uczuciem litości nad samym sobą.

„Stara gwardia zginęła”, powiedział do siebie. „Jesteśmy ostatni”. „Zniszczą nas”. „Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas...”, próbował sobie przypomnieć melodię do „Razem nie będzie nas...”, ale przychodziły mu na pamięć tylko słowa. „Stara gwardia zginęła”, powtórzył i próbował przypomnieć sobie twarz. Powiodło mu się to tylko w niewielkim stopniu. Pierwszego przewodniczącego Międzynarodówki, skazanego

za zdradę, wywołał z pamięci tylko kawałek kamizelki w kratkę nad lekko zaokrąglonym brzuchem. Nie nosił on nigdy szelek, tylko paski skórzane. Drugi premier Państwa Rewolucyjnego, także skazany, w chwilach niebezpieczeństwa gryzł paznokcie... „Historia was zrehabilituje”, myślał Rubaszow bez głębszego przekonania. „Co historia może wiedzieć o gryzieniu paznokci?”

Palili i myślał o umarłych i o upokorzeniu, jakie poprzedziło ich śmierć. A jednak nie potrafił się zdobyć na nienawiść do Nr 1, jakby był powinien. Często patrzył na oleodruk Nr 1, wiszący nad łóżkiem i próbował go nienawidzić. Między sobą nadawali mu wiele przydomków, ale pozostał mu w końcu — „Nr 1”, Zgroza, jaką wywoływał, zasadzała się głównie na możliwości, że mógł mieć słuszność i że wszyscy ci, których posłał na śmierć, musieliby przyznać, nawet z kulą w karku, iż jest do pomyślenia, że on ma rację. Pewności nie było; pozostawało tylko odwołanie się do tej ironicznej wyroczni, zwanej Historią, która dopiero wtedy ogłasza wyroki, gdy szczęki odwołującego się do niej rozpadną się w próchno.

Rubaszow miał poczucie, że ktoś go podpatruje przez otwór judasza. Nie patrząc wiedział, że żrenica przywarta do otworu zagląda do celi; niedługo potem klucz zaskrzypiał w ciężkim zamku. Drzwi otworzyły się dopiero po chwili. Dozorca, stary człowiek w pantoflach, stanął w drzwiach.

„Czemuście nie wstali?” zapytał.

„Jestem chory”, powiedział Rubaszow.

„Co wam jest? Nie można was zaprowadzić do doktora przed jutrzejszym dniem”.

„Ząb mnie boli”, rzekł Rubaszow.

„Ząb was boli?” odpowiedział dozorca. Człapiąc wyszedł z celi i zatrzasnął drzwi.

Teraz przynajmniej będę mógł spokojnie leżeć, pomyślał Rubaszow, ale już mu to nie sprawiało przyjemności. Duszne ciepło koca zaczęło męczyć, więc go odrzucił. Próbował na nowo obserwować grę swoich palców u nóg, ale go to nudziło. Obie skarpetki miały dziury na pięcie. Chciał je zacerować, ale wstrzymał się na myśl o tym, że musiałby pukać do drzwi i żądać od dozorca igły i nici; igły prawdopodobnie i tak by odmówili. Nagle napadła go dzika chęć zobaczenia gazety. Była to chęć tak silna, że poczuł zapach farby drukarskiej i posłyszał szelest kart papieru. Może ubiegłej nocy wybuchła rewolucja, może zamordowano głowę państwa, może jakiś Amerykanin wynalazł sposób przeciwdziałania prawu grawitacji. Nje mogło jeszcze nic być o jego aresztowaniu; w kraju przez jakiś czas będą je zatajać, za granicą taka sensacja roznieście się szybko i będą reprodukowali fotografie sprzed dziesięciu lat, wygrzebane z archiwów pism i ogłoszą masę bzdur o nim i o Nr 1.

Nagle odechciało mu się gazety, natomiast tak samo namiętnie zapragnął wiedzieć, co się dzieje w mózgu Nr 1. Wyobraził go sobie przy biurku: ciężki i ponury, opiera się na łokciach i powoli dyktuje stenotypistce. Inni ludzie w czasie dyktowania

przechadzają się po pokoju, puszczają kółka z dymu albo bawią się linia. Nr 1 nie rusza się, nie bawi się, nie robi kółek...

Rubaszow zauważył nagle, że sam spaceruje od jakichś pięciu minut; wstał z łóżka, nie zdając sobie z tego sprawy. Stare przyzwyczajenie niechodzenia nigdy po liniach płyt kamiennych znowu go pochwyliło i znowu znał na pamięć wzór posadzki. Ale jego myśli nie oderwały się ani na sekundę od Nr 1, który siedząc przy biurku i dyktując bez ruchu, zmienił się powoli we własny portret, w ten dobrze znany oleodruk, który wisi w tym kraju nad każdym łóżkiem czy kredensem i wpatruje się w ludzi mroźnymi oczami.

Rubaszow chodził po celi tam i z powrotem, od drzwi do okna i od okna do drzwi, między pryczą a umywalnią i kubłem, sześć i pół kroku w jedną, sześć i pół kroku w drugą stronę. Przy drzwiach zawracał na prawo, przy oknie na lewo: było to stare więzienne przyzwyczajenie; jeśli się nie zmieniło kierunku obrotów, to szybko dostawało się zawrotu głowy.

Co się działo w mózgu Nr 1? Wyobraził sobie przekrój tego mózgu, czystiotko namalowany szarą akwarelą na papierze, rozpięty na desce i przytrzymany pluskiewkami. Zwoje szarej masy wzdymały się jak jelita, zwiły się dokoła siebie jak muskularne węże, stawały się niewyraźne i zamglone jak gwiazdne mgły spiralne na kartach astronomicznych... Co się działo w tych wzdętych, szarych zwojach? O dalekich mgławicach gwiazdnych wiedziało się wszystko, o tych zwojach nic. Dlatego prawdopodobnie historia jest bliższa wyroczni, aniżeli nauki ścisłej. Może kiedyś, kiedyś będzie się jej uczyło przy pomocy tabel statystycznych, uzupełnianych takimi przekrojami anatomicznymi. Nauczyciel napisze na tablicy jakąś formułkę matematyczną, odpowiadającą warunkom życia mas jakiegoś określonego narodu w jakimś okresie: „Tutaj, obywatele, widzicie obiektywne dane, które warunkowały ten proces historyczny”. I dalej, wskazując linią zamglony pejzaż między drugim a trzecim zwojem mózgu Nr 1: „A tutaj widzicie refleks subiektywny tych danych. On to właśnie, w drugiej ćwierci dwudziestego wieku spowodował zwycięstwo zasad totalistycznych w Europie Wschodniej”. Dopóki nie dojdziemy do takiego rozpoznania, polityka pozostanie potwornym dyletantyzmem, zwykłym przesądem i czarną magią...

Rubaszow usłyszał, że kilku ludzi maszeruje przez korytarz. Pierwsza jego myśl była: teraz zaczniesz się bicie. Zatrzymał się pośrodku celi, nasłuchując, ze sztywno wysuniętą brodą. Kroki maszerujących zatrzymały się przed jedną z cel sąsiednich, można było dosłyszeć cicho wydany rozkaz i brzęk kluczy. Potem zapadła cisza.

Rubaszow stał wyprostowany między łóżkiem a wiadrem, wstrzymał oddech i czekał na pierwszy krzyk. Pamiętał, że zwykle najgorszy był pierwszy krzyk, w którym przerażenie jeszcze górowało nad bólem fizycznym; to co potem następowało, było już łatwiejsze do zniesienia, człowiek się przyzwyczajał, a po

pewnym czasie można było nawet z tonu i rytmu krzyków wywnioskować rodzaj stosowanej tortury. Pod koniec wszyscy prawie zachowywali się jednakowo, bez względu na różnicę temperamentu i głosu: krzyki stopniowo słabły i przechodziły w jęk, przerywany zachłystywaniem się. Zwykle zaraz potem, drzwi się zatrzaskiwały. Znowu słyszało się brzęk kluczy, i krzyk następnej ofiary rozbrzmiewał często, zanim jej dotknęli, już na sam widok ludzi stojących w drzwiach.

Rubaszow stał pośrodku celi i czekał na pierwszy krzyk. Wytańtarł binokle o rękaw i powiedział sobie, że cokolwiek się z nim stanie, to tym razem także nie będzie krzyczał. Powtórzył to postanowienie tak, jakby odmawiał różaniec. Stał i czekał; krzyku nie było. Potem posłyszał brzęk, jakiś głos coś mówił po cichu, trzasnęły drzwi. Kroki ruszyły w kierunku następnej celi.

Rubaszow podszedł do judasza i wyrzwał na korytarz. Tamci stali prawie naprzeciw jego celi, pod numerem 407. Byli to: stary dozorca, dwu pomocników, którzy ciągnęli kocioł z herbata, trzeci, który niósł kosz z kawałkami ciemnego chleba i dwu funkcjonariuszy w mundurach z pistoletami. Bicia nie było; roznoszono śniadanie...

Nr 407 dawano właśnie chleb. Rubaszow nie widział go. Nr 407 stał prawdopodobnie w przepisowej pozycji, jeden krok od drzwi; Rubaszow dojrzał tylko część jego ramion i ręce. Ramiona były obnażone i bardzo cienkie; sterczały z drzwi na korytarz jak dwa równoległe patyki. Dłonie niewidzialnego Nr 407 były odwrócone do góry i, zaokrąglone, tworzyły jakby miskę. Kiedy wziął chleb, zamknął ręce i cofnął się w ciemność celi. Drzwi się zatrzasnęły.

Rubaszow odstąpił od otworu w drzwiach i zaczął na nowo chodzić tam i z powrotem. Przestał wycierać binokle o rękaw, nałożył je, odetchnął głęboko i z ulgą. Zaczął gwizdać i czekał na śniadanie. Cienkie ramiona i zaokrąglone dłonie utkwily mu trochę nieprzyjemnie w pamięci; przypominały mu z daleka coś, czego nie mógł bliżej określić. Zarysy tych wyciągniętych rąk, nawet cienie na nich leżące, były mu znajome — znajome, a jednak uszły mu z pamięci, tak jak się zapomina starą melodię, czy zapach jakiejś wąskiej uliczki portowej.

7

Posuwający się pochód otworzył i zatrzasnął szereg drzwi, ale jeszcze nie jego własne. Rubaszow wrócił do judasza, by zobaczyć, czy nareszcie nadchodzą. Myślał z przyjemnością o gorącej herbacie: z kotła unosi się para, a na powierzchni pływają cienkie płatki cytryny. Zdjął binokle i przywarł oko do otworu. W jego polu widzenia znajdowało się sześć przeciwnych cel: numery 401 do 407. Nad celami biegła wąska, żelazna bariera; za nią były znów cele, te na drugim piętrze.

Pochód właśnie zawracał i szedł wzdłuż korytarza po prawej

stronie; widać obchodzili wpierw numery nieparzyste, a potem parzyste. Teraz stanęli przed nr 408; Rubaszow widział tylko piecy tych dwu w mundurach z rewolwerami przy pasach; reszta pochodu stała poza zasięgiem jego wzroku. Drzwi się zatrzasnęły; podeszli do nr 406. Rubaszow znowu zobaczył parującego kocioł i pomocnika z koszem do chleba; zostało w nim już tylko kilka kromek. Drzwi nr 406 zatrzasnęły się natychmiast; cela była pusta. Pochód zbliżył się, przeszedł obok jego drzwi i zatrzymał się przy nr 402.

Rubaszow zaczął walić pięściami w drzwi. Zobaczył jak dwaj pomocnicy przy kotle spojrzeli wpierw po sobie, potem na jego drzwi. Dozorca otwierał zamek nr 402 i udawał, że nie słyszy. Dwaj umundurowani byli odwróceny plecami do judasza w celi Rubaszowa. Teraz podawano chleb przez drzwi nr 402; pochód ruszył znowu, Rubaszow zaczął młócić głośniejsze. Zdjął but i tłukł nim o drzwi.

Wyższy z dwu umundurowanych ludzi obrócił się, spojrzął tępo na drzwi Rubaszowa i znów się odwrócił plecami. Dozorca zatrzasnął drzwi nr 402. Pomocnicy przy kotle z herbatą stali, nie wiedząc co robić. Ten z umundurowanych, który się odwrócił, powiedział coś do dozorca. Wzruszając ramionami i po-brzękując pękiem kluczy, przyczłapał on do drzwi Rubaszowa. Pomocnicy z kotłem szli za nim; pomocnik niosący chleb nachylił się do judasza i powiedział coś do nr 402.

Rubaszow cofnął się o krok od drzwi i czekał, żeby się otworzyły. Jego napięcie nagle ustąpiło; nie zależało mu już na tym czy dadzą mu herbatę, czy nie. W drodze powrotnej przez korytarz, herbata w kotle już przestała dymić, a płatki cytryny, pływające po resztkach blado-żółtego płynu, wyglądały zwiedle i wyżęte.

Przekrecono klucz w drzwiach, potem ukazała się żrenica w judaszu i zaraz zniknęła. Drzwi się rozwarły. Rubaszow usiadł na łóżku i zaczął naciągać but. Dozorca przytrzymał drzwi dla tego wysokiego w mundurze, który wszedł do celi. Głowę miał okrągłą, zupełnie ogoloną i oczy bez wyrazu. Jego sztywny mundur chrzęścił; buty tak samo; Rubaszowowi zdawało się, że czuje zapach skóry pasa od pistoletu. Zatrzymał się przy kuble i rozejrzał po celi, która, zdawało się, zmalała od jego obecności.

„Nie sprzątnęliście swojej celi”, rzekł do Rubaszowa. „Chyba znacie przepisy”.

„Dlaczego pominięto mnie przy śniadaniu?”, zapytał Rubaszow, oglądając oficera przez binokle.

„Jeśli chcecie się ze mną kłócić, to musicie wstać”, odpowiedział oficer.

„Nie mam najmniejszej ochoty kłócić się z wami, albo chociażby rozmawiać”, rzekł Rubaszow i dalej sznurował but.

„W takim razie nie tłuczcie na przyszłość w drzwi, bo inaczej zastosuje się do was zwykle przepisy dyscyplinarne”, powiedział

oficer. Znów rozejrzał się po celi. „Więzień nie ma ścierki do wycierania podłogi”, zwrócił się do dozorca.

Dozorca powiedział coś pomocnikowi od chleba, który znikł biegiem w korytarzu. Dwaj inni pomocnicy stali w otwartych drzwiach i zaglądali ciekawie do celi. Drugi oficer był odwrócony tyłem, stał na korytarzu na rozkraczonych nogach i z rękami założonymi na krzyżu.

„Więzień nie ma także miski do jedzenia”, rzekł Rubaszow, ciągle jeszcze wiążąc sznurowadło. „Przypuszczam, że chcecie mi oszczędzić kłopotu ze strajkiem głodowym. Podziwiam wasze nowe metody.”

„Mylicie się”, stwierdził oficer, patrząc na niego bez wyrazu. Na ogolonej głowie miał szeroką bliznę, a w klapie munduru wstażkę orderu Rewolucji. A więc brał udział w Wojnie Domowej, pomyślał Rubaszow. Ale to było dawno temu i teraz nie ma już znaczenia.

„Mylicie się. Pominęto was przy śniadaniu, bo zameldowaliście, że jesteście chorzy”.

„Ból zęba”, mruknął stary dozorca, opierający się o drzwi. Był ciągle w pantoflach, a mundur miał wygnieciony i poplamiony tłuszczem.

„Jak chcecie”, rzekł Rubaszow. Miał już na końcu języka pytanie, czy to najnowsze osiągnięcie reżimu: leczenie chorych postem przymusowym, ale powstrzymał się. Miał dość tej całej sceny.

Pomocnik od chleba przyleciał, dysząc i machając brudną ścierką. Dozorca odebrał mu ścierkę i rzucił w kącie, obok kubła.

„Czy macie jeszcze jakieś życzenia?” zapytał oficer, bez cienia ironii.

„Dajcie mi spokój i skończcie tę komedię”, rzekł Rubaszow.

Oficer zwrócił się ku wyjściu, dozorca zabrzęczał kluczami. Rubaszow podszedł do okna, odwracając się do nich tyłem. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, przypomniał sobie, że zapomniał o najważniejszej rzeczy i jednym skokiem znalazł się z powrotem przy drzwiach.

„Papier i ołówek”, krzyknął przez otwór judasza. Zdjął binokle i przywarł okiem do otworu, aby zobaczyć, czy się odwrócili. Krzyknął bardzo głośno, ale pochód sunął korytarzem, jakby nic nie słyszał. Ostatni szczegół, który Rubaszow zobaczył, to były plecy oficera z ogoloną czaszką, szeroki pas skórzany i przyczepiony doń futerał rewolweru.

8

Wrócił do swojej przechadzki po celi, sześć i pół kroku do okna, sześć i pół kroku z powrotem. Cała scena podnieciła go, powtarzał sobie każdy szczegół, wycierając binokle o rękaw. Próbował podtrzymać w sobie nienawiść, jaką przez parę minut poczuł do oficera z blizną; myślał, że umocni go to w nadchodzącej walce. Ale zamiast tego, uległ znanemu i zgubnemu przy-

musowi stanięcia w pozycji przeciwnika i zobaczenia całej sceny oczami tamtego.

Oto siedzi, ten Rubaszow, na pryczy — drobny, zarosnięty i zarozumiały i w sposób wyraźnie prowokacyjny naciąga but na zapoconą skarpetkę. Ten cały Rubaszow ma oczywiście pewne zasługi i wielką przeszłość, ale co innego jest oglądać go na estradzie, podczas jakiegoś kongresu, a co innego na sienniku w celi więziennej. A więc to jest ten legendarny Rubaszow, myślał Rubaszow w imieniu oficera o oczach bez wyrazu. Krzyczy o śniadanie, jak sztubak i nawet się nie wstydzi. Cela niesprzątnięta. Dziury w skarpetkach. Kłótlivy intelektualista. Spiskował przeciw prawu i ustalonemu porządkowi: czy dla pieniędzy, czy dla zasad, to nie ma znaczenia. Nie robiliśmy rewolucji dla rządów. Prawda, że pomógł ją robić; ale wtedy był mężczyzną; teraz jest stary i zarozumiały, dojrzał do likwidacji. A może już wtedy był taki; rewolucja pełna była baniek mydlanych, które później przysnęły. Gdyby miał choć krzytne poczucia godności, byłby posprzątał celę.

Przez moment zastanowił się, czy może naprawdę powinien wytrzeć podłogę. Zatrzymał się pośrodku celi z wahaniem, potem nałożył binokle i przystanął przy oknie.

Na podwórzu było teraz jasno, szarawe światło miało żółty odcień, raczej przyjazny, zapowiadało nowy śnieg. Było około ósmej — od jego wejścia do celi upłynęły zaledwie trzy godziny. Mury, otaczające podwórzec, wyglądały na ściany baraków; wszystkie okna miały żelazne kraty, cele za nimi były zbyt ciemne, by móc do nich zaglądnąć. Nie można było nawet rozpoznać, czy ktoś stoi za oknem i, jak on, spogląda na śnieg na podwórzu. Śnieg był ładny, lekko przymarznięty; musiał skrzypieć, kiedy się po nim chodziło. Po obu bokach ścieżki, która biegła wzdłuż muru w odległości dziesięciu kroków, leżały wały odgarniętego śniegu. Na przeciwległym parapecie miarowo chodził wartownik. Przy jednym z obrotów splunął wielkim łukiem w śnieg; przechylił się przez mur, aby zobaczyć, gdzie trafił. „Stara choroba”, myślał Rubaszow. „Rewolucjoniści nie powinni myśleć za drugich.

„A może właśnie powinni? Może to jest konieczne?

„Jak można zmienić świat, jeśli się utożsamia siebie z każdym człowiekiem?

„Jak można bez tego zmienić świat?

„Ten kto rozumie i przebacza — jakież znajdzie motyw działania?

„Jakżeż znajdzie go bez tego?”

„Rozstrzelają mnie”, myślał Rubaszow. „Moje motywy nie będą dla nich miały żadnego znaczenia”.

Oparł czoło o szybę. Podwórzec było białe i ciche. Stał tak przez chwilę, nie myśląc i czując na czole chłód szkła. Stopniowo doszło do jego świadomości delikatne ale uporczywe, miarowe stukanie w murze celi.

Obrócił się, nasłuchując. Stukanie było tak ciche, że w pier-

szej chwili nie mógł rozpoznać, od której strony się rozlegało. Gdy je łowił uchem, ustało. Zaczął sam pukać, w pierw w ścianę nad kubłem, w kierunku celi nr 406, ale nie otrzymał odpowiedzi. Spróbował drugiej ściany, która go dzieliła od nr 402, nad łóżkiem. Otrzymał odpowiedź. Usiadł wygodnie na pryczy, aby mieć na oku judasza. Biło mu serce. Pierwsze nawiązanie kontaktu jest zawsze bardzo wzruszające.

Nr 402 stukał teraz miarowo: trzy razy z krótkimi przerwami, potem pauza, potem znów trzy razy, znów pauza i znów trzy razy. Rubaszow powtórzył tę serię dla wskazania, że słyszał. Starał się wykryć, czy jego partner zna „alfabet kwadratowy” — jeśli nie, dużo by było zachodu, zanim by go nauczył. Mur był gruby, źle przewodził dźwięk; musiał bardzo przybliżyć do niego głowę, a jednocześnie nie spuszczać z oczu judasza. Nr 402 miał wyraźnie dużą wprawę; stukał miarowo i bez pośpiechu, prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem, może ołówkiem.

Rubaszow wyszedł już z wprawy. Utrwalając w pamięci cyfry, próbował odtworzyć w pamięci czworobok liter podzielony na 25 okienek — pięć poziomych rzędów, w każdym po pięć liter. Nr 402 zastukał w pierw trzy razy — to znaczy trzeci rząd: K do O; następnie raz; to znaczy pierwsza litera tego rzędu: K. Potem przerwa; potem cztery uderzenia — czwarty rząd: P — T; potem pięć uderzeń — piąta litera w rzędzie: T. Potem trzy razy, a potem pięć razy; a więc piąta litera trzeciego rzędu: O. Zatrzymał się.

KTO?

Praktyczny człowiek, myślał Rubaszow; od razu chce wiedzieć z kim ma do czynienia. Zgodnie z rewolucyjną etykietą, powinien był zacząć od jakiegoś rewolucyjnego dowcipu; potem podać informacje; potem rozmawiać o jedzeniu i tytoniu; znacznie później dopiero, po kilku dniach, jeśli w ogóle, przychodził czas na przedstawianie się wzajemne. Doświadczenie Rubaszowa ograniczało się jednak do krajów, w których Partia była prześladowanym, a nie prześladowcą, a członkowie Partii, ze względów konspiracyjnych, znali się tylko z imion — a i te zmieniali tak często, że imię traciło w końcu jakikolwiek znaczenie. Tutaj widać jest inaczej; Rubaszow zastanawiał się, czy podać swoje nazwisko. Nr 402 zaczął się niecierpliwić; znowu zastukał: **KTO?**

Dlaczego nie? pomyślał Rubaszow. Wystukał pełne imię i nazwisko: **MIKOŁAJ SALOMONOWICZ RUBASZOW** i czekał na efekt.

Długo nie było odpowiedzi. Rubaszow uśmiechnął się; doceniał wstrząs, doznany przez sąsiada. Czekał pełną minutę, potem drugą; wreszcie wzruszył ramionami i wstał z pryczy. Zaczął się znowu przechadzać po celi, ale za każdym nawrotem zatrzymywał się przy murze i nasłuchiwał. Ściana milczała. Wytarł binokle o rękaw, powoli, zmęczonym krokiem podszedł do drzwi i wyjrzał przez judasza.

Korytarz był pusty; lampy elektryczne rozlewały swoje zwykłe, nudne światło; nie było słycać najślabszego dźwięku.

Dlaczego Nr 402 zamilkł? Prawdopodobnie ze strachu; boi się kompromitacji przez Rubaszowa. Może Nr 402 jest niepolitycznym lekarzem albo inżynierem, który drży na myśl o niebezpiecznym sąsiedzie. Na pewno nie ma żadnego doświadczenia politycznego, bo nie byłby zaczął od pytania o nazwisko. Wyraźnie siedzi już od dłuższego czasu, wydoskonalił się w pukaniu i zżera go żądza dowiedzenia swojej niewinności. Wierzy jeszcze naiwnie, że jego osobista wina czy niewinność przedstawiają jakikolwiek znaczenie, nie ma najmniejszego pojęcia o wyższych sprawach, o które naprawdę chodzi. Siedzi teraz prawdopodobnie na pryczy i pisze po raz setny odwołanie do władz, które nigdy go nie przeczytają, albo setny list do żony, którego ona nigdy nie otrzyma; z rozpaczy zapuścił brodę — puszkinowską, czarną brodę — przestał się myć i popadł w nałóg gryzienia paznokci i snucia na jawie marzeń erotycznych. Nie ma nic gorszego w więzieniu, jak świadomość własnej niewinności; uniemożliwia ona aklimatyzację i podkopuje ducha... Nagle stukanie rozległo się na nowo.

Rubaszow usiadł szybko na pryczy, ale przepuścił już pierwsze dwie litery. Nr 402 pukał teraz szybko i mniej wyraźnie, był widać bardzo podniecony:

...**BRZE WAM TAK.**

„Dobrze wam tak”.

To było nieoczekiwane. Nr 402 jest ugodowcem. Nienawidzi heretyków opozycji, wierzy, jak trzeba, że historia biegnie wytyczonymi koleinami, zgodnie z nieomylnym planem i wolą nieomylnego kierownika, Nr 1. Wierzy, że aresztowanie go jest tylko następstwem nieporozumienia i że wszystkie katastrofy ostatnich lat — od Chin do Hiszpanii, od głodu do wytracenia starej gwardii — były albo godnym pożałowania przypadkiem, albo skutkiem diabelskich machinacji Rubaszowa i jego przyjaciół z opozycji. Puszkinowska broda Nr 402 rozwiła się w powietrzu; przybrał teraz twarz ogołoną i fanatyczną; cełę utrzymuje w nieskazitelnej czystości i skrupulatnie przestrzega wszystkich przepisów. Dyskusja z nim nie miałaby żadnego sensu; należy do gatunku takich, których nie można niczego nauczyć. Ale zrywanie jedyne i może ostatnie kontaktu ze światem także nie ma sensu.

KTO? wystukał Rubaszow bardzo wyraźnie i powoli.

Odpowiedź była gwałtowna i urywana:

NIE WASZA RZECZ.

JAK CHCECIE, odstukał Rubaszow i wstał, aby na nowo podjąć przechadzkę po celi, w przekonaniu, że rozmowa jest skończona. Ale stukanie znów się rozległo, tym razem bardzo mocno i głośno — Nr 402 zdjął widać but, aby nadać swoim słowom większej wagi:

NIECH ŻYJE JEGO CESARSKA MOŚĆ!

Ach tak, pomyślał Rubaszow. Więc istnieją jeszcze prawdziwi

i autentycznie kontr-rewolucjoniści — a myśmy myśleli, że występują dziś tylko w mowach Nr 1, jako kozły ofiarne jego niepowodzeń. I oto siedzi tu taki z krwi i kości, alibi dla Nr 1, wrzeszczący, według wszelkich reguł: Niech żyje Monarcha...

AMEN, wystukał Rubaszow, uśmiechając się. Odpowiedź przyszła natychmiast, jeszcze głośniejsza, jeśli to było możliwe:

ŚWINIA!

Rubaszow świetnie się bawił. Zdjął binokle i, chcąc zmienić ton, zastukał metalowym brzegiem z przeciąganą i wytworną intonacją:

NIE ZROZUMIAŁEM.

Nr 402 popadł w szał. Walił SOBĄK' —, ale do końcowego A już nie doszedł. Zamiast tego, uspokoiwszy się nagle, wystukał: DLACZEGO WAS ZAMKNĘLI?

Co za wruszająca prostota... Twarz Nr 402 znowu uległa przemianie. Teraz był to młody oficer gwardii, przystojny i głupi. Może nawet nosi monokl. Rubaszow wystukał binoklami: NIEPOROZUMIENIA POLITYCZNE.

Krótką przerwę. Nr 402 silił się wyraźnie na sarkastyczną odpowiedź. Nareszcie znalazł:

BRAWO! WILKI POŻERAJĄ SIĘ NAWZAJEM.

Rubaszow nie odpowiedział. Miał dość tej zabawy i zaczął znowu spacerować. Ale oficer pod 402 stał się rozgadany. Zastukał:

RUBASZOW...

CO? odpowiedział Rubaszow.

Nr 402 jakby się ociągał; wreszcie przyszło dość długie zdanie:

KIEDY SPALISZCIE OSTATNI RAZ Z KOBIETĄ?

Nr 402 zapewne nosi monokl; prawdopodobnie nim właśnie stuka, a obnażone oko mruga nerwowo. Rubaszow nie czuł odrazy. Ten człowiek przynajmniej pokazał siebie bez osłonek; to bardziej zabawne, aniżeli gdyby wystukiwał monarchistyczne manifesty. Rubaszow zastanawiał się przez chwilę, potem wystukał:

TRZY TYGODNIE TEMU.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

OPOWIEDZCIE.

No, to już naprawdę za dużo dobrego. W pierwszej chwili Rubaszow chciał przerwać konwersację, ale przypomniał sobie, że ten człowiek może się kiedyś przydać jako ogniwo łączące z nr 400 i dalszymi celami. Cela po lewej stronie była najwyraźniej pusta. Łańcuch się tam urywał. Rubaszow wyteżył pamięć. Przypomniał sobie przedwojenną piosenkę, zasłyszaną za studenckich czasów w jakimś kabarecie, w którym panie w czarnych pończochach tańczyły francuskiego kankana. Westchnąwszy z rezygnacją i wystukał binoklami:

PIERSI ŚNIEŻYSTE KSZTAŁTU CZAR OD SZAMPANA...

Miał nadzieję, że to będzie odpowiednia nuta. Widać trafił, bo Nr 402 nalegał:

DALEJ. SZCZEGÓŁY.

Teraz na pewno skubie nerwowo wąsy. Musi mieć małe wąsy z podkreślonymi końcami. Niech go diabli wezmą; jedyne ogniwo łączności; trzeba z nim utrzymywać kontakt. O czym oficerowie rozmawiają w kantine? O kobietach i koniach. Rubaszow wytarł binokle o rękaw i wystukał sumiennie:

UDA JAK U DZIKIEJ KLACZY.

Zatrzymał się, wyczerpany. Mimo najlepszej chęci, nie potrafił już nic więcej wymyśleć. Ale Nr 402 był bardzo zadowolony.

BYCZY Z WAS CHŁOP! wystukał z zachwytem. Na pewno śmieje się do rozpuku, choć nic nie słyhać; bije się po udach i podkreca wąsa, choć nic nie widać. Bezosobowa nieprzyzwoitość niemiejskiej ściany stała się dla Rubaszowa żenująca.

DALEJ, nalegał Nr 402.

Już nie mógł. TO WSZYSTKO — wystukał Rubaszow i natychmiast pożałował. Nie wolno zniechęcać Nr 402. Ale na szczęście Nr 402 nie dawał się zniechęcić. Uparcie stukał monoklem:

DALEJ — PROSZĘ, PROSZĘ...

Rubaszow nabrał znowu wprawę na tyle, że nie musiał już liczyć uderzeń; przemieniał je automatycznie na głoski i słowa. Zdawało mu się, że słyszy nawet ton głosu, jakim Nr 402 prosi o dalszy materiał erotyczny. Prośba się powtórzyła:

PROSZĘ — PROSZĘ...

Nr 402 jest widać jeszcze młody — może wychowany na wygnaniu, pochodzący ze starej rodziny wojskowej, odesłany do tego kraju za fałszywym paszportem — i wyraźnie bardzo się męczy. Pewnie skubie swój mały wąsik, wsadził monokl z powrotem do oka i gapi się zrozpaczony na białoną ścianę.

WIĘCEJ — PROSZĘ, PROSZĘ.

...Zrozpaczony gapi się na niemą, białoną ścianę, na plamy cd wilgoci, które powoli przybierają kształty kobiety z piersiami jak czary od szampana i udami dzikiej klaczy.

MÓWCIE JESZCZE — PROSZĘ.

Może klęczy na pryczy ze złożonymi rękami — jak więzień z nr 408, który złożył dłonie, aby odebrać swoją porcję chleba.

I teraz nareszcie Rubaszow zrozumiał, co ten gest mu przypominał — błagalny gest chudych, wyciągniętych rąk. Pietà...

Pietà... Muzeum w jednym z miast Niemiec Południowych, w poniedziałek po południu. Poza Rubaszowem i młodzieńcem, z którym się spotyka, nie ma żywej duszy; rozmowa odbywa się na okrągłej pluszowej kanapie, pośrodku pustej sali, której ściany są obwieszane tonami ciała kobiecego, w wykonaniu mistrzów flamandzkich. Rok 1933, pierwsze miesiące terroru, tuż przed aresztowaniem Rubaszowa. Ruch poniósł klęskę, jego członkowie zostali wyjęci spod prawa, zaszczuci i zakatowani na śmierć. Partia przestała być organizacją polityczną; była już tylko tysiącramiennym i tysiącglowym ciałem, spływającym

krwią. Podobnie jak włosy i paznokcie człowieka rosną jeszcze po jego śmierci, tak i w poszczególnych komórkach, mięśniach i członkach już umarłej Partii zdarzały się jeszcze jakieś odruchy.

Po całym kraju były rozsiadane grupki ludzi, którzy przeżyli katastrofę i prowadzili dalej działalność podziemną. Spotykali się w piwnicach, lasach, na stacjach kolejowych, w muzeach, w klubach sportowych. Zmieniali ciągle miejsce noclegu, a także nazwiska i tryb życia. Znali się tylko z imion i nigdy nie pytali o adres. Życie każdego było w rękach partnera i nikt nikomu nie ufał ani na źdźbło. Wydawali broszury, w których usiłowali przekonać siebie i innych, że jeszcze żyją. Ażeby dowieść, że jeszcze żyją, przyczajali się nocą w ciasnych, podmiejskich ulicach i wypisywali na murach stare slogany. Ażeby dowieść, że jeszcze żyją, wdrapywali się o świcie na komin fabryczny i rozwijali na nich starą flagę. Nieliczni tylko czytali te broszury i szybko je wyrzucali, bo słowa umarłych przejmowały ich zgrozą; gdy koguty piał, nie było już sloganów na murach i flagi z kominów były ściągnięte; ale zawsze wracały. Bo w całym kraju żyły grupki ludzi, którzy sami siebie nazywali „nieboszczykami na urlopie” i którzy resztę życia poświęcali udawaniu, że tego życia jeszcze nie stracili.

Pojedyncze grupki nie komunikowały się między sobą; powiązania nerwowe Partii były zerwane i każda grupa działała na swoją rękę. Stopniowo jednak zaczęły się wysuwać czułki. Z zagranicy przybywali poważni przedstawiciele firm, z fałszywymi paszportami i walizkami o podwójnych dnach; byli to Kurierzy. Zwykle wyłapywano ich, poddawano torturom i ścinano; wchodzili na ich miejsce inni. Partia nie żyła, nie mogła się już ani ruszać, ani oddychać, ale jej włosy i paznokcie jeszcze rosły; przywódcy puszczali przez jej sztywne ciało prądy galwanizujące, które powodowały spazmatyczne skurcze członków.

Pietà... Rubaszow zapomniał o Nr 402 i odmierzał swoje sześć i pół kroku tam i sześć, pół kroku na powrót; widział siebie znowu w muzeum — które pachniało kurzem i woskiem — na okrągłej, pluszowej kanapie. Przyjechał na miejsce spotkania prosto z dworca i przybył o parę minut za wcześnie. Był prawie pewien, że go nie śledzono. Walizkę z próbkami najnowszych narzędzi dentystycznych jakiejś holenderskiej firmy, zostawił w garderobie. Siedzi teraz na okrągłej, pluszowej kanapie, przypatruje się przez binokle zwałom zwiotczącego ciała na ścianach i czeka.

Młodzieniec, nazywany Ryszardem, ówczesny przywódca grupy partyjnej w tym mieście, spóźnił się o kilka minut. Nigdy nie widział Rubaszowa, ani Rubaszow jego. Przeszedł już dwie puste sale, kiedy dojrzał Rubaszowa siedzącego na okrągłej kanapie. Rubaszow trzymał na kolanach książkę; „Fausta” Goethego w wydaniu Reclam Universal. Młodzieniec zauważył książkę, szybko rozglądając się dokoła i usiadł koło Rubaszowa. Był dość nieśmiały, usiadł na brzegu kanapy, w odległości około pół

metra od Rubaszowa, trzymając czapkę na kolanach. Był z zawodu ślusarzem i miał na sobie czarne, odświętne ubranie; wiedział, że bluza robocza zwróciłaby w muzeum uwagę.

„No”, powiedział, „przepraszam za spóźnienie”.

„W porządku”, rzekł Rubaszow. „Zróbmy wpieryw przegląd waszych ludzi. Czy macie listę?”

Młodzieniec, zwany Ryszardem, potrząsnął głową. „Nie noszę przy sobie list”, odparł. „Mam wszystko w głowie — adresy i wszystko”.

„Dobrze”, rzekł Rubaszow. „Ale co będzie, jeśli was złapią?”

„Na ten przypadek”, powiedział Ryszard, „dałem listę Anusi. Anusia to moja żona, wicie”.

Przerwał, przełknął ślinę i grdyka mu się poruszyła; dopiero wtedy spojrzał Rubaszowowi po raz pierwszy w twarz. Rubaszow zauważył, że ma zapalenie oczu; lekko wystające gałki oczne pokrywała sieć czerwononych żyłek; mimo niedzielnego, czarnego ubrania, szyja i policzki były nieogolone. „Anusie wczoraj aresztowali, wicie”, powiedział wpatrując się w Rubaszowa; i Rubaszow widział w jego oczach tępa, dziecienną nadzieję, że on, Kurier Komitetu Centralnego, dokona cudu i pomoże.

„Ach tak?” rzekł Rubaszow i wytarł binokle o rękaw. „To znaczy, że lista jest w rękach policji”.

„Nie”, odpowiedział Ryszard, „moja szwagierka była w mieszkaniu, jak po nią przyszli, wicie, i Anusi udało się wetknąć jej tę listę. W jej rękach jest zupełnie bezpieczna, wicie; to wprawdzie żona policjanta, ale nasz człowiek”.

„Dobrze”, rzekł Rubaszow. „Gdzieście byli, gdy aresztowali waszą żonę?”

„To było tak”, zaczął Ryszard. „Od trzech miesięcy, wicie, nie spiałem już w moim mieszkaniu. Mam kolegę, który jest operatorem w kinie; mogę chodzić do niego, a jak przedstawienie się skończy, to śpię w jego kabinie. Wchodzi się tam po schodkach strażackich prosto z ulicy. No, i ma się kino za darmo...” Przerwał i przełknął ślinę. „Anusia miała zawsze darmowe bilety przez tego kolegę, wicie, i jak światło gasło, to odwracała głowę do kabiny projekcyjnej. Ona mnie wprawdzie widzieć nie mogła, ale czasem, jak na ekranie było bardzo jasno, to ja jej twarz widziałem całkiem wyraźnie...”

Przerwał. Naprzeciwko niego wisiał „Sąd ostateczny”: cherubiny z loczkami i okrągłymi zadkami wlatywały w burzliwe niebo, trąbiąc na puzonach. Na lewo od Ryszarda wisiał piórkowy rysunek jakiegoś niemieckiego malarza; Rubaszow widział go tylko częściowo — resztę zasłaniała poręcz pluszowej kanapy i głowa Ryszarda — wąskie ręce Madonny, wzniesione do góry, zaokrąglone, tworzące jakby czarę, i kawałek nieba, pokryty poziomymi kreskami. Więcej nie mógł zobaczyć, bo głowa Ryszarda, kiedy mówił, tkwiła bez ruchu w jednej pozycji na lekko pochylonej, zaczerwienionej szyi.

„Naprawdę?” rzekł Rubaszow. „Ile lat ma wasza żona?”

„Siedemnaście”, odpowiedział Ryszard.

„Dzieci macie?” zapytał Rubaszow, unosząc lekko głowę, ale i teraz nie zobaczył więcej z rysunku.

„Pierwsze jest w drodze”, rzekł Ryszard. Siedział bez ruchu, jakby był z ołowiu.

Zrobiła się przerwa, potem Rubaszow kazał mu przepowiedzieć listę członków Partii. Nazwisk było około trzynaście. Zadał mu kilka pytań i zapisał szereg adresów w książeczce zamówień dla holenderskiej firmy instrumentów dentystycznych. Wpisywał je w puste miejsca, pozostawione w długim spisie miejscowych dentystów i porządnych obywateli, który zestawiał według książki telefonicznej. Gdy z tym skończyli, Ryszard powiedział:

„Chciałbym wam teraz opowiedzieć pokrótce o naszej pracy, towarzyszu”.

„Proszę”, rzekł Rubaszow. „Słucham”.

Ryszard opowiadał. Siedział w pozycji lekko pochylonej, niedaleko Rubaszowa, na wąskiej pluszowej kanapie, z rękami złożonymi na kolanach, w odświętnym ubraniu; przez cały ciąg sprawozdania nie zrobił ani jednego ruchu. O flagach rozwiniętych na kominach, o napisach na murach i broszurkach, rozrzuconych w kłozetach fabryk, opowiadał w sposób sztywny i rzeczowy, jak buchalter zdający rachunki. Naprzeciwko niego aniołki grające na puzonach wlatywały w burzliwe niebo, za jego głową niewidzialna Maria Panna wyciągała swe wąskie ręce; ze wszystkich ścian gapily się na nich olbrzymie piersi, uda i biodra.

Piersi kształtu czar od szampana, przypomniał sobie Rubaszow. Zatrzymał się na trzeciej czarnej taflī, licząc od okna celi, i chwilę nadśluchiwał, czy Nr 402 jeszcze stuką. Było zupełnie cicho. Rubaszow podszedł do judasza i spojrzął naprzeciwko na Nr 407, który wyciągnął ręce, aby wziąć chleb. Zobaczył szare, stalowe drzwi celi nr 407 z małym, czarnym judaszem. Światło elektryczne na korytarzu paliło się jak zawsze; było martwo i cicho; trudno było uwierzyć, że za tymi wszystkimi drzwiami żyją ludzie.

Gdy młodzieniec, którego zwano Ryszardem, składał sprawozdanie, Rubaszow nie przerwał mu ani słowem. Z trzydziestu mężczyzn i kobiet, które Ryszard zebrał wokół siebie po katastrofie, pozostało już tylko siedemnaścioro. Dwoje, pomocnik w fabryce ze swoją dziewczyną, rzuciło się z okna, kiedy po nich przyszli. Jeden uciekł — opuścił miasto, znikł bez śladu. Dwu podejrzewano, że są szpiegami policji, ale dowodów na to nie było. Trzech opuściło Partię na znak protestu przeciwko polityce Komitetu Centralnego; dwu z nich założyło nową grupę opozycyjną, trzeci przeszedł do Umiarkowanych. Pięciu zaarrestowano ubiegłego wieczoru, między nimi także Anusię; wiadomo było, że dwu z tych pięciu w każdym razie już nie żyje. Pozostało więc siedemnaścioro, aby nadal rozprowadzać broszurki i pisać na murach.

Ryszard opowiedział to wszystko bardzo szczegółowo, ażeby

Rubaszow dokładnie zrozumiał wszystkie personalne powiązania i okoliczności, które posiadały szczególne znaczenie; nie wiedział, że Komitet Centralny miał w grupie swojego człowieka, który Rubaszowowi już dawno podał większość tych informacji. Nie wiedział także, że tym człowiekiem był właśnie jego kolega, operator filmowy, w którego kabinie sypiał; ani też, że ten człowiek był od dawna w bardzo poufalejszych stosunkach z Anusią, jego żoną, którą poprzedniego wieczoru zaarrestowano.

O tym wszystkim Ryszard nie wiedział; ale Rubaszow wiedział. Ruch był rozbity, ale Wydział Wywiadu i Kontroli jeszcze działał; była to może jedyna jeszcze działająca komórka i w tym czasie Rubaszow stał na jej czele. Odświeżenie ubrany młodzieniec o byczym karku także i o tym nie wiedział; wiedział tylko, że zabrano Anusię i że obowiązkiem było nadal roznosić broszurki i pisać na murach; i że Rubaszowowi, który jest członkiem Komitetu Centralnego Partii można ufać, jak własnemu ojcu; ale że nie wolno uzewnętrzniać swoich uczuć ani zdradzać słabości. Kto jest miękki i sentymentalny, nie nadaje się do roboty i trzeba się go pozbyć — wydalic z ruchu, skazać na samotność i ciemność świata zewnętrznego.

Na korytarzu słychać było zbliżające się kroki. Rubaszow podszedł do drzwi, zdjął binokle i przywarł okiem do judasza. Dwaj funkcjonariusze z rewolwerami przy pasach prowadzili przez korytarz młodego chłopca; za nimi szedł stary dozorca z pękiem kluczy. Chłop miał jedno oko podbite i zaschniętą krew na górnej wardze; przechodząc, wytarł rękawem zakrwawiony nos; twarz jego była płaska i bez wyrazu. Trochę dalej, w tym samym korytarzu, już poza polem widzenia Rubaszowa, otwarto a potem zatrzasknięto jakieś drzwi. Potem funkcjonariusze i dozorca wrócili sami.

Rubaszow przechadzał się po swojej celi. Widział siebie siedzącego obok Ryszarda na okrągłej pluszowej kanapie; znowu miał odczucie ciszy, jaka zapadła, kiedy chłopak skończył sprawozdanie. Nie ruszał się; siedział z rękami złożonymi na kolanach i czekał. Siedział, jak ktoś, kto się wyspowiadał i teraz czeka na wyrok ojca-spowiednika. Rubaszow przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Potem powiedział:

„Dobrze. Czy to wszystko?”

Chłopak przytaknął; jabłko adamowe poruszyło się w górę i w dół.

„Jest wiele rzeczy niejasnych w waszym sprawozdaniu”, rzekł Rubaszow. „Mówiliście kilkakrotnie o ulotkach i broszurkach, które robiliście sami. Znamy je i treść ich była ostro krytykowana. Jest tam kilka zdań, których Partia absolutnie nie może uznać.”

Ryszard patrzył na niego z przerażeniem: zaczerwienił się. Rubaszow widział, jak skóra na kościach policzkowych się rozgrzała, a sieć czerwonych żyłek w zapalonych oczach przybrała ciemniejszą barwę.

„Z drugiej strony”, ciągnął dalej Rubaszow, „przysłaliśmy

wam wielokrotnie do rozdziału nasz materiał drukowany, w tym specjalne kieszonkowe wydanie oficjalnego pisma Partii. Te przesyłki do was doszły."

Ryszard przytaknął. Żar z jego twarzy nie ustępował.

"Ale nie rozprowadziliście tego materiału; nawet nie wspomnieliście o nim w waszym sprawozdaniu. Zamiast tego rozdzielaliście materiał przygotowany przez was, bez kontroli i zgody Partii".

"A-ale przecież musieliśmy tak zrobić," wykrztusił Ryszard z najwyższym wysiłkiem. Rubaszow przyjrzał mu się uważnie przez binokle; nie zauważył przedtem, że chłopak się jąka. „Dziwne”, pomyślał, „to już trzeci przypadek w ciągu dwu tygodni. Ilość ułomnych w naszej Partii jest zadziwiająca. Może powodują to warunki, w jakich musimy pracować — a może też ruch sam sprzyja selekcji ułomnych...”

"Z-zrozumcie, t-towarzyszu", mówił Ryszard z coraz większą rozpaczą, „t-ton waszej propagandy był fałszywy, b-bo —”

"Mówcie spokojnie", rzekł Rubaszow nagle bardzo ostrym tonem, „i nie odwracajcie się w stronę drzwi”.

Na salę wszedł wysoki młodzieniec w czarnym mundurze gwardii przybocznej reżimu ze swoją dziewczyną. Była to pulchna blondynka; trzymał ją za szerokie biodro, ona założyła mu ramię na szyję. Nie zwracali uwagi na Rubaszowa i jego towarzysza. Zatrzymali się przed trąbiącymi aniołami, stając tyłem do kanapy.

"Mówcie dalej," powiedział Rubaszow spokojnym, cichym głosem i automatycznie wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Zaraz przypomniał sobie, że w muzeach nie wolno palić i schował ją z powrotem. Chłopak siedział, jak rażony prądem elektrycznym, i wpatrywał się w tamtą parę. „Mówcie dalej”, rzekł Rubaszow spokojnie. „Czy jąkaliście się już jako dziecko? Odpowiadajcie i nie patrzcie w tamtą stronę”.

"Cz-czasami", wykrztusił z wielkim trudem Ryszard.

Para sunęła wzdłuż rzędu obrazów. Zatrzymali się przed aktem jakiejś bardzo tłustej kobiety, leżącej na jedwabnej sofie i patrzącej wprost na widza. Mężczyzna zapewne powiedział coś śmiesznego, bo dziewczyna zachichotała i spojrzała przelotnie w stronę dwu postaci na kanapie. Znowu poszli trochę dalej, do martwej natury z bażantów i owoców.

"Cz-czy nie lepiej wyjść?", zapytał Ryszard.

"Nie", odpowiedział Rubaszow. Bał się, że jak tylko wstana, chłopiec w podnieceniu znacznie się zachowywać podejrzenie. „Zaraz sobie pójda. Siedzimy plecami do światła; nie widzą nas wyraźnie. Odetchnijcie kilka razy spokojnie i głęboko. To pomaga.”

Dziewczyna nie przestawała chichotać i para zbliżała się powoli do wyjścia. Przechodząc zwrócili się oboje w stronę Rubaszowa i Ryszarda. Mieli już wyjść ze sali, kiedy dziewczyna wskazała palcem piórkowy rysunek „Piety”; przystanęli, aby mu

się przyglądać. „Cz-czy to bardzo rażące jak się jąkam?” zapytał Ryszard po cichu, wpatrując się w podłogę.

"Trzeba panować nad sobą", odrzekł krótko Rubaszow. Nie mógł pozwolić na jakakolwiek poufałość w tej rozmowie.

"Z-za chwilę b-będzie lepiej," powiedział Ryszard, i jego grdyka znów się gwałtownie poruszyła. „Anusia zawsze się śmiała ze mnie z tego powodu, w-wiecie?”

Jak długo para była na sali, Rubaszow nie mógł kierować rozmową. Plecy mężczyzny w mundurze przykuwały go do miejsca obok Ryszarda. Wspólne niebezpieczeństwo przemogło nieśmiałość chłopca; przysunął się nawet trochę bliżej Rubaszowa.

"Ale lubiła mnie na swój s-sposób," ciągnął dalej, szeptem, z innym podnieceniem, jakby spokojniejszym. „N-nigdy właściwie nie wiedziałem dokładnie o c-co jej chodzi. Dziecka nie chciała, a-ale nie mogła się go pozbyć. M-może jej nic nie zrobią, skoro jest w ciąży. T-to widać już zupełnie wyraźnie, wiecie. Jak myślicie, czy kobiety w ciąży biją t-także?”

Brodą wskazał mężczyznę w mundurze. W tej samej chwili mężczyzna nagle obrócił głowę w stronę Ryszarda. Przez chwilę przyglądali się sobie. Młody człowiek w mundurze szepnął coś do dziewczyny; ona także się obróciła. Rubaszow znów chwycił za papierośnicę, ale tym razem wypuścił ją z ręki jeszcze w kieszeni. Dziewczyna powiedziała coś i pociągnęła młodzieńca za sobą. Bez pośpiechu wyszli razem z sali, mężczyzna raczej z ociąganiem. Znów było słychać za drzwiami chichot dziewczyny i ich oddalające się kroki.

Ryszard odwrócił głowę i odprowadził ich wzrokiem. Dzięki temu ruchowi, Rubaszow mógł lepiej zobaczyć rysunek; widział teraz cienkie ramiona Dziewicy aż po łokcie. Były chude, jak ramiona małej dziewczynki, unosiły się, jakby nie miały żadnej wagi, w stronę niewidzialnego krzyża.

Rubaszow spojrzął na zegarek. Chłopak odsunął się od niego odrobinę.

"Musimy kończyć", rzekł Rubaszow. „Jeśli was dobrze rozumiem, powiedzieliście, że z rozmysłem nie rozprowadziliście naszych materiałów, bo treść ich wam nie odpowiadała. Ale nam znów nie odpowiadała treść waszych ulotek. Rozumiecie chyba towarzyszu, że z tego wynikają pewne konsekwencje.”

Ryszard spojrzął na niego zapalonymi oczami. Potem spuścił głowę. „Wiecie przecież sami, że materiał, który przesyłaliście, roił się od głupstw,” powiedział bezdzwięcznym głosem. Nagle przestał się jąkać.

"Nic o tym nie wiem," rzekł oschle Rubaszow.

"Pisaliście, jakby się nic nie stało," mówił Ryszard tym samym znużonym głosem. „Rozbili Partię w puch, a wy wypisywaliście frazesy o naszej niezmożonej woli zwycięstwa — takie same kłamstwa, jakich było pełno w komunikatach w czasie Wielkiej Wojny. Komuśkolwiek się to pokazywało, spluwał z pogardą. Chyba sami to wiecie.”

Rubaszow przyjrzał się chłopakowi, który teraz siedział po-

chylony w przód, z łokciami na kolanach, brodę opierając na czerwonych pięściach. Odpowiedział sucho:

„Już po raz drugi przypisujecie mi poglądy, które są mi obce. Muszę was prosić, abyście więcej tego nie robili.”

Ryszard spozjrzał na niego z niedowierzaniem zaczerwienionymi oczami.

„Partia przechodzi ciężki kryzys. Inne partie rewolucyjne przechodziły jeszcze cięższe. Czynnikiem decydującym jest niezłomna wola. Ktokolwiek się w tej chwili załamie albo zachwieje, nie należy do naszych szeregow. Ktokolwiek stwarza atmosferę paniki, oddaje usługę naszym wrogom. Nie ma żadnego znaczenia, jakie motywy nim kierują. Przez swoją postawę staje się niebezpieczny dla naszego ruchu, i musi być odpowiednio potraktowany”.

Ryszard ciągle jeszcze siedział z brodą opartą na pięściach, twarzą odwrócony do Rubaszowa.

„Więc stałem się niebezpieczny dla ruchu,” rzekł. „Oddaję usługi wrogowi. Prawdopodobnie płacą mi za to. I Anusi także...”

„W waszych ulotkach”, ciągnął dalej Rubaszow tym samym oschłym tonem, „przynaliście się, że to wy byliście ich autorem — w waszych ulotkach często wracały takie zdania: ponieśliśmy klęskę, Partia przeszła przez katastrofę, musimy zacząć od początku i zmienić naszą politykę od podstaw. To jest defetyzm. To demoralizuje i paraliżuje ducha walki naszej Partii”.

„Ja wiem tylko to”, rzekł Ryszard, „że ludziom trzeba mówić prawdę, bo i tak ją znają. Zgrywanie się przed nimi jest smieszne.”

„Ostatni Kongres Partyjny”, Rubaszow prowadził rzecz dalej, „stwierdził w swojej rezolucji, że Partia nie poniosła klęski, wykonała tylko odwrót strategiczny, i że nie ma najmniejszego powodu do zmiany poprzedniej linii politycznej.”

„Bzdury”, powiedział Ryszard.

„Jeśli tym tonem będziecie mówić dalej”, stwierdził Rubaszow, „to obawiam się, że będziemy musieli przerwać rozmowę.”

Ryszard milczał przez chwilę. Na sali zaczęło się ściemniać, zarysy aniołów i kobiet na ścianach robiły się coraz bardziej niewyraźne i mgliste.

„Przepraszam”, rzekł Ryszard. „Chciałem powiedzieć, że przywódcy Partii się mylą. Mówicie o „odrocie strategicznym”, kiedy połowę naszych ludzi wybito. a reszta jest tak zachwycona tym, że jeszcze żyje, iż masami przechodzi na tamtą stronę. Tutaj nikt nie rozumie waszych rezolucji rozszczepiających włos na czworo, które wy, siedząc poza tym wszystkim, fabrykujecie...”

Rysy Ryszarda zamazywały się w gęstniejącym półmroku. Zrobił przerwę, potem dodał:

„Przypuszczam, że Anusia także dokonała wczoraj „strategicznego odrotu”. Proszę was, zrozumcie. My tutaj żyjemy, jak w dżungli...”

Rubaszow czekał, czy zechce jeszcze coś powiedzieć, ale Ryszard milczał. Ściemniało się teraz gwałtownie. Rubaszow zdjął binokle i wytarł je o rękaw.

„Partia nie myli się nigdy,” powiedział. „Wy możecie się pomylić i ja. Ale nie Partia. Partia, towarzyszu, to coś więcej, aniżeli wy i ja i tysiące innych takich, jak wy i ja. Partia to wcielenie idei rewolucyjnej w naszej historii. Historia nie zna skrupułów i wątpliwości. Nieporuszona i nieomylna dąży do swego celu. Na każdym zakręcie zostawia za sobą błoto, które do niej przylega i trupy topielców. Historia wie, czego chce. Nie robi błędów. Kto nie ma bezwzględnej wiary w historię, nie należy do szeregów Partii”.

Ryszard nic nie odpowiedział: z głową opartą na pięściach, nie odwracał swojej nieporuszonej twarzy od Rubaszowa. Ponieważ milczał, Rubaszow ciągnął dalej:

„Przeciwstawiliście się rozprowadzeniu naszego materiału; zdusiliście głos Partii. Rozsyłaliście ulotki, których każde słowo było szkodliwe i fałszywe. Pisaliście: „Należy zebrać rozbitków ruchu rewolucyjnego i połączyć wszystkie siły wrogie tyranii; trzeba skończyć z naszymi starymi kłótniami wewnętrznymi i na nowo zacząć wspólną walkę”. To było złe. Partia nie śmie zdradzić nasz ruch niezliczoną ilość razy, i zrobią to znowu przy najbliższej okazji i przy okazji, która się nadarzy po tej najbliższej. Kto idzie na kompromis z nimi, grzebie Rewolucję. Pisaliście: „Kiedy dom się pali, wszyscy muszą pomóc przy gaszeniu pożaru: jeśli będziemy się nadal kłócić o doktrynę, spalimy się wszyscy razem doszczętnie.” To było złe. Zwalczamy ogień wodą; tamci zwalczają go oliwą. Dlatego, zanim połączymy nasze strażę, musimy wpierw ustalić jaki sposób jest słuszny: gaszenie wodą czy oliwą. W ten sposób nie można prowadzić polityki. Nie można robić polityki namiętnością i rozpaczą. Linia Partii jest dokładnie wytyczona, jak wąska ścieżka w górach. Najmniejsze odchylenie w prawo czy w lewo strąca nas w przepaść. Powietrze jest rozrzedzone: kto doznaje zawrotu głowy, jest stracony.”

Mrok stał się tak gęsty, że Rubaszow nie mógł już rozpoznać rąk na rysunku. Dzwonek odezwał się dwukrotnie, ostro i przenikliwie; za kwadrans zamkną muzeum. Rubaszow spozjrzał na zegarek; wciąż jeszcze nie powiedział decydującego słowa, po którym będzie koniec wszystkiego. Ryszard siedział koło niego bez ruchu, z łokciami na kolanach.

„Tak, na to nie mam odpowiedzi,” rzekł wreszcie, i znów jego głos był bezdźwięczny i zmęczony. „To na pewno prawda, co mówicie. I to o tej ścieżce górskiej, to bardzo piękne. Ale ja wiem tylko, że nas pobili. Ci, którzy jeszcze pozostali, opuszczają nas. Może dlatego, że na tej naszej górskiej ścieżce jest za zimno. Tamci — mają orkiestrę i wesołe sztandary i siedzą wokół pięknego, ciepłego ognia. Może dlatego wygrali. Może dlatego my idziemy na złamanie karku”.

Rubaszow słuchał w milczeniu. Chciał wiedzieć, czy młodzieńiec ma jeszcze coś do powiedzenia, zanim on sam wygłosi zdanie ostateczne. Cokolwiek Ryszard by powiedział, wyrok się już nie zmieni: ale mimo to czekał.

Ciężka sylwetka Ryszarda coraz bardziej zacierała się w mroku. Odsunął się jeszcze dalej; siedział przygarbiony, z opuszczonymi barkami i twarzą prawie całkiem ukrytą w dłoniach. Rubaszow tkwił na kanapie wyprostowany i czekał. W górnej szczęce czuł lekki, ćmiący ból: prawdopodobnie dziurawy kieł. Po chwili usłyszał głos Ryszarda:

„Co teraz będzie ze mną?”

Rubaszow namacał językiem bolący ząb. Czuł potrzebę dotknięcia go palcem, zanim wypowie wyrok, ale powstrzymał się. Powiedział spokojnie:

„Mam wam zakomunikować, Ryszardzie, że zgodnie z uchwałą Komitetu Centralnego, nie jesteście więcej członkiem Partii”.

Ryszard się nie ruszał. Rubaszow znów czekał chwilę, zanim wstał. Ryszard siedział nadal. Podniósł tylko głowę, spojrzał na niego i zapytał:

„Czy po to przyjechaliście?”

„Głównie po to,” rzekł Rubaszow. Chciał iść, ale wciąż jeszcze stał przed Ryszardem i czekał.

„Co teraz będzie ze mną?” zapytał Ryszard. Rubaszow nie odpowiedział. Po chwili Ryszard rzekł:

„Przypuszczam, że teraz nie mogę już korzystać z kabiny mego przyjaciela?”

Rubaszow ociągał się przez chwilę, potem powiedział:

„Raczej nie”.

Natychmiast pożałował, że to powiedział i nie był pewny, czy Ryszard zrozumiał sens tego zdania. Spojrzał na ciągle siedzącą postać:

„Lepiej będzie, jeśli wyjdziemy stąd oddzielnie. Bądźcie zdrowi”.

Ryszard wyprostował się, ale wciąż siedział. W półmroku Rubaszow mógł się domyśleć wyrazu zapalonych, lekko wypukłych oczu; ale właśnie ten niewyraźny obraz niezgrabnej, siedzącej postaci wżarł mu się w pamięć na zawsze.

Opuścił salę i minął następną, tak samo pustą i ciemną. Kroki jego skrzypiały na parkietowej posadzce. Dopiero przy wyjściu uprzytomnił sobie, że zapomniał spojrzeć na obraz „Piety”; teraz pozostanie mu w pamięci tylko fragment złożonych rąk i części cienkich ramion aż po łokcie.

Zatrzymał się na schodach, prowadzących w dół do drzwi wejściowych. Ząb bolał teraz trochę ostrzej; na dworze było zimno. Owinął mocniej szyję wypłowiałym szarym szalem wełnianym. Latarnie na dużym, spokojnym placu przed muzeum już się paliły; o tej porze niewiele ludzi było na ulicy; przez aleję wysadzaną platanami jechał z łoskotem wąski tramwaj, dzwoniąc od czasu do czasu. Rubaszow myślał o tym, czy uda mu się dostać taksówkę.

Na ostatnim stopniu dogonił go zadyszany Ryszard. Rubaszow szedł dalej, nie przyspieszając i nie zwalnając kroku, nie odwracając głowy. Ryszard był od niego o głowę wyższy i o wiele szerszy, ale szedł z pochylonymi plecami, usiłował się pomniejszyć przy boku Rubaszowa i iść małymi krokami. Zrównawszy się, powiedział:

„Czy to miało być ostrzeżenie, kiedy odpowiedzieliście „raczej nie” na zapytanie, czy mogę nadal mieszkać u mego przyjaciela?”

Rubaszow ujrzał taksówkę, zbliżającą się z jasno płonącymi lampami. Zatrzymał się na krawężniku i czekał, żeby podjechała. Ryszard stał obok niego. „Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, Ryszardzie”, rzekł i zawołał taksówkę.

„T-towarzyszu, p-przecież mnie nie z-zadenuncjujecie, towarzyszu...” wyjąkał Ryszard. Taksówka zwolniła, teraz była już tylko o jakieś dwadzieścia kroków od nich. Ryszard stał zgarbiony przed Rubaszowem; złapał go za rękaw palta i pochyliwszy się mówił mu teraz prosto w twarz; Rubaszow czuł jego oddech i lekka wilgoć pokryła mu czoło.

„Nie jestem wrogiem Partii”, mówił Ryszard. „Nie możecie mnie zostawić wilkom na pożarcie, t-towarzyszu...”

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku; kierowca na pewno usłyszał ostatnie słowa. Rubaszow obliczył szybko, że odsyłanie go nie miało sensu; parę kroków dalej stał policjant na stanowisku. Kierowca, mały, stary człowiek w kurtce skórzanej patrzył na nich obojętnie.

„Na dworzec”, rzekł Rubaszow i wsiadł. Kierowca wyciągnął prawą rękę w tył i zatrzasnął za nim drzwi. Ryszard stał na krawężniku z czapką w rękę; grdyka biegła mu gwałtownie. Taksówka ruszyła; jechała w stronę policjanta. Rubaszow wolał się nie oglądać, ale wiedział, że Ryszard wciąż jeszcze stoi na krawężniku, wpatrując się w czerwone światła na tyle taksówki.

Parę minut jechali ruchliwymi ulicami; taksówkarz odwrócił się kilka razy, jakby się chciał przekonać, że jego pasażer nie znikł. Rubaszow zbyt mało znał miasto, aby wiedzieć, czy naprawdę jadą na stację. Ulice stawały się coraz mniej ruchliwe; przy końcu jakiejś szerokiej ulicy ukazał się masywny budynek z dużym oświetlonym zegarem; zatrzymali się przed stacją.

Rubaszow wysiadł; taksówki w tym mieście nie miały jeszcze liczników. „Ile?” zapytał.

„Nic”, odpowiedział kierowca. Twarz miał starą i pomarszczoną; wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki brudny czerwony gałgan i ceremonialnie wytarł nim nos.

Rubaszow przyjrzał mu się uważnie przez binokle. Był pewien, że tej twarzy nigdy przedtem nie widział. Kierowca schował chustkę. „Takim jak pan, proszę pana, nigdy nic nie liczę”, rzekł i zaczął coś majstrować koło hamulca. Nagle wyciągnął rękę. Była to ręka starego człowieka, ze zgrubiałymi żyłami i czarnymi paznokciami. „Szczerze wam Boże”, powiedział, uśmiechając się raczej głupkowato do Rubaszowa. „Gdyby pana przy-

jaciel kiedykolwiek czegoś potrzebował — stoję zawsze koło muzeum. Może mu pan posłać mój numer.”

Rubaszow spostrzegł, że po prawej stronie jakiś tragarz opierał się o latarnię i patrzył na nich. Nie podjął wyciągniętej ręki szofera: wcisnął w nią monetę i bez słowa wszedł na dworzec.

Musiał godzinę czekać na odejście pociągu. W bufecie wypił jakąś podłą kawę; ząb mu dokuczał.

W pociągu zaczął drzemać i śniło mu się, że musi biec przed lokomotywą. W lokomotywie stali Ryszard i kierowca taksówki; chcieli go przejechać, bo oszukał ich na cenie przejazdu. Koła zbliżały się coraz bardziej i bardziej, a nogi odmawiały posłuszeństwa.

Obudził się z uczuciem mdłości i z zimnym potem na czole: współpasażerowie w przedziale przyglądali mu się z lekkim zdziwieniem. Na dworze była noc; pociąg pędził przez ciemny, wrogi kraj, sprawę z Ryszardem trzeba było doprowadzić do końca, ząb bolał.

W tydzień potem Rubaszowa aresztowano.

10

Rubaszow wsparł czoło o szybę i rzucił okiem w dół, na podwórze. Nogi go bolały i miał lekki zawrót głowy od krażenia tam i na powrót. Spojrzał na zegarek; za kwadrans dwunasta; przechadzał się po celi prawie cztery godziny bez przerwy, od chwili kiedy „Pietà” przypomniła mu się po raz pierwszy. Nie dziwiło go to; znał aż nadto dobrze więzienne marzenia na jawie, odurzające działanie bielonych ścian celi. Przypomniawszy sobie młodszego towarzysza, pomocnika fryzjerskiego z zawodu, który mu opowiadał, że w drugim, najgorszym, roku siedzenia, śnił z otwartymi oczami przez siedem godzin bez przerwy; w tym stanie zrobił dwadzieścia osiem kilometrów w celi długości pięciu kroków i nawet nie zauważył, że miał odparzone stopy.

Tym razem jednak naszło go to dosyć wcześniej; nałóg schwylił go od razu już pierwszego dnia, gdy poprzednio zaczynało się to zwykle dopiero po kilku tygodniach. Zadziwiające było także, że myślał o przeszłości; chroniczni marzyciele na jawie roili w więzieniu przeważnie o przyszłości, o przeszłości zaś tylko w takiej postaci, jaką mogła być przybrać, a nigdy tej, w jakiej ją rzeczywiście przeżyli. Rubaszow był ciekaw, jakie jeszcze niespodzianki zgotuje mu jego aparat umysłowy. Wiedział z doświadczenia, że bliskość śmierci zawsze zmienia mechanizm myślenia i powoduje najbardziej nieoczekiwane reakcje — na wzór ruchów kompasu w pobliżu pola magnetycznego.

Niebo ciągle było brzemienne śniegiem, który lada chwila miał spaść; w podwórzu, na oczyszczzonej ścieżce, dwu mężczyzn odrabiało swój codzienny spacer. Jeden z nich spojrzał kilkakrotnie w górę, ku oknu Rubaszowa — prawdopodobnie rozeszła się już wiadomość o jego zaaresztowaniu. Był to człowiek wychu-

dzony, z żółtą cerą i zajęczą wargą, w cienkim palcie deszczowym, które mocno obcisłał dokoła ramion, jakby mu było zimno. Drugi mężczyzna był starszy i otulił się w koc. W czasie spaceru nie rozmawiali z sobą, a po dziesięciu minutach przyszedł po nich funkcjonariusz w mundurze z pałką gumową i rewolwerem; zaprowadził ich z powrotem do budynku.

Drzwi, w których funkcjonariusz na nich czekał, znajdowały się dokładnie naprzeciwko okna Rubaszowa; zanim zamknęły się one za człowiekiem z zajęczą wargą, odwrócił głowę jeszcze raz i spojrział w górę, w stronę Rubaszowa. Na pewno go nie widział, bo okna widziane z podwórza musiały być zupełnie ciemne; ale oczy jego zatrzymały się przez chwilę na szybach, jakby czegoś szukał. Widzę ciebie i nie znam cię; ty mnie nie widzisz a jednak wyraźnie znasz mnie, myślał Rubaszow. Usiadł na łóżku i zastukał do Nr 402.

KTO TO JEST?

Myślał, że Nr 402 jest chyba obrażony i nie odezwie się.

Ale oficer widać nie był pamiętliwy; odpowiedział natychmiast:

POLITYCZNY.

Rubaszow zdziwił się; zdawało mu się, że chudy mężczyzna z zajęczą wargą musi być przestępcą.

Z WASZEGO RODZAJU? zapytał.

NIE — Z WASZEGO, odstukał Nr 402, uśmiechając się prawdopodobnie z cichym zadowoleniem. Następne zdanie było głośniejsze — może wystukane monoklem.

ZAJĘCZA WARGA, MÓJ SĄSIAD, BYŁ WCZORAJ TORTURO-

WANY.

Rubaszow milczał przez chwilę i wytarł binokle o rękaw, choć nimi tylko stukał. Chciał wpierw zapytać „dlaczego”, ale zamiast tego wystukał:

JAK?

402 odstukał lakonicznie:

ŁAŹNIA PAROWA.

Rubaszowa kilkakrotnie bito w czasie pobytu w więzieniu, ale o tym sposobie wiedział tylko z opowiadań. Nauczył się, że każda z nana tortura była do wytrzymania; jeśli się wiedziało dokładnie z góry, co człowieka czeka, wszystko można było znieść, jak operację — na przykład, jak wyrwanie zęba. Naprawdę straszne było tylko to, czego się nie zna, to co nie dopuszczało możliwości przewidzenia własnej reakcji i obliczenia siły odporu. A najgorszy był strach, że w takim przypadku człowiek może zrobić czy powiedzieć coś, co nie sposób będzie odwołać.

DLACZEGO? zapytał Rubaszow.

NIEPOROZUMIENIA POLITYCZNE, odstukał Nr 402 ironicznie.

Rubaszow nałożył z powrotem binokle i poszukał w kieszeni papierosnicy. Zostały mu już tylko dwa papierosy. Potem zastukał:

A CO Z WAMI?

DZIEKUJE, WSZYSTKO W PORZĄDKU... odstukał Nr 402 i przerwał rozmowę.

Rubaszow wzruszył ramionami; zapalił przedostatniego papierosa i wrócił do przechadzki po celi. Dziwne, że to co go czekało, przepełniało go niemal uciechą. Czuł, jak odstepuje go bezpłodna melancholia, jak głowa się rozjaśnia, jak nerwy się naprężają. Umył nad umywalnią twarz, ramiona i piersi zimną wodą, wyplukał usta i wytarł się chustką do nosa. Zagwizdał parę taktów i uśmiechnął się — fałszował zawsze beznadziejnie, a nie dawniej, niż kilka dni temu ktoś do niego powiedział: „Gdyby Nr 1 był muzykalny, już dawno miałyby pretekst, żeby was rozstrzelać”.

„I tak to robi”, odpowiedział wtedy, nie wierząc w to, co mówi.

Zapalił ostatniego papierosa i z jasnym umysłem zaczął ustalać linię postępowania, gdy zawołają go na przesłuchanie. Czuł takie samo pogodnie i spokojne zaufanie do samego siebie, jak wtedy, gdy jako student szedł na szczególnie trudny egzamin. Przypomniawszy sobie każdy szczegół dotyczący przedmiotu „Iżnia parowa”. Wyobraził sobie taką sytuację w każdym detalu i starał się rozpoznać doznania fizyczne, jakich należało się spodziewać, aby je pozbawić tajemniczości. Najważniejsze było nie dać się złapać znieścacka. Wiedział teraz już z całą pewnością, że im się to nie uda, tak jak się i innym nie udało; wiedział, że nie powie niczego, czego nie zechce. Pragnął tylko, by już szybko zaczęli.

Przypomniawszy mu się sen: Ryszard i stary kierowca taksówki w pogoni za nim, bo uważali, że ich oszukał i zdradził.

Zapłacę, co jestem winien, myślał z niezręcznym uśmiechem.

Ostatni papieros już się dopalał, parzył palce, trzeba go było opuścić na ziemię. Już go chciał zdeptać, ale się rozmyślił; schylił się, podniósł go i powoli wcisnął żarzący się ogarek w wierzch ręki, między niebieskie wężyki żył. Wytrzymał ten zabieg dokładnie pół minuty, kontrolując czas na sekundniku zegarka. Był zadowolony z siebie: przez całe trzydzieści sekund ręka jego nie drgnęła ani razu. Wrócił do przechadzki.

Okno, które obserwoowało go od kilku sekund przez otwór judasza, zniknęło.

11

Procesja obiadowa przeszła korytarzem; znowu ominięto celę Rubaszowa. Chciał sobie oszczędzić upokorzenia i nie wyglądał na korytarz, nie wiedział więc, co dawali na obiad, ale zapach jedzenia napełnił celę i był smakowity.

Rubaszow poczuł silną chęć zapalenia papierosa. Musiał jakoś zdobyć papierosy, aby móc się skupić; było to ważniejsze od jedzenia. Odczekał pół godziny po rozdaniu obiadu i zaczął

bębnić w drzwi. Znow minął kwadrans, zanim przyczłapał do zorca.

„Czego chcecie?” zapytał zwykłym, kwaśnym tonem.

„Papierosów z kantyny”, rzekł Rubaszow.

„Czy macie bony więzienne?”

„Odebrano mi pieniądze przy wejściu”, stwierdził Rubaszow.

„To musicie czekać aż je wam zamienią na bony”.

„Jak długo to trwa w waszej wzorowej instytucji?” zapytał Rubaszow.

„Możecie napisać skargę”, brzmiała odpowiedź starego.

„Wiedcie dokładnie, że nie mam ani papieru ani ołówka”, rzekł Rubaszow.

„Na zakup materiałów piśmiennych potrzebne są bony”, odpowiedział dozorca.

Po znanym ucisku w piersiach i uczuciu dławienia w gardle, Rubaszow poznał, że traci panowanie nad sobą, ale wziął się w garść. Starzec zauważył, że oczy Rubaszowa błysnęły gwałtownie spoza binokli; przypomniało mu to oleodruki przedstawiające Rubaszowa w mundurze i szeroko rozpowszechnione za dawnych czasów; uśmiechnął się ze starczą złośliwością i cofnął o krok.

„Ty kupo gnoju,” wyrzekł Rubaszow powoli, odwrócił się i stanął przy oknie.

„Złożę doniesienie, że użyliście ubliżających wyrazów,” dosłyszał za sobą głos starego; potem drzwi się zatrzasnęły.

Rubaszow wytarł binokle o rękaw i czekał, póki jego oddech się nie uspokoi. Musi zdobyć papierosy, inaczej nie będzie mógł wytrzymać. Zmusił się do odczekania dziesięciu minut. Potem zastukał do Nr 402:

CZY MACIE TYTOŃ?

Musiał chwilę czekać na odpowiedź. Nareszcie przyszła, wyraźnie i jasno wystukana:

NIE DLA WAS.

Rubaszow wrócił powoli do okna. Widział, jak młody oficer z podkreślonym wąsikiem, z monoklem wetkniętym w oko, patrzy z głupim uśmiechem na ścianę, która ich dzieli; oko za soczewką jest jakby szklane, czerwona powieka wywrócona do góry. Co się w tej głowie dzieje? Prawdopodobnie myśli: Ale mu dałem. Może też: Ty łotrze, ilu moich ludzi zastrzeliłeś?

Rubaszow patrzył na białą ścianę; czuł, że tamten stoi za nią odwrócony do niego twarzą; zdawało mu się, że słyszy jego przyspieszony oddech. Tak, ilu rozstrzelałem takich, jak ty, ciekaw jestem? Naprawdę nie pamiętał; było to już dawno, dawno temu, w czasie Wojny Domowej, musiało ich być chyba z siedemdziesięciu albo stu. I co z tego? To było w porządku; to było w zupełności innej płaszczyźnie, aniżeli przypadek Ryszarda, i dzisiaj zrobiłby zupełnie to samo. Nawet gdyby z góry wiedział, że rewolucja wysunie w końcu Nr 1 na czoło? Nawet wtedy.

Z tobą, myślał Rubaszow i patrzył na białą ścianę, za którą

stał tamten — zapalił prawdopodobnie papierosa i dmuchał na nią dymem — z tobą nie mam żadnych rozrachunków. Tobie nic nie jestem winien. Ciebie i mnie nie łączy żadna wspólna moneta i żaden język polityczny... Czego chcesz teraz?

Bo Nr 402 zaczął znowu stukać. Rubaszow wrócił do ściany... **POSYŁAM WAM TYTOŃ**, usłyszał. Potem, już słabiej, słyszał, jak Nr 402 walił w drzwi, aby przywołać dozorcę.

Rubaszow wstrzymał oddech; po paru minutach usłyszał zbliżanie się człapiących kroków. Dozorca nie otworzył drzwi Nr 402, tylko zapytał przez otwór judasza:

„Czego chcecie?”

Rubaszow nie słyszał odpowiedzi, choć bardzo był by rad usłyszeć głos Nr 402. Potem starzec odpowiedział głośno, tak, aby Rubaszow mógł słyszeć:

„Nie wolno; to jest sprzeczne z regulaminem”.

Znow Rubaszow nie dosłyszał odpowiedzi. Potem dozorca powiedział:

„Zrobię doniesienie, że użyliście ubliżających wyrazów”. Jego kroki pociągnęły się po kamiennych flizach i zgubiły się w korytarzu.

Przez chwilę trwała cisza. Potem Nr 402 zastukał:

MARNE WASZE WIDOKI.

Rubaszow nie odpowiedział. Chodził tam i z powrotem, czując, jak pożądanie tytoniu drażni wysuszone tkanki gardła. Myślał o Nr 402.

„A jednak postąpiłbym znowu tak samo”, powiedział do siebie. „To było potrzebne i słuszne. A może jestem ci jednak coś winien? Czy trzeba płacić także za to, co było słuszne i potrzebne?”

Suchość w gardle się wzmagała. Czuł ucisk na czole; chodził niespokojnie tam i na powrót i w trakcie rozmyślania wargi zaczęły się same poruszać.

Czy trzeba płacić także za sprawiedliwe czyny? Czy istnieje jeszcze inna miara poza miarą rozsądku?

Może człowiek sprawiedliwy dźwiga najcięższy dług; jeśli go zmierzwić tamtą, inną miarą? Może jego dług liczy się podwójnie — bo tamci inni nie wiedzieli, co czynią?...

Rubaszow zatrzymał się na trzeciej czarnej płycie od okna.

Co to? Technienie manii religijnej? Uprzytomnił sobie, że od kilku minut mówi półgłosem do siebie. A nawet teraz, kiedy siebie obserwował, jego usta, niezależnie od woli, poruszyły się i powiedziały:

„Zapłace”.

Po raz pierwszy od chwili swego aresztowania Rubaszow był przerażony. Poszukał papierosów. Ale nie miał już ani jednego.

Znow zaczęło się delikatne stukanie w ścianie nad łóżkiem. Nr 402 miał dla niego wiadomość:

ZAJĘCZA WARGA PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

Przed oczyma stanęła mu żółta, wzniesiona w górę twarz

mężczyzny: wiadomość wzbudziła w nim nieprzyjemne uczucie. Zastukał:

JEGO NAZWISKO?

Nr 402 odpowiedział:

NIE CHCE POWIEDZIEĆ. ALE PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

12

W ciągu popołudnia Rubaszow czuł się jeszcze gorzej. Miał co pewien czas atak gorączki. Zaczął go także na nowo boleć ząb — prawy kieł, połączony z nerwem ocznym, orbitalis. Nie jadł nic od chwili aresztowania, ale głodu nie czuł. Próbował zebrać myśli, przeszkadzały mu w tym zimne dreszeczki, wstrząsające ciałem i rosnące podrażnienie w gardle. Myśli obracały się na zmianę wokół dwu biegunów — rozpaczliwego pożądania papierosa i zdania: „zapłace”.

Zalały go wspomnienia; szumiały i brzęczały cicho w uszach. Twarze i głosy wypływały na powierzchnię i znów znikwały; każdy wysiłek, aby zatrzymać któryś z tych obrazów, sprawiał mu ból: każde dotknięcie przeszłości było dolegające i przykre. Całe jego ubiegłe życie to był ruch, Partia; teraźniejszość i przyszłość także należą do Partii, są nierozdzielnie związane z jej losem; ale jego przeszłość jest po prostu przeszłością Partii. I oto nagle właśnie ta przeszłość stanęła pod znakiem zapytania. Ciepłe, oddychające ciało Partii zdawało się pokryte ranami — rozjątrzonymi ranami, krwawiącymi stygmatami. Kiedyż w historii i gdzie byli święci tak ułomni? Czy istniała kiedy jakaś dobra sprawa gorzej reprezentowana? Jeśli Partia stanowiła wcielenie woli historycznej, znaczy to, że sama historia była pełna błędów.

Rubaszow wpatrywał się w wilgotne plamy na ścianach celi. Zerwał koc z pryczy i owinął nim ramiona; przyspieszył kroku i maszerował tam i na powrót krótkimi, szybkimi krokami, gwałtownie zwracając przy drzwiach i przy oknie; ale dreszeczki nie ustawały. Trwał szum w uszach, pomieszany z niewyraźnymi, miękkimi głosami; Rubaszow nie był w stanie rozpoznać czy dochodzą one z korytarza czy też były to przywidzenia. To orbitalis, tłumaczył sobie; to ten złamany korzeń kła. Muszę jutro o tym powiedzieć doktorowi, ale tymczasem trzeba załatwić masę innych spraw. Trzeba znaleźć przyczynę niedomogów Partii. Wszystkie nasze założenia są dobre, ale nasze osiągnięcia są złe. Żyjemy w chorym stuleciu. Rozpoznaliśmy i chorobę i jej przyczynę z dokładnością mikroskopową, ale gdziekolwiek przyłożyliśmy lancet, pojawiły się nowe wrzody. Wola nasza była twarda i czysta, naród powinien nas być kochać. Zamiast tego naród nas nienawidzi. Dlaczego jesteśmy dla wszystkich wstrętni, przez wszystkich znienawidzeni?

Przyszliśmy do was z prawdą, ale w ustach naszych brzmiała ona, jak kłamstwo. Daliśmy wam wolność i w rękach naszych

wygląda ona, jak bicz. Przynieśliśmy wam nowe życie, a gdzie głos nasz się rozlegnie, drzewa usychają i słychać tylko szelest zwiedłych liści. Przyszliśmy do was z obietnicą przyszłości, ale język nasz się płatał i słyszeliście tylko szczekanie...

Dygotał. Przed oczami stanął mu obraz, duża fotografia w drewnianej ramie: delegaci pierwszego Kongresu Partii. Siedzieli przy długim stole z drzewa, niektórzy wspierając się na łokciach, niektórzy trzymając ręce na kolanach; brodaci i poważni, wpatrywali się w soczewkę fotografa. Nad każdą głową było małe kółko z numerem, odnoszącym się do nazwiska wydrukowanego u dołu. Wszyscy byli uroczyści, tylko przewodniczący miał w skośnych, tatarskich oczach wyraz chytry i ubawiony. Rubaszow siedział drugi na prawo od niego, na nosie miał binokle. Nr 1 był gdzieś u końca stołu, kanciasty i ciężki. Wyglądali razem jak zebranie jakiejś prowincjonalnej rady miejskiej, a przygotowywali największą rewolucję w historii ludzkości. Stanowili wtedy garść ludzi zupełnie nowego gatunku: wojujący filozofowie. Byli tak obeznani z więzieniami każdego miasta europejskiego, jak komiwojażerowie z hotelami. Marzyli o władzy po to, by władzę obalić; o rządzeniu człowiekiem po to, by go odzwyczaić od tego, że się nim rządzi. Wszystkie ich myśli stały się czynem i wszystkie ich marzenia oblekły się w ciało. Gdzie są teraz? W każdym z tych mózgów, które przyczylniły się do zmiany biegu świata, tkwiła ołowiana kula. U niektórych w czole, u innych w karku. Pozostało ich już tylko dwu czy trzech, rozsianych po świecie, znużonych. I on, i Nr 1.

Był zmarznięty i marzył o papierosie. Widział siebie znów w starym porcie belgijskim, w towarzystwie wesołego Małego Loewy, który miał niewielki garb i palił rybacką fajkę. Poczł zapach znów portu, mieszaninę gnijących alg i nafty; posłyszał melodyjne uderzenie zegara na wieży starego domu cechowego, zobaczył wąskie uliczki z wysuniętymi piętrami domów, gdzie za dnia prostytutki portowe wywieszały z poddaży uprąną bieliznę.

Było to w dwa lata po sprawie z Ryszardem. W więzieniu nie zdołali Rubaszowowi niczego dowieść. Milczał, kiedy go bili, milczał, kiedy mu wytlukli zęby, naruszyli słuch i rozbili szkła. Milczał ciągle, zaprzeczał wszystkiemu wytrwale, ostrożnie i z zimną krwią kłamał. Chodził tam i z powrotem po swojej celi, czuł się po kamieniach ciemnego karceru, bał się i ciągle pracował nad swoją obroną; a kiedy zimna woda przywracała go do przytomności, szukał tylko papierosa i znowu kłamał. Nie dziwiła go w tych dniach nienawiść tych, którzy go torturowali i nie zastanawiał się nad tym, dlaczego wydaje im się tak wstrętny. Cały mechanizm prawny Dyktatury zgrzytał zębami, a jednak nie mogli mu niczego dowieść. Po zwolnieniu odleciał samolotem do swego kraju — do ojczyzny Rewolucji. Odbywały się na jego cześć przyjęcia, radosne wiece i parady wojskowe. Nawet Nr 1, kilka razy pokazał się z nim publicznie.

Nie był w ojczyźnie przez wiele lat i uderzyły go zmiany, jakie

się dokonały. Połowa brodatych mężczyzn z fotografii zniknęła. Nie wolno było wymieniać ich nazwisk, nie wolno było ich wspominać inaczej, jak wśród przekleństw — z wyjątkiem starca ze skośnymi, tatarskimi oczami, dawnego przywódcy, który zdołał umrzeć w porę. Czczono go jako Boga-Ojca, a Nr 1 jako jego Syna, ale szeptano pokątnie, że sfalszował testament starca, aby objąć dziedzictwo. Ci z brodaczy, uwiecznionych na fotografii, którzy jeszcze byli przy życiu, zmienili się do niepoznania. Nie nosili zarostu, byli znużeni i rozczarowani, pełni cynicznej melancholii. Od czasu Nr 1 sięgał po nową ofiarę spośród nich. Wtedy wszyscy bili się w piersi i chórem odmawiali pokutę za grzechy.

Po dwu tygodniach, kiedy jeszcze chodził o kulach, Rubaszow poprosił o nowe zadanie za granicą. „Coś wam się śpieszy”, powiedział Nr 1, przyglądając mu się zza obłoków dymu. Mimo dwudziestu lat wspólnego przywództwa w Partii, ciągle byli ze sobą na stopie formalnej. Nad głową Nr 1 wisiał portret Starca; obok wisiała kiedyś fotografia z numerowanymi głowami, ale teraz znikła. Rozmowa była krótka, trwała tylko kilka minut, jednak na rozstanie Nr 1 ścisnął mu rękę szczególnie serdecznie. Rubaszow jeszcze długo potem rozmyślał nad znaczeniem tego uścisku i nad wyrazem dziwnie znaczącej ironii, z jaką Nr 1 przyglądał mu się spoza dymnej chmury. Rubaszow wykusztykał na swoich kulach z pokoju; Nr 1 nie odprowadził go do drzwi.

Następnego dnia wyjechał do Belgii. Na okręcie trochę odpoczął i zaczął myśleć o swoim zadaniu.

Mały Loewy z rybacką fajką wyszedł na jego powitanie. Był miejscowym przywódcą sekcji Partii, grupującej pracowników portowych; Rubaszow od razu go polubił. Loewy pokazywał przybyszowi doki i kręte uliczki portu z taką dumą, jakby je sam budował. W każdym barze miał znajomych: robotników portowych, marynarzy i prostytutki; wszędzie stawiano mu picie, a on pozdrawiał wszystkich podniesieniem fajki do ucha. Nawet policjant, regulujący ruch na rynku, mrugnął do niego, kiedy przechodzili, a towarzysze-marynarze z zagranicznych okrętów, którzy nie umieli się wyjęzyczyć, klepali go czule po garbatych plecach. Rubaszow patrzył na to wszystko z lekkim zdziwieniem. Nie, Mały Loewy nie był ani wstrętny ani znienawidzony. Sekcja pracowników portowych tego miasta była jedną z najlepiej zorganizowanych sekcji Partii na świecie.

Wieczorem Rubaszow, Mały Loewy i jeszcze kilku siedzieli w jednej z knajp portowych. Był z nimi niejaki Paweł, sekretarz organizacyjny sekcji. Był to ex-zapaśnik, łysy, ze śladami opsy, z dużymi, sterzącymi uszami. Pod paltem nosił czarny sweter marynarski, a na głowie czarny melonik. Potrafił ruszać uszami, podnosząc w górę melonik i opuszczając go znowu. Towarzyszył mu niejaki Bill, były marynarz, który napisał powieść na temat życia marynarzy, był sławny przez rok, i został szybko zapomniany; teraz pisał artykuły dla pism partyjnych. Reszta, to byli robotnicy portowi, mężczyźni mocni i szybko pijący. Ciągle

wchodzili nowi ludzie, siadali lub stawali przy stoliku, płacili za kolejkę trunków i odchodzili. Tłusty właściciel knajpy, gdy tylko miał chwilę wolną, dosiadał się do nich. Umiał grać na harmonijce. Piło się sporo.

Mały Loewy przedstawił Rubaszowa jako towarzysza „Stamtąd”, nie dając żadnego dalszego objaśnienia. Mały Loewy był jedyny, który wiedział, kim on jest naprawdę. Ponieważ ludzie przy stoliku widzieli, że Rubaszow, czy nie ma ochoty do zwierzenia się, czy też ma powody po temu, żeby nie mówić, nie zadawali zbyt wielu pytań; a te, które stawiali, odnosiły się do warunków życia „Tam”, do płac, sprawy rolnictwa, rozwoju przemysłowego. Wszystko co mówili, wskazywało na zadziwiająca znajomość szczegółów technicznych, która szła w parze w równie zadziwiająca nieznajomością sytuacji ogólnej i atmosfery politycznej „Tam” panującej. Pytali o rozwój produkcji w lekkim przemyśle stalowym, jak dzieci, które się dopytują o dokładną wielkość winogron w Canaan.

Stary robocznik portowy, który przez dobrą chwilę stał przy barze i nie zamawiał nic do picia, póki Mały Loewy nie zaprosił go do nich na kieliszek, powiedział do Rubaszowa, uściskawszy mu rękę: „Bardzo jesteście podobni do starego Rubaszowa”. „To mi już często mówiono”, odpowiedział Rubaszow. „Stary Rubaszow — to fajny facet”, rzekł starzec, wychylając kieliszek. Było to zaledwie w miesiąc po wypuszczeniu Rubaszowa na wolność i w niespełna sześć tygodni, od kiedy miał pewność, że będzie żył po tym wszystkim. Tłusty właściciel baru grał na harmonijce. Rubaszow zapalił papierosa i zamówił kolejkę dla wszystkich. Wypili jego zdrowie i zdrowie ludzi „Stamtąd”, a sekretarz Paweł podniósł na uszach i opuścił melonik.

Później, Rubaszow i Mały Loewy zostali w jakiejś kawiarni przez chwilę sami. Właściciel zaciągnął rolety, postawił krzesła na stołach i drzemał nad kontuarem. Wtedy Mały Loewy zaczął opowiadać Rubaszowowi historię swego życia. Rubaszow go o to nie prosił i od razu przewidywał, że jutro wynikną z tego komplikacje: nie mógł na to nic poradzić, że wszyscy towarzysze odczuwali gwałtowną potrzebę opowiadania mu swoich dziejów. Właściwie chciał iść, ale nagle poczuł się bardzo zmęczony — przeliczył się jednak ze swymi siłami. Został więc i słuchał.

Okazało się, że Mały Loewy nie pochodził z tego kraju, choć włada językiem jak tubylec i choć zna wszystkich. Urodził się w jakimś mieście Niemiec Południowych, wyuczył się stolarstwa, grywał na gitarze i miewał odczyty o darwinizmie na wycieczkach niedzielnych klubu młodzieży rewolucyjnej. W niespokojnych miesiącach, poprzedzających dojsie Dyktatury do władzy, kiedy Partia odczuwała nagłą potrzebę broni, właśnie w tym mieście zainscenizowano bezczelny kawał: pewnej niedzieli, po południu, z gmachu policji, w najbardziej ruchliwym punkcie miasta, wywieziono ciężarówką pięćdziesiąt karabinów, dwadzieścia rewolwerów i dwa lekkie karabiny maszynowe wraz z amunicją. Ludzie z ciężarówki przedstawili jakiś rozkaz na

piśmie, pokryty stemplami urzędowymi, i przyjechali w towarzystwie dwu rzekomych policjantów w prawdziwych mundurach. Później tę broń znaleziono w innym mieście przy przeszukiwaniu garażu, należącego do jednego z członków Partii. Sprawa się nigdy nie wyjaśniła, a w dzień potem, kiedy to się zdarzyło, Mały Loewy znikł z miasta. Partia przyrzekła mu paszport i papiery osobiste, ale ta rzecz się nie udała. To znaczy, posłaniec wyższych sfer Partii, który miał mu doręczyć paszport i pieniądze na podróż, nie zjawił się w umówionym miejscu.

„Tak jest u nas zawsze”, dodał Mały Loewy filozoficznie. Rubaszow milczał.

Mimo to, Mały Loewy potrafił się wymknąć i jakoś przekroczyć granicę. Ponieważ wyszedł nakaz aresztowania go i ponieważ w każdej policji była wywieszona jego fotografia ze zniekształconymi plecami, przez kilka miesięcy musiał kluczyć po kraju. Kiedy wyruszył na spotkanie z towarzyszem z „wyższych kół”, miał w kieszeni pieniędzy akurat na trzy dni. „Zawsze myślałem, że to tylko w książkach ludzie żują korę drzewną”, powiedział. „Najsmaczniejsze są młode platany”. To wspomnienie przynagliło go, aby wstać i pójść do kohtuaru po parę kiełbasek. Rubaszowowi przypomniły się zupki więzienne i strajki głodowe, więc mu dotrzymał towarzystwa.

Wreszcie Mały Loewy przeszedł granicę francuską. Ponieważ nie miał paszportu, zaaresztowano go po kilku dniach, kazano przenieść się do innego kraju i zwolniono. „Równie dobrze mogli mi kazać pojechać na księżyc”, zauważył. Zwrócił się o pomoc do Partii; ale Partia w tym kraju nie знаła go i oświadczyła, że wprawdzie musi zasięgnąć informacji w jego kraju rodzinnym. Poszedł więc dalej; po paru dniach znów go zaaresztowano i skazano na trzy miesiące więzienia. Odsiedział wyrok, a swemu towarzyszowi celi, jakimś włóczędze, zrobił cykl odczytów na temat rezolucji, uchwalonych przez ostatni Kongres Partyjny. Włóczęga w zamian za to wtajemniczył go w sposób łapania kotów i sprzedawania ich skór. Kiedy minęły trzy miesiące, odstawiono go w nocy do granicy belgijskiej. Żandarmi zaopatrzyli go w chleb, ser i paczkę francuskich papierosów. „Idź prosto przed siebie”, powiedzieli. „Za pół godziny będziesz w Belgii. Jeśli cię kiedykolwiek złapiemy tutaj, urwiemy ci łeb”.

Przez wiele tygodni Mały Loewy włóczył się po Belgii. Znowu zwrócił się o pomoc do Partii, ale odpowiedź była taka sama, jak we Francji. Ponieważ znudziły mu się platany, więc spróbował handlu kocimi skórkami. Złapać kota było dość łatwo, a za jedną skórę, jeśli była z kota młodego i nieparszywego, otrzymywał równowartość połowy bochenka chleba i całej paczki tytoniu do fajki. Jednak między złapaniem a sprzedażą trzeba było dokonać dosyć nieprzyjemnej operacji. Jeszcze najszybciej szło, jeśli w jedną garść brało się uszy kota, w drugą ogon i łamało kręgosłup na kolanie. Z początku robiło się człowiekowi niedobrze; z czasem przyzwyczał się i do tego.

Na nieszczęście, po kilku tygodniach Małego Loewy znów za-aresztowano, bo w Belgii także wymagano dokumentów osobistych. W odpowiednich odstępach nastąpiło orzeczenie wydalające z kraju, wypuszczenie, drugie aresztowanie, kryminał. A potem, pewnej nocy, żandarmi belgijscy odstawili go do lasu na granicy Francji. Dali mu chleba, sera i paczkę belgijskich papierosów. „Idź prosto”, powiedzieli. „Za pół godziny będziesz we Francji. Jeśli cię kiedykolwiek tutaj złapiemy, urwiemy ci łeb”.

W ciągu następnego roku przeszmygowano Małego Loewy trzy razy tam i z powrotem przez granicę, przy współudziale władz francuskich czy też belgijskich. Domyślał się, że tę samą zabawę uprawiano od lat z setkami takich, jak on. Jeszcze i jeszcze raz zgłaszał się do Partii, bo najwięcej zależało mu na tym, by nie stracić łączności z ruchem. „Nie otrzymaliśmy od waszej organizacji żadnego zawiadomienia o waszym przyjeździe”, odpowiadano mu w Partii. „Musimy czekać na odpowiedź na nasze zapytania. Jeśli jesteście członkiem Partii, musicie się podporządkować dyscyplinie partyjnej”.

Tymczasem Mały Loewy dalej uprawiał handel kocimi skórami i dawał się przerzucać przez granicę tam i z powrotem. W tym samym czasie w jego kraju doszła do władzy Dyktatura. Minął jeszcze jeden rok, i Mały Loewy był w troszkę gorszym stanie z przyczyny przymusowych podróży, zaczął pluć krwią i majaczyć o kotach. Przywidywało mu się, że wszystko pachnie kotami: jedzenie, fajka i nawet pocziwe stare prostytutki, które go czasem przygarniały. „Jeszcze nie nadeszła odpowiedź na nasze zapytania”, powiadano mu w Partii. Po dalszym roku okazało się, że wszyscy towarzysze, którzy by mogli byli udzielić potrzebnych informacji o Małym Loewy, zostali albo zabici, albo zamknięci, albo zniknęli bez śladu. „Niestety, nie możemy nic dla was zrobić”, powiedziała Partia. „Nie powinniście byli przychodzić bez oficjalnego zawiadomienia. Może nawet wyrzyciście bez pozwolenia Partii. Cóż my o tym wiemy? Wielu szpiegów i prowokatorów usiłuje wcisnąć się w nasze szeregi. Partia musi być ostrożna”.

„Po co mi o tym opowiadacie?” zapytał Rubaszow. Żałował, że nie wyszedł wcześniej.

Mały Loewy napuścił sobie piwa z kurka i wykonał fajkę zwykły gest pozdrowienia. „Bo to pouczające”, powiedziała. „Bo to typowy przykład. Mógłbym wam przytoczyć setki innych. W ten sposób wykończyliśmy w ciągu lat najlepszych spośród nas. Partia kamienieje coraz bardziej. Partia ma w każdym członku reumatyzm i żylaki. W ten sposób nie robi się rewolucji”.

Mógłbym coś więcej powiedzieć na ten temat, myślał Rubaszow, ale nic nie powiedział.

Historia Małego Loewy skończyła się jednak nieoczekiwanie dobrze. W czasie odsiadki jednego z niezliczonych wyroków dano mu na towarzysza celi ex-silacza Pawła. W tym czasie Paweł był robotnikiem portowym; w więzieniu siedział za to,

że podczas rozruchów strajkowych przypomniał sobie przeszłość silacza i zastosował do policjanta chwyt znany pod nazwą podwójnego Nelsona. Polegało to na wsunięciu od tyłu rąk pod pachy przeciwnika, spleceniu ich na jego karku i przyginaniu jego głowy w dół tak długo, aż kręgi zaczynały trzeszczeć. Na arenie otrzymywał za to zawsze szumne oklaski, ale teraz dowiedział się z żalem, że w walce klas podwójny Nelson nie ma zastosowania. Mały Loewy i ex-silacz Paweł zaprzyjaźnili się ze sobą.

Okazało się, że Paweł jest sekretarzem administracyjnym Sekcji Pracowników Portowych Partii; kiedy ich wypuszczono, wystarał się dla Małego Loewy o papiery i robotę i przeprowadził ponowne włączenie do Partii. Mały Loewy mógł więc znowu wygłaszać odczyty dla robotników portowych na temat darwinizmu i ostatniego Kongresu Partii tak, jakby się nic nie stało. Był szczęśliwy, zapomniał o kotach i rozżaleniu na biurokratów Partii. Po pół roku został Sekretarzem Politycznym miejscowej sekcji. Tak więc wszystko skończyło się szczęśliwie.

I Rubaszow, choć czuł się stary i zmęczony, życzył sobie z całego serca, aby rzeczywiście skończyło się szczęśliwie. Ale wiedział dokładnie po co go tutaj przysłano, a nie nauczył się w życiu tylko jednej cnoty rewolucyjnej, to znaczy cnoty samookłamywania. Spokojnie przypatrywał się Małemu Loewy spojrzenia i czując lekkie zażenowanie pozdrowił go fajką, Rubaszow myślał o kotach. Z przerażeniem zauważył, że nerwy go zawiodły i że być może wypił za dużo, bo nie mógł się uwolnić od obsesji, iż powinien schwytać Małego Loewy za uszy i za nogi i razem z tymi zniekształconymi plecami przełamać na kolanie. Czuł się niedobrze i wstał, aby wyjść. Mały Loewy odprowadził go do domu; domyślał się, że Rubaszow miał atak depresji i milczał pełen szacunku.

W tydzień później Mały Loewy się powiesił.

Między tym wieczorem a śmiercią Małego Loewy mieścił się szereg zupełnie niedramatycznych zebrzań komórki partyjnej. Rzecz była całkiem prosta.

Dwa lata temu, Partia zwróciła się z wezwaniem do robotników całego świata, aby przez stosowanie bojkotu politycznego i ekonomicznego zwalczali nową Dyktaturę, która się ustaliła w samym sercu Europy. Nie powinno się kupować towarów przychodzących z kraju wroga, nie powinno się przepuszczać żadnych transportów dla jego olbrzymiego przemysłu zbrojeniowego. Poszczególne sekcje Partii wykonały ten nakaz z zapałem. Robotnicy portowi w tym małym porcie odmówili ładowania czy rozładowania transportów, przybywających z tego kraju czy przeznaczonych dla niego. Dołączyły się do nich inne związki zawodowe. Podtrzymanie takiego strajku było trudne;

dochodziło do starć z policją, w których byli ranni i zabici.

Jeszcze nie było wiadomo, jak się ta walka skończy, kiedy zawinęła do portu mała flota, złożona z pięciu dziwnych, przestarzałych, czarnych transportowców. Każdy z nich nosił imię jednego z wielkich przywódców Rewolucji, pięknie wymalowane na rufie dziwnymi literami, których używa się „Tam”, a z ich masztów powiewała rewolucyjna flaga. Strajkujący robotnicy powitali je entuzjastycznie. Natychmiast zabrali się do rozładowywania transportu. Po kilku godzinach wyszło na jaw, że transport składał się z pewnych rzadkich kruszców i był przeznaczony dla przemysłu wojennego kraju pod bojkotem.

Sekcja pracowników portowych zwołała natychmiast zebranie zarządu, na którym doszło do bójki. Spór objął ruch całego kraju. Prasa reakcyjna wykorzystywała z szyderstwem ten incydent. Policja zaprzestała usiłowań złamania strajku, ogłosiła neutralność i pozostawiła samym robotnikom portowym rozstrzygnięcie, czy wylądować transport dziwnej czarnej floty, czy też nie. Przywództwo Partii odwołało strajk i nakazało wylądować transport. Na usprawiedliwienie kroku Ojczyzny Rewolucji przytaczało rozsądne tłumaczenia i chytne argumenty, ale przekonało tylko niewielu. W sekcji nastąpił rozłam; większość starych członków wyszła. Przez wiele miesięcy Partia była tylko cieniem siebie, ale powoli, w miarę rosnącej nędzy w przemyśle, zaczęła odzyskiwać siły i popularność.

Mineły dwa lata. Inna głodna Dyktatura na południu Europy zaczęła wojnę dla rabunku i podboju w Afryce. Znowu Partia zarządziła bojkot. Tym razem odzew był bodaj jeszcze bardziej entuzjastyczny, niż poprzednio. Bo tym razem same rządy prawie wszystkich krajów na świecie postanowiły odciąć napastnikowi dopływ surowców.

Bez surowców, a zwłaszcza bez ropy, napastnik był stracony. Taki był stan rzeczy, kiedy znów wyruszyła w podróż dziwna, mała, czarna flota. Największy z jej statków nosił imię człowieka, który podnosił głos przeciwko wojnie i który został zabity; na masztach powiewały flagi Rewolucji, a na dnie spoczywała ropa, przeznaczona dla napastnika. Flotę dzielił od portu tylko jeden dzień podróży, a Mały Loewy i jego przyjaciele jeszcze nic nie wiedzieli o tym, że się zbliża. Zadaniem Rubaszowa było ich na to przygotować.

Pierwszego dnia nie powiedział — badał tylko teren. Drugiego dnia rano, zaczęła się dyskusja w lokalu zebrań Partii.

Był to duży, nagi, nieporządkany pokój, umeblowany z tym brakiem staranności, dzięki któremu biura Partii w każdym mieście wydają się bliźniaczo podobne. Jest to skutek częściowo biedy, głównie jednak ascetycznej i ponurej tradycji. Ściany pokrywały stare plakaty wyborcze, slogany polityczne i ogłoszenia pisane na maszynie. W jednym kącie stał stary, zakurzony powielacz. W drugim, leżała kupa starych ubrań, przeznaczonych dla rodzin strajkujących; obok tego stosy żółknących ulotek i broszur. Długi stół składał się po prostu z dwu równoległych

desek, położonych na kozłach. Okna były zamazane farbą, jak w niewykończonym budynku. Nad stołem zwisała z sufitu goła żarówka na sznurku, a obok niej lep na muchy. Dokoła stołu siedzieli: garbaty Mały Loewy, były atleta Paweł, pisarz Bill i jeszcze trzech innych.

Rubaszow mówił dłuższą chwilę. Otoczenie było mu znajome; dzięki jego tradycyjnej szpetocie, czuł się w nim jak w domu. W tym otoczeniu był od nowa w pełni przekonany o potrzebie i pożyteczności swojej misji i nie rozumiał, dlaczego poprzedniego wieczora w kawiarni miał jakieś skrupuły. Obiektywnie i nie bez pewnego zapału tłumaczył prawdziwy stan rzeczy, nie wyszczegajając jeszcze właściwych powodów swego przybycia. Bojkot światowy napastnika nie udał się z powodu obłudy i żarłoczności rządów europejskich. Niektóre z nich podtrzymywały jeszcze pozory bojkotu, inne już nawet tego nie robiły. Napastnik potrzebował ropy. Dawniej Kraj Rewolucji zaspakajał znaczną część tych potrzeb. Jeśli wstrzyma teraz dostawę, inne kraje natychmiast wszkodzą łapczywie w tę lukę: właściwie czekają tylko na to, by Kraj Rewolucji zepchnąć z rynków światowych. Romantyczne gesty utrudniłyby więc tylko rozwój przemysłu „Tam”, a wraz z tym, ruchu rewolucyjnego na całym świecie. Wniosek jest więc jasny.

Paweł i trzej robocizarze portowi przytaknęli. Byli to ludzie myślący powoli; wszystko co mówił towarzyszył „Stamtąd”, brzmiało przekonująco; był to oczywiście wywód czysto teoretyczny, nie mający dla nich bezpośredniego znaczenia. Nie wiedzieli o co mu konkretnie chodziło; żadnemu z nich nie przyszła na myśl czarna flotylla, zbliżająca się do portu. Tylko Mały Loewy i pisarz o skurczonej twarzy szybko spojrzeli na siebie. Rubaszow to zauważył. Zakończył odrobinę oschlej, bez ciepła w głosie:

„To wszystko co mam wam do powiedzenia, jeśli chodzi o zasadę. Oczekujemy, że wykonacie postanowienia C.K. i wytłumaczycie mniej politycznie rozwiniętym towarzyszym wszystkim za i przeciw tej sprawie, jeśliby który z nich miał jakieś wątpliwości. Tymczasem nie mam nic więcej do powiedzenia”.

Przez chwilę była cisza. Rubaszow zdjął binokle i zapalił papierosa. Mały Loewy swobodnym tonem powiedział:

„Dziękujemy przedmówcy. Czy ktokolwiek ma jakieś pytanie?”

Nikt się nie zgłosił. Po chwili jeden z trzech robotników portowych powiedział niezgrabnie:

„Nie ma chyba o czym mówić. Towarzysze „Tam” wiedzą chyba co robią. My, oczywiście, musimy dalej prowadzić bojkot. Możecie nam ufać. Z naszego portu nic się do tych świn nie przedostanie”.

Jego dwaj koledzy przytaknęli. Atleta Paweł potwierdził: „Stąd — nic”, zrobił groźną minę i dla kawału poruszał uszami.

Rubaszow przez chwilę przypuszczał, że znalazł się w obliczu grupy opozycyjnej; powoli zaczął pojmować, że tamci nie zro-

zumieli o co mu chodzi. Spojrzał na Małego Loewy w nadziei, że wyjaśni nieporozumienie. Ale Mały Loewy miał oczy spuszczone i milczał. Nagle, pisarz powiedział z nerwowym tikiem:

„Czy nie moglibyście tym razem wybrać sobie innego portu dla waszych drobnych transakcji? Czy musi to zawsze spadać na nas?”

Robotnicy spojrzeli na niego zdziwieni; nie rozumieli, co nazywa „transakcją”; myśl o małej, czarnej flocie, która przez mgłę i dym zbliżała się ku ich wybrzeżom, była od nich dalsza, niż kiedykolwiek. Ale Rubaszow był przygotowany na to pytanie:

„Ten port jest zarówno politycznie, jak i geograficznie najbardziej wskazany”, powiedział. „Stąd towar pójdzie dalej drogą lądową. Oczywiście nie mamy powodu do ukrywania czegokolwiek: niemniej będzie lepiej, jeśli się uniknie sensacji, którą prasa reakcyjna mogłaby wykorzystać”.

Pisarz znów szybko spojrzął na Małego Loewy. Dokerzy patrzyli na Rubaszowa, nic nie rozumiejąc; widziało się, jak powoli usiłują rozgryźć o co idzie. Nagle Paweł odezwał się zmienionym, ochryplym głosem:

„O czym wy właściwie mówicie?”

Wszyscy zwrócili oczy na niego. Kark mu nabiegł krwią, patrzył na Rubaszowa wytrzeszczonymi oczami. Mały Loewy zrobił powściągliwą uwagę:

„Dopiero teraz zauważyłeś?”

Rubaszow spojrzął wpierw na jednego, potem na drugiego i rzekł spokojnie:

„Opuściłem szczegóły. Pięć transportowców Komisariatu Handlu Zagranicznego powinno przybyć tutaj jutro rano, jeśli pogoda dopisze”.

Nawet teraz minęło jeszcze kilka minut, zanim wszyscy zrozumieli. Nikt się słowem nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Rubaszowa. Potem Paweł podniósł się powoli, cisnął czapkę o ziemię i wyszedł z pokoju. Dwu z kolegów oglądnęło się za nim. Nikt nie mówił. Potem Mały Loewy odchrząknął i rzekł:

„Towarzysz-mówca wytłumaczył nam właśnie powody tej transakcji: jeśli oni nie dostarczą towaru, ktoś inny to zrobi. Kto chce jeszcze mówić?”

Robotnik, który odezwał się przed chwilą, poprawił się na krześle i powiedział:

„Znamy tę piosenkę. Jak jest strajk, to zawsze się znajdują tacy, którzy mówią: jeśli nie pójdę do pracy, to inni mi ją zabiorą. Dość się tego nasłuchaliśmy. Tak mówią łamistrajki”.

Znowu nastąpiła przerwa. Słychać było jak na zewnątrz za drzwiami się Paweł. Potem Rubaszow powiedział:

„Towarzysze, sprawy naszego rozwoju przemysłowego „Tam” idą przed wszystkim innym. Sentymentalizm nie doprowadzi nas do niczego. Namyślcie się”.

Robotnik wysunął brodę naprzód i powiedział:

„Jużemy się namyślili. Mamy tego dosyć. Wy „Tam” musicie

dawać przykład. Cały świat od was tego oczekuje. Gadacie o solidarności, o poświęceniu i dyscyplinie, a jednocześnie używacie swojej floty do zwykłego łamania strajku”.

W tym miejscu Mały Loewy podniósł nagle głowę; był blady; pozdrowił Rubaszowa fajką i rzekł cicho i bardzo szybko:

„To co towarzysz powiedział, jest to także i moje zdanie. Czy ktokolwiek ma jeszcze coś do powiedzenia? Posiedzenie jest skończone”.

Rubaszow wykuszykał na kulach. Wypadki potoczyły się przepisową i niechybną koleją. Podczas gdy staroświecka flota zawijała do portu, Rubaszow wymienił kilka telegramów z odpowiednimi władzami „Tam”. Po trzech dniach przywódcy sekcji robotników portowych zostali wydaleny z Partii, a Mały Loewy napiętnowany w oficjalnym organie Partii jako *agent provocateur*.

Po dalszych trzech dniach Mały Loewy się powiesił.

13

Noc była jeszcze gorsza. Rubaszow do świtu nie zmrużył oka. Dreszcze wstrząsały nim w regularnych odstępach czasu; ząb mocno pulsował. Zdawało mu się, że wszystkie komórki skojarzenia jego mózgu były obolałe i zapalone; a mimo to znajdował się jakby pod bolesnym przymusem wywoływania obrannym ubraniu, z zaczerwienionymi oczyma: „Nie możecie mnie przecież rzucić wilkom na pożarcie; towarzyszu...” Myślał o małym, ułomnym Loewy: „Kto jeszcze ma coś do powiedzenia...”.

Tak wielu miałooby coś do powiedzenia. Bo ruch nie czuł skrupułów; zdążył do celu niewzruszony, a trupy topielców zostawiał na zakrętach drogi. Droga ta była pełna załamań i zakrętów; takie było prawo istnienia ruchu. Ktokolwiek nie był w mocy iść jego zygakowatym szlakiem, był wyrzucany na brzeg, bo takie jest prawo obowiązujące w ruchu. Motywy jednostki nie mają dla niego znaczenia. Jej sumienie go nie obchodzi, ani nie troszczy się on o to, co się dzieje w głowie i sercu pojedynczego człowieka. Partia zna tylko jedną zbrodnię: odchylenie się od wytyczonego kursu; i tylko jedną karę: śmierć. Śmierć nie jest dla ruchu czymś tajemniczym; nie ma w sobie nic wzniosłego: jest logicznym rozwiązaniem różnic politycznych.

Dopiero w pierwszych godzinach ranka Rubaszow zasnął wyczerpany na swojej pryczy. I tym razem obudziła go trąbka, zapowiadając nowy dzień; wkrótce potem przyszedł po niego stary dozorca z dwoma funkcjonariuszami w mundurze, aby go zaprowadzić do doktora.

Rubaszow liczył na to, że uda mu się przeczytać kartki z nazwiskami na drzwiach celi, zajętej przez Zajęczą Wargę i celi nr 402, ale poprowadzono go w odwrotnym kierunku. Cella po prawej stronie była pusta. Była to jedna z ostatnich w tym

końcu korytarza; skrzydło cel izolacyjnych było odcięte ciężkimi betonowymi drzwiami, które stary otworzył po długich zachodach. Szli teraz przez długą galerię; Rubaszow i stary dozorca z przodu, dwaj umundurowani z tyłu. Tutaj kartki na drzwiach każdej celi zawierały szeregi nazwisk; z cel dochodziły głosy rozmów, śmiech a nawet śpiew; Rubaszow domyślił się od razu, że znaleźli się w oddziale dla drobnych przestępców.

Minęli fryzjernię, której drzwi stały otworem; golono właśnie jakiegoś więźnia o ostrym, ptasim profilu starego skazańca; dwu chłopom golono głowy; wszyscy odwrócili się z zaciekawieniem, gdy Rubaszow przechodził w towarzystwie eskorty. Doszli do drzwi, na których widniał czerwono namalowany krzyż. Dozorca zapukał grzecznie i wszedł wraz z Rubaszowem; umundurowani czekali na zewnątrz.

Przychodnia była mała i nieprzewietrzona; czuć było karbolem i tytoniem. Wiadro i dwie miski były po brzegi zapełnione tamponami waty i brudnymi bandażami. Lekarz siedział przy stole, odwrócony do nich tyłem, czytał gazetę i zjadał chleb ze smalcem. Gazeta leżała na stosie instrumentów, szczypec i strzykawek. Kiedy dozorca zamknął drzwi, lekarz powoli się odwrócił. Był łysy i miał wyjątkowo małą czaszkę, pokrytą białym puchem, który Rubaszowowi przypominał strusia.

„Mówi, że boli go ząb”, powiedział starzec.

„Ząb?” rzekł lekarz, nie patrząc na Rubaszowa. „Otwórzcie usta, szybko”.

Rubaszow spojrzał na niego przez szkła.

„Chciałbym zaznaczyć, że jestem więźniem politycznym i mam prawo do poprawnego traktowania”.

Lekarz zwrócił się do dozorca:

„Co to za ptaszek?”

Dozorca wymienił nazwisko Rubaszowa. Rubaszow poczuł jak okrągłe, strusie oczy zatrzymały się na nim przez sekundę. Potem lekarz powiedział:

„Macie spuchnięty policzek. Otwórzcie usta”.

W tej chwili Rubaszow nie czuł bólu zęba. Otworzył usta.

„Po lewej stronie górnej szczęki nie macie już w ogóle zębów”, rzekł lekarz, wsadzając palec do ust Rubaszowa. Nagle Rubaszow zbladł i musiał się oprzeć o ścianę.

„To to”, stwierdził lekarz. „Korzeń prawego kła jest odłamany i został w szczęce”.

Rubaszow odetchnął głęboko raz po raz. Ból pulsował od szczęki do oka i przenikał w tył czaszki. Każdy przypływ krwi zaznaczał się jako pojedyncze uderzenie, powtarzające się w regularnych odstępach.

Lekarz usiadł znowu i rozłożył gazetę. „Jeśli chcecie, mogę wam ten korzeń wyrwać”, rzekł, odgryzając kawałek chleba ze smalcem. „Nie mamy tutaj oczywiście żadnych środków znieczulających. Operacja może potrwać od pół do całej godziny”.

Rubaszow słyszał głos lekarza jak przez mgłę. Oparł się o ścianę i oddychał głęboko. „Dziękuję”, powiedział. „Nie teraz”.

Myślał o Zajęcej Wardze, „łaźni parowej” i śmiesznym wczo-rajszym odruchu, kiedy zagasił papierosa na swojej ręce. Będzie niedobrze, pomyślał.

Wróciwszy do celi, rzucił się na prycę i natychmiast zasnął.

Kiedy roznoszono zupę w południe, już go nie pominięto; od tego czasu regularnie otrzymywał posiłki. Ból zęba osłabł i nie przekraczał granicy wytrzymałości. Rubaszow miał nadzieję, że wrzód przy korzeniu pękł sam.

W trzy dni później zaprowadzono go po raz pierwszy na przesłuchanie.

14

Była godzina jedenasta rano, kiedy przyszli po niego. Z uroczystej miny dozorca Rubaszow domyślił się od razu, dokąd idą. Poszedł za nim z pogodną niedbałością, jaka zawsze spadała na niego w chwilach niebezpieczeństwa, niby nieoczekiwany dar łaski. Szli tą samą drogą, co trzy dni temu do lekarza. Betonowe drzwi znowu się otworzyły i zatrzasnęły. Dziwne, myślał Rubaszow, jak szybko człowiek się przyzwyczaja do życia w atmosferze napięcia; zdawało mu się, że powietrzem tego korytarza oddycha już od lat, że duszna atmosfera wszystkich więzień, które kiedykolwiek poznał, była właśnie tutaj skoncentrowana.

Przeszli koło fryzjera i minęli drzwi lekarza, które były zamknięte; stało przed nimi trzech więźniów, pod strażą zaspanego dozorca, czekając na swoją kolejkę.

Poza drzwiami doktora zaczynał się teren Rubaszowowi jeszcze nieznanym. Zeszli kręconymi schodami, prowadzącymi do podziemi. Co może być tam na dole — składy, cele karne? Rubaszow usiłował odgadnąć, zainteresowany jak ekspert. Wygląd tych schodów wzbudził w nim niemiłe uczucie.

Minęli wąskie podwórko bez okien; był to ślepy kanał, dość ciemny, ale rozpięta nad nim otwarte niebo. Po drugiej stronie podwórka korytarze były pogodniejsze; drzwi nie były już z betonu, ale z malowanego drzewa i miały metalowe klamki; funkcjonariusze mijali ich w pośpiechu; za jakimiś drzwiami grało radio; za innymi stukiała maszyna do pisania. Był to wydział administracyjny.

Zatrzymali się przed ostatnimi drzwiami, na końcu korytarza; dozorca zapukał. W pokoju ktoś rozmawiał przez telefon; jakiś spokojny głos zawołał: „Chwileczkę, proszę” i dalej cierpliwie odpowiadał do słuchawki: „tak jest” i „oczywiście”. Głos wydawał się Rubaszowowi znajomy, ale nie mógł go rozpoznać. Był to głos męski, przyjemny, lekko zachrypnięty; na pewno gdzieś go dawniej słyszał.

„Proszę”, odezwał się głos; dozorca otworzył drzwi i natychmiast je znowu za Rubaszowem zamknął. Rubaszow zobaczył

biurko; za nim siedział jego stary przyjaciel z lat szkolnych i dawny dowódca batalionu, Iwanow: przyglądał mu się z uśmiechem, odkładając słuchawkę. „Więc spotkaliśmy się znowu”, rzekł Iwanow.

Rubaszow stał jeszcze przy drzwiach. „Cóż za miła niespodzianka”, rzekł oschle.

„Siadaj”, rzekł Iwanow, zapraszając grzecznie. Wstał; stojąc był od Rubaszowa o pół głowy wyższy. Patrzył na niego z uśmiechem. Usiedli obaj — Iwanow za biurkiem, Rubaszow przed nim. Chwilę przypatrywali się sobie z nieukrywaną ciekawością — Iwanow z prawie czułym uśmiechem, Rubaszow wyczekująco i czujnie. Wzrok jego ześlizgnął się pod stół, na prawą nogę Iwanowa.

— „O, to jest zupełnie w porządku”, rzekł Iwanow. „Proteza z automatycznymi stawami i chromowanym, nierdzewnym pokryciem; mogę pływać, jeździć konno, prowadzić auto i tańczyć. Papierosa?”

Podsunał Rubaszowowi drewniane pudełko.

Rubaszow spojrział na papierosy i przypomniał sobie pierwszą wizytę w szpitalu wojskowym, gdzie Iwanowowi amputowano nogę. Iwanow prosił go, aby zdobył dla niego weronal i w dyskusji, która trwała całe popołudnie, usiłował dowieść, że każdy człowiek ma prawo do samobójstwa. Rubaszow poprosił go w końcu o czas do namysłu i tej samej nocy przeniesiono go na inny odcinek frontu. Spotkał Iwanowa dopiero po latach. Patrzył teraz na papierosy w drewnianym pudełku. Były robione ręcznie, z amerykańskiego tytoniu, lekkiego i jasnego.

„Czy to jest ciągle jeszcze wstęp nieoficjalny, czy też zaczęła się już wojna?” zapytał Rubaszow. „Jeśli to drugie, nie wezmę papierosa. Znasz przepisy etykiety.”

„Bzdury”, rzekł Iwanow.

Uśmiechnął się i niewinnie wskazał lewą ręką Rubaszowa. Na wierzchu, między niebieskimi żyłami, na miejscu, w którym trzy dni temu zgasił papierosa była blizna wielkości miedziaka. Przez chwilę obaj patrzyli na rękę Rubaszowa, leżącą na jego kolanach. Skąd on o tym wie? myślał Rubaszow. Kazał mnie podglądać. Czuję więcej wstydu, niż złości; po raz ostatni zaciągnął się głęboko papierosem i wyrzucił go. „Jeśli chodzi o mnie, część nieoficjalna jest skończona”, powiedział.

Iwanow puszczał kółka z dymu i przyglądał mu się z tym samym czule ironicznym uśmiechem. „Nie bądź agresywny”, powiedział.

„Bądź wyrozumiały”, rzekł Rubaszow. „Czy to ja zaaresztowałem ciebie, czy to wyście mnie zaaresztowali?”

„Myśmy siebie zaaresztowali”, rzekł Iwanow. Zgasił papierosa, zapalił drugiego i podsunał pudełko Rubaszowowi, który się nie ruszył. „Niech cię diabli wezmą”, rzekł Iwanow. „Czy pamiętasz historię z weronalem?” Pochylił się w przód i dmuchnął dymem w twarz Rubaszowa.

„Nie chcę, żeby cię rozstrzelali”, powiedział powoli. Oparł się

wygodnie na krześle. „Niech cię diabli wezmą”, powtórzył, znów się uśmiechając.

„Wzruszające z twojej strony”, rzekł Rubaszow. „Właściwie dlaczego macie zamiar mnie rozstrzelać?”

Iwanow czekał kilka sekund. Palił i rysował ołówkiem na biule. Zdawało się, że szuka najodpowiedniejszych wyrazów.

„Słuchaj, Rubaszow”, odezwał się w końcu. „Chciałbym ci na jedną rzecz zwrócić uwagę. Powiedziałeś teraz już kilka razy „wy” — mając na myśli Państwo i Partię — w przeciwstawieniu do „ja”, to znaczy: Mikołaj Salomonowicz Rubaszow. Dla publiczności trzeba oczywiście rozprawy i prawnego uzasadnienia. Dla nas wystarczy to, co w tej chwili powiedziałem”.

Rubaszow zastanowił się; trochę go to zaskoczyło. Przez chwilę zdawało się, że Iwanow uderzył w kamerton, do którego umysł jego był z własnej woli dostrojony. Wszystko to, w co wierzył, za co walczył, co głosił przez ostatnie czterdzieści lat objęło jego umysł nieodpartą falą. Jednostka się nie liczy, Partia to wszystko; gałęź, która się odłamała od pnia, musi uschnąć...

Rubaszow wytarł binokle o rękaw. Iwanow oparł się o krzesło i palił; teraz już się nie uśmiechał. Nagle wzrok Rubaszowa zaczepił o czworokątną plamę na ścianie, która była jaśniejsza, niż reszta tapety. Domyślił się od razu, że wisiała tam kiedyś fotografia z brodatymi głowami i numerowanymi nazwiskami — Iwanow poszedł w ślad za jego wzrokiem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

„Twój wywód jest właściwie anachronizmem”, rzekł Rubaszow. „Jak zupełnie słusznie zauważyłeś, posługiwaliśmy się zawsze liczbą mnogą „my” i staraliśmy się, o ile możliwości, unikać pierwszej osoby liczby pojedynczej. Odzwyczailęmy się właściwie od tej formy mówienia; ty się jej jeszcze trzymasz. Ale kto to właściwie „my”, w których imieniu ty dzisiaj przemawiasz? Wy maga to świeżego sprecyzowania. Właśnie o to chodzi”.

„Całkiem się zgadzam”, przyświadczył Iwanow. „Cieszę się, że tak szybko doszliśmy do sedna sprawy. Inniymi słowy: jesteś przekonany, że „my” — to znaczy Partia, Państwo i masy stojące za nimi — przestaliśmy reprezentować interesy Rewolu-ji”.

„Wolałbym nie mówić o masach”, rzekł Rubaszow.

„Od kiedy to czujesz tę najwyższą pogardę dla tłumu?” zapytał Iwanow. „Czy to także pozostaje w związku z gramatyczną zmianą na pierwszą osobę liczby pojedynczej?”

Nachylił się poprzez biurko z wyrazem dobroduszej ironii. Jego głowa zasłaniała teraz jasną plamę na ścianie i Rubaszowi przypomniała się nagle scena w muzeum, kiedy głowa Ryszarda stanęła między nim a złożonymi rękami „Piety”. W tym samym momencie atak bólu przewiercił się od szczęki do czoła i ucha. Zamknął na sekundę oczy. „Teraz płacę”, pomyślał. W chwilę później nie był pewny, czy nie powiedział tego głośno.

Ból mijał, spokój i cisza napływały powrotną falą w umysł Rubaszowa. „Zostawmy masy poza dyskusją”, powtórzył. „Nic o nich nie wiesz. Ja zresztą prawdopodobnie nie wiele więcej.

Kiedyś, kiedy żyło jeszcze wielkie „my”, rozumieliśmy masy tak, jak nikt inny ich przedtem nie rozumiał. Przeniknęliśmy je aż do głębi, urabialiśmy bezkształtną miazgę samej historii...”

Nie zdając sobie z tego sprawy, wziął papierosa z pudełka Iwanowa, które ciągle stało otwarte na stole. Iwanow nachylił się i podsunął mu ogień.

„Wtedy”, kontynuował Rubaszow, „nazywaliśmy się Partią Ludu. Co inni wiedzieli o historii? Widzieli tylko przemijające zmarszczki, drobne wiry i rozbijające się fale. Dziwiły ich zmienne postaci powierzchni, nie potrafili ich wyjaśnić. A my zapuściliśmy się w głębie, w bezkształtne, bezimienne masy, które zawsze były substancją historii; i my pierwsi wykryliśmy prawa, które kierują jej ruchami. Wykryliśmy prawo bezwładu, prawo powolnej zmiany jej budowy drobinowej, prawo nagłych wybuchów. W tym tkwiła wielkość naszej doktryny. Jakobini byli moralistami; my byliśmy empirykami. Grzebaliśmy się w prawiecznym mule historii i właśnie w nim odkryliśmy prawa, które nią rządzą. Wiedzieliśmy więcej o ludzkości, aniżeli ktokolwiek, kiedykolwiek; dlatego nasza rewolucja się udała. A wyście teraz znów wszystko pogrzebali...”

Iwanow siedział z wyciągniętymi nogami, słuchając i rysując na bibule.

„Co dalej?”, zapytał. „Ciekaw jestem, o co ci właściwie idzie?”

Rubaszow palił z rozkoszą. Czuł, że po długim poście nikotyna przyprawia go o lekki zawrót głowy.

„Jak widzisz, mówię na swoją zgubę”, powiedział i spojrzał z uśmiechem na wyblakłą plamę na ścianie, gdzie kiedyś wisiała fotografia starej gwardii. Tym razem Iwanow nie poszedł za jego wzrokiem. „Zresztą”, stwierdził Rubaszow, „co za różnica, jeden mniej, czy jeden więcej. Wszystko jest już teraz pogrzebane; ludzie, ich wiedza, ich nadzieje. Zabiliście wielkie „My”; zniszczyliście je. Czy naprawdę wierzysz, że masy ciągle jeszcze są z wami? Inni samozwańcy w Europie twierdzą to samo z takim samym prawem, jak wy...”

Wziął jeszcze jednego papierosa i zapalił go tym razem sam, bo Iwanow się nie ruszył.

„Wybacz mój pompatyczny sposób mówienia”, ciągnął dalej, „ale czy ty naprawdę jeszcze wierzysz w to, że lud idzie z wami? Znosi was, niemy i zrezygnowany, jak znosi innych, w innych krajach, ale w jego głębiach nie ma już żadnego odzewu. Masy stały się na nowo głuche i nieme, są znowu wielkim, milczącym X historii, nieczułym, jak morze, które nosi okręty. Każde przelotne światło odbija się na jego powierzchni, ale w głębi panuje ciemność i cisza. Wtedy, już dawno temu, poruszaliśmy te głębie, ale to się skończyło. Innymi słowy — przerwał na chwilę i nałożył binokle — wtedy tworzyliśmy historię; dziś prowadzicie politykę. Oto cała różnica.”

Iwanow oparł się w krzesło i puszczal kółka z dymu. „Przepraszam, ale nie widzę całkiem jasno tej różnicy”, powiedział.

„Może byłeś tak dobry i zechciał ją wytłumaczyć”.

„Chętnie”, rzekł Rubaszow. „Jakiś matematyk powiedział kiedyś, że algebra to nauka leniwców — nie usiłują wyliczyć czemu równa się X, ale posługują się nim, jakby wiedzieli co ono oznacza. W naszym wypadku X to masy bezimienne, lud. Polityka, to posługiwanie się tym X, bez troski o jego właściwą naturę. Tworzenie historii to rozpoznanie w niewiadomej X jej wartości, jaką przedstawia w równaniu”.

„Wcale ładne”, powiedział Iwanow. „Ale niestety trochę oderwane. Wracając do bardziej namacalnych rzeczy: zatem ty uważasz, że „my” — to znaczy Partia i Państwo — przestaliśmy działać w interesie Rewolucji, w interesie mas, albo, jeśli wolisz w interesie postępu ludzkości?”

„Tym razem zrozumiałeś o co chodzi”, stwierdził Rubaszow, uśmiechając się. Iwanow nie odwdzieczył mu się uśmiechem. „Kiedy doszedłeś do takiego przekonania?”

„Stopniowo chyba: w ciągu ostatnich lat”, rzekł Rubaszow. „Czy nie możesz określić tego bardziej precyzyjnie? W ostatnim roku? W ostatnich dwu, trzech latach?”

„To głupie pytanie”, odparł Rubaszow. „W jakim wieku stałeś się dorosłym? Mając lat siedemnaście? Osiemnaście i pół? Dziewiętnaście?”

„Teraz ty udajesz głupiego”, powiedział Iwanow. „Każdy etap w rozwoju umysłowym człowieka jest wynikiem określonych doświadczeń. Jeśli już chcesz wiedzieć, to ja stałem się mężczyną mając lat siedemnaście, kiedy po raz pierwszy skazano mnie na wygnanie”.

„Wtedy byłeś przyzwoitym człowiekiem”, stwierdził Rubaszow. „Zostawmy to”. Znowu spojrzał na jasną plamę na ścianie i wyrzucił papierosa.

„Powtarzam pytanie”, rzekł Iwanow pochylając się lekko naprzód. „Od kiedy należysz do zorganizowanej opozycji?”

Telefon zadzwonił. Iwanow podjął słuchawkę, powiedział „jestem zajęty” i odłożył ją. Potem oparł się w krzesło, wyciągnął nogę i czekał na odpowiedź Rubaszowa.

„Wiesz równie dobrze jak ja”, odpowiedział Rubaszow, „że nigdy nie przystąpiłem do żadnej organizacji opozycyjnej”.

„Jak chcesz”, rzekł Iwanow. „Zmuszasz mnie do grania przykrej roli biurokraty.” Wsadził rękę do jednej z szuflad i wyciągnął z niej kilka teczek.

„Zacznijmy od roku 1933”, powiedział i rozłożył przed sobą akta. „Wybuch dyktatury i zmażdżenie Partii właśnie w tym kraju, w którym zdawała się ona najbliższa zwycięstwa. Posyłają cię tam drogą nielegalną, z zadaniem przeprowadzenia czystki i reorganizacji szeregów...”

Rubaszow oparł się w krzesło i przysłuchiwał się swemu własnemu życiorysowi. Myślał o Ryszardzie, o zmierzchu panującym w alei przed muzeum, gdzie zatrzymał taksówkę.

„...Trzy miesiące później: aresztują cię. Dwa lata więzienia.

Zachowanie się wzorowe, niczego nie potrafil ci dowieść. Zwolnienie i triumfalny powrót..."

Iwanow przerwał, szybko spojrzął na Rubaszowa i ciągnął dalej:

„Po powrocie bardzo cię fetowano. Nie spotkaliśmy się wtedy; pewnie byłeś zanadto zajęty... Nie miałem ci tego zresztą za złe. Koniec końcem nie mogłeś odwieść wszystkich starych przyjaciół. Ale widziałem cię dwa razy na zebraniach, na estradzie. Chodziłeś jeszcze o kulach i wyglądałeś bardzo źle. Logicznie biorąc, powinieneś był spędzić kilka miesięcy w sanatorium, a później objąć jakieś stanowisko w rządzie — po kilku latach pracy za granicą. Zamiast tego poprosiłeś już po dwu tygodniach o nowe zadanie poza krajem...”

Pochylił się nagle naprzód, przybliżając swoją twarz do Rubaszowa:

„Dlaczego —?” zapytał, i po raz pierwszy głos jego zabrzmiał ostrzej. „Prawdopodobnie nie podobało ci się tutaj? W czasie twojej nieobecności zaszły w kraju pewne zmiany, które ci, widać, nie odpowiadały”.

Czekał czy Rubaszow coś odpowie, ale on spokojnie siedział na krześle, wycierając binokle o rękaw i nie odpowiadał.

„Było to już po skazaniu i zlikwidowaniu pierwszej grupy opozycyjnej. Miałeś wśród niej bliskich przyjaciół. Kiedy wyszło na jaw do jakiego rozkładu doszła opozycja, przez kraj przepłynęła fala oburzenia. Ty milczałeś. Po dwu tygodniach wyjechałeś za granicę, choć chodziłeś jeszcze o kulach...”

Rubaszowowi zdawało się, że czuje zapach doków w malutkim porcie, tę mieszaninę alg i nafty; były atleta Paweł ruszający uszami; Mały Loewy, pozdrawiający go fajką... Powiesił się na belce na swoim poddaszu. Stara rudera trzęsła się za każdym razem, kiedy przejeżdżała ciężarówka; ktoś opowiadał Rubaszowowi, że tego ranka, gdy znaleziono Małego Loewy, jego ciało obróciło się zwolna dookoła swojej osi, przez chwilę można było myśleć, że on jeszcze żyje...

„Po pomyślnym spełnieniu misji, mianowano cię dyrektorem naszej Delegacji Handlowej w B. I tym razem wykonałeś swoje zadanie bez zarzutu. Nowy traktat handlowy z B. jest stanowczo sukcesem. Zachowanie twoje wydaje się na pozór przykładne i nieskazitelne. Ale w sześć miesięcy po objęciu tego stanowiska, trzeba odwołać twoich dwu najbliższych współpracowników, osądzonych o spiski opozycyjne, jeden z nich — to twoja sekretarka Arłowa; podejrzenia potwierdzają się w trakcie badań sądowych. Oczekuje się od ciebie, że publicznie potępisz winnych. Ale ty milczysz...”

„Po dalszych sześciu miesiącach i ciebie odwołują. Przygotowuje się drugi proces przeciw opozycji. W ciągu rozprawy pada kilkakrotnie twoje nazwisko; Arłowa powołuje się na ciebie w swoich zeznaniach. W tych okolicznościach twoje milczenie wyglądałoby na przyznanie się do winy. Wiesz o tym, a jednak bronisz się przed publiczną deklaracją aż do chwili, kiedy Partia

posyła ci ultimatum. Dopiero wtedy, gdy twoja własna głowa jest już zagrożona, raczysz wreszcie złożyć oświadczenie lojalności, co automatycznie kończy Arłową. Znasz jej los...”

Rubaszow milczał i zauważył, że ząb zaczął go znowu boleć. Znał jej los. I los Ryszarda. I los Małego Loewy. I swój własny. Miał przed sobą jasną plamę na ścianie, jedyny ślad, jaki pozostał po mężczyznach z numerowanymi głowami. Kiedyś, Historia wzięła taki kierunek, że wyglądało na to, iż ludzkość wreszcie będzie mogła żyć w sposób bardziej godny siebie, niż dotąd; teraz jest już po wszystkim. Więc po co to gadanie i te ceremonie? Jeśli cokolwiek w człowieku zdolne jest ocalić się od zagłady, gdzieś, w wielkiej nicości, leży teraz dzieweczyna nazwiskiem Arłowa i wciąż jeszcze wpatruje się pocziwymi, krowimi oczami w towarzysza Rubaszowa, który był jej bożyszczem, i który skazał ją na śmierć... Ząb bolał go coraz bardziej.

„Czy przeczytać ci publiczne oświadczenie, które wtedy złożyłeś?” zapytał Iwanow.

„Nie, dziękuję”, odpowiedział Rubaszow i zauważył, że głos jego był zachrypnięty.

„Jak sobie pewnie przypominasz, twoje oświadczenie — które można by równie dobrze nazwać spowiedzią — kończyło się ostrym potępieniem opozycji i deklaracją bezwarunkowego podporządkowania się zarówno polityce Partii, jak i osobie Nr 1”.

„Skończ z tym”, rzekł Rubaszow bezdźwięcznym głosem. „Wiesz, jak takie oświadczenia dochodzą do skutku. A jeśli nie wiesz, to tym lepiej dla ciebie. Tylko na miłość Boską, skończ z tą komedią”.

„Już prawie skończyliśmy”, powiedział Iwanow. „Brak nam tylko jeszcze dwu lat do obecnej chwili. W ciągu tych dwu lat byłeś dyrektorem Państwowego Trustu Aluminiowego. Rok temu, w czasie trzeciego procesu przeciw opozycji, główny oskarżony wymienił kilkakrotnie twoje nazwisko w trochę niejasnych związkach. Nie wykryto nic konkretnego, ale w szeregach Partii wzrasta podejrzenie. Znowu składasz publiczne oświadczenie i na nowo deklarujesz posłuszeństwo wobec polityki Przywódców i w jeszcze ostrzejszych słowach potępiasz zbrodniczość opozycji... Było to sześć miesięcy temu. A dziś przyznajesz się, że polityka Przywódców już od lat wydaje ci się błędna i szkodliwa...”

Zawiesił głos i rozparł się wygodnie w krześle.

„Twoje pierwsze deklaracje lojalności”, ciągnął dalej, „były zatem tylko środkami do jakiegoś określonego celu. Zauważ proszę, że jestem daleki od jakiegokolwiek celu. Zauważ samę tradycję i mamy taki sam pogląd na te sprawy. Byłeś przekonany, że nasza polityka była zła, a twoja — słuszna. Gdybyś to wtedy otwarcie przyznał, równało by się to wydaleniu z Partii i co za tym idzie — oznaczałoby niemożność dalszej pracy na rzecz własnych poglądów. Musiałeś zatem pozbyć się balastu, aby móc dalej służyć polityce, która, w twoim przeko-

naniu, była jedynie słuszna. Oczywiście postąpiłbym na twoim miejscu zupełnie tak samo. Aż do tego punktu wszystko jest w porządku”.

„I co dalej?”, zapytał Rubaszow.

Iwanow uśmiechał się znów przyjacielsko, jak przedtem.

„Nie rozumiem tylko jednej rzeczy”, powiedział. „Przyznajesz się teraz otwarcie, że od wielu lat jesteś przekonany, iż gubimy Rewolucję i jednym tchem zaprzeczasz, że należałeś do opozycji, że spiskowałeś przeciwko nam. Czy naprawdę chcesz, abym ci wierzył, że siedziałeś z założonymi rękami i przyglądałeś się spokojnie — gdy my, według twego przekonania, pchaliśmy kraj i Partię do zguby?”

Rubaszow wzruszył ramionami. „Może byłem za stary i zbyt znudzony... Zresztą, wierz co ci się podoba”, powiedział.

Iwanow znów zapalił papierosa. Głos jego był teraz spokojny i przenikliwy.

„Czy naprawdę oczekujesz, bym uwierzył, że poświęciłeś Arłow i zaparłeś się tych” — brodą wskazał jasną plamę na ścianie — „tylko po to, by ocalić własną głowę?”

Rubaszow milczał. Upłynęło dość sporo czasu. Głowa Iwanowa zbliżyła się do biurka jeszcze bardziej.

„Nie rozumiem cię”, powiedział. „Pół godziny temu wygłosiłeś tu przemówienie pełne namiętnych ataków na naszą politykę, z których każdy najdrobniejszy ułamek wystarczyłby, by cię wykończyć. A teraz zaprzeczasz tak prostemu i logicznemu wnioskowi, że należałeś do jakiejś grupy opozycyjnej, na co zresztą mamy wszelkie dowody”.

„Doprawdy?” okrzyknął się Rubaszow. „Jeśli macie wszelkie dowody, to na cóż wam moja spowiedź? Dowody czego, jeśli można wiedzieć?”

„Między innymi”, rzekł z wolna Iwanow, „dowód zamierzonego spisku na życie Nr 1”.

Znów zaległa chwila ciszy. Rubaszow nałożył binokle.

„Pozwól, że z kolei ja zadam ci pytanie”, powiedział. „Czy ty naprawdę wierzysz w ten idiotyzm, czy tylko udajesz?”

W kącikach oczu Iwanowa pojawił się ten sam, prawie czuły uśmiešek, jak poprzednio:

„Powiedziałem ci przecież. Mamy dowody. Dokładniej mówiąc: zeznania. Mówiąc jeszcze dokładniej: zeznanie człowieka, który, za twoją namową, miał dokonać zamachu”.

„Winszuję”, odparł Rubaszow. „Jego nazwisko?”

Iwanow uśmiechał się ciągle.

„To niedyskretne pytanie”.

„Czy można przeczytać to zeznanie? Albo uzyskać konfrontację z tym człowiekiem?”

Iwanow uśmiechał się. Z przyjazną kpina dmuchnął Rubaszowowi dymem w twarz. Było to mu nieprzyjemne, ale nie odwrócił głowy.

„Czy pamiętasz weronał?” rzekł powoli Iwanow. „Zdaje mi się, że cię już o to pytałem. Teraz role się zmieniły: dzisiaj ty

chcesz rzucić się głową w przepaść. Ale bez mojej pomocy. Przekonałeś mnie wtedy, że samobójstwo to drobnomieszczański romantyzm. Postaram się o to, abyś ty go nie popełnił. Wyrówna to nasze rachunki”.

Rubaszow milczał. Zastanawiał się nad tym, czy Iwanow kłamie, czy też mówi szczerze i jednocześnie miał dziwną ochotę — był to impuls prawie fizyczny — aby dotknąć palcami jasnej plamy na ścianie. „Nerwy”, myślał. „Obsesje. Chodzenie wylączenie po czarnych taflach, mrużenie niedorzecznych zdań, wycieranie binokli o rękaw. — o właśnie, znowu to robię...”

„Chciałbym wiedzieć”, odezwał się głośno, „jak wygląda twój plan, aby mnie uratować. Dotychczasowy sposób wypytywania, wskazywałby raczej na dążenie odwrotne”.

Uśmiech Iwanowa stał się szeroki i promienny. „Stary kretynie”, powiedział i przechylając się przez stół, złapał Rubaszowa za guzik marynarki. „Musiałem ci dać sposobność wyładowania się, bo inaczej wybuchnąłbyś w nieodpowiedniej chwili. Czy nie zauważyłeś, że nie mam tutaj nawet stenografa?”

Wyjął papierosa z pudełka i wsadził go Rubaszowowi do ust, nie puszczając guzika od marynarki. „Zachowujesz się, jak dzieciak”, dodał. „Teraz wysmażymy ładną małą spowiedź i to będzie wszystko na dzień dzisiejszy”.

Rubaszowowi udało się wreszcie uwolnić od uchwytu Iwanowa. Przenikliwie popatrzył na niego przez binokle. „A co będzie w tym zeznaniu?” zapytał.

Iwanow niespieszony wciąż się promiennie uśmiechał. „W zeznaniu będzie”, powiedział, „że przyznajesz, iż od takiego a takiego roku należałeś do takiej a takiej grupy opozycyjnej; ale że stanowczo zaprzeczasz, iż organizowałeś czy też planowałeś zamach; że, przeciwnie, gdy tylko dowiedziałeś się o kryminalnych i terrorystycznych planach opozycji, natychmiast wystąpiłeś z tej grupy”.

Po raz pierwszy w czasie tej dyskusji Rubaszow uśmiechnął się również.

„Jeśli to jest cel całej gadaniny”, powiedział, możemy ją natychmiast przerwać”.

„Daj mi wpięć skończyć”, rzekł Iwanow bez cienia niecierpliwości. „Wiedziałem oczywiście, że będziesz się stawiał. Rozpatrzmy wpięć stronę moralną, czy też sentymentalną całego zagadnienia. Nikomu swoim zeznaniem nie szkodzisz. Całe towarzystwo zostało na długo przed tobą zaaresztowane, a połowa jest już zlikwidowana; sam przecież o tym wiesz. Z reszty możemy wyciągnąć zupełnie inne zeznania, niż tę niewinną historię — właściwie każde zeznanie, jakie tylko zechcemy... Jestem pewien, że mnie rozumiesz i moja szczerłość nie ulega dla ciebie wątpliwości”.

„Innymi słowy sam nie wierzysz w historię spisku przeciwko Nr 1”, stwierdził Rubaszow. „Dlaczego więc nie skonfrontujesz mnie z tajemniczym X, który złożył przytoczone przez ciebie zeznanie?”

„Namyśli się przez chwilę”, rzekł Iwanow. „Wyobraź sobie na moim miejscu siebie — równie dobrze stanowiska nasze mogłyby być odwrócone — i sam sobie daj odpowiedź”.

Rubaszow zastanowił się. „Dano ci ściśle instrukcje, jak masz prowadzić moją sprawę”, powiedział.

Iwanow uśmiechnął się. „To trochę za ostro. Właściwie jeszcze nie rozstrzygnięto, czy sprawę twoją należy przydzielić do kategorii A czy do kategorii P. Rozumiesz te określenia?”

Rubaszow przytaknął; znał je.

„Zaczynasz mnie rozumieć”, rzekł Iwanow. „A, oznacza: droge administracyjną, P, oznacza: rozprawę publiczną. Większość spraw politycznych sędzi się na drodze administracyjnej — to znaczy tych, którzy nie nadają się do rozprawy publicznej... Jeśli cię przydzielą do kategorii A, wyjmą cię spod mojej kompetencji. Rozprawa Komisji Trzech jest ściśle tajna i, jak wiesz zapewne, trochę sumaryczna. Nie ma tam możliwości żadnej konfrontacji i tym podobnych rzeczy. Przypomnij sobie...” Iwanow wymienił trzy czy cztery nazwiska, i spojrzawszy przelotnie w stronę jasnej plamy na ścianie. Kiedy popatrzył potem na Rubaszowa, ten po raz pierwszy zauważył na jego twarzy wyraz udręki, jakieś zapatrzenie w oczach, jakby nie patrzył na niego, Rubaszowa, ale w jakimś punkcie, gdzieś daleko poza nim.

Iwanow powtórzył jeszcze raz, trochę ciszej, nazwiska ich dawnych przyjaciół. „Znałem ich tak samo dobrze, jak ty”, ciągnął dalej. „Ale musisz zrozumieć, że my równie stanowczo jesteśmy przekonani o tym, że ty i oni oznaczacie koniec Rewolucji, jak ty jesteś przekonany o odwrotnym stanie rzeczy. To jest istotne. Nie możemy sobie pozwolić na zabawianie się w prawnicze subtelności. Czy ty sobie w swoim czasie na to pozwalasz?”

Rubaszow nie odpowiedział.

„Wszystko zależy od tego”, ciągnął dalej Iwanow, „aby cię zaliczono do kategorii P, i żeby sprawa została w moich rękach. Wiesz z jakiego punktu widzenia segreguje się te sprawy, które idą pod rozprawę publiczną. Muszę dowieść pewnej dozy dobrej woli po twojej stronie. Do tego potrzeba mi twego zeznania i częściowego przyznania się do winy. Jeśli będziesz grał bohatera i nadal robił wrażenie, że nie da się z tobą nic zrobić, wykończą cię na podstawie zeznań X. Jeśli natomiast złożysz częściowe zeznanie, dajesz podstawę do dokładniejszych badań. Na tej podstawie mogę wymusić konfrontację; odeprzemy najgorsze punkty oskarżenia i przyznamy się do winy tylko w bardzo ściśle określonych granicach. Nawet wtedy nie wykręcimy się poniżej dwudziestu lat; to znaczy praktycznie dwa do trzech lat, a potem amnestia; a za pięć lat wrócisz z powrotem na arenę. Proszę cię, zastanów się spokojnie, zanim mi odpowiesz”.

„Już się zastanowiłem”, rzekł Rubaszow. „Odrzucam twoją propozycję. Logicznie biorąc, może masz słuszość. Ale ja mam

dość tego rodzaju logiki. Jestem zmęczony i znudziła mi się ta zabawa. Bądź tak dobry i każ mnie odprowadzić do celi”.

„Jak chcesz”, odpowiedział Iwanow. „Nie oczekiwałem, abyś zgodził się od razu. Tego rodzaju rozmowa ma zwykle skutek opóźniony. Daję ci dwa tygodnie czasu. Gdy się namyślisz, poproś, aby cię znowu do mnie przyprowadzono, albo przyslij mi piśmienną deklarację. Nie wątpię, że mi ją przyslesz”.

Rubaszow wstał; Iwanow podniósł się także; znowu przewyższał Rubaszowa o pół głowy. Nacisnął dzwonek elektryczny koło biurka. Czekaając na dozorcę, który miał przyjść po Rubaszowa, Iwanow powiedział:

„Napisalesz w swoim ostatnim artykule, kilka miesięcy temu, że najbliższe dziesięciolecie rozstrzygnie o losie świata w naszej epoce. Czy nie chciałbyś być świadkiem tego?”

Uśmiechnął się do Rubaszowa. Jakieś kroki zbliżyły się korytarzem, otworzono drzwi. Dwu dozorców weszło i zasalutowało. Rubaszow stanął między nimi bez słowa; zaczęli drogę powrotną do celi. Hałasy na korytarzach teraz przycichły, z cel dochodziło przytłumione chrapanie, brzmiające jak jęk. W całym budynku paliło się żółte, martwe światło elektryczne.

Drugie przesłuchanie

„Kiedy istnienie Kościoła jest zagrożone, jest On zwolniony z nakazów moralności. Jeśli ma się zjednoczenie jako cel, uświęcone są wszelkie środki, nawet podstęp, zdrada, przemoc, symonia, więzienie, śmierć. Bo wszelki porządek ustala się dla dobra zbiorowości, a jednostkę należy poświęcić dla wspólnego dobra”.

DIETRICH VON NIEHEIM,
biskup w Verden:

De schismate libri III, A. D. 1411.

1

Wyciąg z pamiętnika M. S. Rubaszowa w piątym dniu więzienia.

„... Prawda ostateczna, w najbardziej ostatecznym wyniku, jest zawsze kłamstwem. Ten, kto na końcu będzie miał rację, przedtem robi wrażenie, że się myli i jest szkodliwy.

„Ale kto będzie w końcu miał rację? O tym dowiemy się dopiero później. Tymczasem trzeba działać na kredyt i zaprzedać swoją duszę diabłu, w nadziei, że historia nas oczyści.

„Mówią, że „Książę” Machiavellego leży stale przy łóżku Nr 1. Tak powinno być: od tamtych czasów nie powiedziano nic na prawdę istotnego na temat zasad etyki politycznej. My pierwsi zastąpiliśmy dziewiętnastowieczną liberalną etykę „fair play” etyką rewolucyjną dwudziestego wieku. I w tym mieliśmy słuszność: rewolucja, prowadzona zgodnie z zasadami gry w cricketa, jest absurdem. Polityka może być względnie przyzwoita w chwilach wychnienia, jakie daje nam historia; ale kiedy nadchodzą krytyczne punkty zwrotne, tylko jedna stara zasada ma prawo bytu: cel uświęca środki. Wprowadziliśmy w nasz wiek neomachiavellizm; inni, dyktatury kontr-rewolucyjne, naśladowali go w niezręczny sposób. Staliśmy się neomachiavelistami w imię uniwersalnego rozumu — w tym była nasza wielkość; tamci w imię jakiegoś romantyzmu nacjonalistycznego, w tym wyraża się ich anachroniczność. Dlatego nas historia w ostatecznym wyniku rozgrzeszy; ich nie...

„Tymczasem jednak, myśleliśmy i działaliśmy na kredyt. Ponieważ

odrzućliśmy wszelkie konwencje i wszystkie zasady moralności sportowej, pozostała nam tylko jedna zasada przewodnia: konsekwentnej logiki. Jesteśmy pod potwornym naporem zmuszającym nas do tego, abyśmy szli za naszą myślą aż do ostatecznej konsekwencji i zgodnie z nią działali. Płyniemy bez balastu; stąd każde dotknięcie steru staje się sprawą życia lub śmierci.

„Niedawno temu rozstrzelano B., naszego największego eksperta od spraw rolniczych, wraz z trzydziestoma współpracownikami za to, że upierał się przy zdaniu, iż sztuczny nawóz saletrowy jest lepszy od potażu. Nr 1 jest wyłącznie za potażem; dlatego trzeba było zlikwidować B. i tamtych trzydziestu jako sabotażystów. W rolnictwie etatystycznie scentralizowanym, wybór między saletrą a potażem ma olbrzymie znaczenie: może zdecydować o wyniku następnej wojny. Jeśli Nr 1 ma rację, historia go rozgrzeszy, a egzekucja trzydziestu jeden ludzi stanie się bagatelą. Jeśli się pomylił...

„Tylko to jest istotne: kto, obiektywnie biorąc, ma rację. Moralistów sportowych męczy zupełnie inny problemat: czy B., zalecając saletrę, działał, z punktu widzenia subiektywnego, w dobrej wierze. Jeśli nie, zgodnie z ich etyką, powinien być rozstrzelany, nawet, gdyby się później okazało, że saletra była lepsza. Jeśli działał w dobrej wierze, powinien zostać uniewinniony i nadal propagować saletrę, nawet gdyby kraj miał pójść w ruinę...

„Jest to oczywiście zupełnie nonsens. Dla nas sprawa subiektywnej winy nie ma znaczenia. Kto się pomylił, musi zapłacić; kto ma rację, zostanie rozgrzeszony. Oto prawo kredytu historycznego; oto nasze prawo.

„Historia nas nauczyła, że często kłamstwo służy jej lepiej niż prawda; bo człowiek jest leniwy i do każdego stopnia rozwoju trzeba go prowadzić przez pustynię. A przez tę pustynię trzeba go gnać groźbami i obietnicami, przy pomocy urojonych straszaków i urojonych pociech, aby nie przysiadł przedwcześnie dla odpoczynku i nie zaczął się zabawiać czczeniem złotych cieleców.

„Nauczaliśmy się historii dokładniej, niż inni. Różnimy się od wszystkich siłą naszej logiki. Wiemy, że dla historii cnota nie ma znaczenia i że winy nie są karane; ale wiemy, że każda pomyłka pociąga za sobą konsekwencje i mści się aż do siódmego pokolenia. Dlatego cały nasz wysiłek skoncentrowaliśmy na unikaniu pomyłek i wypłnieniu nawet zarodków pomyłek. Nigdy w ciągu historii tak nieliczne ręce nie miały tak wielkiej władzy nad przyszłymi losami ludzkości, jak my. Każda fałszywa koncepcja, jaką się postugujemy, jest zbrodnią popełnioną na przyszłych pokoleniach. Dlatego musimy fałszywe koncepcje karać jak inni każą zbrodnie: śmiercią. Uznano nas za obłąkanych, bo z każdej myśli wyciągaliśmy ostateczną konsekwencję i zgodnie z tym postępowaaliśmy. Porównywano nas z inkwizycją dlatego, że, tak samo jak ona, nieustannie czuliśmy na sobie cały ciężar odpowiedzialności za przyszłe życie ponadindy-

widualne. Byliśmy podobni do wielkich Inkwizytorów tym, że przesładowaliśmy nasienie zła nie tylko w czynach człowieka, ale także w jego myślach. Nie uznawaliśmy prywatnej dziedziny życia, nawet we wnętrzu czaszki człowieka. Zyliliśmy pod przymusem prowadzenia każdej sprawy aż do jej ostatecznej konsekwencji. Umysty nasze były tak napięte, że najmniejsze zderzenie powodowało śmiertelne krótkie śpięcie. Dlatego byliśmy skazani na wzajemną zagładę.

„Byłem jednym z nich. Myślałem i postępowałem, jak należało; niszczyłem ludzi, do których byłem przywiązany, obdarzałem władzą innych, których nie lubiłem. Byłem w tym miejscu w którym postawiła mnie historia; wyczerpałem kredyt, jakiego mi użyczyła; jeśli miałem rację, nie mam czego żałować; jeśli się pomyliłem — zapłać.

„Ale jak czas terazniejszy może rozsądzić co przyszłość nazwie prawdą? Spełniamy zadania proroków, nie mając ich daru. Wzję zastąpiliśmy logiczną dedukcją; ale choć wszyscy zaczęliśmy od tego samego punktu wyjścia, doszliśmy do różnych wyników. Dowód zbija dowód i w końcu musieliśmy się uciec do wiary — aksjomatycznej wiary w słuszność własnego rozumowania. To jest punkt krytyczny. Pozbyliśmy się obciążenia; trzyma nas tylko jedna kotwica: wiara w siebie samych. Geometria jest najczystszy wcieleniem rozumu ludzkiego; ale aksjomatów Euklidesa nie można udowodnić. Kto w nie nie wierzy, temu wali się cała budowa.

„Nr 1 jest przepelnięty silną, ciężką, tępą i niezachwianą wiarą w siebie. Moja, w ostatnich latach zetłata...

„Właściwie przestałem wierzyć we własną nieomyślność. Dlatego jestem zgubiony.”

2

* Następnego dnia, po pierwszym przesłuchaniu Rubaszowa, Sędzia Śledczy Iwanow i jego kolega Gletkin, siedzieli po obiedzie w kantine. Iwanow był bardzo zmęczony; położył protezę na drugim krześle i rozpiął kołnierz munduru. Nalał sobie taniego wina, które można było dostać w kantine i milcząco podziwiał Gletkina, który siedział na krześle wyprostowany, w nakrochmalonym mundurze, szeleszczącym przy każdym ruchu. Nie zdjął nawet pasa od rewolweru, choć musiał być także porządnie zmęczony. Wypróżnił kieliszek; rzucająca się w oczy blizna na ogolonej głowie zaczerwieniła się lekko. Poza nimi było w kantine jeszcze trzech oficerów przy jednym z dalszych stołów; dwu grało w szachy, trzeci kibicował.

„Co będzie z Rubaszowem?” zapytał Gletkin.

„Jest raczej w złej formie”, odpowiedział Iwanow. „Ale jest tak samo logiczny jak zawsze. Więc musi się poddać”.

„Nie wierzę w to”, rzekł Gletkin.

„Podda się”, twierdził Iwanow. „Jak domyśli wszystko do logicznej konkluzji, skapituluje. Dlatego trzeba przede wszystkim

dać mu spokój i nie przeszkadzać. Przydzieliłem mu papier, ołówki i papierosy — aby przyspieszyć proces myślowy”.

„Nie pochwalam tego”, rzekł Gletkin.

„Nie lubicie go”, powiedział Iwanow. „Zdaje się, mieliście z nim jakąś scenę kilka dni temu?”

Gletkin przypomniał sobie tę scenę, kiedy Rubaszow siedział na przyzy i naciągał bucik na podartą skarpetkę. „To nie ma znaczenia”, stwierdził. „Jego osoba nie liczy. Nie pochwalam metody. Tą drogą nigdy nie zmusimy go do kapitulacji”.

„Jeśli się Rubaszow podda”, rzekł Iwanow, „to nie z tchórzostwa, ale dlatego, że uzna to za logiczne. Nie ma sensu próbować na nim ostrych sposobów. Jest zrobiony z pewnej materii, która im bardziej w nią uderzać, tym robi się twardsza”.

„To tylko takie gadanie”, rzekł Gletkin. „Nie ma istot ludzkich, które mogą wytrzymać każdą miarę nacisku fizycznego. Nie spotkałem ich nigdy. Doświadczenie uczy mnie, że wytrzymałość ludzkiego systemu nerwowego jest ograniczona przez naturę”.

„Nie chciałbym być w waszych rękach”, powiedział Iwanow z uśmiechem, ale także z odcieniem niepokoju. „Jesteście zresztą chodzącym zaprzeczeniem własnej teorii”.

Jego uśmiechnięty wzrok zaczęli przez moment o bliźnę na czaszce Gletkina. Historia tej bliźny była znana. W czasie Wojny Domowej, kiedy Gletkin dostał się w ręce nieprzyjaciela, przywiązano mu płonący knot do ogolonej głowy, aby wydrzeć z niego pewne informacje. Po kilku godzinach, jego ludzie odbili pozycje i znaleźli go nieprzytomnego. Knot wypalił się do końca; Gletkin nie zdradził niczego.

Spojrzał teraz na Iwanowa swymi martwymi oczami. „To także tylko gadanie”, powiedział. „Nie uległem, bo zemdlałem. Gdybym był przytomny bodaj jeszcze minutę, powiedziałbym wszystko. To tylko sprawa konstytucji fizycznej”.

Wychylił kieliszek zdecydowanym gestem; jego mankiety chrzęściły, kiedy go stawiał z powrotem na stole. „Odzyskawszy przytomność byłem zrazu przekonany, że wszystko wygadałem. Ale dwaj oficerowie, których uwolniono wraz ze mną, zaświadczyli, że nie. Więc mnie odznaczono. Wszystko jest sprawą konstytucji fizycznej; reszta to historie dla dzieci”.

Iwanow także wypił; pił już sporo tego taniego wina. Wzruszył ramionami.

„Od kiedy głosicie tę szczególną teorię konstytucjonalną? Końców końcem w pierwszych latach nie posługiwano się takimi metodami. W tamtych czasach byliśmy jeszcze pełni złudzeń. Zniesienie kary i odpłaty za zbrodnie; sanatoria z kwiatnymi ogrodami dla społecznych elementów. Wszystko brednie”.

„Nie myślę, żeby to były brednie”, odparł Gletkin. „Jesteście cynikiem. Za sto lat będziemy mieli to wszystko. Ale wpięć musimy się uporać z innymi rzeczami. Im prędzej, tym lepiej. Jedyne nasze złudzenie było w tym, że nam się zdawało, iż już nadeszła pora na wszystko. Na początku, kiedy mnie tutaj

przydzielono, też miałem takie złudzenia. Większość naszych je dzieliła — właściwie cały aparat rządzący, aż do samego szczytu. Chcieliśmy z miejsca zacząć od ogrodów. Na tym polegał nasz błąd. Za sto lat będziemy mogli odwoływać się do rozsądku i do społecznych instynktów zbrodniarza. Dzisiaj musimy jeszcze postąpić się jego konstytucją fizyczną i, w razie potrzeby, miazdżyć go fizycznie i umysłowo”.

Iwanow zastanawiał się, czy Gletkin sobie podchmielił. Ale widział z jego spokojnego, martwego wzroku, że nie. Uśmiechnął się trochę niepewnie. „Jednym słowem, ja jestem cynikiem, a wy moralistą”.

Gletkin nie odpowiedział. Siedział sztywno na krześle w nakrochmalonym mundurze; jego pas od rewolwera pachniał nową skórą.

„Kilka lat temu”; rzekł Gletkin po chwili, „przyprawiono do mnie na przesłuchanie jakiegoś małego chłopca. Było to gdzieś na wsi, w czasie, kiedy jeszcze wierzyliśmy w teorię ogrodów, jak wy to nazywacie. Przesłuchanie było prowadzone bardzo poprawnie. Chłop zakopał swoje zbiory; było to w pierwszym okresie kolektywizacji. Trzymałem się ściśle ustalonej etykiety. Tłumaczyłem mu przyjaźnie, że potrzebujemy zboża dla wyżywienia ciągle wzrastającej liczby ludzi w miastach i na wywóz, aby rozbudować nasz przemysł; niech wobec tego zechce mi powiedzieć, gdzie schował swoje zbiory. Kiedy go przyprowadzono do mego pokoju, w oczekiwaniu bicia wciągnął głowę między ramiona. Znam tych ludzi; sam pochodzę ze wsi. Kiedy, zamiast go bić, zacząłem mu przemawiać do rozumu, rozmawiać z nim, jak z równym i nazywać go „obywatelem”, uznał mnie za półgłówka. Widziałem to po jego oczach. Mówiłem do niego przez pół godziny. Ani razu nie otworzył ust, tylko na zmianę dłubał w nosie i uszach. Mówiłem ciągle, choć widziałem, że uważa to za świetny kawał i w ogóle nie słucha. Argumenty po prostu odbijały się od jego uszu. Były one zatłumione woskiem przez setki lat patriarchalnego paraliżu umysłowego. Trzymałem się ściśle przepisów; nigdy nie przeszło mi nawet przez myśl, że można użyć innych metod...”

„Takich przypadków miałem w tych czasach od dwudziestu do trzydziestu dziennie. To samo działo się u moich kolegów. Rewolucji groziło rozbitcie się o tych małych, tłustych chłopów. Robotnicy byli niedożywieni; tyfus głodowy szalał w całych okręgach; nie mieliśmy kredytów, aby rozbudować przemysł, a napaści oczekiwaliśmy z miesiąca na miesiąc. Dwieście milionów w złocie leżało schowanych w pończochach tych ludzi, a połowa zbiorów była zakopana w ziemi. A my, przesłuchując ich, zwracaliśmy się do nich per „obywatele”, podczas kiedy oni przypatrywali się nam chytro-głupimi oczkami, uważali wszystko za świetny kawał i dłubali w nosie.

„Trzecie przesłuchanie tego chłopca odbyło się o drugiej w nocy; pracowałem przedtem osiemnaście godzin bez przerwy. Jego obudzono ze snu; był zaspany i przestraszony; zdradził

się. Od tej pory przesłuchiwałem swoich ludzi przeważnie w nocy... Pewnego razu jakaś kobieta poskarżyła się, że, czekając swojej kolejki, musiała całą noc stać przed moim pokojem i jest zupełnie wykończona; pośrodku przesłuchania zasnęła. Obudziłem ją; mówiła zaspą, bełkocącym głosem, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi i natychmiast zasnęła znowu. Obudziłem ją jeszcze raz, wtedy przyznała się do wszystkiego i podpisała zeznanie, nawet go nie czytając, bylebym tylko pozwolił jej spać. Mąż tej kobiety ukrył w stodole dwa karabiny maszynowe i namówił chłopów w swojej wsi, aby spalili zboże, bo ukazał mu się we śnie Antychryst. Jego żona czekała, stojąc całą noc, przez opieszałość mego sierżanta; odtąd zachęcałem do tego rodzaju opieszałości; w przypadkach uporu ludzie musieli nieraz po czterdzieści osiem godzin stać na jednym miejscu. Przez ten czas wosk topniał w ich uszach i można było z nimi rozmawiać...”

Dwaj szachiści w drugim końcu pokoju przewrócili figury i zaczęli nową partię. Trzeci już wyszedł. Iwanow przypatrywał się Gletkinowi, gdy mówił. Głos miał trzeźwy i bezbarwny, jak zwykle.

„Moi koledzy zrobili podobne doświadczenia. Był to jedyny sposób uzyskania jakichkolwiek wyników. Trzymano się przepisów; nie tknięto właściwie ani jednego z więźniów. Ale zdarzało się, że byli świadkami — powiedzmy przypadkowo — egzekucji współwięźniów. Skutek takich scen jest częściowo psychiczny, częściowo fizyczny. Jeszcze inny przykład: mamy prysznic i kąpiele, bo tego wymaga higiena. Jest to wina trudności technicznych, że w zimie ogrzewanie i rury z gorącą wodą nie zawsze działają, a czas trwania kąpeli zależy od obsługi. Kiedy indziej znowu, ogrzewanie i instalacje z gorącą wodą działają aż nadto dobrze; to także zależy od obsługi. Stanowią ją sami starzy towarzysze; nie trzeba im dawać dokładnych wskazówek — wiedzą, o co gra idzie”.

„Wystarczy”, rzekł Iwanow.

„Pytaliście, w jaki sposób odkryłem moją teorię, więc tłumaczę wam”, zamknął sprawę Gletkin. „Ważne jest tylko, abyśmy ciągle pamiętali o logicznej potrzebie tego wszystkiego; inaczej staniemy się cynikami, jak wy. Późno już, muszę iść”.

Iwanow wypróżnił kieliszek i poprawił protezę na krześle; znowu miał bóle reumatyczne w kikucie. Był zły na siebie, że zaczął tę rozmowę.

Gletkin zapłacił. Kiedy kelner kantyny odszedł, zapytał:

„Co będzie z Rubaszowem?”

„Powiedziałem już co o tym myślę”, odpowiedział Iwanow. „Zostawić go w spokoju”.

Gletkin wstał. Jego buty skrzypiały. Stał obok krzesła, na którym leżała noga Iwanowa.

„Uznaję jego dawne zasługi”, powiedział. „Ale dziś jest tak samo szkodliwy, jak wtedy mój tłusty chłop, tylko bardziej niebezpieczny”.

Iwanow spojrzał w górę, w martwe oczy Gletkina. „Dałem mu dwa tygodnie do namysłu”, rzekł. „Do tego czasu zycze sobie, aby go zostawiono w spokoju”.

Iwanow mówił teraz tonem urzędowym; Gletkin był jego podwładnym. Zasalutował i wyszedł z kantyny, skrzypiąc butami.

Iwanow został na swoim miejscu. Wypił jeszcze jeden kieliszek, zapalił papierosa i wolno wypuścił dym. Po chwili wstał i pokuszył się do tamtych dwu oficerów, aby przyjrzeć się ich partii szachów.

3

Od czasu pierwszego przesłuchania standart życia Rubaszowa polepszył się w cudowny sposób. Stary dozorca zaraz następnego ranka przyniósł papier, ołówek, mydło i ręcznik. Jednocześnie dał Rubaszowowi bony więzienne równowartości gotówki, jaką posiadał w chwili aresztowania i wytłumaczył mu, że ma teraz prawo zamówić sobie w kantynie tytoń i dodatkowe jedzenie.

Rubaszow zamówił papierosy i trochę jedzenia. Staruch był tak samo zgryźliwy i małowówny jak zawsze, ale natychmiast przyczłapał ze wszystkim po co go posłano. Przez chwilę Rubaszow myślał o tym, aby poprosić o lekarza spoza więzienia, ale potem wyszło mu to z pamięci. Na razie ząb mu nie dolegał, a więc umywszy się i zjadłszy trochę, Rubaszow czuł się znacznie lepiej.

Z podwórza wygarnięto śnieg i grupy więźniów chodziły dookoła, odrabiając codzienny spacer. Nie odbywał się on przez kilka dni z powodu śniegu; tylko Zajęcej Wardze i jego towarzyszowi pozwalano codziennie na dziesięciominutową przechadzkę, może na specjalne zlecenie lekarza; za każdym razem, kiedy wchodzili na podwórze czy wychodzili z niego, człowiek z zajęczą wargą spoglądał w górę, ku oknu Rubaszowa. Był to ruch tak wyraźny, że wykluczał jakąkolwiek wątpliwość.

Gdy Rubaszow nie pracował nad swoim notatnikiem, nie krążył tam i z powrotem po celi, stał przy oknie, opierając czoło o szybę i obserwował więźniów podczas spaceru. Odbywał się on grupami, po dwunastu na raz; chodzili dokoła podwórza parami w odległości dziesięciu kroków jedna od drugiej. Pośrodku podwórza stało czterech umundurowanych funkcjonariuszy, pilnując, by więźniowie nie rozmawiali ze sobą; tworzyli oni oś koła, które obracało się powoli i miarowo przez dwadzieścia minut. Potem odprowadzano więźniów z powrotem do budynku przez drzwi po prawej stronie, podczas gdy przez drzwi po lewej stronie wchodziła na podwórze nowa grupa i odrabiała to samo monotonne kręcenie się w kółko, aż do następnej zmiany.

Przez pierwszych kilka dni Rubaszow szukał znajomych twarzy, ale nie znalazł nikogo. To go uspokoiło: tymczasem pragnął uniknąć jakichkolwiek wspomnień świata zewnętrznego, wszystkiego, co by mogło przeszkodzić w podjętym przedsięwzięciu. Jego przedsięwzięcie polegało na domyśleniu swoich spraw do końca, na uporaniu się z przeszłością i przyszłością, z ży-

jącymi i umarłymi. Do terminu, jaki mu wyznaczył Iwanow, pozostało mu jeszcze dziesięć dni.

Panował nad swoimi myślami tylko wtedy, kiedy je spisywał; ale pisanie tak go wyczerpywało, że wytrzymał je co najwyżej przez godzinę czy dwie dziennie. W pozostałych godzinach jego umysł pracował na własną rękę.

Rubaszow był zawsze przeświadczony, że zna siebie dość dobrze. Wolny od uprzedzeń moralnych, nie miał złudzeń co do zjawiska zwanego „pierwszą osobą liczby pojedynczej”; bez szczególnego przejęcia nawyk do tego, że z owym zjawiskiem wiążą się pewne impulsy, do których ludzie na ogół niechętnie się przyznają. Teraz, opierając się czołem o szybę, albo przystając nagle na trzeciej czarnej tafli podłogi, robił nieoczekiwane odkrycia. Wykrył, że proces, który się mylnie określa jako „monolog”, jest w rzeczywistości „dialogiem” specjalnego gatunku; dialogiem, podczas którego jeden z partnerów milczy, gdy drugi, wbrew wszelkim zasadom gramatyki, zwraca się do niego per „ja” zamiast per „ty”, po to, aby zakraść się w jego zaufanie i przeniknąć jego zamiary; ale milczący partner po prostu milczy dalej, uchyla się od obserwacji i nawet nie daje się umiejscowić w czasie i przestrzeni.

Teraz jednak wydawało się, że partner zazwyczaj milczący, przemawia niekiedy bez wezwania i bez jakiegokolwiek powodu; głos jego był Rubaszowowi najzupełniej nieznan; słuchał go ze szczerym zdumieniem i stwierdzał, że jego własne wargi się poruszają. Doświadczenia te nie miały w sobie nic mistycznego i nic tajemniczego; charakter ich był zupełnie konkretny. Na podstawie czynionych obserwacji Rubaszow dochodził powoli do przekonania, że jeden ze składników tej pierwszej osoby liczby pojedynczej jest czymś najzupełniej namacalnym, kimś, kto milczał przez te wszystkie lata i teraz zaczyna mówić.

Był o wiele intensywniej zajęty tym odkryciem, aniżeli szczegółami rozmowy z Iwanowem. Uznał za przesądzone, iż nie przyjmie propozycji Iwanowa, i odmówił udziału w zabawie. W następstwie tego ma już tylko ograniczony okres życia przed sobą; i to przekonanie stało się podstawą jego rozmyślań.

Nie myślał w ogóle o bezsensownej historii zamachu na życie Nr 1; znacznie bardziej interesowała go osobowość samego Iwanowa. Iwanow powiedział, że role ich równie dobrze mogłyby być odwrócone; miał w tym na pewno słusność. On i Iwanow byli bliźniakami, jeśli chodzi o rozwój; nie pochodzili z tego samego jajka, ale karmiła ich jedna pępowina wspólnych przekonań; charakter obydwu był urabiany i znaczony w ciągu rozstrzygających lat rozwoju przez intensywne oddziaływanie Partii. Mieli wspólny standart moralny, wspólną filozofię, myśleli tmi samymi kategoriami. Mogli się równie dobrze znaleźć w odwrotnym położeniu. Wtedy Rubaszow siedziałby przy biurku a Iwanow przed nim; i w tej pozycji Rubaszow używałby prawdopodobnie tych samych argumentów co Iwanow. Prawa gry były ustalone. Odchylenia były dopuszczalne tylko w szczegółach.

Opanował go znowu stary nałóg myślenia umysłem innych; siedział na miejscu Iwanowa i patrzył na siebie oczami Iwanowa, na siebie w sytuacji oskarżonego, tak jak kiedyś patrzył na Ryszarda i Małego Loewy. Widział tego zdegradowanego Rubaszowa, cień dawnego towarzysza i rozumiał mieszaninę czułości i pogardy, z jaką Iwanow się do niego odnosił. W czasie ich dyskusji kilkakrotnie zastanawiał się nad tym, czy Iwanow był szczery czy obłudny; czy zastawiał sidła czy też naprawdę chciał mu wskazać drogę wyjścia. Teraz, stawiając siebie na miejscu Iwanowa rozumiał, że Iwanow był szczery — w takiej samej mierze, w jakiej on był szczery wobec Ryszarda, czy Małego Loewy.

Rozmyślania te także przybierały postać monologu, ale taką, do jakiej przywykł od dawna; nowo odkryta istota, partner milczący, nie brał w nim udziału. Choć był on tą domyślną osobą, do której się we wszystkich monologach zwracano, milczał, a jego istnienie ograniczało się do abstrakcji gramatycznej, zwanej „pierwszą osobą liczby pojedynczej”.

Pytania stawiane wprost i logiczne rozmyślania nie skłaniały jej do mówienia; odzywała się bez widocznego powodu i zawsze, dziwnym zbiegiem okoliczności, w związku z ostrym atakiem bólu zęba. Na jej życie duchowe zdawały się składać tak różne i nie mające ze sobą związku fragmenty, jak złożone ręce „Pieśń”, melodia piosenki z refrenem „Razem nie będzie nas”, koty Małego Loewy, albo jakieś szczególne zdanie, które Arłowa powiedziała kiedyś, przy jakiejś szczególnej okazji. Sposób wyrażania się tej „osoby” był równie fragmentaryczny: na przykład przymus wycierania binokli o rękaw, impuls popychający do dotknięcia jasnej plamy na ścianie w pokoju Iwanowa, poruszenie się warg, którego nie można opanować, choć szeptały bezsensowne zdania, jak „zapłace”, wreszcie stan zamroczenia, wywołany snami na jawie o minionych epizodach z własnego życia.

W czasie swoich wędrówek po celi, Rubaszow starał się bardzo dokładnie studiować tę nową istotę; niechęć kładzenia jakiegokolwiek nacisku na pierwszą osobę liczby pojedynczej, niechęć, której nauczono go w Partii, sprawiła, że nazwał ją „fikcją gramatyczną”. Pozostało mu prawdopodobnie już tylko kilka tygodni życia, więc czuł nagłą przymus wyjaśnienia tej sprawy, „domyślenia jej do logicznego końca”. Ale dziedzina „fikcji gramatycznej” zaczynała się widać właśnie tam, gdzie „myślenie do logicznego końca” ustawało. Była to wyraźnie zasadnicza cecha tej istoty, że pozostawała ona poza zasięgiem logicznej myśli, po to, by napaść na człowieka nagle i niespodzianie, jakby z zasadzki, zaatakować go snami na jawie i bólem zęba. I tak Rubaszow cały siódmy dzień więzienia, trzeci po pierwszym przesłuchaniu, spędził na ponownym przeżyciu pewnego minionego okresu swojej egzystencji — mianowicie stosunku do dziewczyny nazwiskiem Arłowa, która została rozstrzelana.

Ustalić później dokładny moment, w którym — na przekór

postanowieniem — pogroził się w sen na jawie, było tak samo niemożliwe, jak ustalić chwilę zapadania się w sen rzeczywisty. Rankiem siódmego dnia pracował nad notatkami, potem prawdopodobnie wstał na chwilę, aby trochę rozprostować nogi — a obudził się dopiero w chwili, gdy usłyszał brzęk klucza w zamku i zrozumiał, że jest południe i że chodził po celi tam i z powrotem od czterech godzin bez przerwy. Otulił się nawet kocem, bo prawdopodobnie także od wielu godzin wstrząsała nim rytmicznie jakaś gorączka i czuł jak nerw zęba pulsuje w skrońkach. Nieprzytomnie wygarnął łyżką z menażki to, co mu dyżurni nałożyli czerpakiem i wrócił do przechadzki. Dozorca, który obserwował go od czasu do czasu przez otwór judasza, widział, że drząc cały, podnosił ramiona i poruszał wargami.

Rubaszow znowu oddychał powietrzem swego dawnego biura w Misji Handlowej, które było przesiąknięte dziwnie znajomym zapachem ciężkiego, zgrabnego i leniwego ciała Arłowej; znowu widział nad białą bluzką krzywiznę jej szyi, schylającej się nad notatnikiem gdy dyktował i okrągłe oczy, w przerwach między zdaniem śledzące jego przechadzki po pokoju. Zawsze nosiła białe bluzki z wysokim kołnierzykiem wyszywany w drobne kwiaty — pamiętał z domu, że siostry ubierały się podobnie — i zawsze te same tanie kolczyki, które wystawały trochę poza policzki, kiedy się schylała nad notatnikiem. Na swój powolny, bierny sposób była jak stworzona do tej pracy i dziwnie kojąco działała na nerwy Rubaszowa, gdy był przepracowany.

Nowe stanowisko dyrektora Misji Handlowej w B. objął natychmiast po wypadku z Małym Loewy i rzucił się z pasją do roboty; był wdzięczny C.K., że powierzył mu tę czysto biurową pracę. Przenoszenie czołowych ludzi z Międzynarodówki do służby dyplomatycznej zdarzało się niesłychanie rzadko. Nr 1 miał prawdopodobnie specjalne zamiary wobec niego, bo zwykle przestrzegano ścisłego rozdziału między tymi dwiema hierarchiami i nie pozwalano na ich kontaktowanie się ze sobą; czasem uprawiały one nawet zupełnie odmienną politykę. Dopiero gdy się patrzyło na to z wyższego punktu widzenia sfery otaczającej Nr 1, rozwiązywały się te rzekomo sprzeczności i motywy stawały się jasne.

Rubaszow musiał się wpięć przyzwyczaić do nowego trybu życia; bawiło go, że ma teraz paszport dyplomatyczny, prawdziwy i nawet opiewający na jego nazwisko, że w przepisowym ubraniu musi brać udział w przyjęciach; że policjanci mu salutują i że dyskretnie ubrani panowie w czarnych melonikach, którzy niekiedy chodzą jego śladem, robią to wyłącznie w trosce o jego cenną osobę.

Początkowo czuł się trochę nieswojo w atmosferze, jaka panowała w pokojach Misji Handlowej, dołączonej do poselstwa. Rozumiał, że w świecie burżuazyjnym trzeba reprezentować i przestrzegać zasad przyjętej gry, ale zdawało mu się, że tej grze oddawano się tutaj aż nadto gorliwie, tak iż trudno było rozróżnić pozór od rzeczywistości. Kiedy Pierwszy Sekretarz posel-

stwa zwrócił Rubaszowowi uwagę na pewne konieczne zmiany w jego ubraniu i w jego stylu życia — Pierwszy Sekretarz poselstwa przed Rewolucją fałszował dla Partii pieniądze — nie zrobił tego w sposób przyjazny i wesoły, ale z tak zaakcentowaną ostrożnością i takim taktem, że scena stała się kłopotliwa i zdenerwowała Rubaszowa.

Rubaszow miał dwunastu podwładnych, i każdy z nich posiadał ściśle określoną rangę; byli tam Pierwszy i Drugi Asystent, Pierwszy i Drugi Buchalter, Sekretarze i Pomocnicy Sekretarzy. Rubaszow odnosił wrażenie, że wszyscy patrzą na niego, jak na skrzyżowanie bohatera narodowego i herszta szajki złodziejskiej. Zbliżali się do niego z przesadnym szacunkiem i pobłażliwie tolerancyjną wyższością. Kiedy sekretarz poselstwa był zmuszony zwrócić się do niego w sprawie jakiegoś dokumentu, silił się na używanie prostych określeń, jakby rozmawiał z dzikusem lub z dzieckiem. Arłowa, sekretarka osobista Rubaszowa, najmniej działała mu na nerwy; nie rozumiał tylko, dlaczego do swoich przyjemnych, prostych bluzek i spódnic nosiła lakierki na śmiesznie wysokich obcasach.

Niemal po upływie miesiąca zagadnął ją w zwykły sposób. Był zmęczony dyktowaniem, przemierzaniem pokoju tam i z powrotem i nagle zdał sobie sprawę z panującej ciszy. „Dlaczego nigdy nic nie mówicie, towarzyszeko Arłowa?” zapytał i usiadł w wygodnym krześle za biurkiem.

„Jeśli sobie życzyacie”, odpowiedziała sennym głosem, „będę zawsze powtarzała ostatnie słowo zdania”.

Codziennie siedziała na krześle przed stołem, w wyszywanej bluzce, pochylając ciężkie, kształtne piersi nad notatnikiem, z przygiętą głową i kolczykami, które zwisały równolegle do policzków. Jedynym zgrzytem w jej wyglądzie były lakierki na wysokich obcasach, ale nigdy nie zakładała nogi na nogę, jak to robiły inne kobiety, znane Rubaszowowi. Ponieważ dyktując, zawsze spacerował, widział ją zwykle od tyłu albo z półprofilu i najwyraźniej pamiętał huk jej zgiętej szyi. Kark jej nie był ani owłosiony, ani ogolony; biała skóra była mocno naciągnięta na kręgosłup; poniżej, na brzegu białej bluzki kwitły wyszywane kwiatki.

W swojej młodości Rubaszow nie miał wiele do czynienia z kobietami; prawie zawsze były to towarzyszkami i prawie zawsze historia zaczynała się od dyskusji, która przeciągała się tak długo w noc, że ten, kto był gościem, spóźniał się na ostatni tramwaj.

Po nieudanej próbie nawiązania rozmowy, minęły znów dwa tygodnie. Z początku Arłowa rzeczywiście powtarzała swoim ospałym głosem ostatnie słowo dopiero co podyktowanego zdania, potem przestała i kiedy Rubaszow przerywał, pokój był znów cichy i przesycony jej siostrzanym zapachem. Jednego popołudnia Rubaszow, ku swemu własnemu zdziwieniu, zatrzymał się za jej krzesłem, położył lekko ręce na jej ramionach i zapytał czy zechce z nim spędzić wieczór... Nie drgnęła i ramiona jej nie poruszyły się pod jego dotknięciem; przytaknęła

milcząco i nawet nie odwróciła głowy. Rubaszow nie miał zwyczaju robienia swawolnych dowcipów, ale później, tej samej nocy nie mógł się powstrzymać i powiedział z uśmiechem: „Można by pomyśleć, że ciągle jeszcze piszesz pod dyktando”. Zarys jej dużej, zgrabnej piersi wydawał się w ciemności pokoju czymś tak znajomym, jak gdyby była tutaj zawsze. Tylko kolczyki leżały teraz na płask na poduszce. Jej oczy miał taki sam wyraz jak zawsze, kiedy powiedziała zdanie, którego Rubaszow nie mógł wymazać z pamięci podobnie, jak złożonych rąk „Piety” i zapachu alg w miasteczku portowym:

„Zawsze będziecie mogli ze mną robić, co się wam podoba”.

„Dlaczego?” zapytał Rubaszow zdumiony i trochę przerażony.

Nie odpowiedziała. Prawdopodobnie już spała. Jej oddech podczas snu był tak samo niesłyszalny jak wtedy, kiedy czuwała. Rubaszow nie zauważył nigdy, że w ogóle oddycha. Nie widział jej jeszcze z zamkniętymi oczami. Teraz jej twarz wydawała mu się obca; z zamkniętymi oczami miała o wiele więcej wyrazu, aniżeli gdy oczy były otwarte. Tak samo obce były czarne cienie pod pachami; jej broda, zwykle pochylona na piersi, sterczała sztywno jak u umarłej. Ale lekki, siostrzany zapach płynął od jej ciała ku niemu, nawet gdy spała.

Następnego dnia i potem codziennie, siedziała znów pochylona nad biurkiem w swojej białej bluzce; najbliższej i każdej następnej nocy blady zarys jej piersi odcinał się od ciemnych firan sypialni. Dzień i noc Rubaszow żył w atmosferze jej dużego, leniwego ciała. Zachowanie jej w czasie pracy pozostało bez zmian, głos i wyraz jej oczu były zawsze te same; nie powstał w nich nigdy nawet ślad jakiegokolwiek napomknienia. Od czasu do czasu, kiedy Rubaszow zmęczył się dyktowaniem, przystawał za jej krzesłem, i opierał ręce na jej ramionach; nie mówił, a jej ciepłe ramiona nie ruszały się pod bluzką; wtedy znajdował zdanie, którego szukał i, wracając do wędrowki po pokoju, znowu podejmował dyktando.

Niekiedy robił sarkastyczne uwagi na temat tego co dyktował; wtedy przestawała pisać i, z ołówkiem w ręku, czekała aż skończy; ale nigdy nie uśmiechała się z jego złośliwości i Rubaszow nigdy nie wykrył, co o nich naprawdę myślała. Tylko raz, po szczególnie niebezpiecznym dowcipie Rubaszowa, dotyczącym pewnych osobistych nawyków Nr 1, rzekła nagle swoim sennym głosem: „Nie powinniście mówić takich rzeczy przy obcych; w ogóle powinniście zachowywać większą ostrożność...” Ale on od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy przychodziły nakazy i okólniki z góry, czuł potrzebę ulżenia sobie heretyckimi dowcipami.

Był to okres przygotowywania drugiego wielkiego procesu opozycji. Powietrze w poselstwie zrobiło się dziwnie rozrzedzone. Nocą znikaly ze ścian fotografie i portrety; wisiły tam od lat, nikt na nie nigdy nie patrzył, ale teraz jasne plamy po nich rzucały się w oczy. Personel ograniczał rozmowy do spraw służbowych; rozmawiano ze sobą z ostrożną i powściągliwą grzecznością. Podczas posiłków w kantine poselstwa, kiedy nie podob-

na było uniknąć konwersacji, uciekano się do frazesów zaczerpniętych z terminologii oficjalnej, co w atmosferze codzienności robiło groteskowe i raczej nieprzyjemne wrażenie; można było nysleć, że między prośbą o sól i musztardę, ludzie zwołują się hasłami manifestu uchwalonego przez ostatni Kongres. Często się zdarzało, że ktoś protestował przeciwko rzekomo fałszywej interpretacji tego, co przed chwilą powiedział i brał sąsiadów na świadków gorączkowymi okrzykami w rodzaju „ja tego nie powiedziałem”, albo „nie o to mi chodziło”. Wszystko razem robiło na Rubaszowie wrażenie dziwnego i ceremonialnego widowiska marionetkowego, gdzie każda figurynka, poruszana drutami, wypowiada wyznaczoną rolę. Tylko Arłowa, ze swoim cichym, ospałym sposobem bycia, wydawała się niezmienną.

Nie tylko portrety na ścianach, ale i półki w bibliotece podległy czystce. Znikanie pewnych książek i broszur odbywało się dyskretnie, zwykle w dzień po nadejściu nowych wskazówek z Centrali. Dyktując Arłowej, Rubaszow robił sarkastyczne komentarze na ten temat, a ona przyjmowała je w milczeniu. Zniknęła z półek większość dzieł na temat handlu zagranicznego i systemu monetarnego — zaarrestowano właśnie ich autora, Komisarza Ludowego dla Spraw Finansowych; tak samo zniknęły prawie wszystkie sprawozdania z dawnych Kongresów Partii, odnoszące się do tego samego tematu; większość książek i podręczników dotyczących historii i wyprzedzeń Rewolucji; prawie wszystkie dzieła żyjących jeszcze autorów z dziedziny prawa i filozofii; wszystkie broszury na temat regulacji urodzin; podręczniki na temat struktury Armii Ludowej; traktaty o związkach zawodowych i prawie do strajku w Państwie Ludowym; właściwie każda rozprawa dotycząca problemów konstytucji politycznej napisana dawniej, niż dwa lata temu i wreszcie nawet tomy Encyklopedii wydanej przez Akademię — obiecano za to szybko nowe, przerobione wydanie.

Nadchodziły także nowe książki: klasycy nauk społecznych ukazywali się z nowymi przypiskami i komentarzami, stare historie zastąpiono nowymi, dawne pamiętniki umarłych przywódców Rewolucji zastąpiono nowymi pamiętnikami tych samych nieboszczyków. Rubaszow żartem powiedział do Arłowej, że należy jeszcze tylko wydać nowe, ulepszone wydanie starych numerów wszystkich gazet.

Tymczasem, kilka tygodni temu, przyszło „z góry” polecenie, aby wyznaczyć bibliotekarza, który by ponosił odpowiedzialność polityczną za skład biblioteki poselstwa. Wyznaczono Arłową. Rubaszow mruczał coś pod nosem o „ogródku dzieciennym” i całą rzecz uważał za idiotyzm aż do tego wieczora, gdy na tygodniowym zebraniu komórki partyjnej poselstwa Arłową ostro zaatakowano z kilku stron naraz.

Podnieśli się jeden po drugim trzej czy czterej mówcy, między innymi także Pierwszy Sekretarz poselstwa i skarżyli się, że nie ma w bibliotece niektórych najważniejszych przemówień Nr 1, a za to pełno w niej jeszcze dzieł opozycji i że książki polityków,

których tymczasem zdemaskowano jako szpiegów, zdrajców i agentów obcych mocarstw do niedawna jeszcze zajmowały na półkach pierwsze miejsca; trudno więc nie podejrzewać w tym świadomej demonstracji. Mówcy byli chłodni i dotkliwie rzeczowi; wypowiadali starannie dobrane zdania. Odnosiło się wrażenie, że podają sobie po kolei z ust do ust słowa z góry ustalonego tekstu. Każde przemówienie kończyło się wnioskiem, że najważniejszym obowiązkiem Partii jest czujność, bezlitosne piętnowanie nadużyć i że każdy kto tego obowiązku nie spełnia, staje się współnikiem nikczemnych sabotażystów. Kiedy przynagłono Arłową do oświadczenia się w poruszanej sprawie, powiedziała ze zwykłym sobie spokojem, że dalekie jej są jakiegokolwiek złe intencje, i że wykonała wszystkie polecenia, jakie jej dano; ale przemawiając swoim głębokim, z lekka zachrypniętym głosem, utkwiała na długą chwilę wzrok w Rubaszowa, czego na ogół nie robiła nigdy w obecności osób trzecich. Zebranie skończyło się rezolucją postanawiającą udzielić Arłowej „surowej nagany”.

Znając aż nadto dobrze sposoby, do jakich Partia się ostatnio uciekała. — Rubaszow uczył niepokój. Domyślał się, że szykowano coś na Arłową i czuł się bezsilny, bo nie stało się nic konkretnego, z czym można by walczyć.

Powietrze w poselstwie zrobiło się jeszcze bardziej rozrzedzone. Rubaszow przestał robić osobiste przymówki w czasie dyktowania i to wywoływało w nim osobliwe poczucie winy. Na pozór nic się w jego stosunkach z Arłową nie zmieniło, ale to dziwne poczucie winy, wypływające wyłącznie z niemożności rozbicia żartobliwych uwag w czasie dyktanda, powstrzymywało go od zatrzymania się za jej krzesłem i położenia rąk na jej ramionach, jak dawniej.

Po tygodniu, pewnego wieczoru nie przyszła do jego pokoju, i nie zjawiała się także żadnego z następnych wieczorów. Dopiero po trzech dniach Rubaszow zdobył się na to, aby zapytać o przyczynę. Odpowiedziała swoim ospałym głosem coś na temat migreny i Rubaszow więcej nie nalegał. Odtąd już nie przychodziła, z jednym wyjątkiem.

Było to w trzy tygodnie po zebraniu komórki, które udzieliło owej „surowej nagany”, a w dwa tygodnie od czasu, gdy przestała go odwiedzać. Jej zachowanie było niemal takie, jak zawsze, ale przez cały wieczór Rubaszow miał wrażenie, że oczekuje od niego jakiegoś decydującego słowa. Tymczasem powiedział tylko, że cieszy się z jej powrotu i że jest przeczerpanym i zmęczonym — co zresztą było prawdą. W nocy zauważył kilkakrotnie, że dziewczyna nie śpi i wpatruje się w ciemność. Nie mógł się wyzbyć dręczącego poczucia winy; wrócił także ból zęba. Były to jej ostatnie odwiedziny u niego.

Następnego dnia, zanim Arłowa zjawiała się w biurze, Sekretarz powiadomił Rubaszowa, w sposób niby poufny, ale dobiegając starannie każdego słowa, że tydzień temu brat i bratowa Arłowej zostali „Tam” zaarrestowani. Brat Arłowej ożenił się z

eudzoziemką; oboje oskarżono o zdradzieckie związki z jej krajem ojczystym w służbie opozycji.

Arłowa przysłała do pracy kilka minut później. Jak zawsze siedziała na krześle przed biurkiem, w wyszywanej bluzce, trochę przygięta naprzód. Rubaszow chodził za jej krzesłem tam i z powrotem i cały czas miał przed oczami jej pochylony kark ze skórą lekko naciągniętą na kręgach. Nie mógł oderwać oczu od tego skrawka skóry i czuł niepokój prawie dorównujący fizycznemu bólowi. Nie mógł się uwolnić od myśli, że „Tam” zabijają skazanych strzałem w kark.

Na następnym zebraniu komórki partyjnej, na wniosek Pierwszego Sekretarza, zwolniono Arłową ze stanowiska bibliotekarza z uzasadnieniem, że jest politycznie niepewna. Nie dodano żadnych komentarzy i nie było dyskusji. Rubaszow, prawie nieprzytomny z bólu zęba, przeprosił, że nie będzie obecny na zebraniu.

W kilka dni później odwołano Arłową i jeszcze jednego członka personelu. Dawni koledzy nigdy nie wymieniali ich nazwisk; ale przez resztę miesięcy, które jeszcze spędził w poselstwie, zanim go odwołano, ściany pokoju tchnęły siostrzanym zapachem jej dużego, leniwego ciała — uporczywie i do końca.

4

WYKŁĘTY, POWSTA LUDU ZIEMI.

Od samego ranka dziesiątego dnia po zaarrestowaniu Rubaszowa, nowy sąsiad z lewej strony, mieszkaniec celi nr 406, wystukiwał w regularnych odstępach ten sam wiersz, zawsze z tym samym błędem ortograficznym: „POWSTA” zamiast „POWSTAN”. Rubaszow kilka razy próbował nawiązać z nim rozmowę. Tak długo jak Rubaszow stukał, nowy sąsiad słuchał milcząc; ale jedyną odpowiedź, jaka nadchodziła, stanowił rząd liter bez żadnego związku, a na zakończenie zawsze ten sam okaleczony wiersz:

WYKŁĘTY, POWSTA LUDU ZIEMI.

Wsadzono tam tego nowego sąsiada poprzedniej nocy. Rubaszow się obudził, ale słyszał tylko stłumione odgłosy i zamykanie celi nr 406. Rano, natychmiast po pierwszej pobudce, Nr 406 zaczął stukać „WYKŁĘTY, POWSTA LUDU ZIEMI”.

Stukał szybko i zręcznie z tak wirtuozowską techniką, że błąd ortograficzny i bezsens reszty przekazów tłumaczyły się przyczyną psychiczną, nie techniczną. Nowy sąsiad był prawdopodobnie chory umysłowo.

Po śniadaniu przyszedł sygnał od młodego oficera pod nr 402, że pragnie rozmowy. Między Rubaszowem a Nr 402 zawiązała się pewnego rodzaju przyjaźń. Oficer z monoklem i podkreśloną wąsem widać żył w stanie chronicznej nudy, bo był Rubaszowowi zawsze wdzięczny za najdrobniejsze okrucy rozmowy. Pięć albo sześć razy dziennie prosił Rubaszowa pokornie:

ROZMAWIAJCIE ZE MNĄ...

Rubaszow rzadko kiedy miał na to ochotę; nie bardzo zresztą wiedział o czym mówić z Nr 402. Zazwyczaj wystukiwał on klasyczne anegdoty z messy oficerskiej. Kiedy dochodził do pointy, nastawała bolesna cisza. Były to kawały stare, tracące myszką, o patriarchalnej nieprzyzwoitości; można sobie było wyobrazić, jak Nr 402, wystukawszy je do końca, czekał na wybuch śmiechu i rozpaczliwie gapił się na niema, bieloną ścianę. Rubaszow, powodowany współczuciem i grzecznością wystukiwał niekiedy binoklami, jako namiastkę śmiechu głośnie HA-HA! Wtedy Nr 402 wychodził ze skóry; naśladował wybuch śmiechu, waląc w ścianę pięściami i butami: HA-HA!, robiąc od czasu do czasu przerwę, aby się upewnić, czy Rubaszow mu towarzyszy. Jeśli milczał, robił mu wyrzuty: NIE ŚMIELIŚCIE SIĘ... Jeśli Rubaszow dla świętego spokoju dodawał jedno czy dwa HA-HA, Nr 402 zawiadomiał go potem: ALEŚMY SIĘ UBAWILI.

Czasem szkalował Rubaszowa. Innym razem znowu, jeśli nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, potrafił wystukać całą piosenkę żołnierską, o niezliczonej ilości zwrotek. Zdarzało się niekiedy, że Rubaszow, chodząc tam i na powrót, pogrążony we śnie na jawie czy zatopiony w rozmyślaniach, zaczynał podśpiewywać refren jakiegoś starego marsza, którego obraz akustyczny ucho jego bezwiednie zanotowało.

Ale Nr 402 był także pożyteczny. Siedział tu już od dwu lat; wiedział wszystko, komunikował się z wielu sąsiadami, podchwytując każdą plotkę; miało się wrażenie, że wie o wszystkim, co się w całym budynku dzieje.

Rano po przybyciu Nr 406, kiedy oficer zaczął zwykłą rozmowę, Rubaszow zapytał go, czy zna jego nowego sąsiada. Nr 402 odpowiedział:

RIP VAN WINKLE.

Nr 402 lubił wyrażać się zagadkowo, ażeby rozmowę uczynić bardziej podniecającą. Rubaszow starał się rozwiązać tę zagadkę. Przypomnił sobie bajkę o człowieku, który spał przez dwadzieścia pięć lat i kiedy się obudził, nie poznał świata, w którym się znalazł.

STRACIŁ PAMIĘĆ? zapytał.

Zadowolony z wrażenia, jakie wywarł, Nr 402 opowiedział Rubaszowowi, co wiedział. Nr 406 był kiedyś profesorem socjologii w jednym z małych państw Europy południowo-wschodniej. Pod koniec ostatniej wojny wziął udział w Rewolucji, która wybuchła w tym kraju, jak zresztą prawie we wszystkich krajach Europy owego czasu. Powołano „Komunę”, która przeżyła kilka romantycznych tygodni, i którą spotkał zwykły, krwawy koniec. Przywódcy rewolucji byli amatorami, ale represji, idących w ślad za nią, dokonano z zawodową dokładnością; Nr 406, któremu Komuna nadała dźwięczny tytuł „Sekretarza Stanu dla Spraw Oświecenia Ludu”, został skazany na śmierć przez powieszenie. Rok czekał na egzekucję, po czym wyrok zmieniono na dożywotnie więzienie. Odsiedział z tego dwadzieścia lat.

Odsiedział dwadzieścia lat, przeważnie w odosobnieniu, bez

żadnej styczności ze światem zewnętrznym, bez gazet. Wszystko wskazywało na to, że zapomniano o nim bez reszty; wymiar sprawiedliwości w tym południowo-wschodnim kraju miał jeszcze trochę patriarchalny charakter. Nagle miesiąc temu zwolniono go na skutek amnestii; po dwudziestu latach snu i mroku Rip Van Winkle znalazł się znowu na świecie.

Wsiadł do pierwszego pociągu jadącego tutaj, do kraju marzeń. Zaaresztowano go w dwa tygodnie po przyjeździe. Może, po dwudziestu latach odosobnienia stał się zbyt gadatliwy. Może zwierzył się ludziom, jak sobie wyobrażał życie tutaj — w czasie długich dni i nocy, spędzonych w celi. Może dopytywał się o adresy starych przyjaciół, bohaterów Rewolucji, nie wiedząc że byli zdrajcami i szpiegami. Może złożył wieniec na fałszywym grobie, albo może chciał odwiedzić swego sławnego sąsiada, towarzysza Rubaszowa.

Teraz miał czas zastanawiać się nad tym, co lepsze: dwadzieścia kilka lat rojeń na słomianym sienniku w ciemnej celi, czy rzeczywistość w białym świetle dnia na rozstępie dwu tygodni. Może nie był już całkiem normalny. Taka była historia Rip van Winkla...

Niedługo po wystukaniu długiej opowieści przez Nr 402 Rip van Winkle zaczął znowu: pięć czy sześć razy powtórzył swój okaleczony wiersz: WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI, potem zamilkł.

Rubaszow leżał na pryczy z zamkniętymi oczami. „Fikcja gramatyczna” znów dawała się we znaki; nie wyrażała się słowami, tylko nieokreślonym niepokojem, który oznaczał:

„Za to też będziesz musiał zapłacić, za to także jesteś odpowiedzialny, bo działałeś wtedy, kiedy on marzył!”.



Tego samego popołudnia zaprowadzono Rubaszowa do golenia.

Pochód składał się tym razem tylko ze starego dozorca i jednego strażnika w mundurze; stary cziapał dwa kroki przed nimi, żołnierz maszerował dwa kroki za Rubaszowem. Przeszli koło nr 406; na drzwiach wciąż jeszcze nie umieszczono kartki z nazwiskiem. U fryzjera był tylko jeden z dwu więźniów, którzy tam pracowali; wyraźnie dbano o to, aby Rubaszow nie nawiązywał zbyt licznych kontaktów.

Usiadł w fotelu. Zakład wyglądał stosunkowo czysto; było w nim nawet lustro. Zdjął binokle i przyjrzał się swojej twarzy; poza zarostem na policzkach, nie zauważył żadnej zmiany.

Fryzjer pracował w milczeniu, szybko i starannie. Drzwi pokoju zostały otwarte; dozorca gdzieś poczłapał; umundurowany strażnik stał oparty o drzwi i przypatrywał się zabiegom. Letnia piana na twarzy napełniała Rubaszowa przyjemnym uczuciem; nachodziła go lekka pokusa rozczulenia się drobnymi przyjemnościami życia. Miał ochotę porozmawiać z fryzjerem, ale wiedział, że to zabronione i nie chciał wprowadzać go w kło-

pot, bo jego szeroka, otwarta twarz była mu sympatyczna. Sądząc z fizjonomii Rubaszow byłby skłonny przypuszczać, że jest raczej ślusarzem lub mechanikiem.

Kiedy fryzjer skończył namydlenie i pociągnął ostrzem po skórze, zwracając się do niego per „Obywatelu Rubaszow” zapytał, czy brzytwa nie drapie. Było to pierwsze zdanie od chwili wejścia Rubaszowa do pokoju i mimo rzeczowego tonu fryzjera nabrało specjalnego znaczenia. Potem znowu zapadła cisza. Strażnik stojący we drzwiach zapalił papierosa; fryzjer strzygł kosią brodkę i włosy Rubaszowa szybkimi, zgrabnymi ruchami. Kiedy się schylił, Rubaszow pochwycił przez chwilę jego spojrzenie; w tej samej chwili fryzjer wetknął mu dwa palce za kołnierzyk, jak gdyby chciał łatwiej dosięgnąć włosów na karku; kiedy wyciągnął palce, Rubaszow poczuł pod kołnierzykiem drapanie papierowego zwitka. Po paru minutach, operacja dobiegła końca i Rubaszowa odprowadzono z powrotem do celi. Usiadł na łóżku, z oczami utkwionymi w przeziór judasza, aby się upewnić, że go nie obserwują, wyciągnął gryps, wyprostował i przeczytał. Zawierał on tylko trzy słowa, wyraźnie nakreślone z pośpiechem:

„Umrzyj w milczeniu”.



Rubaszow wyrzucił skrawek do kubła i na nowo podjął wędrówkę. Była to pierwsza wiadomość, jaka dotarła do niego ze świata. W kraju wroga często przemycano grypsy do więzienia; wzywały go one do głośnego protestu, do rzucenia w twarz oskarżycielom ich własnych oskarżeń. Czy zdarzają się w historii także takie chwile, kiedy rewolucjonista powinien milczeć? Czy istnieją w historii punkty zwrotne, kiedy wymaga się od niego tylko jednej rzeczy, kiedy jedynie słusznym postępowaniem jest: umrzeć w milczeniu?

Rozmyślenia Rubaszowa przerwał Nr 402; zaczął stukać zaraz po jego powrocie. Umierał z ciekawości i chciał wiedzieć, dokąd Rubaszowa zaprowadzono.

DO GOLENIA, wyjaśnił Rubaszow.

MIAŁEM JUŻ NAJGORSZE OBAWY, zastukał współczująco Nr 402.

PO WAS, PROSZĘ, odstukał Rubaszow.

Nr 402 był, jak zwykle, wdzięcznym rozmówcą.

HA-HA! dał wyraz swoim uczuciom. BYCZY Z WAS CHŁOP...

Dziwnym zbiegiem okoliczności ten archaiczny komplement wywołał w Rubaszowie coś w rodzaju zadowolenia. Zazdrościł Nr 402; jego kasta postępuje według rygorystycznego kodeksu honorowego, który ściśle określa, jak należy żyć i umierać. Takiej rzeczy można się uchwycić. Dla takich jak on nie ma przepisów; wszystko trzeba wypracować samemu.

Nie ma etykiety nawet dla umierających. Co jest bardziej godne: umrzeć w milczeniu — czy też poniżyć się publicznie po to, by móc nadal wprowadzać w życie swoje cele? Poświęcił Ar-

lową dlatego, że jego własne życie przedstawiało dla Rewolucji większą wartość. Taki był ostateczny argument, którym posłużyli się przyjaciele, aby go przekonać; obowiązek zachowania siebie w odwodzie na później był ważniejszy od nakazów drobnomieszczańskiej moralności. Dla tych, którzy zmienili oblicze historii istnieje tylko jeden obowiązek: zostać na miejscu i być w pogotowiu. „Możecie ze mną zrobić, co wam się podoba”, powiedziała Arłowa i tak zrobił.

• Dlaczego by dla siebie miał być bardziej pobłażliwy? „Najbliższe dziesięciolecie rozstrzygnie o losie naszej epoki”, zacytował Iwanow. Czy wolno mu się wymknąć tylko z przyczyny osobistej niechęci, zmęczenia i próżności? A jeśli, mimo wszystko Nr 1 ma słusność? A jeśli mimo wszystko i na przekór wszystkiemu w brudzie i krwi i kłamstwie kładzie się tutaj wspaniały fundament pod przyszłość? Czyż historia nie była zawsze nie-ludzkim budowniczym, wyzutym ze skrupułów, urabiającym swoje spoiwo z mieszanki kłamstwa, krwi i błota?

Umrzyj w milczeniu — rozplyń się w ciemności — łatwo powiedzieć...

Rubaszow zatrzymał się nagle na trzeciej czarnej płycie od okna, przychwycił się na tym, że kilka razy głośno powtórzył wyrazy: „umrzyj w milczeniu” tonem ironicznej dezaprobaty, jak gdyby chcąc podkreślić ich zupełną niedorzeczność...

I dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, że jego decyzja odrzucenia oferty Iwanowa nie jest taka niewzruszona, jak przypuszczał. W tej chwili wydało mu się wątpliwe, czy poważnie miał zamiar odrzucić tę ofertę i zejść bez słowa ze sceny.

5

Polepszenie poziomu życia trwało ciągle. Rankiem jedenastego dnia, po raz pierwszy wyprowadzono Rubaszowa na spacer po podwórzu.

Niedługo po śniadaniu przyszedł po niego stary dozorca w towarzystwie tego samego strażnika, który eskortował go w czasie wyprawy do fryzjera. Dozorca zakomunikował Rubaszowowi, że począwszy od dzisiejszego dnia ma prawo do dwudziesto minutowego spaceru po podwórzu. Przydzielono go do „pierwszej grupy”, która zaczynała zaraz po śniadaniu. Następnie dozorca wyrecytował obowiązujące przepisy: rozmowa z sąsiadem, czy jakimkolwiek innym więźniem podczas spaceru jest zabroniona; tak samo dawanie jakichkolwiek znaków, wymiana wiadomości na piśmie i wyłamanie się z szeregu; nieprzestrzeganie przepisów jest karane natychmiastowym skasowaniem przywileju przechadzki; poważne wykroczenia przeciwko dyscyplinie zamknięciem do czterech tygodni w ciemnicy. Potem zatrzasnęła celę od zewnątrz i cała trójka ruszyła. Po paru krokach dozorca zatrzymał się i otworzył drzwi celi nr 406.

Stojąc przy umundurowanym strażniku, w pewnej odległości od drzwi, Rubaszow zobaczył nogi Rip van Winkla, leżącego na

pryczy. Miał na sobie czarne buty, zapinane na guziki i spodnie w kratkę, które były wystrzępione u dołu, ale wciąż jeszcze robiły wrażenie jakby je ktoś najbardziej usilnie szcztokował. Dozorca jeszcze raz odbębnił przepisy; nogi w kratkowanych spodniach zsunęły się nieco chwiejnie z przyczy i w drzwiach stał drobny, stary mężczyzna, mrugając powiekami. Twarz miał pokrytą siwym zarostem; do frapujących spodni nosił czarną kamizelkę, z metalowym łańcuszkiem od zegarka i czarną, sukieną marynarkę. Stał w od drzwiach, przypatrując się Rubaszowowi z nieukrywaną ciekawością; potem skinął głową krótko i przyjaźnie, i cała czwórka ruszyła dalej.

Rubaszow oczekiwał spotkania z kimś, kto jest niespełna rozum; teraz zmienił zdanie. Mimo nerwowego drgania w brwiach, spowodowanego prawdopodobnie wieloletnim pobyt w mrocznej celi, oczy Rip van Winkla były jasne i dziecięnie ufne. Szedł raczej z trudem, ale drobnymi, pewnymi krokami i od czasu do czasu obrzucał Rubaszowa przyjaznym spojrzeniem. Przy schodzeniu po schodach staruszek potknął się nagle i byłby zleciał, gdyby strażnik nie schwycił go zawczasu pod ramię. Rip van Winkle wyszeptał kilka słów, ale zbyt cicho, by Rubaszow mógł cokolwiek usłyszeć; widać wyrażały one grzeczne podziękowanie; strażnik uśmiechnął się głupekowato. Potem przez otwartą bramę wyszli na podwórze i zastali już innych więźniów ustawionych parami. Pośrodku podwórza, gdzie stali strażnicy, rozległy się dwa krótkie gwizdki i runda się zaczęła.

Niebo było jasne, o dziwnie blado-niebieskim odcieniu, w powietrzu unosił się krystaliczny zapach śniegu. Rubaszow zapomniał zabrać koc i drżał. Rip van Winkle zarzucił sobie na ramiona popielatą, wytartą chustę, którą dozorca podał mu przy wejściu na podwórze. Stał koło Rubaszowa w milczeniu, małymi, zdecydowanymi krokami, spoglądając od czasu do czasu w niebieskość zawieszoną nad ich głowami; szara chusta sięgała mu do kolan, przykrywając go jak dzwon.

Rubaszow wyliczył sobie, które z okien należało do jego celi; było ciemne i brudne, jak inne, nic nie było za nim widać. Przez pewien czas zatrzymał wzrok na oknie Nr 402, ale i tam widział tylko ślepy, okratowany otwór. Nr 402 nie przysługiwało prawo spaceru; tak samo nie prowadzono go ani do fryzjera, ani na przesłuchanie; Rubaszow nie słyszał nigdy, by go wypuszczono z celi.

Przechadzali się, milcząc i zataczając powolne koła na podwórzu. Usta Rip van Winkla ledwie dostrzegalnie poruszały się w siwym zarostcie; mruczał coś do siebie, czego Rubaszow wprawdzie obłąkany, ale widać zdziwaczał trochę w ciągu tych siedmiu tysięcy dni i nocy spędzonych w więzieniu. Rubaszow obserwował go z boku i usiłował wyobrazić sobie, co to znaczy być odcięty od świata przez dwa dziesiątki lat. Dwadzieścia

lat temu samochody były jeszcze rzadkością i wyglądały dziwnie; nie było radia, a nazwiska dzisiejszych przywódców politycznych były nieznane. Nikt nie przewidywał nowych ruchów masowych, wielkich wstrząsów politycznych, ani krętych dróg i przejmujących grozą etapów, przez jakie miało przechodzić Państwo Rewolucyjne; wierzone wtedy, że otworzyły się bramy Utopii i że ludzkość stoi u jej wrót...

Rubaszow doszedł do wniosku, że jakkolwiek by wysłał swoją wyobraźnię, i mimo wprawy, jaką miał w sztuce „myślenia cudzymi mózgami” nie jest w stanie odtworzyć stanu swego sąsiada. Nie było to trudne, gdy chodziło o Iwanowa czy też Nr 1, czy nawet oficera z monoklem; ale zawodziło w przypadku Rip van Winkla. Patrzył na niego z boku; starzec właśnie zwrócił głowę w jego stronę: był uśmiechnięty; przytrzymując oburącz koc zarzucony na ramiona, dreptał koło niego krótkimi kroczkami i ledwie dosłyszalnym głosem nucił melodię: „Wykłęty, powstań ludu ziemi”.

Kiedy ich odprowadzano z powrotem do budynku, przy drzwiach celi, staruszek jeszcze raz się odwrócił i skinął głową; jego oczy zatrzepotały nagle i zmieniły się w wyrazie: teraz było w nich widać przerażenie i beznadziejność. Rubaszow oczekiwał, że zawoła na niego, ale dozorca już zatrzasnął drzwi nr 406. Kiedy Rubaszowa zamknięto w celi, podszedł natychmiast do ściany; ale Rip van Winkle milczał i nie odpowiadał na stukanie.

Natomiast Nr 402, który ich oglądał przez okno, chciał o spacerze wiedzieć wszystko, aż do najmniejszego szczegółu. Rubaszow musiał mu opowiedzieć, jak pachniało powietrze, czy było zimno, czy tylko chłodno, czy na korytarzu spotkał jakichś innych więźniów, i czy mimo wszystko udało mu się zamienić parę słów z Rip van Winklem. Rubaszow odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania; w porównaniu z Nr 402, którego nigdy nie wypuszczano, czuł się uprzywilejowany; było mu go żal i czuł się wobec niego prawie winny.

Następnego dnia i następnego po nim, wyprowadzano Rubaszowa na spacer o tej samej porze, zaraz po śniadaniu. Jego towarzyszem w czasie rundy był zawsze Rip van Winkle. Krążyli zwolna dokoła, jeden obok drugiego, obaj okryci kocami, obaj milczący; Rubaszow zamyślony, od czasu do czasu uważnie spoglądający przez binokle na innych więźniów i na okna budynku; staruszek, z rosnącym zarostem na brodzie i miłym, dziecięcym uśmiechem, wечно nucił swoją piosenkę.

Aż do trzeciego spaceru, który odbywali wspólnie, nie zamienili ze sobą ani słowa, chociaż Rubaszow zauważył, że funkcjonariusze nie przestrzegają na serio przepisu milczenia, i że więźniowie z innych par, kręcących się w koło, rozmawiają prawie bez przerwy; robili to patrząc tępo przed siebie i mówiąc

techniką więzienną, dobrze Rubaszowowi znaną, to znaczy tak, że usta ledwie się poruszały.

Trzeciego dnia, Rubaszow przyniósł ze sobą notes i ołówek; notes wystawał z lewej kieszeni. Staruszek zauważył go po dziesięciu minutach; oczy mu zabłyśły. Spojrzał ukradkiem na strażników, zatopionych w ożywionej rozmowie pośrodku koła i widocznie nieinteresujących się więźniami; potem szybko wyciągnął ołówek i notes z kieszeni Rubaszowa i zaczął coś kreślić pod przykryciem swego dzwonowatego koca. Skończył szybko, oderwał kartkę i wcisnął ją Rubaszowowi do ręki; zatrzymał jednak notes i ołówek i dalej coś kreślił. Rubaszow upewnił się, że strażnicy nie zwracają na nich uwagi i rzucił okiem na kartkę. Nie było na niej nic napisane, był tylko rysunek: szkic geograficzny kraju, w którym przebywali, zrobiony z zadziwiającą dokładnością. Były na nim zaznaczone większe miasta, góry i rzeki, a pośrodku tkwiła flaga z symbolami Rewolucji.

Kiedy znowu przeszli poławę koła, Nr 406 oderwał drugą kartkę i wetknął ją Rubaszowowi do ręki. Był to znów ten sam rysunek, dokładnie ta sama mapa Kraju Rewolucji. Nr 406 patrzył na niego i z uśmiechem czekał na efekt. Rubaszow poczuł się pod jego wzrokiem z lekka zakłopotany i wymamrotał coś na znak podziwu. Staruszek mrugnął do niego:

„Z zamkniętymi oczami też potrafisz to zrobić”, powiedział.

Rubaszow przytaknął.

„Nie wierzycie mi”, stwierdził staruszek z uśmiechem. „Ale ja się w tym ćwiczyłem przez dwadzieścia lat”.

Spojrzał szybko na strażników, zamknął oczy i nie zmieniając kroku, zaczął rysować na nowej kartce pod dzwonem swego koca. Oczy miał mocno zamknięte, a brodę wysuniętą sztywno, jak ślepiec. Rubaszow spojrzał niespokojnie na strażników; zachodziła obawa, że staruszek potknie się, albo wypadnie z szeregu. Ale w ciągu następnego półokrężenia rysunek był skończony, trochę bardziej drżący, niż poprzednie, ale tak samo dokładny: tylko symbol na fladze, pośrodku kraju, wypadł niewspółmiernie duży.

„Wierzycie mi teraz?”, szepnął Nr 406 i uśmiechnął się radośnie. Rubaszow kiwnął głową. Nagle twarz staruszka spochmurniała; Rubaszow rozpoznał ten sam wyraz przerażenia, które go ogarniało za każdym razem, gdy go zamykano w celi.

„Trudno”, szepnął do Rubaszowa. „Wsadzili mnie do fałszywego pociągu”.

„Nie rozumiem”, stwierdził Rubaszow.

Rip van Winkle uśmiechnął się łagodnie i smutno. „Zaprowadzili mnie na fałszywą stację, kiedy wyjeżdżałem”, powiedział, „i myśleli, że nie zauważyłem. Nie mówcie nikomu, że coś wiem”, szepnął, wskazując oczami strażników.

Rubaszow przytaknął. Wkrótce potem odezwał się gwizdek, zapowiadający koniec przechadzki.

Przy przejściu przez bramę byli jeszcze raz chwilę nieobserwowani. Oczy Nr 406 stały się znów jasne i przyjazne:

„Może wam się to samo przydarzyło?” zapytał współczująco Rubaszowa.

Rubaszow przytaknął.

„Nie trzeba tracić nadziei. W końcu i tak się tam dostaniemy” — rzekł Rip van Winkle, wskazując na zmiętą mapę, którą Rubaszow trzymał w ręce.

Potem wsadził notes i ołówek do kieszeni Rubaszowa. Na schodach znów podśpiewywał swoją odwieczną melodię.

6

Na dzień przed terminem, ustalonym przez Iwanowa, w chwili, gdy wydawano kolację, Rubaszowowi wydało się, że w powietrzu wisi coś niezwykłego. Nie umiał tego wytłumaczyć; zupełnym zgodnie z ustalonym zwyczajem, melancholijny głos trąbki rozbrzmiał wznaczonym czasie, a jednak Rubaszow czuł jakieś napięcie. Być może, któryś z dyżurnych spojrzął na niego z jakimś szczególnym wyrazem; być może głos starego dozorca zabrzmiał jakimś niezwykle podźwiękciem. Rubaszow nie mógł sobie przypomnieć niczego, ale nie był w stanie pracować; czuł w nerwach napięcie, podobnie jak reumatycy czują zbliżanie się burzy.

Kiedy przebrzmiał ostatni sygnał nocny, wyjrzał ostrożnie na korytarz; wskutek zmniejszenia prądu, żarówki świeciły połową zwykłego światła i rozlewały na kamiennej podłodze mdły blask; cisza, zalegająca korytarz, wydawała się bardziej ostateczna i beznadziejna, niż zwykle. Rubaszow położył się na pryczy, po chwili wstał, zmusił się do napisania kilku wierszy, zagasił papierosa i zaraz sięgnął po nowy. Spojrzął w dół na podwórze: tajało, śnieg był brudny i miękki, niebo zaciągnięte chmurami; naprzeciw, na obmurowaniu, wartownik z karabinem odmierzał kroki tam i na powrót. Rubaszow jeszcze raz wyjrzał przez otwór judasza na korytarz: cisza, rozpaczliwa pustka i sztuczne, mdłe światło.

Wbrew swoim zwyczajom, i mimo późnej godziny, zaczął rozmowę z Nr 402.

SPICIE? wystukał.

Przez chwilę nie było odpowiedzi i Rubaszow czekał z uczuciem rozczarowania. Potem przyszła — spokojniejsza i wolniejsza, niż zazwyczaj.

NIE. CZUJECIE TAKŻE?

CZY CZUJĘ — CO? zapytał Rubaszow. Oddychał z trudem; leżał na pryczy i stukał binoklami.

Nr 402 znowu przez chwilę się ociągał. Potem zastukał tak ostrożnie, że brzmiało to, jakby mówił bardzo cicho:

LEPIEJ SPIJCIE...

Rubaszow leżał na pryczy bez ruchu i wstydził się, że Nr 402 przemawia do niego takim ojcowskim tonem. Leżał w ciemności na wznak i patrzył na binokle, którymi dotykał ściany, trzymając je w półpodniesionej ręce. Cisza na zewnątrz była tak

zgęszczona, że słyszał jej poszum w uszach. Nagle ściana odezwała się na nowo:

DZIWNIE, ŻEŚCIE OD RAZU POCZULI...

ŻE CO POCZULEM? MÓWCIE! wystukał Rubaszow, siadając na pryczy.

Zdawało się, że Nr 402 się zastanawia. Po chwili wahania zastukał:

DZISIAJ WYRÓWNYWA SIĘ PORACHUNKI POLITYCZNE...

Rubaszow zrozumiał. Siedział w ciemności, oparty o ścianę, czekając na dalszy ciąg. Ale Nr 402 zamilkł. Po chwili Rubaszow zastukał:

EGZEKUCJE?

TAK, odpowiedział lakonicznie Nr 402.

SKĄD WIECIE? zapytał Rubaszow.

OD ZAJĘCZEJ WARGI.

KIEDY?

NIE WIEM. A po chwili: NIE DŁUGO.

CZY ZNACIE NAZWISKA? zapytał Rubaszow.

NIE, odpowiedział Nr 402. Po dalszej przerwie dodał: Z WĄSZEJ KATEGORII, PORACHUNKI POLITYCZNE.

Rubaszow położył się znowu i czekał. Po chwili nałożył binokle, znów leżał bez ruchu, podgarnawszy jedną rękę pod głowę. Z zewnątrz nie dochodził żaden głos. Wszelki ruch w budynku był jakby zdławiony, zamrożony w ciemnościach.

Rubaszow nigdy nie był świadkiem egzekucji — z wyjątkiem, prawie że, swojej własnej — ale brał udział w Wojnie Domowej. Nie bardzo potrafił sobie wyobrazić jak ta sama rzecz wygląda w okolicznościach normalnych, jako część rutyny porządkowej. Wiedział mniej więcej, że egzekucje odbywają się w nocy, w podziemiach i że delikwenta zabija się kulą w kark; ale nie znał bliższych szczegółów. W Partii śmierć nie była niczym tajemniczym, nie miała w sobie nic romantycznego. Była konsekwencją logiczną, czynnikiem, z którym się liczone, ale który miał charakter dosyć oderwany. Stąd mówiło się o śmierci rzadko i prawie nie używano się słowa „egzekucja”; zazwyczaj posługiwano się zwrotem „likwidacja fizyczna”. Termin „likwidacja fizyczna” wywoływał z kolei tylko jedno konkretne wyobrażenie: koniec działalności politycznej. Sam akt umierania był szczegółem technicznym, nie wzbudzającym żadnego zainteresowania; śmierć, jako jeden z czynników w logicznym równaniu, utraciła wszelkie cechy czegoś bliskiego i dotykającego.

Rubaszow wpatrywał się przez binokle w mrok. Czy już się zaczęło? A może jeszcze nie. Zdjął buty i skarpetki; spod drucianego końca koca blade wysterczały białe stopy. Cisza stała się jeszcze bardziej nienaturalna. Nie był to zwykły, przyjemny brak hałasu; była to cisza, która wchłonęła i zdławiła wszelkie odgłosy, cisza wibrująca, jak naciągnięta błona na bębnie. Rubaszow patrzył na białe stopy i powoli poruszał palcami. Wyglądało to groteskowo i dziwnie, jak gdyby te białe stopy żyły jakimś własnym życiem. Z niezwykłą intensywnością doznawał

istnienia własnego ciała, czuł letnie dotknięcie prześcieradła na nogach i uciśnięcie dłoni pod karkiem.

Gdzie odbędzie się „likwidacja fizyczna”? Wyobrażał sobie niejasno, że odbywa się teraz, pod schodami, prowadzącymi w dół, za pokojem fryzjera. Poczul zapach skórzanego pasa Gletkina i posłyszał chrzęst jego munduru. Co mówi do ofiary? „Odwróćcie się twarzą do ściany”? Czy dodaje: „proszę”? Czy też: „Nie obawiajcie się. To nie jest bolesne...” Może strzela bez ostrzeżenia, z tyłu, w czasie marszu — ale to chyba niemożliwe, bo ofiara odwracałaby ciągle głowę. Może ukrywa rewolwer w rękawie, jak dentysta kleszcze? Może inni są także przy tym obecni? Jak wyglądają? Czy człowiek pada na wznak, czy na twarz? Czy krzyczy? Może trzeba drugiej kuli, aby go dobić?

Rubaszow palił i patrzył na palce u nóg. Cisza była tak wielka, że słyszał szelest palącej się bibułki papierosa. Zaciągnął się głęboko. Brednie, powiedział do siebie. Romansidło za trzy grosze. Właściwie nigdy naprawdę nie wierzył w techniczną rzeczywistość „likwidacji fizycznej”. Śmierć była czymś abstrakcyjnym, zwłaszcza śmierć własna. Prawdopodobnie było już po wszystkim, a co minęło, nie należy już do rzeczywistości. Było ciemno i cicho i Nr 402 przestał stukać.

Rubaszow pragnął, aby za drzwiami ktoś krzyknął, i przerwał tę nienaturalną ciszę. Pociągnął nosem i zauważył, że już od jakiejś chwili czuje w nozdrzach zapach Arłowej. Nawet papierosy nią pachniały; nosiła skórzaną papierośnicę w torebce i każdy papieros stamtąd wyjęty miał woń jej pudru... Cisza trwała nieprzerwanie. Słychać było tylko skrzywienie pryczy za każdym poruszeniem ciała.

Rubaszow zamierzał właśnie wstać i zapalić nowego papierosa, kiedy tykanie w murze rozległo się na nowo.

IDA, mówiło tykanie.

Rubaszow wyteżył słuch. Słyszał jak krew pulsuje mu w skroniach, ale poza tym nic. Czekał. Cisza jeszcze się wzmogła. Zdjął binokle i wystukał:

NIC NIE SŁYSZE...

Przez dobrą chwilę Nr 402 nie odpowiadał. Nagle zastukał, tym razem głośno i ostro:

Nr 380. PODAJCIE DALEJ.

Rubaszow podniósł się szybko. Zrozumiał. Wiadomość została przestukana poprzez jedenaście cel, przez sąsiadów Nr 380. Więźniowie cel między nr 380 a nr 402 tworzyli w mroku i ciszy łańcuch akustyczny. Byli bezbronni, zamknięci w czterech ścianach; tak się wyrażała ich solidarność. Rubaszow zeskokczył z pryczy, podbiegł bosą do drugiej ściany, stanął koło wiadra i zastukał do Nr 406:

UWAGA. Nr 380 BĘDZIE ZARAZ ROZSTRZELANY. PODAJCIE DALEJ.

Nasłuchiwał. Wiadro cuchnęło; jego wyziewy wyparły zapach Arłowej. Odpowiedzi nie było. Rubaszow wrócił szybko do pryczy. Tym razem stukał palcami, nie binoklami:

KIM JEST Nr 380?

Znowu nie otrzymał odpowiedzi. Domyślił się, że Nr 402, tak jak on, porusza się na kształt wahadła między dwiema ścianami celi. Za nim, w dalszych jedenastu celach, więźniowie biegają bezszelestnie, na bosych nogach tam i z powrotem, od jednej ściany do drugiej. Teraz Nr 402 wrócił do jego ściany; oznajmił:

ODCZYTUJĄ MU WYROK. PODAJCIE DALEJ.

Rubaszow powtórzył pytanie:

KTO TO?

Ale Nr 402 już odszedł. Przekazywanie wiadomości Rip van Winklowi nie miało sensu, ale mimo to Rubaszow podbiegł do muru przy wiadrze i przestukał ją; zmuszało go do tego jakies nieokreślone poczucie obowiązku, świadomość, że nie wolno przerywać łańcucha. Bliskość wiadra przyprawiała go o mdłości. Wrócił po omacku do pryczy i czekał. Z zewnątrz wciąż jeszcze nie dochodził żaden najśłabszy odgłos. Tylko ściana tykała znowu:

KRZYCZY O POMOC.

KRZYCZY O POMOC, zastukał Rubaszow do Nr 406. Nasłuchiwał. Nic stamtąd nie dochodziło. Bał się, że gdy jeszcze raz zbliży się do wiadra, schwycą go torsje.

PROWADZĄ GO. KRZYCZY I BRONI SIĘ. PODAJCIE DALEJ.

JEGO NAZWISKO? wystukał szybko Rubaszow, zanim Nr 402 jeszcze zdążył skończyć zdanie. Tym razem otrzymał odpowiedź:

BOGROW. OPOZYCJA. PODAJCIE DALEJ.

Pod Rubaszowem ugięły się nogi. Oparł się o ścianę i zastukał do Nr 406:

MIKOŁAJ BOGROW, DAWNY MARYNARZ NA OKRĘCIE WOJENNYM „PATIOMKIN”, DOWÓDCA FLOTY WSCHODNIEJ, ODZNACZONY PIERWSZYM ORDEREM REWOLUCJI, IDZIE NA STRACENIE.

Otarł pot z czoła, wymiotował do wiadra i skończył zdanie: PODAJCIE DALEJ.

Nie potrafił wywołać z pamięci postaci Bogrowa, ale widział kontury jego potężnego ciała, niezgrabne, zwisające ciężko ramiona, piegi na szerokiej, płaskiej twarzy z lekko zadartym nosem. Na wygnaniu, po roku 1905, mieszkali w jednym pokoju; Rubaszow nauczył go czytać, pisać i objaśnił mu podstawy myślenia historycznego; odtąd, gdziekolwiek zdarzyło mu się przebywać, otrzymywał dwa razy do roku ręcznie pisany list, kończący się niezmiennie tymi samymi słowami: „Twój, wierny aż do śmierci, towarzysz Bogrow”.

IDA, zastukał nagle Nr 402 tak głośno, że Rubaszow, stojąc ciągle jeszcze przy wiadrze, z głową opartą o ścianę, usłyszał szczyr poprzez całą celę: STAŃCIE PRZY JUDASZU. BIJCIE W DRZWI. PODAJCIE DALEJ. Podeszedł po ciemku do drzwi celi i czekał. Było cicho, jak przedtem.

W kilka sekund później w murze znów rozległo się tykanie: TERAZ.

Wzdłuż korytarza zaczął narastać niski, głuchy, stłumiony odgłos bębnienia. Nie było to ani pukanie, ani zwykłe łomotanie: więźniowie cel nr 380 do nr 402, stanowiący łańcuch akustyczny i stojący w ciemności, jak gwardia honorowa, każdy za swoimi drzwiami, naśladowali do złudzenia uroczysty dźwięk głucho warczących bębnow, jakby przywiany wiatrem z daleka. Rubaszow przywarł oczami do otworu judasza i dołączył do tego chóru, rytmicznie uderzając obiema rękami w betonowe drzwi. Ze zdumieniem stwierdził, że fala zgłoszonego warkotu przesuwana się w prawo, poprzez nr 406 i dalej jeszcze; Rip van Winkle jednak zrozumiał; także i on bębnił.

Jednocześnie, od lewej, ciągle jeszcze z rejonu leżącego poza jego polem widzenia, Rubaszow usłyszał zgrzyt żelaznych drzwi, rozsuwających się na szynach. Bębnienie po lewej wzrosło o ton; Rubaszow domyślił się, że otwarto żelazne drzwi, dzielące cele izolacyjne od cel zwykłych. Zadzźwięczał pęk kluczy, potem zamknięto te drzwi z powrotem. Usłyszał zbliżające się kroki. Towarzyszył im odgłos, każący się domyślać, że po filizach podłogi coś się ślizga i powłóczy. Bębnienie po lewej wspięło się w górę, jak fala, równym, stłumionym crescendo.

Pole widzenia Rubaszowa, kończące się na linii cel nr 401 i nr 407 było jeszcze wciąż puste. Odgłosy ślizgania się i piszczenia zbliżały się szybko. Teraz Rubaszow rozróżnił także jęki i łkanie, jakby zachłystywanie się małego dziecka. Kroki zbliżały się szybko, bębnienie po lewej trochę opadło, po prawej się wzmogło.

Rubaszow uderzał w drzwi, jak w bęben. Stopniowo zatracił poczucie czasu i miejsca, słyszał tylko głuche bębnienie, jakby tam-tamu w dzungli; można było myśleć, że to małpy stoją za kratami klatek i bębnią, uderzając się w piersi; przywarł okiem do otworu judasza, wnosząc się i opadając na palcach, w tym samym rytmie, w jakim bił w drzwi. Jak dotąd, widział tylko mdłe, żółtawe światło żarówki na korytarzu; poza żelaznymi drzwiami od nr 401 do nr 407 nie było nic widać, ale bębnienie wzmagało się, a szuranie i płacz stawały się coraz bliższe. Nagle w jego pole widzenia weszły zamglone postacie: to byli oni. Rubaszow przestał bębnić i wlepił w nich oczy. W chwilę później już ich nie było.

To, co zobaczył w ciągu tych kilku sekund wżarło mu się w pamięć na zawsze. Przesunęły się przed oczami dwie słabo oświetlone postacie, obie w mundurach, duże i niewyraźne, a między nimi, trzecia, którą trzymali pod ramiona i ciągnęli siłą. Postać pośrodku zwiślała z ich rąk bezwładnie, a jednak sztywno jak lalka, wyciągnięta w całej długości, z twarzą zwróconą ku ziemi, brzuchem wypuczonym w dół. Nogi wlokły się z tyłu, buty sunęły na czubkach, wydając ten piskliwy dźwięk, który Rubaszow słyszał z daleka. Na twarz z otwartymi ustami, zwróconą ku kamiennym płytom, spływały kosmyki siwawych włosów. Pokrywały ją krople potu; z ust sączyła się po brodzie cienkim strumieniem ślina.

Kiedy go wywlekli z pola widzenia Rubaszowa, dalej na prawo i wzdłuż korytarza, ucichło także stopniowo jęczenie i chlipanie; dochodziło już tylko jako słaby pogłos, na który składały się trzy samogłoski: „u—a—o”. Ale nim zniknęli za załomem, przy końcu korytarza, koło pokoju fryzjera, Bogrow dwa razy głośno zawył i tym razem Rubaszow usłyszał nie tylko samogłoski, ale całe słowo; było to jego własne nazwisko, słyszał je zupełnie wyraźnie: Ru—ba—szow.

Potem, jakby na dany znak, zapadło milczenie. Światło elektryczne paliło się, jak zwykle, korytarz był pusty, jak zwykle. Tylko Nr 406 stukał w ścianę ze zwykłym błędem:

WYKŁĘTY POWSTA LUDU ZIEMI.

Rubaszow leżał znowu na pryczy, nie pamiętając, jak się tam dostał. W uszach słyszał wciąż jeszcze dźwięki werbla, ale cisza panująca teraz była prawdziwa, pusta i zwolniona z napięcia. Nr 402 prawdopodobnie spał. Bogrow, a raczej łachman tego czym był niegdyś, prawdopodobnie już nie żył.

„Rubaszow, Rubaszow...” ten ostatni krzyk wbił się nieodwołalnie w jego pamięć słuchową. Obraz optyczny nie był tak ostry. Ciągłe jeszcze jakoś nie dało się utożsamić z Bogrowem owa bezwładna kukła, o wilgotnej twarzy i sztywnych, powłóczących nogach, którą w ciągu tych kilku sekund przeciągnięto przez jego pole widzenia. Dopiero teraz uprzytomnił sobie siwemu marynarzowi, by wydobyć z jego krtani to dziecinne chlipanie? Czy Arłowa tak samo płakała, gdy ją wieziono przez korytarz?

Rubaszow usiadł i przytknął czoło do ściany, za którą spał Nr 402; bał się, że znowu chwycą go wymioty. Nigdy dotąd nie wyobraził sobie tak szczegółowo śmierci Arłowej. Było to dla niego zawsze wydarzenie dalekie i abstrakcyjne; pozostało mu po nim uczucie dolegające, ale nigdy dotąd nie wątpił w logiczną słuszność swego postępowania. Teraz, gdy młodości wywracały mu żołądek i sprawiły, że nawet pot ustąpił z czoła, teraz jego dawny sposób myślenia wydał się obłędem. Płacz Bogrowa zakłócił logiczne równanie. Arłowa stanowiła dotąd jeden z czynników tego równania; czynnik nikły w stosunku do tego, o co szła rozgrywka. Ale równanie przestało się zgadzać. Matematyczna równowaga zachwiała się przez obraz nóg Arłowej, obutych w pantofle na wysokich obcasach i ciągnionych wzdłuż korytarza. Czynniki mało znaczący urósł do nieskończoności, do absolutu; szlochanie Bogrowa, nieludzki dźwięk głosu, który wywołał jego nazwisko, głuchy warkot bębnow: to wszystko stłumiło, pokryło wiotki głos rozumu, jak piana morska pokrywa bulgot tonącego.

Wyczerpany przeżyciami zasnął w pozycji siedzącej — głowa opierała się o mur, binokle tkwiły przed zamkniętymi oczami.

Jęczał we śnie; znowu wrócił sen o pierwszym aresztowaniu; ręka, zwisająca bezwładnie z łóżka, usiłowała trafić w rękaw szlafroka; czekał, żeby nareszcie nastąpiło uderzenie, ale daremnie.

Zamiast tego obudził się, bo nagle w jego celi zapalono światło elektryczne. Przy łóżku ktoś stał i patrzył na niego. Rubaszow spał najwyżej kwadrans, ale po tym marzeniu sennym trzeba mu było zawsze kilku minut, by wrócić do przytomności. Mrużył oczy w jasnym świetle, umysł febrycznie przebiegał szereg zwykłych hipotez, jak gdyby odprawiał jakiś nieświadomy rytuał. Znajduje się w celi: ale nie w kraju wroga — to był tylko sen. Jest zatem wolny — ale nad łóżkiem nie ma oleodruku Nr 1 i po drugiej stronie tkwi wiadro. Zresztą Iwanow stoi przy łóżku i dmucha mu dymem papierosa w twarz. Czy to też jest sen? Nie, Iwanow jest prawdziwy, wiadro jest prawdziwe. Jest więc we własnym kraju, który stał się krajem wrogim; a Iwanow, który kiedyś był przyjacielem, także się stał wrogiem; chlipanie Arłowej także nie było snem. Choć nie, to nie była Arłowa, tylko Bogrow, którego ciągnęli wzdłuż korytarza jak woskową lalkę. Towarzysz Bogrow, wierny aż do śmierci, wołał jego nazwisko; to nie był sen. A Arłowa powiedziała znowu: „Możesz ze mną zrobić co chcesz...”

„Czy jesteś chory?” zapytał Iwanow.

Rubaszow, oślepiiony światłem, patrzył na niego zmrużonymi oczyma. „Daj mi szlafrok”, powiedział.

Iwanow przyglądał mu się uważnie. Prawy policzek Rubaszowa był spuchnięty. „Chcesz wódki?” zapytał. Nie czekając odpowiedzi, pokuszyła go judasza i krzyknął coś na korytarz. Rubaszow poszedł wzrokiem za nim, ciągle jeszcze mrużąc oczy. Zamroczenie nie ustępowało. Obudził się, ale widział, słyszał i myślał jakby przez mgłę.

„Czy ciebie zaaresztowali także?”, zapytał.

„Nie”, odpowiedział spokojnie Iwanow. „Przyszedłem tylko z wizytą. Zdaje się, że masz gorączkę”.

„Daj mi papierosa”, rzekł Rubaszow. Zaciągnął się głęboko raz i drugi, wzrok jego stał się jaśniejszy. Położył się znowu, palił i patrzył w sufit. Drzwi celi się otworzyły; dozorca przyniósł butelkę wódki i szklankę. Tym razem nie był to staruch, ale szczupły chłopak w mundurze, z okularami w stalowej oprawie. Zasalutował przed Iwanowem i zamknął drzwi od zewnątrz. Na korytarzu słychać było jego oddalające się kroki.

Iwanow usiadł na brzegu pryczy Rubaszowa i napełnił szklankę. „Pij”, powiedział. Rubaszow wypił duszkiem. Zamroczenie ustąpiło, wypadki i postacie — pierwsze i drugie aresztowanie, Arłowa, Bogrow, Iwanow — zajęły właściwe miejsce w czasie i przestrzeni.

„Boli cię?” zapytał Iwanow.

„Nie”, odpowiedział Rubaszow. Jedyna rzecz, której ciągle je-

szcze nie rozumiał to to, skąd Iwanow wziął się w jego celi.

„Masz bardzo spuchnięty policzek. Pewnie masz także gorączkę”.

Rubaszow wstał z pryczy, wyjrzał przez otwór judasza na pusty korytarz i przeszedł się po celi raz i drugi, póki nie rozśniło mu się w głowie zupełnie. Wtedy zatrzymał się przed Iwanowem, który siedział na skraju pryczy i cierpliwie puszczał kółka z dymu.

„Skąd się tu wzięłeś?” zapytał.

„Chcę z tobą porozmawiać”, odpowiedział Iwanow. „Połóż się i napij się jeszcze wódki”.

Rubaszow z ironią popatrzył na niego przez binokle. „Do tej pory”, powiedział, „byłem gotów uważać, że działasz w dobrej wierze. Teraz widzę, że jesteś świnią. Wynoś się stąd”.

Iwanow się nie ruszał. „Bądź łaskaw mi powiedzieć, na jakiej podstawie tak twierdzisz”, powiedział.

Rubaszow oparł się o ścianę celi nr 406 i spojrzął z góry na Iwanowa, który palił spokojnie papierosa.

„Po pierwsze”, rzekł Rubaszow, wiedziałeś o mojej przyjaźni z Bogrowem. Wobec tego postarałeś się o to, by Bogrowa — a raczej resztki, które z niego zostały — dla przestrogi przeprotawadzone na skazanie obok mojej celi. Aby być pewnym, że mnie ta scena nie ominie, ogłasza się dyskretnie egzekucję Bogrowa, na krótko przedtem, z założeniem, że sąsiedzi przestukają mi tę wiadomość, co też ma miejsce. Dalszą finezją reżyserii stanowią powiadomienie Bogrowa o mojej obecności tutaj i to w sekundę przed wywleczeniem go na śmierć, z dalszym założeniem, że ten ostateczny cios wywoła u niego jakąś głośną manifestację; i to się udaje. Wszystko to ma na celu wprowadzenie mnie w stan depresji. W tej najciemniejszej godzinie, towarzysz Iwanow zjawia się jako zbawiciel, z butelką wódki pod pachą. Następuje wzruszająca scena pojednania, padamy sobie w ramiona, wymieniamy rzewne wspomnienia z czasów wojny i od niechęci podpisujemy moje przyznanie się do winy. Po czym więzień zapada w słodki sen; towarzysz Iwanow wymyka się na palcach z papierem w kieszeni i parę dni później dostaje awans... Teraz bądź tak dobry i wynieś się stąd”.

Iwanow nie drgnął. Wypuszczał dym i uśmiechał się, pokazując złote zęby. „Czy naprawdę myślisz, że jestem aż tak prymitywny?” zapytał. „A raczej, mówiąc ściślej: czy naprawdę uważasz mnie za tak lichego psychologa?”

Rubaszow wzruszył ramionami. „Mam dość waszych podstępów”, powiedział. „Nie mogę cię wyrzucić za drzwi. Jeśli ci została jeszcze krztyna przyzwoitości, daj mi wreszcie spokój. Nie wyobrażasz sobie, jak mam was wszystkich dosyć”.

Iwanow podniósł szklankę z podłogi, napełnił ją i wypił. „Proponuję następującą umowę”, powiedział. „Pozwolisz mi mówić przez pięć minut, nie będziesz mi przerywał i wysłuchasz tego co powiem z jasną głową. Jeśli potem dalej będziesz się upierał, żebym sobie poszedł — pójdę”.

„Słucham”, rzekł Rubaszow. Stał naprzeciw Iwanowa, oparty o ścianę i patrzył na zegarek.

„Po pierwsze”, rzekł Iwanow, „aby usunąć jakiegokolwiek możliwe wątpliwości czy urojenia, które możesz żywić: rzeczywiście rozstrzelano Bogrowa. Po drugie, siedział w więzieniu od kilku miesięcy, a pod koniec był przez kilka dni torturowany. Jeśli wspomnisz o tym w czasie rozprawy publicznej, albo chociażby przestukasz te dane twoim sąsiadom — to mnie wykończą. O tym, dlaczego postąpiono z Bogrowem w ten sposób, pomówimy później. Po trzecie: umyślnie przeprowadzono go koło twojej celi i umyślnie powiedziano mu, że tu jesteś. Po czwarte: ten podły podstęp, jak to nazwałeś, został zaaranżowany nie przeze mnie, ale przez mego kolegę Gletkina, wbrew memu wyraźnemu zakazowi”.

Zrobił przerwę. Rubaszow stał oparty o mur i nic nie mówił. „Ja nigdy nie popełniłbym takiego błędu”, ciągnął dalej Iwanow; „nie dlatego, by ciebie oszczędzić, ale dlatego, że jest to niezgodne z przyjętą przeze mnie taktyką i ze znajomością twojej psychiki. Ostatnio zdradzasz skłonność do skrupułów humanitarnych i inne, tego rodzaju, sentymentalizmy. Zresztą ciągle jeszcze nie strawiłeś sprawy Arłowej. Widok Bogrowa mógł tylko pogłębić depresję, w jakiej się znajdujesz i dyspozycje moralistyczne — to było do przewidzenia; tylko partacz w psychologii, jak Gletkin, mógł popełnić taki błąd. Od dziesięciu dni wiercił mi dziurę w brzuchu, że powinienem do ciebie zastosować „twardą rękę”. Z jednej strony nie lubi cię dlatego, że pokazałeś mu się w dziurawych skarpetkach, a z drugiej, jest przyzwyczajony do chłopów... Tyle co do wyjaśnienia sprawy z Bogrowem. Wódkę zamówiłem oczywiście dlatego, że byłeś półprzytomny, kiedy tu wszedłem. Upicie ciebie nie leży w moim interesie. Prowokowanie szoków psychicznych nie jest także moim zamiarem. To wszystko może tylko pogłębić twoją egzaltację moralną. Dla moich celów musisz być trzeźwy i logiczny. Ja mam tylko jedną rzecz na widoku: abyś swój przypadek spokojnie domyślał do końca. Bo z chwilą, gdy tę całą sprawę domyślisz do końca — wtedy, i tylko wtedy, skapitulujesz...”

Rubaszow wzruszył ramionami; ale zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć, Iwanow mu przerwał:

„Ja wiem, że jesteś przekonany, iż się nie poddasz. Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie: gdybyś się przekonał o logicznej konieczności i obiektywnej słuszności kapitulacji — czy wtedy zdecydowałbyś się na ten krok?”

Rubaszow nie od razu odpowiedział. Czuł niewyraźnie, że rozmowa wzięła obrót, na jaki nie powinien był pozwolić. Naznaczone pięć minut minęły, a on nie wyrzucił Iwanowa. Już to, tak mu się zdawało, było zdradą wobec Bogrowa — i Arłowej; i Ryszarda, i Małego Loewy.

„Idź stąd”, powiedział do Iwanowa. „Daj mi spokój”. Dopiero teraz zauważył, że od jakiegoś czasu chodzi tam i z powrotem po celi, tuż przed Iwanowem.

Iwanow siedział na pryczy. „Poznaję po twoim głosie”, rzekł, „że przyznajesz się do pomyłki, jeśli chodzi o rolę, jakąś mi przypisywał w sprawie Bogrowa. Dlaczego więc chcesz, żebym sobie poszedł? Dlaczego nie odpowiadasz na pytanie, które ci zadałem?...” Pochylił się z lekka w przód i patrzył Rubaszowowi w twarz z ironicznym uśmiechem; potem powiedział powoli, podkreślając każde słowo: „Bo się mnie boisz. Bo mój sposób myślenia i wnioskowania jest taki sam, jak twój, i dlatego, że boisz się echa we własnej głowie. Za chwilę zawołasz: Idź precz, szatanie...”

Rubaszow nie odpowiadał. Krążył przed Iwanowem tam i na powrót. Czuł się bezbronny i niezdolny do jasnego argumentowania. Poczucie winy, które Iwanow nazywał „egzaltacją moralną”, nie dawało się wyrazić żadną logiczną formułą — należało do świata „fikcji gramatycznej”. Jednocześnie jednak, każde zdanie Iwanowa rzeczywiście wywoływało w nim jakieś echo. Czuł, że nie powinien się być dać wciągnąć w tę dyskusję. Miał poczucie, że znalazł się na gładkiej równi pochyłej, po której nieuchronnie zsuwa się w dół.

„Apage Satanas!” powtórzył Iwanow i nalał sobie nową szklankę. „Za dawnych czasów pokusa stawała się ciałem. Dziś przybiera formę czystego rozumowania. Wartości się zmieniają. Miałbym ochotę napisać misterium wielkanocne, w którym Bóg i Diabeł prowadziliby spór o duszę świętego Rubaszowa. Po życiu pełnym grzechów, nawrócił się on do Boga — do Boga o podwójnym podbródku, na który składają się liberalizm gospodarczy i zupkowe miłosierdzie Armii Zbawienia. Szatan natomiast jest chudym, ascetycznym i fanatycznym miłośnikiem logiki. Czyta Machiavella, Ignacego Loyole, Marksa i Hegla; wódec ludzkości jest zimny i bezlitosny, co wynika z pewnego rodzaju matematycznej litości. Jest skazany na robienie zawsze tego, co go najbardziej odpycha: staje się rzeźnikiem, po to, by raz na zawsze skończyć z rzezią, składa ofiarę z owiec po to, by już nigdy więcej owiec nie zabijano, biczuje ludzi, by się rauczylili buntu przeciw biczowaniu, odziera się z wszelkich skrupułów w imię sumienia wyższego rzędu i wyzywa nienawiść człowieka w imię miłości do człowieka — miłości abstrakcyjnej i geometrycznej. „Apage Satanas!” Towarzysz Rubaszow woli być męczennikiem. Dziennikarze prasy liberalnej, którzy go nienawidzili za życia, uznają go świętym po śmierci. Odkrył, że ma sumienie, a sumienie jest równie nie do pogodzenia z rewolucją, jak podbródek. Sumienie przeżera mózg jak rak, pochłaniając całą szarą substancję. Szatan został pobity i cofa się — ale nie wyobraża sobie, że zgrzyta zębami i pluje ogniem z wściekłości. Wzrusza ramionami! jest chudy i ascetyczny; spotkał już wielu, którzy osłabli i wymknęli się z szeregu pod jakimś pompatycznym pretekstem...”

Iwanow zatrzymał się i nalał sobie jeszcze jedną szklankę wódki. Rubaszow przechadzał się pod oknem tam i z powrotem. Po chwili zapytał:

„Za co skazaliście Bogrowa?”

„Za co? Z powodu okrętów podwodnych”, powiedział Iwanow. „Chodziło o tonaż — stary spór, którego początki musisz znać. Bogrow był zwolennikiem okrętów podwodnych o dużym tonażu i dalekim zasięgu działania. Partia woli małe okręty podwodne o mniejszym zasięgu. Za te same pieniądze można zbudować trzy razy tyle małych okrętów podwodnych, co dużych. Obie strony miały ważne argumenty natury technicznej. Eksperti przedstawili olbrzymie bogactwo rysunków technicznych i formuł algebraicznych; ale właściwe zagadnienie leżało na zupełnie innej płaszczyźnie. Wielkie okręty podwodne to: polityka agresji dla wywołania rewolucji światowej. Małe okręty podwodne to: obrona wybrzeży — zatem, samoobrona i odłożenie rewolucji światowej na później. Ten ostatni punkt widzenia wyznaje Nr 1 i Partia.

„Bogrow miał bardzo wielu zwolenników w admiralicji i wśród oficerów starej gwardii. Odstawienie go na boczny tor nie byłoby wystarczające; trzeba go było zdyskredytować. Obmyślono rozprawę, w której zwolennicy wielkiego tonażu mieli być zde-maskowani jako sabotażyści i zdrajcy. Wielu mniej ważnych inżynierów doprowadziliśmy już do takiego stanu, że gotowi byli wyznać publicznie wszystko, cośmy chcieli. Ale Bogrow popsuł całą zabawę. Do samego końca deklamował o wielkim tonażu i rewolucji światowej. Został dwa dziesiątki lat w tyle za naszą epoką. Nie rozumiał, że obecna epoka nam nie sprzyja, że Europa przeżywa okres reakcji, że jesteśmy na dnie fali i musimy czekać, aż następna fala wyniesie nas na szczyt. Na rozprawie jawnej wywołałby tylko zamieszanie wśród publiczności. Nie było innej drogi, jak zlikwidować go w trybie administracyjnym. Czy będąc w naszym położeniu, nie postąpiłbyś tak samo?”

Rubaszow nie odpowiedział. Zatrzymał się i znów oparł się o ścianę celi nr 406, w pobliżu wiadra. Unosił się z niego smród przyprawiający o mdłości. Zdjął binokle i spojrzał na Iwanowa przekrwionymi oczami ściganego zwierzęcia.

„Nie słyszałeś, jak jęczał”, powiedział.

Iwanow zapalił papierosa ogarkiem poprzedniego; smród, idący z wiadra, także i jemu wydawał się nie do zniesienia.

„Nie”, odparł. „Nie słyszałem. Ale słyszałem i widziałem podobne rzeczy. I co z tego wynika?”

Rubaszow milczał. Podejmować próbę tłumaczenia, nie miało sensu. Jak echo nawróciły do uszu jęki i stłumione bębnienie. Tego nie można wyrazić. Ani tego zaokrąglenia piersi Arłowej z ciepłym, ostrym sutkiem. Niczego nie podobna wyrazić. Na kartce, którą mu wetknął fryzjer, było napisane „Umrzój w milczeniu”.

„I co z tego?” powtórzył Iwanow. Wyciągnął protezę i czekał. Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, ciągnął dalej:

„Gdybym miał choć żdźbło litości dla ciebie, zostawiłbym cię teraz w spokoju. Ale nie mam tego żdźbła litości. Piję; przez

pewien czas, jak ci wiadomo, używałem narkotyków; ale od nałogu litości, jak dotąd, udało mi się uchronić. Nawet najmniejsza dżoza może człowieka zgubić. Znasz patologiczną skłonność naszej rasy do ronienia łez nad ludzkością i roztkliwiania się nad samym sobą. Nasi najwięksi poeci zadali sobie śmierć tą trucizną. Byli rewolucjonistami do czterdziestki, pięćdziesiątki — potem zżerała ich litość i świat ich kanonizował. Zdaje się, że trawi cię ta sama ambicja, i wierzysz, że jest to proces odosobniony, który tylko ciebie dotyczy, coś dotąd niespotykanego...”

Mówił teraz trochę głośno i puszczał kłęby dymu. „Uważaj na te ekstazy”, powiedział. „Każda butelka wódki zawiera pewną określoną dżozę ekstazy. Niestety tylko bardzo niewielu, zwłaszcza wśród naszych rodaków, zdaje sobie z tego sprawę, że ekstazy wywołane środkami czysto chemicznymi. Kiedy obudziłem się z narkozy i odkryłem, że moje ciało kończy się na lewym kośćcu, doznałem także czegoś w rodzaju absolutnej ekstazy niewiary. Czy przypominasz sobie kazania, jakie mi wtedy prawiłeś?” Nalał nową szklanke i wychylił.

„O co mi idzie?”, podjął znowu. „Nie należy patrzeć na świat jako na swego rodzaju metafizyczny burdel dla naszych wzruszeń. To jest dla nas pierwsze przykazanie. Współczucie, wstrzymanie, obrzydzenie, rozpacz, skrucha i pokuta to dla nas odpychające rozpusta. Usiąść i dać się zahipnotyzować przez własny pępek, unieść oczy w górę i pokornie nadstawić kark pod rewolwer Gletkina — to bardzo łatwe rozwiązanie. Największą pokusą dla takich, jak my, jest: odciąć się od gwałtu, wzbudzić akt skruchy, zawrzeć pokój ze samym sobą. Najwięksi rewolucjoniści ulegli tej pokusie, zaczynając od Spartacusa, kończąc na Dantonie i Dostojewskim; stanowią oni klasyczne przykłady zdrady naszej sprawy. Pokusy idące od Boga były dla ludzkości zawsze bardziej niebezpieczne od pokus Szatana. Tak długo, jak nad światem panuje chaos, Bóg jest anachronizmem; a każdy kompromis z własnym sumieniem jest perfidią. Zatkaj sobie uszy palcami, kiedy przemawia do ciebie przeklęty głos wewnętrzny...”

Namacał za sobą butelkę, i nalał sobie nową szklanke. Rubaszow zauważył, że butelka była już do połowy wypróżniona. „Tobie by się też przydała odrobina pociechy”, pomyślał.

„Najwięksi zbrodniarze historii”, ciągnął dalej Iwanow, „to nie ci z rodzaju Nerona i Fouchégo, ale ci typu Gandhiego i Tołstoja. Wewnętrzny głos Gandhiego bardziej przeszkodził wyzwoleniu Indii od armat brytyjskich. Sprzedać się za trzydzieści srebrników, to uczciwa transakcja; ale zaprzedać się własnemu sumieniu, równa się zdradzie ludzkości. Historia jest amoralna a priori; nie ma sumienia. Prowadzenie historii według zasad szkoły parafialnej oznacza pozostawienie wszystkiego po staremu. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja sam. Wiesz o jak

wielką stawkę chodzi i zaczynasz mi opowiadać o jękach Bogrowa...”

Wypróżnił szklanke i dodał:

„Albo o wyrzutach sumienia z powodu twojej tłustej Arłowej”.

Rubaszow pamiętał z dawnych czasów, że Iwanow ma mocną głowę; w jego zachowaniu nie było żadnej zmiany, poza odrobinę bardziej pompatycznym, niż zwykle, sposobem mówienia. „Tobie też trzeba pocieszenia”, pomyślał znowu Rubaszow, „może bardziej, niż mnie”.

Usiadł na niskim stołku naprzeciw Iwanowa i słuchał. Nie słyszał nic nowego; przez lata bronił takiego samego stanowiska, tymi samymi lub podobnymi słowami. Różnica polegała na tym, że za tamtych czasów, procesy wewnętrzne, o których Iwanow wyrażał się z taką pogardą, były dla niego czystą abstrakcją; teraz doświadczył „fikcji gramatycznej”, jako rzeczywistości dotykanej, związanej z jego własnym ciałem. Ale czy te irracjonalne procesy stały się bardziej dopuszczalne dlatego tylko, że doznał ich teraz na własnym ciele? Czy dlatego tylko stało się mniej konieczne walczyć z „trucizną mistyczną”, że zatrul się nią osobiście? Rok temu, kiedy skazał Arłową na śmierć, brakło mu wyobraźni, aby sobie wyobrazić jej egzekucję we wszystkich szczegółach. Czy teraz postąpiłby inaczej, jedynie z tego powodu, że poznał pewne aspekty tej egzekucji? Poświęcenie Ryszarda, Arłowej i Małego Loewy — było słuszne albo niesłuszne. Ale co wspólnego miało jękanie się Ryszarda, kształt piersi Arłowej czy chlupanie Bogrowa z obiektywną słusnością czy niesłusnością samego zabiegu?

Rubaszow zaczął się znowu przechadzać wzdłuż celi. Czuł, że wszystko, czego doznał od chwili aresztowania, było tylko wstępem; wszystkie jego rozmyślenia doprowadziły go do martwego punktu, do progu tego, co Iwanow nazwał „metafizycznym domem publicznym” — i wszystko trzeba zacząć od początku. Ale ile czasu mu jeszcze zostało? Zatrzymał się, wyjął szklanke z ręki Iwanowa i wypróżnił ją. Iwanow patrzył na niego uważnie.

„No widzisz”, powiedział z przelotnym uśmiechem. „Monologi w formie dialogu, to bardzo pożyteczna instytucja. Mam nadzieję, że z powodzeniem naśladowałem głos kusiciela. Szkoda tylko, że druga strona jest nieobecna. Ale to jest jeden z jej podstępów, że nie daje się nigdy wciągnąć w dyskusję racjonalną. Zawsze napada człowieka w chwilach, kiedy jest bezbronny, kiedy jest samotny i zawsze ukazuje się w efektownych kulisach: w krzaku gorącym, albo na wierzchołkach gór, obleczonego chmurami — a szczególnie upodobanie ma do ofiar pogrążonych we śnie. Metody tego wielkiego moralisty są dosyć nieprzyzwoite i teatralne...”

Rubaszow przestał słuchać. Chodząc tam i na powrót zastanawiał się nad tym, czy dzisiaj, gdyby Arłowa jeszcze żyła, poświęciłby ją po raz drugi. Ten problem go urzekał; zdawało się,

że w nim jest zawarta odpowiedź na wszystkie inne pytania... Zatrzymał się przed Iwanowem i zapytał:

„Czy pamiętasz „Raskolnikowa”?”

Iwanow uśmiechnął się ironicznie. „Należało się spodziewać, że prędzej czy później dojdiesz i do tego. Wina i kara... Naprawdę, zdziwciniałeś albo stetryczałeś...”

„Czekaj, czekaj”, powiedział Rubaszow, chodząc nerwowo tam i na powrót. „To wszystko było tylko gadanie, ale teraz docho-dzimy do sedna rzeczy. O ile sobie dobrze przypominasz, chodzi o to, czy student Raskolnikow ma prawo zabić tę starą kobietę? Jest młody i zdolny; ma w kieszeni jeszcze niewykupiony czek swego przyszłego życia; ona jest stara i światu absolutnie niepotrzebna. Ale równanie się nie zgadza. Przede wszystkim, okoliczności zmuszają go do zamordowania drugiej osoby; jest to nielogiczne i nie dające się przewidzieć następstwo postępowania na pozór prostego i logicznego. Potem równanie wali się w każdym przypadku, bo Raskolnikow odkrywa, że dwa razy dwa nie jest cztery, gdy jednostki matematyczne są istotami ludzkimi...”

„Naprawdę”, powiedział Iwanow, „jeśli mam być szczerzy, to według mnie należałoby spalić wszystkie egzemplarze tej książki. Pomyśl tylko, do czego by nas ta mgławicowa filozofia humanitarna doprowadziła, gdybyśmy ją chcieli pojmować dosłownie; gdybyśmy chcieli przyjąć zasadę, że jednostka jest rzeczą świętą i że nie wolno posługiwać się życiem człowieka zgodnie z prawami arytmetyki. Znaczyliby to, że dowódca batalionu nie może poświęcić patrolu, by uratować oddział. Ze nie wolno nam poświęcić wariatów z gatunku Bogrowa, i że powinniśmy dopuścić do tego, iż za parę lat miasta na naszym wybrzeżu zostaną rozniesione w puch i prach...”

Rubaszow potrzęsnał głową:

„Wszystkie twoje przykłady są wzięte z wojny — to znaczy, z okoliczności wyjątkowych”.

„Od czasu wynalazku maszyny parowej”, odpowiedział Iwanow, „świat znajduje się bez przerwy w okolicznościach wyjątkowych; wojny i rewolucje są tylko widzialnym wyrazem tego stanu rzeczy. Twój Raskolnikow jest jednak idiotą i zbrodniarzem; nie dlatego, że postępując logicznie, zabija staruchę, ale dlatego, że robi to w interesie osobistym. Zasada, że cel uświęca środki, jest i musi być jedyną zasadą etyki politycznej; wszystko inne jest czczą gadaniną i przepływa między palcami... Gdyby Raskolnikow wykończył staruchę na rozkaz Partii — na przykład celem powiększenia funduszu dla strajkujących, albo po to, by zainstalować nielegalną drukarnię — równanie by się zgodziło i powieść wraz z całym mętnym problematem, nie zostałaby nigdy napisana, bez żadnej szkody dla ludzkości”.

Rubaszow nie odpowiedział. Ciągłe jeszcze fascynowała go sprawa, czy dzisiaj, po doświadczeniach ostatnich miesięcy i dni, skazałby Arłową na śmierć ponownie. Nie wiedział. Logicznie biorąc, Iwanow miał rację we wszystkim co powiedział; nie-

widzialny przeciwnik milczał i zaznaczał swoje istnienie tylko przez niewyraźne uczucie niepokoju. I w tym także Iwanow miał rację, że zachowanie „niewidzialnego przeciwnika” z ciągłym unikaniem rozprawy i napadaniem człowieka tylko wtedy, kiedy jest bezbronny, pokazuje go w bardzo wątpliwym świetle...

„Nie mogę się zgodzić na mieszanie ideologii”, prowadził rzecz Iwanow. „Istnieją tylko dwie koncepcje etyki ludzkiej i reprezentują dwa skrajne stanowiska. Jedna z nich jest chrześcijańska i humanitarna; według niej jednostka jest święta, i prawa arytmetyki nie mogą być stosowane do jednostek ludzkich. Druga wychodzi z podstawowej zasady, że cel zbiorowy uświęca wszelkie środki, i nie tylko dopuszcza, ale wręcz wymaga, by jednostka była pod każdym względem podporządkowana i poświęcona sprawom zbiorowości, która może się tą jednostką posługiwać, jak królikiem doświadczalnym albo jak kozłem ofiarnym. Pierwszą koncepcję można by nazwać moralnością anty-wiwisekcyjistów, drugą — moralnością wiwisekcyjistów. Durnie i dyletanci zawsze usiłowali mieszać te dwie koncepcje; w praktyce jest to niemożliwe. Ktokolwiek bierze na siebie ciężar władzy i odpowiedzialności, doświadcza przy pierwszej lepszej okazji, że musi wybierać; i z konieczności wybiera drugą alternatywę. Czy od czasu, kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową, znasz choć jedno państwo, które by uprawiało politykę naprawę chrześcijańską? Nie potrafiłoby wskazać ani jednego. W okolicznościach nagłej potrzeby — a polityka jest chronicznie w stanie nagłej potrzeby — rządzący zawsze powołują się na „okoliczności wyjątkowe”, które wymagają wyjątkowych środków obrony. Od chwili istnienia narodów i klas, wszyscy żyją w ciągłym stanie wzajemnej samoobrony, która ich wiecznie zmusza do tego, aby praktykowanie humanitaryzmu odłożył do innych czasów...”

Rubaszow wyjrzał przez okno. Już tający śnieg przymarzył znowu i lśnił nierówną powierzchnią żółto-białych kryształków. Wartownik, z karabinem na ramieniu, chodził po parapecie tam i na powrót. Niebo było czyste, ale bez księżycy; nad wieżą z karabinem maszynowym białą Mleczna Droga.

Rubaszow wzruszył ramionami. „Przyjmijmy”, powiedział, „że humanitaryzm i polityka, poszanowanie jednostki i postęp społeczny są nie do pogodzenia. Przyjmijmy, że Gandhi jest dla Indii katastrofą; że czystość w wyborze środków prowadzi do niemocy politycznej. Zgódźmy się we wszystkim co negatywne. Ale spójrz tylko, dokąd nas zaprowadziła owa druga możliwość...”

„Świetnie”, podchwycił Iwanow. „A więc dokąd?”

Rubaszow wytarł binokle o rękaw i spojrzął na niego oczami krótkowidza. „Cóż za bałagan”, powiedział, „cóż za bałagan zrobiliśmy z naszego złotego wieku”.

Iwanow uśmiechnął się. „Być może”, przytwierdził wesoło. „Spójrz na Gracchów i na Saint Justa i na Komunę Paryską. Jak dotąd, wszystkie rewolucje były robione przez moralizują-

cych dyletantów. Zawsze działali w dobrej wierze i zawsze ginęli na skutek swego dyletantyzmu. My po raz pierwszy postępujemy konsekwentnie...”

„Rzeczywiście”, przytaknął Rubaszow. „Tak konsekwentnie, że w imię sprawiedliwego podziału ziemi daliśmy świadomie zginąć z głodu około pięciu milionom chłopów i ich rodzinom w ciągu tylko jednego roku. Tak konsekwentni byliśmy w wyzwaniu istot ludzkich z jarzma wyzysku przemysłowego, że około dziesięć milionów ludzi wysłaliśmy na roboty przymusowe w okolice polarne i na stępy Wschodu, na roboty w warunkach, przypominających starożytnie galery niewolnicze. Tak konsekwentni, że znamy tylko jeden argument dla rozstrzygnięcia różnicy zdań: śmierć, czy idzie o okręty podwodne, o nawóz, czy też o linię postępowania Partii w Indochinach. Nasi inżynierowie pracują w stałej świadomości tego, że najmniejszy błąd w obliczeniu może ich wepchnąć do więzienia albo zaprowadzić na szafot; wyżsi urzędnicy naszej administracji rujną i wykończają podwładnych, bo wiedzą, że ponoszą odpowiedzialność za najmniejsze niedopatrzenie i sami mogą być wykończeni; nasi poeci rozstrzygają spory na temat stylu za pomocą donosów do tajnej policji, bo ekspresjonści uważają styl naturalistyczny za kontr-rewolucyjny i na odwrót. Działając konsekwentnie w interesie przyszłych pokoleń, obecnemu narzuciliśmy tak straszne wyrzeczenia, że skróciliśmy przeciętne życie człowieka o jedną czwartą. Po to, by obronić samo istnienie kraju, musieliśmy stosować środki wyjątkowe i ustanowić prawa przejściowe, które w każdym punkcie sprzeczą się z celami Rewolucji. Poziom życia narodu jest niższy, aniżeli był przed Rewolucją; warunki pracy są gorsze, dyscyplina bardziej nieludzka, harówka na akord cięższa niż w koloniach w zastosowaniu do kulisów-tubylców; wiek, w którym podlega się karze głównej, obniżyliśmy do lat dwunastu; nasze prawa seksualne są bardziej ciasne, niż w Anglii, nasz kult przywódców bardziej bizantyjski, niż w dyktaturach reakcyjnych. Nasza prasa i nasze szkoły gloryfikują szowinizm, militarizm, dogmatyzm, konformizm i ciemnotę. Despotyczna władza rządu jest nieograniczona i niebywała w historii; wolność prasy, słowa i ruchu zostały wyteplone tak dokładnie, jak gdyby nie było Deklaracji Praw Człowieka. Skonstruowaliśmy najbardziej gigantyczny aparat policyjny, że szpiegów zrobiliśmy instytucją narodową i posiadamy najbardziej wyrafinowany system naukowy tortury fizycznej i duchowej. Gnany bogami jęczące masy naszego kraju ku teoretycznej przyszłej szczęśliwości, którą tylko my jesteśmy w stanie dojrzeć. Bo zasoby i siły naszego pokolenia zostały wyczerpane; wydatkowaliśmy je w Rewolucji; bo nasza generacja się wykrwawiła i nie zostało z niej nic, tylko jęczące, odurzony, apatyczny ochłap mięsa ofiarnego... Oto są konsekwencje naszej konsekwencji. Nazwałś to moralnością wiwisekcyjistów. Mnie się czasem wydaje, że eksperymentatorzy odarli

ofiary ze skóry i pozostawili ją z obnażonymi tkankami, muskułami i nerwami..."

„Świetnie, i co z tego?” zapytał Iwanow wesoło. „Czy nie uważasz, że to jest wspaniałe? Czy było kiedyś coś bardziej wspaniałego w historii? Zdzieramy z ludzkości starą skórę i dajemy jej nową. Nie jest to zajęcie dla ludzi o słabych nerwach; ale kiedyś i ciebie napełniało to entuzjazmem. Cóż cię tak zmieniło, że stałeś się przeczulony, jak stara panna?”

Rubaszow chciał odpowiedzieć: „Pośrodku słyszałem, jak Bogrow wołał mnie po nazwisku”. Ale wiedział, że taka odpowiedź nie ma sensu. Powiedział więc zamiast tego:

„Rozwijając tę samą metaforę: widzę odarte ciało naszego pokolenia, ale nie widzę śladu tej nowej skóry. Myśleliśmy wszyscy, że z historią można sobie tak poczynać, jak się robi doświadczenia z dziedziny fizyki. Różnica leży w tym, że w fizyce eksperyment można powtórzyć tysiąc razy, w historii zaś tylko raz jeden. Dantona i Saint Justa można tylko raz posłać na szafot; i gdyby się okazało, że mimo wszystko, należy jednak budować wielkie okręty podwodne, to towarzyszy Bogrow już nie zamartwychwstanie”.

„I co z tego wynika?” zapytał Iwanow. „Czy mamy siedzieć z założonymi rękami dlatego, że nigdy nie można całkowicie przewidzieć konsekwencji swojego postępowania i czy z tego wynika, że wszelkie działanie jest złem? Za każdy nasz czyn odpowiadamy własną głową — nie można od nas więcej wymagać. W obozie przeciwnym nie są tak skrupulatni. Pierwszy lepszy generał idiota może robić doświadczenia z tysiącami żywych istot; jeśli się pomyli, to co najwyżej dostanie dymisję. Siły reakcji czy kontr-rewolucji nie mają skrupułów czy problemów natury etycznej. Wyobraź sobie Sulle, Gallifeta, Kołczaka, czytających Raskolnikowa. Tak dziwne ptaki, jak ty, gnieźdzą się tylko na drzewach Rewolucji. Tamtych jest łatwiej...”

Spojrzał na zegarek. Okno celi przybrało kolor brudno-szary; gazeta, przylepiona w miejsce wybitej szyby wydeła się i szleściła w porannym wietrze. Na obmurowaniu po przeciwnej stronie, wartownik ciągle jeszcze odmierzał sto kroków tam i sto kroków na powrót.

„U człowieka o twojej przeszłości”, ciągnął dalej Iwanow, to nagłe obrzydzenie do eksperymentowania wydaje się raczej naturalne. Corocznie kilka milionów ludzi ginie zupełnie bezsensownie na skutek epidemii czy innych katastrof przyrodniczych. A my mielibyśmy cofnąć się przed poświęceniem paru setek tysięcy dla najbardziej obiecującego eksperymentu w historii? Nie mówiąc już o legionach tych, którzy umierają z niedożywienia i na suchoty w kopalniach węgla i rudy, na polach ryżowych i w plantacjach bawełny. Nikt się o nich nie troszczy; nikt nie pyta, dlaczego tak się dzieje i w imię czego; ale jeśli my tutaj rozstrzelamy parę tysięcy, obiektywnie biorąc szkodliwych ludzi, humanitaryści całego świata zaczynają się pieniść. Tak jest, zlikwidowaliśmy tę część chłopów, która żyła pasożytniczo,

niezależnie od tego, że zginęła z głodu. Była to operacja chirurgiczna, którą trzeba było raz na zawsze przeprowadzić; ale za starych, dobrych czasów przed Rewolucją tyle samo ginęło w każdym roku suszy — tylko że bez sensu i bez celu. Ofiary powodzi, wywoływanych wylewem Żółtej Rzeki w Chinach liczą się niekiedy w setki tysięcy. Natura jest rozrzutna w swoich bezsensownych eksperymentach z ludzkością. Dlaczegożby ludzkość nie miała mieć prawa eksperymentowania na sobie samej?”

Zatrzymał się; Rubaszow nie odpowiadał. Ciągnął dalej:

„Czytałeś może kiedy broszury stowarzyszenia antywiwiskcjonistów? Są wstrząsające i rozdzierające; kiedy się czyta, jak jakieś biedne zwierzę, któremu dopiero co wycięto wątrobę, piszczy i liże ręce oprawcy, wywraca się człowiekowi żołądek, jak tobie wczoraj wieczór. Ale gdyby się postępowało po myśli tych ludzi, nie mielibyśmy dziś zastrzyków przeciw cholercie, tyfusowi, czy dyfterytowi...”

Wypróżnił resztę butelki, ziewnął, przeciągnął się i wstał. Przykuszył do Rubaszowa, stojącego przy oknie i wyjrzał na dwór.

„Dnieje”, powiedział. „Rubaszow, nie bądź kretynem. Wszystko co ci dzisiaj powiedziałem, to podstawowe zasady, które znasz równie dobrze, jak ja. Miałeś atak depresji nerwowej, który już mija”. Stał koło Rubaszowa przy oknie i objął go ramieniem; głos jego brzmiał prawie czule. „Idź i prześpij się teraz, stary wojowniku; jutro mija termin i obaj musimy mieć jasne głowy, by wysmażyć twoje wyznaczenie. Nie wruszaj ramionami — sam jesteś już przez pół przekonany, że je podpisiesz. Jeśli się tego wypierasz, to tylko z moralnego tchórzostwa. Moralne tchórzostwo doprowadziło wielu do męczeństwa”.

Rubaszow patrzył na dwór, w szarzące światło. Wartownik robił właśnie zwrot w prawo. Nad więź z karabinem maszynowym niebo było blade-szare, z czerwonym odcieniem. „Namyśle się jeszcze”, powiedział po chwili.

Kiedy drzwi zamknęły się za gościem, Rubaszow wiedział, że do połowy się już poddał. Rzucił się na prycze, czuł wyczerpanie i jednocześnie dziwną ulgę. Wydawał się sobie wydrażony i wyczerpany do dna, a jednak doznał uczucia, jakby ktoś zdjął z niego wielki ciężar. Patetyczne wezwanie Bogrowa straciło w jego pamięci coś ze swojej akustycznej ostrości. Któż może nazwać zdradą to, że dotrzymuje się wiary nie umarłym, ale żyjącym?

Podczas gdy Rubaszow spał spokojnie i bez marzeń — ból zęba także się uspokoił — Iwanow, wracając do swego pokoju, wstąpił do Gletkina. Gletkin siedział przy biurku w pełnym mundurze i pracował nad aktami. Od lat miał zwyczaj pracować przez całą noc trzy do czterech razy w tygodniu. Gdy Iwanow wszedł do pokoju, Gletkin stanął na baczność.

„Wszystko w porządku”, rzekł Iwanow. „Jutro podpisze. Ale się napociłem, by odrobić wasz idiotyzm”.

Gletkin nie odpowiedział; stał sztywno przed biurkiem. Pamiętając ostre starcie, jakie miał z Gletkinem przed wizytą w celi Rubaszowa i wiedząc, że Gletkin nie łatwo zapomina naganę, Iwanow wzruszył ramionami i dmuchnął mu dymem w twarz. „Nie bądźcie kretynem”, powiedział. „Wszyscy jeszcze chorujecie na ambicje osobiste. Na jego miejscu bylibyście jeszcze bardziej uparci, niż on”.

„Ja mam kregosłup, którego jemu brak”, powiedział Gletkin.

„Ale za to jesteście idiotą”, odparował Iwanow. „Za tę odpowiedź powinniście pójść pod ścianę przed nim”.

Pokuszykał do drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Gletkin usiadł znów za biurkiem. Nie wierzył, że Iwanowowi się powiedzie i jednocześnie bał się tego. Ostatnie zdanie Iwanowa brzmiało jak groźba, a u niego nigdy nie wiadomo co mówi żartem, a co na serio. Może sam nie wie — jak ci wszyscy cynicy-intelektualiści...

Gletkin wzruszył ramionami, poprawił kołnierz i chrząszczące mankiety i wrócił do roboty nad stosem papierów.

Trzecie przesłuchanie

„Niekiedy słowa służą na to, aby zastonić fakty. Ale to musi się dziać w taki sposób, by nikt nie był tego świadom; albo też, jeśli by zostało dostrzeżone, należy mieć pod ręką jakieś usprawiedliwienie, którym by się można natychmiast postużyć”.

MACHIAVELLI:

Instrukcje dla Rafaela Girolami.

„A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; Nie, nie. A co nad to więcej jest, od złego jest”.

MATEUSZ, w. 37.

1

Wyciąg z dziennika M. S. Rubaszowa, 20 dzień więzienia.

„...WŁODZIMIERZ BOGROW wypadł z biegu. Sto pięćdziesiąt lat temu, w dzień szturm na Bastylię, huśtawka europejska została wprawiona w ruch na nowo, po długim okresie spokoju. Odbita się z rozmachem od tyranii; z niepowstrzymanym, zdawało się, rozpędem, rozhuśtała się w górę, ku niebieskiemu niebu wolności. Na przestrzeni stu lat wzbijała się coraz wyżej i wyżej, w sfery liberalizmu i demokracji. Ale oto, rozpęd stopniowo stał, huśtawka doszła do punktu szczytowego i zwrotnego swej kolei; a później, po chwili bezruchu, zaczęła drogę powrotną, z przyspieszoną szybkością. Z tym samym rozmachem z jakim pędziła przedtem w górę, teraz przenosiła swoich pasażerów na powrót z wolności pod tyranie. Kto, zamiast trzymać się mocno, patrzył w górę, doznał zawrotu głowy i wypadł z biegu.

„Ktokolwiek chce uniknąć zawrotu głowy, musi zabiegać o poznanie prawa ruchu. Wszystko wskazuje na to, że w historii mamy do czynienia z ruchem wahadłowym, biegnącym od absolutyzmu do demokracji, od demokracji z powrotem do dyktatury absolutnej.

„Miara wolności indywidualnej, jaką jakiś naród może dla siebie zdobyć i utrzymać, zależy od stopnia jego dojrzałości po-

litycznej. Wspomniany ruch wahadłowy zdaje się wskazywać na to, że polityczne dojrzewanie mas nie idzie po linii stale wstępującej w górę, jak rozwój człowieka, ale podlega prawom bardziej złożonym.

„Dojrzałość mas wyraża się w umiejętności rozpoznania własnego interesu. To jednak zakłada pewien stopień zrozumienia procesu produkcji i rozdziatu dóbr. W ten sposób, zdolność narodu do rządzenia samym sobą w sposób demokratyczny stoi w ścisłym stosunku do stopnia jego zrozumienia struktury i działania całego ustroju społecznego.

„Otóż każde udoskonalenie techniczne pociąga nową komplikację aparatu ekonomicznego, powoduje pojawianie się nowych czynników i nowych związków, których masy przez pewien czas nie są w stanie zrozumieć. Każdy skok naprzód, w rozwoju technicznym pozostawia względny rozwój intelektualny mas o krok z tyłu i w ten sposób powoduje spadek na termometrze dojrzałości politycznej. Stopniowe podciąganie się narodu do poziomu rozumienia tego zmienionego stanu rzeczy trwa czasem dziesiątki lat, czasem przez okres kilku pokoleń i dopiero wtedy naród odzyskuje ten sam stopień umiejętności samorządzenia się, jaki był jego udziałem na niższym szczeblu cywilizacyjnym. Stąd nie można oceniać dojrzałości politycznej mas według miary absolutnej, tylko relatywnie, tzn. w stosunku do stopnia rozwoju cywilizacyjnego w danym momencie.

„Kiedy poziom świadomości mas wyrównuje się z obiektywnym stanem rzeczy, następuje niechybnie zwycięstwo demokracji, bądź w sposób pokojowy, bądź też siłą. Aż do następnego skoku w rozwoju cywilizacji technicznej — np. do wynalezienia mechanicznego warsztatu tkackiego — który znów cofa masy do stanu względnej niedojrzałości i umożliwia a czasem nawet stwarza konieczność ustanowienia jakiejś formy przywództwa absolutystycznego.

„Proces ten można porównać do podnoszenia okrętu przez tamę o kilku komorach wodnych. Gdy statek wchodzi do komory, znajduje się zrazu na niskim poziomie w stosunku do jej pojemności; podnosi się go stopniowo, tak długo, póki poziom wody nie dojdzie do najwyższego punktu. Ale to wyniesienie jest iluzoryczne, bo poziom następnej komory jest jeszcze wyższy i proces wyrównywania trzeba rozpoczynać na nowo. Ściany komory oznaczają obiektywny stan panowania nad siłami przyrody, czyli stopień cywilizacji technicznej; poziom wody w komorze oznacza dojrzałość polityczną mas. Nie miałoby najmniejszego sensu uznać poziom wody w komorze za wysokość bezwzględną nad poziomem morza; znaczenie ma tylko względna wysokość poziomu wody w komorze.

„Wraz z wynalazkiem maszyny parowej, zaczął się okres szybkich obiektywnych procesów i, w ślad za tym, równie szybkiego subiektywnego cofania się politycznego. Era przemysłowa ciągle jeszcze jest historycznie młoda, rozstęp między jej niestychanie złożonym ustrojem ekonomicznym a zrozumieniem go przez ma-

sy jest dalej olbrzymi. Tym się tłumaczy, że względna dojrzałość polityczna narodów w pierwszej połowie dwudziestego wieku jest mniejsza, aniżeli w r. 200 przed Chrystusem, czy też u schyłku epoki feudalnej.

„Teoria socjalistyczna popełniła błąd, przyjmując, że poziom uświadomienia mas podnosi się stopniowo i stale. Stąd jej bezradność wobec ostatniego ruchu wahadła, wobec ideologicznego samookaleczenia narodów. Byliśmy przekonani, że przystosowanie światopoglądu mas do zmienionych okoliczności jest procesem prostym, wymiernym w latach; podczas gdy zgodnie z doświadczeniem historycznym, byłoby bardziej słuszne mierzyć go na stulecia. Narody Europy wciąż jeszcze nie przyswoiły sobie umysłowo skutków maszyny parowej. System kapitalistyczny załamie się, nim masy go zrozumieją.

„Jeśli chodzi o Ojczyznę Rewolucji, to jej masy podlegają tym samym prawom myślowym co wszędzie indziej. Dostały się do wyższej komory wodnej, ale są ciągle jeszcze na najniższym poziomie nowego basenu. Nowy system ekonomiczny, który zajęł miejsce starego, jest dla nich bodaj jeszcze bardziej niezrozumiały niż tamten. Uciążliwe i bolesne podciąganie się musi być podjęte na nowo. Zanim naród pojmie nowy układ rzeczy, który przez Rewolucję sam stworzył, minie prawdopodobnie kilka pokoleń.

„Jednakże, aż do tego czasu, demokratyczna forma rządu jest niemożliwa, a dopuszczalna miara wolności osobistej musi być jeszcze mniejsza, aniżeli w innych krajach. Przez ten czas nasi przywódcy muszą rządzić jakby w próżni. Z punktu widzenia klasycznych pojęć liberalizmu, nie jest to widowisko przyjemne. Jednak cała okropność, hipokryzja i upodlenie rzucające się w oczy, są jedynie widzialnym i nieuniknionym wyrazem poprzednio określonego prawa. Biada głupcowi i estecie, którzy pytają tylko: jak? a nie: dlaczego? Ale biada także opozycji w okresie względnej niedojrzałości mas, w takim, jaki właśnie przeżywamy.

„W czasach dojrzałości, opozycja ma obowiązek i rolę zwracania się do mas. W czasach niedojrzałości umysłowej, tylko demagogowie odwołują się do „wyższej instancji narodu”. W takim położeniu opozycja ma dwie alternatywy: pochwycić władzę przez zamach stanu, bez liczenia na poparcie mas; albo też, w mierzającej rozpacz wyskoczyć dobrowolnie z biegu — „umrzeć w milczeniu”.

„Jest jeszcze trzecia możliwość, która nie jest bynajmniej mniej konsekwentna, a która w naszym kraju stała się systemem: zaparcie się i zduszenie własnego przekonania, jeśli nie ma możliwości wprowadzenia go w życie. Skoro uznajemy tylko jedno kryterium moralne, mianowicie społeczną przydatność, oczywiście bardziej honorowe będzie publiczne wyrzeczenie się własnych przekonań po to, aby zostać w szeregach Partii, od donkiszotyzmu dalszego prowadzenia beznadziejnej walki.

„Zagadnienia dumy osobistej; istniejące gdzie indziej przesa-

dy co do pewnych form samoupodlenia; osobiste uczucie zniechęcenia, niesmaku i wstydu — należy wytepić z korzeniami..."

2

Rubaszow rozpoczął pisanie rozmyślań na temat „huštawki” następnego ranka po egzekucji Bogrowa i wizycie Iwanowa, skoro tylko zabrzmiała pobudka poranna. Kiedy mu przyniesiono śniadanie, lyknał tylko odrobinę kawy, a resztę zostawił. Jego pismo, które w ostatnich dniach stało się trochę miękkie i nierówne, odzyskało na nowo równowagę i dyscyplinę; litery były mniejsze, miejsce szerokich otwartych zaokrągleń zajęły ostre kanty. Zauważył tę zmianę, przebiegając oczami to, co napisał.

O jedenastej rano zabrano go na zwykły spacer, musiał więc przerwać pracę. Na podwórzu dano mu jako towarzysza nie staroego Rip van Winkla, ale chudego chłopca w plecionych trepach. Rip van Winkla nie było i Rubaszow dopiero teraz uprzytomnił sobie, że przy śniadaniu nie słyszał zwykłego „Wyklęty powsta ludu ziemi”. Widać zabrali staruszka, Bóg wie dokąd; był to biedny, postrzępiony, zeszloroczny mol, który cudownym i zupełnie niepotrzebnym zbiegiem okoliczności przeżył naznaczony okres czasu po to, by się na nowo pojawić w nieodpowiedniej porze roku, polatać ślepo kilka razy w krąg i rozpaść się w pył w jakimś kącie.

Chłop chodził wpierrw koło Rubaszowa w milczeniu, przypa-trując mu się z boku. Po pierwszej rundzie odchrząknął kilka razy, a po następnej rundzie odezwał się:

„Ja jestem z prowincji D. Czy jaśnie wielmożny pan był tam kiedy?”

Rubaszow zaprzeczył. D. było bardzo odległą prowincją na wschodzie, o której miał tylko blade pojęcie.

„Pewnie, że to daleko”, powiedział chłop. „Trzeba jechać wielbładami, żeby się tam dostać. Czy jaśnie wielmożny pan należy do politycznych?”

Rubaszow przytaknął. Trepy chłopca miały podeszwy zdarte do połowy; chodził bosymi palcami po przydeptanym śniegu. Szyję miał chudą, a kiedy mówił, ciągle kiwał głową, jakby powtarzał amen u końca jakiejś litanii.

„Ja także polityczny”, powiedział; „znaczy, reakcjonista. Mówią, że wszystkich reakjonistów zsyłają na dziesięć lat. Czy jaśnie wielmożny pan myśli, że i mnie dadzą dziesięć lat zsyłki?”

Pokiwał głową i zerknął bojaźliwie w stronę strażników, którzy stali w grupce pośrodku koła, tupiąc nogami i nie zwracając uwagi na więźniów.

„Coście zrobili?” zapytał Rubaszow.

„Zdemaskowali mnie, powiadają, jako reakjonistę podczas klucia dzieci”, rozwiódł się chłop. „Co roku rząd przysyła do nas komisję. Dwa lata będzie, przysłali nam gazety do czytania

i co niemiara obrazów samego rządu. Łońskiego roku przysłali maszynę do mlócenia i szczotki do zębów. Latoś przysłali szklane rurki z igłami do klucia dzieci. Przyjechała kobieta w chłopskich portkach; chciała kluc wszystkie nasze dzieciśka, jedno po drugim. Kiedy przysła do mojej chaty, ja i moja baba zabarykadowali my drzwi i, powiadają, zdemaskowali my się jako reakcjonści. Potem wszyscy razem spalili my gazety i obrazy i rozbili maszynę; nie minął i miesiąc, jak przysłali po nas i zabrali wszystkich”.

Rubaszow coś odmruknął i myślał nad dalszym ciągiem swego zarysu o samorzadzeniu się. Przypomnił sobie, co czytał kiedyś o mieszkających Nowej Gwinei; umysłowo są na tym samym poziomie co ten chłop, a jednak żyją w zupełnej harmonii i mają zdumiewająco rozwinięte instytucje demokratyczne. Osiągnęli najwyższy poziom pierwszego basenu tamy...

Chłop, idący obok Rubaszowa, uznał jego milczenie za oznakę potępienia i skurczył się jeszcze bardziej. Palce jego nóg były sine z zimna; od czasu do czasu wdychał; poddając się swemu losowi, człapał obok Rubaszowa.

Po powrocie do celi Rubaszow natychmiast zabrał się do pisania. Zdawało mu się, że zrobił odkrycie „prawa względnej dojrzałości” i pisał w stanie najwyższego napięcia. Kiedy przyniesiono obiad, właśnie skończył. Zjadł, co mu dano, i zadowolony położył się na pryczy.

Spał godzinę, spokojnie i bez snów, obudził się z porzuciem rzeźkości. Nr 402 już od pewnego czasu stukał w jego ścianę; najwyraźniej czuł się zaniedbany. Pytał o nowego sąsiada Rubaszowa na spacerze, którego zauważył przez okno, ale Rubaszow mu przerwał. Uśmiechając się sam do siebie, wystukał binoklami:

PODDAJĘ SIĘ.

Czekał, ciekaw efektu.

Przez długi czas nic nie przychodziło; Nr 402 zamilkł. Odpowiedź jego przyszła dopiero po upływie pełnej minuty:

NIECH MNIE SZLAG TRAFI...

Rubaszow uśmiechnął się. Wystukał:

KAŻDY NA SWÓJ SPOSÓB.

Oczekiwał ze strony Nr 402 jakiegoś wybuchu złości. Zamiast tego stukanie brzmiało łagodnie, wydawało się pełne rezygnacji:

BYŁEM SKŁONNY UWAŻAĆ WAS ZA WYJĄTEK. CZY NIE MACIE CHOĆ KRZTYNY HONORU?

Rubaszow leżał na wznak, trzymając binokle w ręku. Czuł się zadowolony i spokojny. Odstukał:

NASZE POJĘCIA O HONORZE SĄ RÓŻNE.

Nr 402 odstukał szybko i precyzyjnie:

HONOR, TO ŻYĆ I UMRZEĆ ZA SWOJE PRZEKONANIA.

Rubaszow odpowiedział równie szybko:

HONOR, TO BYĆ POŻYTECZNYM BEZ PYCHY.

Nr 402 odpowiedział tym razem głośniejszym i ostrzej:

HONOR, TO PRYZWOITOŚĆ — NIE POŻYTECZNOŚĆ.

CO TO JEST PRYZWOITOŚĆ? zapytał Rubaszow, spokojnie odmierzając litery. Im spokojniej sam stukał, tym bardziej wściekle stawało się stukanie po drugiej stronie muru.

COS CZEGO TACY, JAK WY, NIGDY NIE ZROZUMIEJĄ, odpowiedział Nr 402. Rubaszow wzruszył ramionami:

ZASTĄPILIŚMY PRYZWOITOŚĆ ROZUMEM, odstukał.

Nr 402 już więcej nie odpowiedział.



Przed kolacją Rubaszow jeszcze raz przejrzał to, co napisał. Zrobił kilka poprawek, i sporządził kopię całości w formie listu, skierowanego do Prokuratora Republiki. Podkreślił ustępy, dotyczące rozmaitych możliwości działania opozycji i zakończył następującym zdaniem:

„Niżej podpisany, M. S. Rubaszow, były członek Komitetu Centralnego Partii, były Komisarz Ludowy, były dowódca 2-ej Dywizji Armii Rewolucyjnej, posiadacz Orderu za Odwagę wobec Wroga Ludu, postanowił, biorąc pod uwagę wyżej przytoczone powody, całkowicie wyrzec się stanowiska opozycyjnego i publicznie przyznać się do swoich błędów”.

3

Rubaszow czekał od dwu dni, by go zaprowadzono do Iwanowa. Myślał, że stanie się to natychmiast po wręczeniu staremu dozorczy aktowi kapitulacji; był to przypadkowo ten sam dzień, w którym upływał termin naznaczony przez Iwanowa. Ale widać nikomu już nie śpieszyło się z jego sprawą. Może Iwanow studiuje jego „Teorię względnej dojrzałości”; albo też, co jest bardziej prawdopodobne, przesłano dokument odpowiednim władzom wyższym.

Rubaszow uśmiechał się na myśl, jakie poruszenie wywoła to wśród „teoretyków” Komitetu Centralnego. Przed Rewolucją i krótki okres czasu po niej, za czasów, kiedy jeszcze żył stary przywódca, nie było różnicy między „teoretykami” a „politykami”. Taktykę, jaką należało zastosować w danym momencie, wyprowadzano w otwartej dyskusji wprost z doktryny rewolucyjnej; ruchy strategiczne w czasie Wojny Domowej, rekwizycja zbiorów, podział i rozdział ziemi, wprowadzenie nowej waluty, reorganizacja fabryk — właściwie każde zarządzenie administracyjne było filozofią stosowaną w praktyce. Każdy z mężczyzn na starej fotografii, która kiedyś zdołała ścianę biura Iwanowa, znał się lepiej na filozofii prawa, ekonomii politycznej i rządzeniu państwem od wszystkich najwyższych autoritetów profesorskich we wszechnicach europejskich razem wziętych. Dyskusje na kongresach w czasie Wojny Domowej były prowadzone na poziomie nigdy przedtem w historii nieosiągniętym przez jakiegokolwiek zgromadzenie polityczne; przypominały sprawozdania w czasopiśmie naukowych — z tą tylko

różnicą, że od wyniku dyskusji zależało życie i dobrobyt milionów ludzi i przyszłość Rewolucji.

Teraz stara gwardia zdarła się i zużyła; jest to zgodne z logiką historii, że im bardziej reżim się ustala, tym bardziej musi się stawać sztywny; tylko w ten sposób może zapobiec, by olbrzymie siły dynamiczne, wyzwolone przez Rewolucję, nie skierowały się do wewnątrz i nie wysadziły samej Rewolucji w powietrze. Czas kongresów filozoficznych minął; na miejscu starej fotografii z ponumerowanymi głowami, na tapecie pokoju Iwanowa jaśnieje biała plama: filozoficzna wywrotowość ustąpiła miejsca okresowi zdrowej bezpłodności. Teoria rewolucyjna zastąpiła w dogmatyczny kult, z uproszczonym, łatwym do przyjęcia katechizmem i z Nr 1 w roli arcykapłana, odprawiającego mszę. Jego przemówienia i artykuły mają charakter nieomylnego katechizmu nawet pod względem stylu; są podzielone na pytania i odpowiedzi, z podziwu godną konsekwencją w najgrubszy sposób upraszczają aktualne problemy i wydarzenia. Nr 1 ma niezawodny instykt w stosowaniu „prawa względnej dojrzałości mas”... Dyletanci tyranii zmuszali swoich poddanych do działania na rozkaz; Nr 1 nauczył ich myślenia na rozkaz.

Rubaszowa bawiła myśl o tym, co obecni „teoretycy” Partii powiedzą na temat jego listu. W obecnych warunkach była to najdziwniejsza herezja; krytykował ojców doktryny, których słowa są tabu; nazywał rzeczy po imieniu, i nawet nietykalną osobę Nr 1 potraktował obiektywnie w kontekście historycznym. Wią się chyba w śmiertelnym strachu, ci nieszczęśliwi teoretycy obecnego okresu, których jedyne zadanie polega na tym, by skoki i nagłe zmiany kursu Nr 1 fryzować na najnowsze objawienia filozofii.

Nr 1 często płał dziwne figle swoim teoretykom. Od komitetu specjalistów, wydającego czasopismo ekonomiczne Partii, zażądał kiedyś analizy kryzysu przemysłowego w Ameryce. Przygotowanie tej pracy trwało wiele miesięcy; wreszcie ukazał się numer specjalny, w którym — w oparciu o tezę, postawioną przez Nr 1 w ostatnim przemówieniu na Kongresie — dowodzone na 300 stronicach, że amerykańska prosperita stanowi tylko rozkwit pozorny, że w rzeczywistości Ameryka znajduje się na samym dnie depresji, i że tylko zwycięska rewolucja jest w stanie tę depresję przełamać. Tego samego dnia, w którym ukazał się ów numer specjalny, Nr 1 przyjął jakiegoś dziennikarza amerykańskiego i wprowadził go, i z nim cały świat, w zdumienie dobitnym zdaniem, wygłoszonym między jednym pyknięciem fajki a drugim:

„Kryzys w Ameryce minął i interesy wróciły do normalnego stanu rzeczy”.

W oczekiwaniu dymisji i przypuszczalnego aresztowania, członkowie komitetu specjalistów ułożyli tej samej nocy listy, w których wyznawali „swoje grzechy, popełnione przez głoszenie teorii antyrewolucyjnych i fałszywych analiz”; podkreślali swoją skruchę i obiecywali publiczne zadośćuczynienie. Tylko

Izakowicz, rówieśnik Rubaszowa, jedyny w Komitecie Wydawców należący do starej gwardii — wolał się zastrzelić. Wtajemniczeni twierdzili później, że Nr 1 zainscenizował tę całą sprawę wyłącznie po to, aby wykończyć Izakowicza, którego podejrzewał o skłonności opozycyjne.

Była to dość groteskowa komedia, myślał Rubaszow; w gruncie rzeczy, ta cała żonglerka „filozofią rewolucyjną” stanowi tylko środek do umocnienia dyktatury, która, choć jest zjawiskiem tak przygnębiającym, liczy się widać do rzędu konieczności historycznych. Tym gorzej dla tego, kto bierze tę komedię poważnie, kto widzi tylko to, co się dzieje na scenie, a nie dostrzega ukrytej za nią maszyny. Dawniej, politykę rewolucyjną ustalano na publicznych kongresach; dzisiaj wszystko się decyduje za kulisami — to także należy do logicznych konsekwencji prawa o względnej dojrzałości mas...

Rubaszow marzył o tym, aby znowu popracować w zacisznej bibliotece, w świetle zielonych lamp i dać swojej teorii podbudowę historyczną. Najbardziej produktywne okresy filozofii rewolucyjnej przypadają zawsze na czasy wygnania, na owe przymusowe przystanki między okresami czynnej działalności politycznej. Chodził tam i na powrót po celi i puszczał wodze marzeniu, że następne dwa lata, kiedy będzie politycznie wyklęty, spędzi jakby na wygnaniu wewnętrznym; publicznym pokajaniem się kupi sobie czas potrzebny na zaczerpnięcie oddechu.

Zewnętrzna forma kapitulacji nie ma większego znaczenia; gotów jest dać im tyle „mea culpa” i zapewnień wiary w nieomyślność Nr 1, ile się tylko zmieści na papierze. Jest to sprawa czysto etykietalna — bizantyński ceremoniał, który wyrósł z potrzeby wbijania każdego zdania w umysły mas za pomocą wulgaryzacji i niekończących się powtórzeń; co się uznaje za słuszne, musi świecić jak złoto, co jest uznane za złe, musi być czarne jak smoła; wypowiedzi polityczne winny być barwione, jak pierniki na jarmarku.

O tym wszystkim Nr 402 nie ma pojęcia, rozmyślał Rubaszow. Jego ograniczone pojęcie honoru należy do epoki, która już minęła. Co to jest przyzwoitość? Pewna postać konwencji, ciągle jeszcze ograniczonej tradycjami i zasadami turniejów rycerskich. Nowe pojęcie honoru winno być ujęte odmiennie: służyć bez próżności i do ostatecznej konsekwencji...

„Raczej umrzeć, niż się shańbić”, oznajmił Nr 402 i można sobie wyobrazić, że podkreślił przy tym wąż. Oto klasyczny wyraz próżności osobistej. Nr 402 wystukuje zdania monoklem, Rubaszow binoklami; w tym jest cała różnica. Jedyna rzecz, na której mu teraz zależy, to możliwość spokojnej pracy w bibliotece i rozwinięcia swych nowych idei. Potrzeba, mu będzie na to wielu lat i zrobi się z tego gruby tom; ale będzie to pierwszy użyteczny klucz do rozumienia historii instytucji demokratycznych, będzie to światło rzucone na wahadłowe ruchy w psychologii mas; w obecnej chwili są one szczególnie widoczne, a klasyczna teoria walki klas nie zdołała ich wytłumaczyć.

Rubaszow przemierzał swoją celę szybkimi krokami, uśmiechając się do siebie. Wszystko jest obojętne, jeśli tylko dadzą mu czas na rozwinięcie nowej teorii. Ból zęba znikł. Czuł się trzeźwy, pełen przedsiębiorczości i nerwowej niecierpliwości.

Od nocnej rozmowy z Iwanowem i wysłania deklaracji minęły już dwa dni i wciąż jeszcze nie się nie działo. Czas, który płynął tak szybko w ciągu pierwszych dwu tygodni aresztu, teraz włókł się wolno. Godziny drobły się w minuty i sekundy. Rubaszow pracował zrywami, ale co chwila musiał rzucać pisanie z braku dokumentacji historycznej. Całe kwadransy wystawał przy judaszu w nadziei, że zobaczy dozorcę, który go zaprowadzi do Iwanowa. Ale korytarz był pusty, światło elektryczne płonęło jak zawsze.

Od czasu do czasu budziła się w nim nadzieja, że Iwanow przyjdzie sam, i cała formalność zeznania odbędzie się w celi; byłoby to o wiele przyjemniejsze. Tym razem nie broniły się nawet przed butelką wódki. Wyobrażał sobie tę rozmowę w szczegółach: jak wspólnie wypracują pompatyczną frazeologię „spowiedzi”, jak Iwanow będzie przepłatał tę robotę cynicznymi dowcipami. Rubaszow chodził uśmiechnięty tam i z powrotem i patrzył co dziesięć minut na zegarek. Czyż Iwanow nie przyrzekł owej nocy, że przyśle po niego zaraz następnego dnia?

Niecierpliwość Rubaszowa stawała się coraz bardziej febryczna; trzeciej nocy po rozmowie z Iwanowem nie mógł spać. Leżał na przychyłku w ciemności, wsłuchując się w słabe, stłumione odgłosy gmachu, i po raz pierwszy od czasu aresztowania tęsknił za ciepłem kobiecego ciała. Starał się oddychać spokojnie, by zasnąć, ale wybijał się ze snu coraz bardziej. Długo walczył z pragnieniem rozpoczęcia konwersacji z Nr 402, który od czasu pytania „Co to jest przyzwoitość?” nie dał znaku życia.

Około północy, kiedy nie mógł zasnąć przez trzy godziny i przyglądał się gazecie nalepionej na zbitą szybę, nie wytrzymał i kostkami palców zastukał w ścianę. Czekał z napięciem; ściana milczała. Zapukał znowu i czekał, czując jak go zalewa gorąca fala wstydu. Nr 402 w dalszym ciągu nie odpowiadał. A na pewno leżał po drugiej stronie ściany nie śpiąc, zabiłając czas przeżywaniem dawnych przygód miłosnych; przyznał się kiedyś Rubaszowowi, że nigdy nie zasypia przed pierwszą czy drugą nad ranem i że wrócił do nałogów chłopiństwa.

Rubaszow leżał na wznak i wpatrywał się w ciemność. Sieniek pod nim był zupełnie splaszczony; koc był zbyt ciepły i powodował nieprzyjemne wilgotnienie skóry. Gdy go zrzucił, zaczął drzeć z zimna. Palił już siódmego czy ósmego papierosa, zapalając jeden o drugi; na kamiennej posadzce dookoła łóżka leżały porozrzucone niedopałki. Nie było słyhać najbliższego odgłosu; czas jakby się zatrzymał; rozplątał się w bezkstałtą ciemność.

Rubaszow zamknął oczy i wyobraził sobie, że Arłowa leży obok niego, że znajomy kształt jej piersi odcina się w ciemności. Zapomniał o tym, że wleczono ją przez korytarz jak Bogrowa;

cisza stała się tak głęboka, że zdawało się, iż szumi i kołysze. Co robi dwa tysiące mężczyzn zasklepionych w celach tego ula? Cisza zdawała się nabrzmiała od ich niesłyszalnych oddechów, ich niewidzialnych marzeń sennych, stłumionego dyszenia ich trwóg i pożądań. Jeśli historia jest obliczalna, jaką wartość przedstawia suma dwu tysięcy koszarów, ucisk dwutysięcznego beznadziejnego pożądania? Teraz rzeczywiście poczuł siostrzany zapach Arłowej; jego ciało pod wełnianym kocem pokryło się potem... Drzwi celi rozwarły się z trzaskiem; światło korytarza dźgnęło go w oczy.

Zobaczył, że do celi weszło dwu funkcjonariuszy w mundurach z rewolwerami u pasa, nieznanym mu dotąd. Jeden z nich zbliżył się do pryczy; był wysoki, miał brutalną twarz i zachrypły głos, który wydał się Rubaszowowi bardzo głośny. Kazał mu wstać i iść za sobą, nie wyjaśniając dokąd.

Rubaszow namacał pod kocem binokle, nałożył je i podniósł się z pryczy. Czuł się śmiertelnie zmęczony, idąc wzdłuż korytarza obok umundurowanego olbrzyma, który przewyższał go o głowę. Drugi siedł za nim.

Rubaszow spojrział na zegarek; była druga nad ranem, mimo wszystko więc spał trochę. Szli w kierunku lokalu fryzjera — tą samą drogą, którą prowadzono Bogrowa. Drugi funkcjonariusz trzymał się trzy kroki w tyle. Rubaszow odczuł gwałtowną potrzebę odwrócenia głowy, niby swędzenie w karku, ale się opanował. „Chyba nie mogą mnie wykończyć tak bez żadnej ceremonii”, myślał, ale nie był tego zupełnie pewny. W danej chwili mało go to obchodziło, chciał tylko szybko z tym skończyć. Starał się stwierdzić, czy się boi czy nie, ale rozpoznał tylko fizyczne poczucie skrępowania, wywołane wysiłkiem, aby nie odwracać głowy w stronę mężczyzny, idącego za nim.

Skręciwszy za róg, koło pokoju fryzjera, zobaczyli wąskie schody, prowadzące do podziemi. Rubaszow obserwował olbrzyma obok siebie, próbując sprawdzić czy zwalnia kroku. Ciągłe jeszcze nie odczuwał strachu, tylko ciekawość i skrępowanie; kiedy jednak przeszli obok schodów, stwierdził ze zdziwieniem, że nogi mu drżały; musiał zrobić wysiłek, aby się opanować. Jednocześnie przychwycił się na tym, że mechanicznie wyciera binokle o rękaw; widać zdjął je bezwiednie przed dojściem do pokoju fryzjera. „Wszystko bujda”, pomyślał. „W górnej części można się jeszcze bujać, ale w dolnej, od żołądka w dół, wie się wszystko dokładnie. Jeśli mnie teraz będą bili, podpiszę wszystko, co tylko zechcą; ale jutro odwołam...”

Parę kroków dalej przypomniała mu się „teoria względnej dojrzałości” i fakt, że już postanowił skapitulować i podpisać akt poddania się. Doznał wielkiej ulgi; jednocześnie jednak zadał sobie pytanie, jak to jest możliwe, że aż tak dokładnie zapomniał o postanowieniu powziętym w ostatnich dniach.

Olbrzym zatrzymał się, otworzył jakieś drzwi i ustąpił z drogi. Rubaszow zobaczył pokój, podobny do pokoju Iwanowa, tylko zalany nieprzyjemnie jaskrawym światłem, które go kłuło w

oczy. Naprzeciw drzwi, za biurkiem, siedział Gletkin.

Drzwi zamknęły się za Rubaszowem i Gletkin podniósł głowę znad stosu aktów. „Proszę, siadajcie”, powiedział suchym, bezbarwnym głosem, który Rubaszow pamiętał z czasów sceny w celi. Poznał także szeroką bliznę na czaszce Gletkina; jego twarz była ukryta w cieniu, ponieważ jedyne światło w pokoju pochodziło z wysokiej lampy metalowej, stojącej za krzesłem Gletkina. Ostre, białe światło, promieniujące z wyjątkowo silnej żarówki, oślepiło Rubaszowa do tego stopnia, że dopiero po kilku sekundach zauważył obecność trzeciej osoby — sekretarki, siedzącej przy małym stoliku za parawanem i odwróconej do pokoju plecami.

Rubaszow usiadł naprzeciwko Gletkina, przed biurkiem, na jedynym krześle. Było to krzesło niewygodne, bez poręczy.

„Zostałem wyznaczony do przesłuchania was, pod nieobecność komisarza Iwanowa”, rzekł Gletkin. Rubaszowa oczy bolały od światła lampy, ale jeśli odwracał się do Gletkina bokiem, światło padające w kąci oczu sprawiało prawie równą przykrość. Zresztą rozmawiać z odwróconą głową wydawało mu się śmieszne i krepujące.

„Wolę być przesłuchiwany przez Iwanowa”, powiedział Rubaszow.

„Urzędnika przesłuchującego wyznaczają władze”, stwierdził Gletkin. „Macie prawo złożyć zeznanie, albo odmówić go. W waszym przypadku odmowa równałaby się zdezawuowaniu deklaracji, w której dwa dni temu wyraziliście gotowość zeznania; śledztwo by się przez to automatycznie skończyło. W tym przypadku mam rozkaz przekazania waszej sprawy odpowiednim władzom, które wydadzą wyrok w trybie administracyjnym”.

Rubaszow szybko przemyślał sytuację. Wyraźnie coś się z Iwanowem stało. Albo go nagle wysłali na urlop, albo musiał się podać do dymisji, albo go aresztowano. Może dlatego, że przypomniano sobie jego dawną przyjaźń z Rubaszowem; może dlatego, że był wyższy umysłowo i zbyt dowcipny, a jego lojalność wobec Nr 1 opierała się na przesłankach logicznych, a nie na ślepej wierze. Był zbyt inteligentny; należał do starej szkoły: nowa szkoła to Gletkin i jego metody pracy... Odejdź w pokoju, Iwanow.

Rubaszow nie miał czasu na współczucie; musiał myśleć szybko, a światło mu w tym przeszkadzało. Zdjął binokle i zmrużył powieki; wiedział, że bez szkieł wygląda nago i bezbronne i że pozbawione wyrazu oczy Gletkina notują każde drgnienie jego twarzy. Jeśli się teraz nie odezwie, będzie stracony; nie ma już możliwości cofnięcia się. Gletkin jest istotą odpychającą, ale to przedstawiciel nowej generacji; starzy muszą się z nią ułożyć albo zostaną stratowani; trzeciej możliwości nie ma. Rubaszow poczuł się nagle stary; nigdy dotąd nie zaznał tego uczucia. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma już pięćdziesiątkę. Nałożył binokle z powrotem i usiłował spojrzeć Gletkinowi w

oczy, ale jaskrawe światło przyprawiało go o izawienie; musiał więc znowu zdjąć szkła.

„Jestem gotów złożyć oświadczenie”, powiedział, usiłując zapanować nad irytacją brzmiającą w jego głosie. „Pod warunkiem jednak, że zaprzestaniecie tych sztuczek. Zgaście to oślepiające światło i zachowajcie te sposoby na oszustów i kontrrewolucjonistów”.

„W waszym położeniu nie możecie dyktować warunków”, odparł spokojnie Gletkin. „Nie mogę dla was zmieniać oświetlenia w moim pokoju. Widocznie nie zdajecie sobie sprawy z waższej sytuacji, a zwłaszcza z tego, że właśnie jesteście oskarżeni o działalność kontrrewolucyjną i że w ciągu kilku ostatnich lat przyznaliście się do niej w dwu publicznych deklaracjach. Jeśli myślicie, że tym razem uda wam się wykręcić równie tanim kosztem, to się mylicie”.

„Ty świnió”, myślał Rubaszow. „Ty obrzydliwa, umundurowana świnió”. Zacerwienił się. Czuł, że się czerwieni i zdawał sobie sprawę z tego, że Gletkin to widzi. Ileż też lat może mieć taki Gletkin? Trzydzieści sześć albo siedem, co najwyżej; musiał brać udział w Wojnie Domowej jako wyrostek i oglądać wybuch Rewolucji jako dziecko. To jest pokolenie, które zaczęło myśleć po potopie. Pokolenie bez tradycji, bez wspomnień, które by ją wiązały ze starym, zaginionym światem. Pokolenie, które się urodziło bez pepowiny... A jednak słuszność jest po jego stronie. Trzeba zerwać pepowinę, wyrzec się ostatniej więzi, która nas łączy z próżnymi pojęciami o honorze i z obłudną przyzwrotnością starego świata. Honor, to służyć bez próżności, bez czszczędzania siebie samego, aż do ostatecznej konsekwencji.

Złość Rubaszowa powoli mijała. Zatrzymał binokle w ręce i zwrócił twarz w stronę Gletkina. Zmuszony do zamknięcia oczu, czuł się jeszcze bardziej nagi, ale już go to nie obchodziło. Za zamkniętymi powiekami żarzyło się czerwone światło. Nigdy jeszcze nie czuł się tak straszliwie samotny.

„Zrobię wszystko, co może służyć Partii”, powiedział. Głos jego już nie był zachrypnięty; oczy trzymał zamknięte. „Proszę o odczytanie szczegółowego oskarżenia. Dotąd tego nie zrobiono”.

Słyszał raczej, aniżeli widział zmrużonymi oczami, jak przez sztywną postać Gletkina przebiegł prąd. Na poręczach zaszeleściły mankiety, odetchnął głębiej, jakby na chwilę całe jego ciało się odprężyło. Rubaszow domyślił się, że jest to chwila największego triumfu w jego życiu. Osadzić w miejscu takiego Rubaszowa musiało oznaczać początek wielkiej kariery; a jeszcze chwilę temu wszystko dla Gletkina wisiało na włosku — i przed oczami jako ostrzeżenie majaczył się los Iwanowa.

Rubaszow zrozumiał nagle, że jego władza nad Gletkinem dorównuje władzy Gletkina nad nim samym. „Trzymam cię za gardło, chłopaczku”, myślał z ironicznym uśmiechem; „trzymamy się obaj za gardło, i jeśli ja wyskoczę z biegu, pociągnę ciębie za sobą”. Przez chwilę bawił się tą myślą, podczas gdy Gletkin, znowu sztywny i precyzyjny szukał w aktach; odrzucił je-

dnak tę pokusę i powoli zamknął bolące oczy. Trzeba wypalić resztki próżności — czymże jest samobójstwo, jeśli nie odwróconą formą próżności? Taki Gletkin myśli oczywiście, że to jego sztuczki a nie argumenty Iwanowa skłaniają go do kapitulacji; prawdopodobnie przekonał o tym także wyższe władze i w ten sposób spowodował upadek Iwanowa.

„Świnia”, myślał Rubaszow, ale tym razem już bez gniewu. „Ty konsekwentne umundurowane bydło, które myśmy stworzyli — ty barbarzyńco nowego wieku, który się teraz zaczyna. Nie rozumiesz tej sprawy, a gdybyś ją rozumiał, byłbyś dla nas bezużyteczny...” Zauważył, że światło lampy stało się jeszcze o sto-pięć ostrzejsze — Rubaszow wiedział o tym, że istnieją instalacje umożliwiające wzmacnianie lub osłabianie siły świetlnej tych reflektorów w czasie badania. Musiał odwrócić głowę i wytrzeć łzawiące oczy. „Ty bydło”, pomyślał znowu. „A jednak potrzebujemy teraz właśnie takiej generacji bydlaków...”

Gletkin zaczął czytać oskarżenie. Jego monotony głos brzmiał bardziej drażniaco niż kiedykolwiek; Rubaszow słuchał z odwróconą głową i zamkniętymi oczami. Postanowił uznać swoją „spowiedź” za czystą formalność, za absurdalną ale konieczną komedię, której zawily sens jest zrozumiały tylko dla wtajemniczonych; lecz tekst czytany przez Gletkina przekraczał w nie-dorzeczności jego najgorsze oczekiwania. Czy Gletkin naprawdę wierzył w to, że to on, Rubaszow, knuł te dziecinne spiski? Że przez lata całe żywił tylko tę jedną myśl o rozwaleniu budowli, której fundamenty kładł razem ze starą gwardią? I czy Gletkin wierzył, że oni wszyscy, ci mężczyźni z ponumerowanymi głowami, bohaterowie jego dzieciństwa, nagle stali się ofiarami epidemii, która ich odmieniła w przekupnych łotrów i tchneła w nich tylko jedno życzenie: zniszczenia Rewolucji? I to w dodatku sposobami, które, zdawało się, ci wielcy taktycy polityczni zapożyczyli z jakiegoś taniego romansu kryminalnego?

Gletkin czytał monotennie, bez akcentów, bezbarwnym, martwym głosem ludzi, którzy nauczyli się alfabetu dopiero w późnym wieku, już jako dorośli ludzie. Czytał właśnie o rzekomych pertraktacjach z przedstawicielem obcego państwa, które, jak utrzymywano, Rubaszow rozpoczął w czasie swego pobytu w B., z myślą o przywróceniu siłą starego reżimu. Nazwisko zagranicznego dyplomaty było wymienione, podobnie jak czas i miejsce ich spotkania. Rubaszow zaczął teraz słuchać uważniej. W pamięci błysnęła mu nieważna, błaha scena, którą wtedy natychmiast zapomniał i o której nigdy więcej nie myślał. Szybko obliczył przybliżoną datę; zgadzało się chyba. A więc to jest ten powrót, na którym mam wisieć? Rubaszow uśmiechnął się i wytarł zażawione oczy chustką do nosa.

Gletkin czytał dalej, sztywno, ze śmiertelną jednostajnością. Czy rzeczywiście wierzy w to co czyta? Czy nie rozumie groteskowej absurdalności tekstu? Teraz wszedł w okres, w którym Rubaszow stał na czele trustu aluminiowego. Odczytywał statystyki, które wykazywały potworną dezorganizację tej, zbyt

pośpiesznie rozwiniętej, gałęzi przemysłu; ilość robotników, którzy padli ofiarą wypadków, całe serie samolotów, które się rozbiły na skutek użycia złego materiału. Wszystko to było następstwem jego, Rubaszowa, diabolicznego sabotażu. Słowo „diaboliczny” rzeczywiście powtarzało się w tekście kilkakrotnie, wśród terminów technicznych i kolumn cyfr. Przez parę sekund Rubaszow skłaniał się do hipotezy, że Gletkin zwarfował; ta mieszanina logiki i niedorzeczności przypominała konsekwentny błąd schizofreników. Ale oskarżenie nie jest dziełem Gletkina; on je tylko odczytuje — i albo naprawdę w nie wierzy, albo w każdym razie uznaje je za wiarygodne...

Rubaszow odwrócił głowę do stenografki, siedzącej w mrocznym kącie. Była mała, drobna i nosiła okulary. Spokojnie ostrzyła ołówki i ani razu nie odwróciła się w jego stronę. Najwyraźniej ona także uważała te monstrualne rzeczy, które Gletkin odczytywał, za zupełnie przekonywające. Była jeszcze młoda, miała może dwadzieścia pięć czy sześć lat; i ona dorosła już po potopie. Czym dla tego pokolenia nowocześniejszych neandertalczyków było nazwisko Rubaszowa? Oto siedział przed oślepiającym światłem reflektora, nie mógł otworzyć łzawiących oczu, a oni czytali bezbarwnym głosem i patrzyli na niego oczami bez wyrazu, obojętni, jak gdyby był obiektem leżącym na stole operacyjnym.

Gletkin doszedł do ostatniego paragrafu oskarżenia. Zawierał on punkt szczytowy: projekt zamachu na życie Nr 1. Pojawił się znowu tajemniczy X, o którym Iwanow wspomniał w czasie pierwszego badania. Okazało się, że jest to wicedyrektor restauracji, z której przynoszono zimny obiad dla Nr 1 w tych dniach, kiedy bywał bardzo zajęty. Ta zimna przekąska była jedną z czynnych spartańskiego trybu życia Nr 1, którą propaganda jak najmiejtniej wykorzystywała; i właśnie za pomocą owej przysławionej zimnej przekąski X, podmówiony przez Rubaszowa, miał spowodować przedwczesną śmierć Nr 1.

Rubaszow uśmiechnął się sam do siebie z zamkniętymi oczami; kiedy je otworzył, Gletkin przerwał czytanie i przyglądał się Rubaszowowi. Po kilku sekundach milczenia zwykłym, spokojnym głosem powiedział, nie tyle w formie pytania, ale raczej stwierdzenia faktu:

„Słyszeliście akt oskarżenia i przyznajecie się do winy”.

Rubaszow spróbował spojrzeć mu w twarz. Nie był jednak w stanie i znowu musiał zamknąć oczy. Miał kąśliwą odpowiedź na końcu języka; zamiast tego powiedział tak cicho, że chuda sekretarka musiała wyciągnąć szyję, by usłyszeć:

„Przyznaję się, że nie rozumiałem przymusu dziejowego, stojącego za polityką rządu, i dlatego zajmowałem stanowisko opozycyjne. Przyznaję, że kierowałem się pobudkami sentymentalnymi, i że przez to popadłem w sprzeczność z historyczną koniecznością. Dawałem posłuch skargom ofiar, i przez to stałem się głuchy na argumenty, które uzasadniały konieczność ich poświęcenia. Przyznaję, że postawiłem zagadnienie winy i

niewiny przed zagadnieniem pożyteczności i szkodliwości. Wreszcie przyznaję, że myśl o człowieku postawiłem ponad myślą o ludzkości...”

Rubaszow przerwał i jeszcze raz spróbował otworzyć oczy. Odwracając głowę od światła, spojrział przez zmrużone powieki w stronę sekretarki. Skończyła właśnie stenografowanie tego, co powiedział; zdawało mu się, że spostrzega na jej śpiczastym profilu ironiczny uśmiech.

„Zdaje sobie sprawę z tego”, ciągnął Rubaszow dalej, „że gdyby mój błąd przybrał postać rzeczywistą, stałby się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Rewolucji. W punktach zwrotnych historii każda opozycja ma w sobie zarodek rozsadzający Partię, a zatem zarodek wojny domowej. Humanitarna słabość i demokracja liberalna są dla Rewolucji samobójstwem, jeśli masy są jeszcze niedojrzałe. A jednak moja opozycyjna postawa powodowała się pragnieniem stosowania właśnie tych zasad — tak na oko pożądanym, w rzeczywistości tak śmiertelnie niebezpiecznym. Pragnieniem liberalnej reformy ustroju dyktatury, szerszego zastosowania swobód demokratycznych, zniesienia terroru i rozluźnienia surowej organizacji partyjnej. Przyznaję, że te żądania, w chwili obecnej, są z punktu widzenia obiektywnego szkodliwe i stąd w charakterze swoim kontr-rewolucyjne...”

Znowu przerwał, bo w gardle mu zaschło i głos stał się matowy. Słyszał w ciszy skrobanie ołówka sekretarki; podniósł trochę głowę i mówił dalej z zamkniętymi oczami:

„W tym sensie, jedynie w takim sensie można mnie nazwać kontr-rewolucjonistą. Nie mam zaś nic wspólnego z absurdalnymi sprawami kryminalnymi, przytoczonymi w oskarżeniu”.

„Czyście skończyli?” zapytał Gletkin.

Głos jego brzmiał tak brutalnie, że Rubaszow spojrział na niego ze zdumieniem. Jasno oświetlona postać Gletkina tkwiła za biurkiem w zwykłej, nienagannej postawie. Rubaszow dawno już szukał prostej formuły na Gletkina; znalazł nareszcie — „poprawna brutalność”.

„Wasze oświadczenie nie jest nowe”, kontynuował Gletkin swoim oschłym, drażniącym głosem. „W obu waszych poprzednich zeznaniach, w pierwszym dwa lata temu, potem dwanaście miesięcy temu, przyznaliście się już publicznie do tego, że wasza postawa była „z punktu widzenia obiektywnego kontr-rewolucyjna i sprzeczna z interesami ludu”. Oba razy pokornie przeproszaliście Partię i przyrzekaliście lojalność wobec polityki przywódców. Teraz myślicie, że uda wam się ta sama gierka po raz trzeci. Oświadczenie, które dopiero co złożyliście, jest moim mydleniem oczu. Przyznajecie się do „stanowiska opozycyjnego”, a wypieracie się czynów, które są jego logicznym wynikiem. Już wam powiedziałem, że tym razem tak łatwo się nie wykręcicie”.

Gletkin przerwał równie niespodzianie, jak zaczął. W ciszy, która nastąpiła, Rubaszow słyszał ciche syczenie prądu w lampie

stojącej za biurkiem. Jednocześnie światło jeszcze się o stopień wzmogło.

„Wyznania, które wtedy składałem”, powiedział Rubaszow cicho, „miały cel taktyczny. Wiecie przecież, że cały szereg polityków z opozycji musiało przywilej pozostania w Partii opłacić podobnymi zeznaniami. Tym razem jednak chodzi mi o coś innego...”

„To znaczy, że tym razem mówicie prawdę?” zapytał Gletkin. Postawił to pytanie szybko, a w głosie jego nie było cienia ironii.

„Tak”, odpowiedział spokojnie Rubaszow.

„A przedtem kłamaliście?”

„Jeśli tak chcecie”, rzekł Rubaszow.

„Aby ocalić waszą głowę?”

„Aby móc dalej pracować”.

„Bez głowy nie można pracować. By uratować głowę więc?”

„Niech będzie”.

W krótkich przerwach między pytaniami, rzucanymi przez Gletkina a własnymi odpowiedziami, Rubaszow słyszał tylko skrzypienie ołówka sekretarki i syczenie lampy. Lampa wylewała kaskady białego światła i promieniowała równomiernym żarem, który zmuszał Rubaszowa do ocierania potu z czoła. Usiłował nie zamykać bolących oczu, ale odstępy czasu, po których je otwierał, stawały się coraz dłuższe i dłuższe; czuł rosnącą senność i kiedy Gletkin po ostatniej serii szybkich pytań dopuścił kilka sekund ciszy, Rubaszow z lekkim zdziwieniem zauważył, że jego broda powoli opada na pierś. Kiedy następne pytanie Gletkina poderwało go na nowo, zdawało mu się, że spał niezmiernie długo.

„Powtarzam”, odezwał się głos Gletkina. „Wasze dawniejsze wyznania skruczy miały na celu oszukanie Partii co do waszych prawdziwych przekonań i uratowanie waszej głowy”.

„Przyznałem się już do tego”, powiedział Rubaszow.

„Publiczne wyparcie się waszej sekretarki Arłowej miało także ten cel?”

Rubaszow przytaknął milcząco. Ucisk w jamach ocznych zaczął promieniować na wszystkie nerwy w prawej połowie twarzy. Zauważył, że ząb zaczął na nowo pulsować.

„Wiecie, że obywatelka Arłowa powoływała się wciąż na was, jako na głównego świadka obrony?”

„Powiedziano mi to”, powiedział Rubaszow. Pulsowanie zęba się wzmogło.

„Bez wątpienia wiecie także, że wyznanie, jakieście wtedy złożyli, a które dopiero co nazwaliście kłamstwem, zadecydowało ostatecznie o wyroku śmierci na Arłową?”

„Poinformowano mnie o tym”.

Rubaszow miał wrażenie, że prawa strona jego twarzy cała ściągnęła się w skurczu. Głowa stawała się coraz bardziej zamknięta i ciężka; z trudem wstrzymywał się, by nie opadła na pierś całkowicie. Głos Gletkina wwiercał mu się w uszy:

„Jest zatem całkiem możliwe, że obywatelka Arłowa była niewinna?”

„Możliwe”, rzekł Rubaszow z jakąś resztką ironii, którą poczuł w ustach, jak smak krwi i żółci.

„... I że została stracona na skutek waszego kłamliwego zeznania, które miało uratować waszą głowę?”

„Mniej więcej”, powiedział Rubaszow. „Ty lotrze”, myślał z bezsilną wściekłością. „To co mówisz, jest oczywiście nagą prawdą. Ciekawe, kto z nas dwu jest większym lotrem. Ale on mnie trzyma za gardło, a ja nie mam sposobu się bronić, bo mnie nie wolno wyskoczyć z biegu. Gdyby tylko pozwolił mi spać. Jeśli mnie będzie męczył dalej, odwołam wszystko i odmówię jakiegokolwiek zeznania — wtedy mnie wykończą, ale jego także”.

„... I po tym wszystkim żądacie, żeby was traktować oględnie?” ciągnął swoje głos Gletkina z niezmienną, poprawną brutalnością. „I wciąż jeszcze wypieracie się czynów kryminalnych? Po tym wszystkim oczekujecie, że wam uwierzę?”

Rubaszow zaprzestał wysiłków, by utrzymać głowę podniesioną do góry. Gletkin nie wierząc mu, ma oczywiście rację. On sam zaczął się już gubić w labiryncie chytrze obliczonych kłamstw i pozorów dialektycznych, w półmroku prawdy i urojenia. Prawda ostateczna cofała się zawsze o jeden krok; widzialne jest zawsze tylko przedostatnie kłamstwo, które miało jej służyć. A do jakich patetycznych krygów i tańców św. Wita zmuszała człowieka. W jaki sposób mógłby przekonać Gletkina, że tym razem mówi naprawdę szczerze, że dotarł do końcowej stacji? Zawsze trzeba kogoś przekonywać, przedkładać, argumentować — a naprawdę jedynym pragnieniem jest sen i zgaśnięcie świadomości...

„Nie oczekuję niczego”, powiedział Rubaszow i z trudem odwrócił bolącą głowę w stronę, z której dochodził głos Gletkina, „chcę tylko jeszcze raz złożyć dowód wierności Partii”.

„Możecie dać tylko jeden jedyny dowód”, doszedł go głos Gletkina. „Pełne wyznanie. Dość już słyszeliśmy o waszej „postawie opozycyjnej” i o waszych wzniosłych motywach. Trzeba nam pełnego, publicznego wyznania waszej kryminalnej działalności, która jest koniecznym wynikiem waszego stanowiska. Jedyny sposób, w jaki możecie się jeszcze przysłużyć Partii, to stanowić groźny przykład — pokazując masom na samym sobie skutki, do jakich nieuchronnie prowadzi opozycja przeciw polityce Partii”.

Rubaszow przypomniał sobie zimną przekąskę Nr 1. Zapalone nerwy twarzy pulsowały z niezminiejszą siłą, ale ból już nie był taki ostry i palący; były to teraz raczej tepe, ogłuszające uderzenia. Przypomniał sobie zimną przekąskę Nr 1 i muskuły twarzy wykrzywiły mu się w grymas.

„Nie mogę się przyznawać do zbrodni, których nie popełniłem”, powiedział stanowczo.

„Nie”, zabrzmiał głos Gletkina. „Oczywiście, że nie możecie”

— i po raz pierwszy Rubaszowowi zdawało się, że słyszy coś jakby kpinę w tym głosie.

Począwszy od tej chwili, wspomnienia Rubaszowa o przesłuchaniu były dość mgliste. Po słowach: „oczywiście, że nie możecie”, które mu utkwiły w pamięci z powodu osobliwego tonu w głosie Gletkina, w jego wspomnieniach następowała luka nieokreślonej długości. Później zdawało mu się, że zasnął i pamiętał nawet dziwnie przyjemny sen. Musiał trwać co najwyżej kilka sekund — był to luźny, nieokreślony w czasie ciąg jasnych krajobrazów, w których powtarzały się tak dobrze mu znane topole z posiadłości ojca i szczególny rodzaj białych obłoków, które raz widział nad nimi jako chłopiec.

Następna rzecz, którą pamiętał, to obecność trzeciej osoby w pokoju i głos Gletkina grzmiący nad nim — Gletkin wstał widać i przechylał się przez biurko:

„Proszę was o uwagę... czy poznajecie tę osobę?”

Rubaszow przytaknął. Od razu poznał Zajęczą Wargę, chociaż człowiek o tym przezwisku nie miał teraz nieprzemakalnego płaszczka, w który się zazwyczaj w czasie spaceru po podwórzu otulał, kuląc się z zimna. W mózgu Rubaszowa błysnął znany szereg cyfr: 5-5; 1-1; 2-5; 1-5; 1-3; 5-5... „Zajęcza Warga przesyła wam pozdrowienia”. Kiedy to Nr 402 przesłał mu tę wiadomość?

„Gdzie i kiedyście go poznali?”

Rubaszow mówił z trudem; ciągle czuł w wyschniętych ustach smak goryczy:

„Widziałem go parokrotnie z mego okna, na przechadzce po podwórzu”.

„Przedtem się z nim nie spotkaliście?”

Człowiek zwany Zajęczą Wargą stał przy drzwiach w odległości kilku kroków za krzesłem Rubaszowa; światło reflektora oświetlało go dokładnie. Twarz jego, zwykle żółtawa, była kredowo biała, nos miał śpiczasty, rozbita górna warga z naroślą dzikiego mięsa, drżała nad dziąsłem. Ręce zwisały luźno aż do kolan; Rubaszow, odwróciwszy się teraz plecami do lampy, widział go w oświetleniu lampy jak na scenie. Nowy szereg cyfr przebiegł mu przez pamięć: „4-5; 3-5; 4-3...” — „torturowany wczoraj”. Prawie jednocześnie jakiś cień wspomnienia, którego nie był w stanie uchwycić przemknął mu przez głowę — wspomnienia o tym, że gdzieś spotkał żyjący pierwowzór tej ludzkiej ruiny, na długo przedtem, zanim wszedł do celi nr 404.

„Nie pamiętam dokładnie”, odpowiedział ociągająco na zapytanie Gletkina. „Gdy go teraz widzę z bliska, zdaje mi się, że go już gdzieś, spotkałem”.

Zanim jeszcze skończył zdanie, zdał sobie sprawę, że lepiej było go nie powiedzieć. Pragnął usilnie kilku minut spokoju, by móc się wziąć w garść. Sposób w jaki Gletkin rzucił pytania szybkim, nieprzerwanym ciągiem, przypominał mu obraz drapieżnika, który uderza dziobem w ofiarę.

„Kiedy spotkaliście tego człowieka po raz ostatni? Niezawodność waszej pamięci była kiedyś w Partii przysłowiowa”.

Rubaszow milczał. Wysilał pamięć, ale w żaden sposób nie mógł umiejscowić zjawy z drżącymi ustami, stojącej w jaskrawym świetle. Zajęcza Warga się nie ruszał. Zwilżył językiem dzikie mięso na górnej wardze; wzrok jego przenosił się z Rubaszowa na Gletkina i z powrotem.

Sekretarka przestała notować; słychać było tylko równe syzczenie lampy i chrzęst mankietów Gletkina; pochylił się w przód i oparł łokcie na poręczach krzesła, zadając następne pytanie: „Odmawiacie odpowiedzi?”

„Nie mogę sobie przypomnieć”, powiedział Rubaszow.

„Dobrze”, rzekł Gletkin. Wychylił się jeszcze bardziej w przód i zwrócił w stronę Zajęczej Wargi jakby całym ciężarem swego ciała:

„Czy zechcecie wesprzeć trochę pamięć obywatela Rubaszowa? Gdzieście się ostatni raz z nim spotkali?”

Twarz Zajęczej Wargi stała się, jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze bielsza. Jego oczy zatrzymały się przez chwilę na sekretarce, której obecność widać dopiero teraz zauważył, ale natychmiast znowu pobiegły dalej, jak gdyby w ucieczce i poszukiwaniu miejsca spoczynku. Znowu zwilżył wargi językiem i powiedział szybko, jednym tchem:

„Obywatel Rubaszow namawiał mnie do zgładzenia przywódcy Partii w pomocą trucizny”.

W pierwszej chwili Rubaszow był tylko zdumiony głębokim, melodyjnym głosem, który zabrzmiał nieoczekiwanie z tej ludzkiej ruiny. Ten głos, zdawało się, był jedyną rzeczą, jaka ocalała; odbijał dziwnym kontrastem od całej postaci. Właściwy sens tego, co zostało powiedziane, Rubaszow pochwycił dopiero parę sekund później. Od momentu pojawienia się Zajęczej Wargi oczekiwał czegoś w tym rodzaju i przeczuwał niebezpieczeństwo; ale w tej chwili uderzyła go przed wszystkim innym groteskowość oskarżenia. W sekundę później usłyszał znów Gletkina — tym razem za swoimi plecami, bo i on sam był zwrócony w stronę Zajęczej Wargi. Głos Gletkina brzmiał gniewnie:

„Jeszcze, was o to nie pytałem. Pytałem, kiedy ostatni raz spotkaliście obywatela Rubaszowa”.

„Żle”, pomyślał Rubaszow. „Nie powinien był zwracać uwagi na to, że to fałszywa odpowiedź. Nie byłbym tego zauważył.” Zdawało mu się teraz, że ma zupełnie jasną głowę, że jest w stanie febrycznej trzeźwości. Szukał jakiegoś porównania. „Ten świadek przypomina katarynkę”, przemknęło mu przez myśl; „katarynkę, która właśnie zagrała fałszywą melodię.” Następną odpowiedź Zajęczej Wargi dźwięczała jeszcze bardziej melodyjnie:

„Spotkałem obywatela Rubaszowa po przyjęciu w Misji Han-

dlowej w B. Tam właśnie namawiał mnie do spisku terrorystycznego przeciw życiu przywódcy Partii”.

Kiedy mówił, jego wzrok, przypominający spojrzenie ściganego zwierzęcia, zahaczył o Rubaszowa i zatrzymał się na nim. Rubaszow nałożył binokle i odparował to spojrzenie ostrą ciekawością. Ale w oczach młodego człowieka nie dojrzał prośby o przebaczenie, raczej braterską ufność i niemy wyrzut bezbronnych, których się dręczy. Nie on, ale Rubaszow pierwszy odwrócił wzrok.

Za plecami rozległ się głos Gletkina, znowu pewny siebie i brutalny:

„Czy pamiętacie datę tego spotkania?”

„Pamiętam ją dokładnie”, odpowiedział Zajęcza Warga nie-naturalnie słodkim głosem. „Było to po przyjęciu w dwudziestolecie Rewolucji”.

Jego wzrok wciąż bezbrinnie spoczywał na oczach Rubaszowa, jakby w nich była ostatnia, rozpaczliwa nadzieja ocalenia. W głowie Rubaszowa błysnęło odległe wspomnienie, wpięty wmgłście, potem jaśniej. Teraz wreszcie rozumiał kim jest Zajęcza Warga. Ale odkrycie to nie wywołało w nim prawie żadnego innego uczucia poza bolesnym zdumieniem. Odwrócił głowę w stronę Gletkina i powiedział spokojnie, mrużąc oczy w światło lampy:

„Data się zgadza. Nie poznałem od razu syna profesora Kieffera, bo widziałem go tylko raz — zanim przeszedł przez wasze ręce. Mogę wam powinszować tego dzieła”.

„Przynajście więc, że go znacie i że spotkaliście go w dzień i przy sposobności, jakie wyżej podano?”

„Dopiero co to powiedziałem”, odpowiedział Rubaszow ze znudzeniem w głosie. Febryczna trzeźwość minęła i tępe uderzenia w głowie wróciły na nowo. „Gdybyście mi od razu byli powiedzieli, że to syn mego nieszczęsnego przyjaciela Kieffera, byłbym go był prędzej zidentyfikował”.

„W akcie oskarżenia jest wymienione jego pełne nazwisko”.

„Znałem profesora Kieffera, jak wszyscy, tylko z pseudonimu literackiego”.

„To szczegół nieważny”, powiedział Gletkin. Znowu wychylił się całym ciałem w stronę Zajęczej Wargi, jakby go chciał przygnieść swoim ciężarem poprzez przestrzeń, która ich dzieliła. „Mówcie dalej. Powiedzcie nam, jak doszło do tego spotkania”.

„Znowu źle”, myślał Rubaszow, mimo senności. „To na pewno nie jest nieważny szczegół. Gdybym naprawdę namawiał tego człowieka do idiotycznego spisku przypomniałbym go sobie przy pierwszej wzmiance, z nazwiskiem czy bez nazwiska”. Był jednak zbyt zmęczony, by się wdawać w tak długie tłumaczenie; zresztą musiałby się znowu odwrócić twarzą do lampy. W tej chwili mógł przynajmniej siedzieć odwrócony plecami do Gletkina.

W czasie dyskusji na temat jego tożsamości Zajęcza Warga stał w białym świetle z opuszczoną głową i drżącą górną wargą. Rubaszow myślał o swoim starym przyjacielu i towarzyszowi Kiefferze, wielkim historyku Rewolucji. Na słynnej fotografii przy stole kongresowym, gdzie wszyscy mieli brody i krawki z numerami, jak glorie, dookoła głowy, siedział po lewej stronie przywódcy. Był jego współpracownikiem w dziedzinie historii; a także jego partnerem w szachach i może jedynym osobistym przyjacielem. Po śmierci „Starego”, Kiefferowi poruczono napisanie jego biografii, jako temu, który go znał dokładnie, niż ktokolwiek inny. Pracował nad nią przeszło dziesięć lat, ale nie było jej przeznaczone wyjść kiedykolwiek na światło. W ciągu tych dziesięciu lat oficjalna wersja wydarzeń podczas Rewolucji dziwnie się zmieniała; trzeba było pisać na nowo role głównych aktorów, trzeba było zmienić skalę wartości; a stary Kieffer był uparty i zupełnie nie rozumiał wewnętrznej dialektyki nowego okresu pod panowaniem Nr 1...

„Mój ojciec i ja”, kontynuował Zajęcza Warga swoim nie-naturalnie melodyjnym głosem, „wstąpiliśmy do B., wracając z Międzynarodowego Kongresu Etnograficznego, bo ojciec miał chcieć odwiedzić swego przyjaciela, obywatela Rubaszowa...”

Rubaszow przysłuchiwał się z dziwną mieszaniną ciekawości i smutku. Jak dotąd, historia się zgadzała; stary Kieffer przyjechał go odwiedzić, wiedziony potrzebą wygadania się i zasięgnięcia rady. Wieczór, który spędzili razem, był prawdopodobnie ostatnią przyjemną chwilą w życiu starego Kieffera.

„Mogliśmy się zatrzymać tylko jeden dzień”, mówił dalej Zajęcza Warga; przywarł wzrokiem do twarzy Rubaszowa, jakby tam szukał siły i zachęty. „Był to właśnie dzień święta Rewolucji; stąd pamiętam tę datę tak dokładnie. Przez cały dzień obywatel Rubaszow był zajęty przyjęciem i widział mego ojca tylko kilka minut. Ale wieczorem, kiedy skończyło się przyjęcie w poselstwie, zaprosił mego ojca do swego mieszkania i ojciec pozwolił mi pójść z sobą. Obywatel Rubaszow był dość zmęczony i włożył szlafrok, ale przywitał nas bardzo serdecznie. Podał wino, koniak i ciastka i ucałował ojca, przywitał go słowami: „Uczta pożegnalna ostatnich Mohikanów...”

W tym miejscu głos Gletkina przerwał zza pleców Rubaszowa:

„Czy od razu zdaliście sobie sprawę, że obywatel Rubaszow chciał was upić po to, by was uczynić bardziej podatnym dla jego planów?”

Rubaszow zdawało się, że po spustoszonej twarzy Zajęczej Wargi przemknął cień uśmiechu: po raz pierwszy zauważył słabe podobieństwo z młodzieńcem, którego widział owego wieczoru. Ale wyraz ten znikł natychmiast; Zajęcza Warga zatrzymał powiekami i zwilżył rozciągniętą wargę:

„Wydawał mi się trochę podejrzanym, ale nie od razu przejrzałem zasadzkę”.

„Biedna świnió”, pomyślał Rubaszow, „co z ciebie zrobili...”
 „Dalej”, grzmiał głos Gletkina.

Parę chwil trwało, zanim po tej przerwie Zajęcza Warga zebrał się znowu w garść. W czasie tej przerwy słychać było, jak chuda stenotypistka ostrzy ołówek.

„Rubaszow i ojciec wymieniali przez dłuższą chwilę wspomnienia. Nie widzieli się od szeregu lat. Rozmawiali o czasach przed Rewolucją, o ludziach starszej generacji, których znałem tylko ze słyszenia i o Wojnie Domowej. Często mówili aluzjami, których nie chwyciłem i śmieli się ze wspomnień, których nie znałem”.

„Czy pito dużo?” zapytał Gletkin.

Zajęcza Warga zatrzepotał bezradnie powiekami w stronę światła. Rubaszow zauważył, że mówiąc chwiał się lekko, jakby z trudem tylko trzymał się na nogach.

„Zdaje się, że dość dużo”, ciągnął dalej. „Nigdy w ciągu ostatnich lat nie widziałem mego ojca w tak dobrym humorze”.

„Było to”, zabrzmiał głos Gletkina, „trzy miesiące przed wykryciem kontr-rewolucyjnej działalności waszego ojca. Po dalszych trzech miesiącach spowodowało ono jego egzekucję”.

Zajęcza Warga obliżał usta, wpatrywał się tępo w światło i milczał. W nagłym odruchu Rubaszow odwrócił się gwałtownie do Gletkina, ale oślepiiony światłem przymknął oczy i powoli odwrócił się z powrotem, wycierając binokle o rękaw. Ołówek sekretarki zgrzytnął na papierze i zatrzymał się. Potem rozległ się znów głos Gletkina:

„Czy w tym czasie byliście już wtajemniczeni w kontr-rewolucyjną działalność waszego ojca?”

Zajęcza Warga zwilżył usta.

„Tak”, powiedział.

„I wiedzieliście, że Rubaszow podzielał poglądy waszego ojca?”

„Tak”.

„Streśćcie główne ustępy rozmowy. Opuśćcie wszystko co nieistotne”.

Zajęcza Warga splótł teraz ręce za plecami i oparł plecy o ścianę.

„Po pewnym czasie, mój ojciec i Rubaszow przeszli w rozmowie na czasy obecne. Mówili lekceważąco o stosunkach w Partii i o metodach stosowanych przez przywództwo. Rubaszow i ojciec mówili o przywódcy wyłącznie jako o „Nr 1”. Rubaszow powiedział, że odkąd Nr 1 usiadł swoim szerokim zadem na Partii nie ma w niej powietrza do oddychania. Dlatego woli pracę za granicą”.

Gletkin zwrócił się do Rubaszowa:

„Było to tuż przed waszą pierwszą deklaracją lojalności wobec przywódcy Partii?”

Rubaszow zwrócił się połową ciała w stronę światła. „Chyba tak”, stwierdził.

„Czy zamiar Rubaszowa, aby złożyć taką deklarację był dyskutowany w czasie tego wieczoru?” zapytał Gletkin Zajęczą Wargę.

„Tak. Mój ojciec robił Rubaszowowi wyrzuty z tego powodu i mówił, że się na nim zawiódł. Rubaszow śmiał się i nazwał ojca starym osłem i Don Quijotem. Mówił, że najważniejszą rzeczą jest to, by wytrzymać jak najdłużej i doczekać się decydującej godziny.”

„Co miał na myśli, mówiąc: „doczekać się decydującej godziny?””

Znowu wzrok młodzieńca przylgnął do twarzy Rubaszowa z wyrazem zagubienia i prawie czułości. Rubaszow miał absurdalne wrażenie, że za chwilę tamten spod ściany podejdzie do niego i pocałuje go w czoło. Uśmiechnął się do tego obrazu, gdy do jego uszu doszła odpowiedź powiedziana wdzięcznym głosem:

„Godzinę, w której przywódca Partii zostanie usunięty ze swego stanowiska”.

Gletkin, którego uwagi nie uszedł uśmiech Rubaszowa, powiedział oschle:

„Te wspomnienia widocznie was bawią?”

„Może”, powiedział Rubaszow i znów zamknął oczy.

Gletkin wsunął mankiet w rękaw i wrócił do zadawania pytań Zajęczej Wardze:

„Tak więc Rubaszow mówił o godzinie, w której przywódca Partii zostanie usunięty ze swego stanowiska. Jak się to miało odbyć?”

„Ojciec mój twierdził, że któregoś dnia dzbanek się przeleje i Partia go usunie, albo zmusi go, aby się podał do dymisji; i że zadaniem opozycji jest głoszenie tej tezy.”

„A Rubaszow?”

„Rubaszow śmiał się z ojca i powtórzył, że jest osłem i Don Quijotem. Potem oświadczył, że Nr 1 nie jest zjawiskiem, tylko wcieleniem pewnej cechy ogólnoludzkiej — mianowicie wiary w absolutną nieomyślność własnego zdania. Z tej wiary płynie jego siła i całkowity brak skrupułów. I dlatego nigdy z własnej woli nie poda się on do dymisji i tylko siłą można go usunąć. Tak samo nie należy się niczego spodziewać od Partii, ponieważ Nr 1 trzyma wszystkie nici w ręku a z aparatu biurokratycznego Partii zrobił swego współnika, który z nim przetrwaja lub padnie, i który dokładnie sobie z tego zdaje sprawę”.

Mimo senności uderzyła Rubaszowa ścisłość, z jaką młodzieńiec zapamiętał jego słowa. Sam nie pamiętał już szczegółów tej rozmowy, ale nie wątpił, że Zajęcza Warga powtarzał ją wiernie. Popatrzał na młodego Kieffera przez binokle z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

Zagrzmiał głos Gletkina:

„Rubaszow podkreślał więc konieczność użycia siły przeciwko Nr 1 — to znaczy, przeciwko Przywódcy Partii”.

Zajęcza Warga przytaknęła.

„Jego wywody, wsparte sporą dozą alkoholu, zrobiły na was silne wrażenie?”

Młody Kieffer nie od razu odpowiedział. Wreszcie odezwał się odrobinę ciszej, niż dotąd:

„Właściwie nic nie piłem. Ale wszystko co powiedział wtedy, wywarło na mnie głębokie wrażenie”.

Rubaszow spuścił głowę. Naszło go podejrzenie, które odczuł niemal jak ból fizyczny i które kazało mu zapomnieć o wszystkim innym. Czy to było możliwe, że ten nieszczęsny chłopak naprawdę wyciągnął te wnioski z jego, Rubaszowa, wątku myślenia — że oto stał przed nim w świetle reflektora jako wcielona konsekwencja jego własnej logiki?

Gletkin nie pozwolił mu doprowadzić tej myśli do końca. Znowu rozległ się jego drażniący głos:

„... i w ślad za teoretycznym przygotowaniem przyszła bezpośrednia namowa do czynu?”

Zajęcza Warga milczał. Trzepotał powiekami w świetle.

Gletkin czekał chwilę na odpowiedź. Rubaszow także podniósł bezwiednie głowę. Minęło kilka sekund, w czasie których słychać było tylko brzęczenie lampy; potem rozległ się znów głos Gletkina, jeszcze bardziej poprawny i bezbarwny niż zwykle:

„Czy chcecie, by wam odświeżyć pamięć?”

Gletkin wypowiedział to zdanie z umyślną obojętnością, ale Zajęcza Warga zdrzął jakby go podcięto biczem. Obliznął usta, a w jego oczach pojawił się wyraz nagiego, zwierzęcego strachu. Potem znowu rozległ się jego piękny, melodyjny głos:

„Namowa nie nastąpiła tego samego wieczoru, dopiero następnego ranka, w poufnej rozmowie między obywatelem Rubaszowem i mną”.

Rubaszow uśmiechnął się. Odłożenie owej zmyślonej rozmowy do następnego dnia było wyraźnie finezją reżyserii Gletkina; to, żeby stary Kieffer mógł się pogodnie przysłuchiwać, jak jego synowi polecano kogoś otruć, było, nawet dla psychologii neandertalczyków, zbyt niewiarygodne... Rubaszow zapomniał o wstrząsie, jakiego dopiero co doznał; odwrócił się do Gletkina i mrużąc oczy w świetle, zapytał:

„Zdaje mi się, że oskarżony ma prawo stawiać pytania w czasie konfrontacji?”

„Macie prawo”, powiedział Gletkin.

Rubaszow zwrócił się do młodzieńca. „Jeśli mnie pamięć nie myli”, rzekł, przyglądając mu się przez binokle, „wtedy, kiedyście mnie razem z ojcem odwiedzali, skończyliście właśnie studia uniwersyteckie?”

Teraz, kiedy po raz pierwszy przemówił do niego wprost, twarz Zajęczej Wargi przybrała znowu wyraz nadziei i zaufania. Przynęła.

„Zatem to się zgadza”, powiedział Rubaszow. „Jeśli znowu dobrze pamiętam, mieliście wtedy zamiar rozpocząć pracę w In-

tytucie Badań Historycznych pod kierunkiem ojca? Czy zrobiliście to?”

„Tak”, powiedział Zajęcza Warga i dodał po chwili ociągania: „Aż do chwili aresztowania ojca”.

„Rozumiem”, powiedział Rubaszow. „To uniemożliwiło wam pozostanie w Instytucie i musieliście jakoś zarabiać na życie...” Zatrzymał się, odwrócił do Gletkina i ciągnął dalej:

„... co dowodzi, że w chwili mego spotkania z tym młodym człowiekiem ani on, ani ja nie mogliśmy przewidzieć, jakie będzie kiedyś jego zajęcie; namowa do morderstwa za pomocą trucizny jest więc logiczną niemożliwością”.

Ołówek sekretarki zatrzymał się gwałtownie. Nie patrząc na nią, Rubaszow wiedział, że przestała notować i zwróciła spiczastą, mysią twarz w stronę Gletkina. Zajęcza Warga także patrzył na Gletkina i zwilżał górną wargę; w oczach jego nie było widać żadnej ulgi, tylko osłupienie i strach. Chwilowe uczucie triumfu rozwiało się; Rubaszow miał dziwne wrażenie, że przeskodził w gładkim przebiegu uroczystej ceremonii. Głos Gletkina zabrzmiał rzeczywistość o jeszcze jeden stopień chłodniej i bardziej poprawnie niż zazwyczaj:

„Czy macie jeszcze jakieś pytanie?”

„To na razie wszystko”, powiedział Rubaszow.

„Nikt nie twierdził, że wasze instrukcje kazały mordercy ograniczyć się wyłącznie użycia trucizny”, rzekł spokojnie Gletkin. „Daliście rozkaz zamordowania; wybór sposobu pozostawiliście wykonawcy”. Zwrócił się do Zajęczej Wargi. „Czy się zgadza?”

„Tak”, powiedział Zajęcza Warga i ton jego głosu zdradził jakby ulgę.

Rubaszow pamiętał, że oskarżenie mówiło wyraźnie o „namowie do morderstwa za pomocą trucizny”, ale cała sprawa stała mu się nagle obojętna. Czy młody Michał naprawdę próbował tego szaleńczego zamachu, czy też nosił się tylko z takim zamiarem, czy to całe zeznanie zostało w niego sztucznie wtłoczone, czy też tylko jego części, miało dla Rubaszowa w tej chwili tylko znaczenie czysto formalne; natomiast nie miało żadnego znaczenia dla jego winy. Istotne było, że ten obraz ludzkiej niedoli był konsekwencją jego logiki, obleczonej w ciało. Role się zmieniły; to nie Gletkin, ale on, Rubaszow, próbował zamąć jasną sprawę, bawiąc się w rozszcepianie włosów na czworo. Oskarżenie, które do tej chwili wydawało mu się absurdalne, w rzeczywistości wstawiało tylko — choć w sposób niezręczny i prostacki — brakujące ogniwa do najzupełniej logicznie wiążącego się łańcucha.

A jednak Rubaszowowi zdawało się, że w jednym punkcie go krzywdzą. Ale był zbyt wyczerpany, by wyrazić to słowami.

„Czy macie jeszcze jakieś pytanie?” zapytał Gletkin.

Rubaszow potrząsnął głową.

„Możecie odejść”, powiedział Gletkin do Zajęczej Wargi. Naciśnął dzwonek; wszedł umundurowany dozorca i założył mło-

demu Kiefferowi kajdanki na ręce. Zanim go wyprowadzono, już w drzwiach, Zajęcza Warga jeszcze raz odwrócił głowę w stronę Rubaszowa, jak to zwykle robił pod koniec przechadzki na podwórzu. Rubaszow czuł na sobie ten wzrok jak ciężar; zdjął binokle, wytarł je o rękaw i odwrócił oczy.

Kiedy Zajęcza Warga wyszedł, odczuł prawie zazdrość. Głos Gletkina wwiercał mu się w uszy, pedantyczny i brutalnie świeży:

„Czy przyznajecie teraz, że zeznanie Kieffera jest, w najważniejszych punktach, zgodne z prawdą?”

Rubaszow musiał się znów odwrócić do lampy. W uszach mu szumiało a światło za cienką skórą powiek pałało gorąco i czerwono. Nie uszło jednak jego uwagi zdanie: „w najważniejszych punktach”. Gletkin naprawiał tym zdaniem wyrwę w oskarżeniu i stwarzał sobie możliwość zastąpienia „podmawianie do morderstwa za pomocą trucizny” na proste „podmawianie do morderstwa”.

„W najważniejszych punktach — tak”, stwierdził Rubaszow.

Mankiety Gletkina zachrząściły, i nawet stenotypistka poruszyła się na krześle. Rubaszow zrozumiał, że powiedział w tej chwili zdanie decydujące i przypieczetował przyznanie się do winy. Jakże by ci neandertalczykcy mogli kiedykolwiek zrozumieć, co on, Rubaszow, uważa za winę — co on, według własnych miar, nazywa prawdą?

„Czy światło wam dolega?” zapytał nagle Gletkin.

Rubaszow uśmiechnął się. Gletkin płacił gotówką. Oto umyśloność neandertalczyków. A jednak, kiedy oślepiające światło lampy o stopień zelżało, Rubaszow poczuł ulgę i nawet coś w rodzaju wdzięczności.

Mógł teraz spojrzeć Gletkinowi w twarz, choć tylko ze zmrużonymi oczami. Zauważył znowu szeroką bliznę na огоłonej głowie.

„... z wyjątkiem jednego punktu, który jest dla mnie istotny”, powiedział Rubaszow.

„Mianowicie?” powiedział Gletkin, znów sztywno i poprawnie.

„Teraz myśli oczywiście, że chodzi mi o rozmowę z chłopcem w cztery oczy, która się nigdy nie odbyła”, pomyślał Rubaszow: „Oto co dla niego jest ważne: stawiać kropki nad i i to nawet, jeśli by te kropki miały być bardziej podobne do kroksów. Zresztą ze swego punktu widzenia ma może słuszność...”

„Oto punkt, który jest dla mnie istotny”, powiedział głośno. „To prawda, że zgodnie z moimi przekonaniem w tym okresie, mówiłem o konieczności użycia przemocy. Ale mówiąc tak, miałem na myśli działalność polityczną, a nie terror jednostkowy”.

„Więc woleliście wojnę domową?” rzekł Gletkin.

„Nie. Akcję mas”, odparł Rubaszow.

„Która, jak wiecie, nieuchronnie prowadzi do wojny domowej. Czy o to rozróżnienie tak bardzo wam chodzi?”

Rubaszow nie odpowiedział. Był to istotnie właśnie ten punkt, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak istotny — teraz i to stało się obojętne. Jeśli opozycja mogła naprawdę zwyciężyć biurokrację partyjną i jej cały, olbrzymi aparat jedynie za pomocą wojny domowej — to dlaczego ta możliwość miała być lepsza od przemycenia trucizny do zakąski Nr 1, którego usunięcie przyczyniłoby się może w szybszy i mniej krwawy sposób do obalenia reżimu. W jakim sensie mord polityczny jest mniej godny szacunku od masowego zabójstwa politycznego? Ten nieszczęsny chłopak wyraźnie źle zrozumiał jego myśl — ale czy w tym błędzie nie było więcej konsekwencji, aniżeli w jego własnym zachowaniu się w ciągu ostatnich lat.

Kto przeciwstawia się dyktaturze, musi uznać wojnę domową jako jeden ze środków do celu. Kto cofa się przed wojną domową, powinien wyrzec się opozycji i pogodzić się z dyktaturą.

Te proste zdania, które napisał na początku swojej drogi w polemice z „umiarkowanymi”, były wyrokiem na niego samego. Nie czuł się na siłach, by podtrzymać rozprawę z Gletkinem. Świadomość zupełnej klęski napełniała go swoistą ulgą; zdjęto z niego obowiązek dalszej walki i ciężar odpowiedzialności; wróciła poprzednia senna. Pulsowanie w głowie czuł już tylko jako słabe echo i przez chwilę zdawało mu się, że za biurkiem siedzi nie Gletkin, ale Nr 1 i patrzy na niego z tym samym wyrazem dziwnie ironicznego zrozumienia, z jakim go pożegnał, kiedy uściśnił sobie ręce po ostatnim spotkaniu. Przypomniał mu się napis, który przeczytał kiedyś nad bramą w Errancis, gdzie leżą St. Just, Robespierre i ich szesnastu zgilotynowanych towarzyszy. Jest to tylko jedno słowo:

Dormir — spać.

Począwszy od tej chwili, pamięć wydarzeń znów miała zatarłe kontury. Prawdopodobnie zasnął po raz drugi — na kilka minut czy sekund; nie pamiętał jednak, czy tym razem śnił cokolwiek. Obudził go prawdopodobnie Gletkin, żądając aby podpisał zeznanie. Podał mu wieczne pióro, które, jak Rubaszow z lekkim uczuciem odrazy zauważył, zachowało ciepłość kieszeni przytykającej do ciała. Stenotypistka przestała notować; w pokoju panowała zupełna cisza. Lampa także przestała syczeć i rozlewała normalne, raczej słabe światło, bo w oknie widać już było brzask.

Rubaszow podpisał.

Pozostało mu uczucie ulgi i wyzbycia się odpowiedzialności, choć nie pamiętał, jak do tego doszedł; potem, półprzytomny ze senna, przeczytał protokół, w którym było przyznanie się, że namawiał młodego Kieffera do zabójstwa przywódcy Partii. Przez chwilę miał wrażenie, że cała sprawa jest groteskowym nieporozumieniem; przelotnie powstał w nim odruch, kładący przekreślić podpis i podrzeć dokument; potem przypom-

niał sobie wszystko, wytarł binokle o rękaw i podał przez biurko papier Gletkinowi.

Następny szczegół, który zachował w pamięci było to, że szedł wzdłuż korytarza. Eskortował go umundurowany olbrzym, który go był prowadził do Gletkina nieskończenie dawno temu. Na pół śpiąc przeszedł obok fryzjera i schodów do podziemia; przypominały mu się obawy w drodze na badanie; zdziwił się trochę sobie samemu i uśmiechnął blade w przestrzeń. Potem słyszał, jak drzwi celi zatrzasnęły się za nim i padł na pryczę z uczuciem fizycznego błogostanu; dojrzał jeszcze szare światło poranka na szybach i dobrze znany skrawek gazety, przyczepiony do framugi okna, po czym zasnął natychmiast.

Dzień jeszcze nie zupełnie nastał, kiedy drzwi celi otwariły się ponownie; spał najwyżej godzinę. Wpierw myślał, że przyniesiono śniadanie; ale na zewnątrz, zamiast starego dozorcę stał znowu umundurowany olbrzym. Rubaszow zrozumiał, że musi wrócić do Gletkina i że badanie rozpocznie się na nowo.

Wytarł nad miednicą czoło i kark zimną wodą, nałożył binokle i znów rozpoczął marsz przez korytarz, mijając izbę fryzjera i schody do podziemi z lekka chwiejnymi krokami, z czego sobie już nie zdawał sprawy.

4

Mgła zasnuwająca pamięć Rubaszowa zagęszczała się od tej chwili. Przypominał sobie później tylko oderwane urywki rozmowy z Gletkinem, która ciągnęła się poprzez wiele dni i nocy, z krótkimi tylko, jedno czy dwugodzinnymi przerwami. Nie mógł nawet dokładnie określić, ile było tych dni i nocy; musiało to trwać chyba z tydzień.

Rubaszow słyszał kiedyś o tej metodzie całkowitego fizycznego miazdżenia człowieka; zwykle, w czasie takiego zabiegu zmienia się dwu lub trzech sędziów, prowadząc kolejno nieprzerwane badania krzyżowe. Różnica w metodzie Gletkina polegała na tym, że on sam nie dawał sobie chwili odetchnięcia i wymagał od siebie zupełnie tyle samo, co od Rubaszowa. W ten sposób odbierał Rubaszowi ostatnie wsparcie psychiczne: patos męczeństwa, moralną wyższość ofiary.

Po czterdziestu ośmiu godzinach Rubaszow przestał odróżniać dzień, od nocy. Kiedy, po godzinie snu, budził go olbrzym trzęsąc z całej siły, nie był już w stanie powiedzieć, czy szare światło za oknem to świt czy zmierzch. Korytarz, pokój fryzjera, stopnie do podziemi i zamknięte sztabą drzwi, były zawsze tak samo oświetlone mdłym światłem żarówek. Gdy w czasie przesłuchania, okno zaczynało się stopniowo rozświetlać i Gletkin gasił lampę, znaczyło to, że nastał dzień. Jeśli się ściemniało i Gletkin zapalał lampę, można się było domyśleć, że nastawał wieczór.

Jeśli w czasie przesłuchania Rubaszow zaczynał odczuwać głód, Gletkin kazał mu przynosić herbatę i kanapki. Rzadko

kiedy jednak miał apetyt do jedzenia; to znaczy, miewał napady dzikiego głodu, ale z chwilą gdy stawiano przed nim chleb, zaczynało go mdlić. Gletkin nie jadł nigdy w jego obecności, a Rubaszow, z jakichś niewytłumaczonych przyczyn, uważał za upokarzające prosić o posiłek. Wszystko co dotyczyło funkcji fizycznych było dla Rubaszowa w obecności Gletkina upokarzające; bo Gletkin nigdy nie okazywał oznak zmęczenia, nigdy nie ziewał, nigdy nie palił, wydawało się, że nie jadł i nie pił i zawsze siedział za biurkiem w niezmiennie poprawnej postawie, w tym samym sztywnym mundurze z chrząszczącymi mankietami. Najgorszym poniżeniem było dla Rubaszowa, gdy musiał prosić o pozwolenie wyjścia z potrzebą. Gletkin kazał go prowadzić do ubikacji służbowemu dozorcę (zwykle był to ów olbrzym), który czekał na niego na zewnątrz. Raz Rubaszow zasnął za zamkniętymi drzwiami. Odtąd zawsze zostawiano drzwi uchylone.

Stan Rubaszowa w czasie przesłuchań wahał się między zupełną apatią i nienaturalnie wyostrzoną trzeźwością. Raz tylko stracił zupełnie przytomność; często był tego bliski, ale zawsze w ostatniej chwili ratowała go ambicja. Zapalał papierosa, trzepotał powiekami i badanie szło dalej.

Niekiedy zdumiewał się, że wytrzymuje to wszystko. Wiedział jednak, że opinia laików grubo nie docenia możliwości człowieka o jego zadziwiającej elastyczności. Słyszał o przypadkach, kiedy nie dawano więźniom spać przez piętnaście do dwudziestu dni, a oni to wytrzymywali.

Po pierwszym przesłuchaniu przez Gletkina, kiedy podpisał przyznanie się do winy, wyobrażał sobie, że jest już po wszystkim. W czasie drugiego przesłuchania zrozumiał, że to ledwie początek. Oskarżenie składało się z siedmiu punktów, a on przyznał się dopiero do pierwszego. Wydawało mu się, że wypił do dna czarę upokorzenia, teraz zrozumiał, że bezsilność może mieć tyle samo stopni, co siła; że kłeska może być równie zawrotna, jak zwycięstwo i że jej otchłań nie da się zgruntować. I krok po kroku, Gletkin zmuszał go do schodzenia po stopniach drabiny.

Oczywiście, Rubaszow mógł sobie wszystko uprościć. Mógł po prostu podpisać wszystko, tak jak było, albo też wszystkiemu za jednym zamachem zaprzeczyć — wtedy miałyby spokój. Dziwne, skomplikowane poczucie obowiązku powstrzymywało go, aby nie ulec tej pokusie. Życie Rubaszowa było tak bez reszty wypełnione jedną myślą, że zjawisko „pokusy” znał tylko z teorii. Teraz pokusa towarzyszyła mu w ciągu owych nierozróżnianych dni i nocy, w chwiejnym przemarszu przez korytarz, w każdej chwili pod białym światłem lampy Gletkina — pokusa, na którą składało się tylko jedno jedyne słowo wyryte nad cmentarzem pokonanych: Spać.

Trudno było się jej opierać, bo była to pokusa cicha i spokojna; bez jaskrawej szminki i pozbawiona cielesności. Była

niema; nie posługiwała się żadnymi argumentami. Wszystkie argumenty wytaczał Gletkin; ona powtarzała tylko słowa, które napisano na kartce fryzjera: „Umrzyj w milczeniu”.

Czasem, w chwilach apatii, które przychodziły w ślad za ostrowidzącą trzeźwością, usta Rubaszowa poruszały się, ale Gletkin nie mógł dosłyszeć słów. Wtedy chrząkał, i poprawiał mankiety; a Rubaszow wycierał binokle o rękaw i kiwał głową osłupiały i senny; bo oto zidentyfikował kusiciela z owym niemym rozmówcą, choć mogło się zdawać, że go już dawno zapomniał, i choć nie miał on czego szukać właśnie w tym po-koju: — z fikcją gramatyczną...

„A więc wypieracie się rokowań w imieniu opozycji z przedstawicielami obcego państwa, rokowań zmierzających do tego, by doprowadzić do obalenia obecnego reżymu? Odrzucacie oskarżenie, że byliście gotowi opłacić pomoc bezpośrednią lub pośrednią dla waszych planów ustępstwami terytorialnymi — ściśle mówiąc poświęceniem pewnych prowincji naszego kraju?”

Tak jest, Rubaszow zaprzeczał; Gletkin powtórzył mu więc dzień i okoliczności, w których odbył rozmowę z wymienionym dyplomatą — i Rubaszowowi przypomniała się znowu owa mała, nieważna scena, która przewinęła się przez pamięć, gdy Gletkin odczytywał oskarżenie. Śpiący i stropiony spojrzął na Gletkina i zrozumiał, że jest to beznadziejne próbować wyjaśnienia tej sceny. Odbyła się ona po jakimś śniadaniu dyplomatycznym w poselstwie B. Rubaszow siedział obok tłustego pana von Z., drugiego radcy ambasady tego samego państwa, w którym kilka miesięcy wcześniej wybito mu zęby. Prowadził wysoce interesującą rozmowę na temat pewnego rzadkiego gatunku morskich świnek, które hodowano zarówno w posiadłości pana von Z., jak i ojca Rubaszowa; najprawdopodobniej w swoim czasie ojciec Rubaszowa i ojciec pana von Z. wymienili między sobą okazowe egzemplarze tych świnek.

„Co się teraz stało z morskimi świnkami pańskiego ojca?” zapytał pan von Z.

„Zabito je i zjedzono w czasie Rewolucji”, odpowiedział Rubaszow.

„Z naszych robi się teraz namiastkę tłuszczu”, powiedział melancholijnie pan von Z. Nie usiłował wcale ukryć pogardy dla nowego reżymu swego kraju, który prawdopodobnie tylko przez przeoczenie zapomniał go dotąd wylać ze stanowiska.

„Jesteśmy obaj, jak przypuszczam, w bardzo podobnej sytuacji”, stwierdził beztrzesko i wychylił kieliszek likieru. „Obaj przeżyliśmy naszą epokę. Skończyła się hodowla morskich świnek; żyjemy w wieku plebsu.”

„Niech pan nie zapomina, że jestem po stronie plebsu”, odparł z uśmiechem Rubaszow.

„Nie o to mi chodziło”, rzekł pan von Z. „Właściwie i ja nie mam nic przeciwko programowi naszego człowieka z czarnym wąsikiem — gdyby tylko tak nie wrzeszczał. Ostatecznie moż-

na się dać ukrzyżować jedynie w imię własnej wiary”.

Jeszcze chwilę siedzieli razem, pijąc kawę i po drugiej filiżance pan von Z. powiedział: „Gdybyście w waszym kraju mieli znowu zrobić rewolucję, i złożyć z tronu waszego Nr 1, proszę się lepiej opiekować morskimi świnkami”.

„To jest bardzo nieprawdopodobne”, powiedział Rubaszow, a po chwili dodał: „... chociaż mam wrażenie, że przyjaciele pana jak gdyby liczyli się z taką możliwością?”

„Zapewne”, powiedział pan von Z. takim samym niewymuszonym tonem. „Po tym, co usłyszeliśmy w czasie waszych ostatnich rozpraw sądowych, należy sądzić, że w waszym kraju dzieją się bardzo dziwne rzeczy”.

„W takim razie, przyjaciele pana muszą chyba także mieć jakiś pogląd co do tego, jakie kroki przedsięwzięto by z ich strony w owym wysoce nieprawdopodobnym przypadku?” zapytał Rubaszow.

Na co pan von Z. odpowiedział bardzo precyzyjnie, prawie tak, jak gdyby oczekiwał tego pytania: „Siedzieliby cicho. Ale za pewną cenę”.

Stali teraz koło stolika, trzymając filiżanki w rękach. „A czy cenę także już ustalono?” zapytał Rubaszow, czując, że jego swobodny ton brzmi trochę sztucznie.

„Oczywiście”, odpowiedział pan von Z. i wymienił pewną prowincję znaną z uprawy pszenicy i zamieszkałą przez mniejszość narodową. Po czym się pożegnali...

Rubaszow nie myślał o tej scenie przez lata — albo przynajmniej nigdy jej świadomie nie wywoływał z pamięci. Czcza gapiącą nieważność? Rubaszow patrzył sennym wzrokiem na Gletkina, siedzącego naprzeciwko z kamiennym, nieruchomym wyrazem twarzy, jak zawsze. Nie, nie podobna wszczynać z nim rozmowy o morskich świnkach. Taki Gletkin nic przeciw sobie, jak powoli Gletkin czytał, z jak fałszywym często akcentem. Pochodzi z proletariatu i nauczył się czytać i pisać już jako dorosły człowiek. Nigdy nie zrozumie, że rozmowa, zaczynająca się od morskich świnek, może się Bóg wie na czym skończyć.

„Przynajecie więc, że taka rozmowa się odbyła”, rzekł Gletkin.

„Nie miała najmniejszego znaczenia”, odpowiedział Rubaszow zmęczonym głosem i pojął, że Gletkin zepchnął go znowu o jeden stopień niżej.

„Tak samo”, powiedział Gletkin, „jak wasze czyste teoretyczne wywody wobec młodego Kieffera o konieczności usunięcia przywódcy siłą?”

Rubaszow wytarł binokle o rękaw. Czy ta rozmowa naprawdę nie miała żadnego znaczenia, jak usiłował sobie wmówić? Na pewno ani nie „pertraktował”, ani nie zawarł żadnej umowy; a uprzejmy pan von Z. nie miał po temu żadnego oficjalnego

upoważnienia. Całą sprawę można by co najwyżej uznać za to, co w języku dyplomatycznym nazywa się „sondowaniem tere-ru”. Ale to sondowanie było jednym z ogniw w logicznym łańcuchu jego ówczesnych poglądów; pozostawało zresztą w zgodzie z pewnymi tradycjami Partii. Czyż stary przywódca tuż przed Rewolucją nie korzystał z usług sztabu głównego tego samego kraju, by wrócić z wygnania i poprowadzić Rewolucję ku zwycięstwu? Czy później, w pierwszym traktacie pokojowym, nie odstąpił pewnych terytoriów w zamian za to, że jego krajowi dano pokój? „Stary poświęca przestrzeń, by zyskać na czasie”, zauważył wtedy jakiś dowcipny przyjaciel Rubaszowa.

Owa zapomniana, „nie mająca żadnego znaczenia” rozmowa tak dokładnie przystawała do łańcucha, że teraz i Rubaszowowi trudno było patrzeć na nią inaczej, niż oczami Gletkina. Tego właśnie nieudolnie czytającego Gletkina, którego umysł pracuje tak samo niezręcznie i dochodzi do prostych, namacalnych wyników może właśnie dlatego, że wcale nie zna się na morskich świnkach...

Ale skąd Gletkin wie o tej rozmowie? Albo ją podsłuchano, co w tamtych okolicznościach było dość nieprawdopodobne, albo też uprzejmy pan von Z. występował w roli prowokatora — dla Bóg wie jakich złożonych powodów. Takie przypadki zdarzały się dawniej i wcale nie rzadko. Zastawiono pułapkę na Rubaszowa — pułapkę skonstruowaną w zgodzie z prymitywną umysłowością Gletkina i Nr 1, a on, Rubaszow, wpadł w nią tak łatwo...

„Znając tak dokładnie moją rozmowę z panem von Z.”, powiedział Rubaszow, „chyba wiecie także, że nie miała ona żadnych praktycznych następstw”.

„Oczywiście”, odpowiedział Gletkin. „Dzięki temu, że aresztowaliśmy was w porę, i wytępiiliśmy opozycję w całym kraju. Skutki planowanej zdrady byłyby się ujawniły, gdybyśmy tego wszystkiego nie zrobili”.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Że w żadnym razie nie byłoby poważnych skutków, chociażby z tego powodu, że on, Rubaszow, był już zbyt stary i zdarty, aby postępować tak konsekwentnie, jak się tego domaga tradycja partyjna, i jakby to na jego miejscu uczynił Gletkin? Że cała działalność tak zwanej opozycji ograniczała się do starczego zrządzenia, bo całe pokolenie starej gwardii było tak samo zdarte, jak on sam? Zdarte latami walki podziemnej; zżarte wilgocią ścian więziennych, wśród których spędziło połowę młodości; wysane do szpiku ciągłym napięciem nerwowym, aby stłumić fizyczny strach, o którym się nigdy nie mówi, z którym każdy musi się sam uporać — i to nie raz, ale w ciągu lat, czy dziesiątków lat? Zużyte latami wygnania, jadowitym kwasem rozgrywek partyjnych, bezwzględnością z jaką je przeprowadzano; wyczerpane niekończącymi się klęskami i demoralizacją końcowego zwycięstwa? Czy mógł mu powiedzieć, że czynna, zorganizowana opozycja przeciwko dyktaturze Nr 1 w rzeczywi-

stości nigdy nie istniała; że była to tylko gadanina, bezpłodne igranie z ogniem, bo generacja starej gwardii wydatkowała już wszystko co posiadała, była wyciśnięta do ostatniej kropli, do ostatniej kalorii duchowej; i że została jej tylko, jak owym umarłym z cmentarza w Errancis, jedna nadzieja: spać i czekać, aż potomność odda jej należną sprawiedliwość.

Co odpowiedzieć temu niewzruszonemu człowiekowi z Neandertalu? Że we wszystkim ma słusznosc i popełnia tylko jeden zasadniczy błąd: wierzy, iż ciągle jeszcze siedzi przed nim stary Rubaszow, podczas gdy to jest tylko jego cień? Że cała sprawa sprowadza się do tego — ukarać go nie za czyny, które popełnił, ale za te, których zaniedbał popełnić? „Można dać się ukrzyżować tylko w imię własnej wiary”, powiedział kiedyś uprzejmy pan Z....

Zanim Rubaszow podpisał zeznanie i wrócił do celi, by leżeć bez przytomności na pryczy do chwili, kiedy męka zacznie się na nowo — sam postawił Gletkinowi jedno pytanie. Nie miało ono nic wspólnego z dyskutowanym punktem, ale Rubaszow wiedział, że za każdym razem, kiedy dochodzi do podpisania protokołu, Gletkin staje się bardziej przystępny — Gletkin płaci gotówką. Pytanie, które Rubaszow postawił — dotyczyło losu Iwanowa.

„Obywatel Iwanow został aresztowany”, powiedział Gletkin.

„Czy wolno wiedzieć z jakiego powodu?” zapytał Rubaszow.

„Obywatel Iwanow prowadził niedbale dochodzenie w waszej sprawie, a w rozmowach prywatnych wyrażał cyniczne powątpiewanie co do słusznosci oskarżenia”.

„A jeśli w nie naprawdę nie wierzył?” zapytał Rubaszow. „Może miał o mnie zbyt dobrą opinię?”

„W tym przypadku”, odparł Gletkin, „powinien był zawiesić badanie i oficjalnie powiadomić odpowiednio władze, że według jego zdania jesteście niewinni”.

Czy Gletkin szydził z niego? Wyglądał tak samo nienaganie i patrzył oczami bez wyrazu, jak zawsze.



Następnym razem, kiedy Rubaszow znów pochylał się nad protokołem dziennym, trzymając w ręku ciepłe pióro Gletkina — stenotypistki już nie było w pokoju — powiedział:

„Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?”

Mówiąc przypatrywał się szerokiej bliźnie na ciemieniu Gletkina.

„Mówiono mi, że jesteście zwolennikiem pewnych, drastycznych sposobów — tak zwanej „twardej ręki”. Dlaczego w stosunku do mnie nie użyliście nigdy bezpośredniego nacisku fizycznego?”

„Tortury fizycznej, chcieliście powiedzieć”, stwierdził Gletkin rzeczowym tonem. „Jak wiadomo, nasz kodeks karny tego zabrania”.

Zatrzymał się. Rubaszow właśnie podpisał protokół.

„Poza tym”, ciągnął dalej Gletkin, „istnieje pewien gatunek oskarżonego, który składa zeznania pod naciskiem, ale na rozprawie publicznej je odwołuje. Wy należycie do tego gatunku upartych. Pożytek polityczny waszego zeznania na rozprawie będzie w tym, że zostało złożone dobrowolnie”.

Po raz pierwszy Gletkin wspomniał rozprawę publiczną. Ale w drodze powrotnej przez korytarz, gdy szedł za olbrzymem, nie to zajmowało Rubaszowa, ale zdanie: „wy należycie do tego gatunku upartych”. Mimo woli, napełniało go przyjemnym zadowoleniem z siebie.

„Robię się stary i dziecięciniały”, myślał, leżąc na pryczy. Ale przyjemne uczucie nie ustępowało aż do chwili, gdy zasnął.



Za każdym razem, kiedy, po upartym użeraniu się, podpisywał nowe zeznanie i kładł się na pryczy, wyczerpany a jednak w jakiś dziwny sposób zadowolony, z pełną świadomością tego, że zbudzą go za godzinę, najdalej dwie — za każdym razem Rubaszow miał tylko jedno życzenie: żeby Gletkin choć raz pozwolił mu spać i odzyskać przytomność. Wiedział dokładnie, że życzenie jego się nie spełni, póki walka nie dojdzie do gorzkiego kresu, póki ostatnia kropka nie zostanie postawiona nad ostatnim „i”. Wiedział także, że każda nowa potyczka skłóczy się nową porażką i że co do ostatecznego wyniku nie może być najmniejszej wątpliwości.

Dlaczego więc zamęczał sam siebie i dawał się męczyć, zamiast poddać się w tej przegranej bitwie i uzyskać to, by go już więcej nie budzono? Myśl o śmierci straciła już dawno wszelkie cechy metafizyczne; stała się czymś ciepłym, kuszącym, cielesnym — oznaczała sen. A jednak jakieś dziwne, zawiłe poczucie obowiązku zmuszało go do trzeźwości i prowadzenia przegranej walki do końca — nawet gdyby to miała być tylko walka z wiatrakami. To poczucie obowiązku zmuszało go do wytrzymania aż do chwili, w której Gletkin straci go z ostatniego szczebla drabiny i w jego przymrużonych oczach nie przemieni ostatniego nieudolnego kleksa oskarżenia w „i” z kropką logicznie postawioną.

Musi iść swoją koleją aż do samego końca. Dopiero wtedy, kiedy wejdzie w ciemność z otwartymi oczami, zdobędzie sobie prawo do snu i do tego, by go już więcej nie budzono.



W ciągu tego nieprzerwanego łańcucha dni i nocy pewna zmiana zaszła także i w Gletkinie. Nie była ona wielka, ale nie uszła zapanowanym oczom Rubaszowa. Do końca Gletkin siedział sztywno, z nieporuszoną twarzą i chrząszczącymi mankietami w cieniu lampy, stojącej za biurkiem; ale powoli, krok po kroku, brutalność jego głosu zniknęła, tak samo, jak stopień po

stopniu, zmniejszył jaskrawe natężenie lampy, póki nie zaczęła płonąć prawie normalnym światłem. Nie uśmiechał się nigdy i Rubaszow zastanawiał się, czy neandertalczyzy w ogóle potrafią się uśmiechać; jego głos nie był także dość podatny, by wyrazić jakikolwiek odcień uczuciowy. Raz jednak, kiedy po wielogodzinnej rozmowie zapas papierosów Rubaszowa się wyczerpał Gletkin, sam niepalący, wyjął z kieszeni paczkę i podał ją przez biurko Rubaszowowi.

W jednym punkcie Rubaszow zdołał osiągnąć zwycięstwo; był to punkt oskarżenia, dotyczący rzekomego sabotażu w truscie aluminiowym. W ogólnej sumie zbrodni, do których się przyznał, był to zarzut małej wagi, ale Rubaszow bronił się przeciw niemu z tym samym uporem, jaki zdradzał w punktach istotnych.

Siedzieli naprzeciwko siebie prawie całą noc. Szczegół po szczególe, Rubaszow odparował wszelkie dowody oskarżenia i jednostronne dane statystyczne; głosem ochryplym ze zmęczeniem cytował cyfry i daty, które we właściwej chwili jakby cudem wyłaniały się z jego odurzzonej pamięci; i przez cały czas Gletkin nie był w stanie znaleźć punktu zaczepienia, od którego można by zacząć odwijać łańcuch logiczny.

Już bowiem od czasu drugiego czy trzeciego spotkania, stała się między nimi niepisana umowa: jeśli Gletkin potrafił dowiedzieć, że sama podstawa oskarżenia była słuszna — nawet jeśli była ona natury czysto logicznej, abstrakcyjnej — mógł dowolnie wstawiać brakujące szczegóły; „stawiać kropki nad i”, jak to Rubaszow nazywał. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyzwyczaili się do tych zasad gry i ani jeden ani drugi nie odróżniali już czynów, które Rubaszow popełnił naprawdę od tych, które tylko powinien był popełnić w logicznym wyniku swoich przekonań; stopniowo stracili poczucie pozoru i rzeczywistości, logicznej fikcji i faktów realnych. Czasem, w rzadkich chwilach rozjaśnienia świadomości, Rubaszow zdawał sobie z tego sprawę i miał wtedy poczucie, że budzi się z dziwnego stanu narkozy; Gletkin jednak bodaj nigdy nie dochodził do takiego rozeznania.

Nad ranem, kiedy Rubaszow ciągle jeszcze nie poddał się oskarżeniu o sabotaż w truscie aluminiowym, głos Gletkina zaczął zdradzać pewną nerwowość — zupełnie jak wtedy, na samym początku, gdy Zajęcza Warga wyrecytował fałszywą odpowiedź. Zaostrzył znowu światło, czego nie robił od dłuższego czasu; ale natychmiast je znowu zmniejszył, dostrzegłszy ironiczny uśmiech Rubaszowa. Postawił jeszcze kilka pytań, które także do niczego nie doprowadziły, i wreszcie rzekł na zakończenie:

„A więc ostatecznie przeczycie temu, jakobycie się dopuścili się w przemyśle powierzonym waszej pieczy jakichkolwiek czynów niszczyielskich lub dywersyjnych — czy też nawet zamierzali coś podobnego przedsięwziąć?”

Rubaszow kiwnął głową — pełen sennej ciekawości, co się teraz stanie. Gletkin zwrócił się do stenografki:

„Piszcie: sędzia śledczy proponuje odstąpić od tego punktu oskarżenia, z braku dowodów”.

Rubaszow zapalił szybko papierosa, by ukryć uczucie dziecinnego triumfu, jakie go ogarnęło. Po raz pierwszy zwyciężył Gletkina. Było to wprawdzie wrzuszające, drobne, lokalne zwycięstwo w przegranej bitwie, ale zwycięstwo; a tyle miesięcy, lat nawet minęło, kiedy ostatni raz zaznał takiego uczucia... Gletkin wziął od sekretarki protokół i odesłał ją, zgodnie ze zwyczajem, który się ostatnio między nimi ustalił.

Kiedy zostali sami i Rubaszow wstał, by podpisać protokół, Gletkin, podając mu pióro, powiedział:

„Doświadczenie uczy, że sabotaż przemysłowy jest dla opozycji najskuteczniejszym środkiem, aby stwarzać trudności rządowi i wywołać niezadowolenie wśród robotników. Dlaczego się tak upieracie przy tym, że nie użyłście, czy też nie mieliście zamiaru użyć tego sposobu?”

„Bo to jest, technicznie biorąc, absurd”, rzekł Rubaszow. „I dlatego także, że to wieczne posługiwanie się sabotażystą jako straszakiem wywołuje epidemię donosów, które mnie oburzają”.

Dawno niedoznane uczucie triumfu sprawiło, że Rubaszow czuł się świeższy i mówił głośniejsz niż zwykle.

„Jeżeli uważacie sabotaż za czysty wymysł, jakie są, waszym zdaniem, rzeczywiste przyczyny niezadowolającego stanu naszego przemysłu?”

„Zbyt niskie wynagrodzenia, system niewolniczy i barbarzyńskie metody dyscyplinarne”, odpowiedział Rubaszow. „Znam szereg przypadków w moim truscie, kiedy rozstrzelano robotników jako sabotażystów z powodu jakiegoś drobnego zaniedbania, spowodowanego przemęczeniem. Jeśli robotnik spóźni się dwie minuty do roboty, idzie na zieloną trawę, a na dowódzie osobistym stawia mu się stempel, który uniemożliwia znalezienie jakiegokolwiek pracy”.

Gletkin patrzył na niego oczyma, które, jak zwykle, nie miały żadnego wyrazu i zapytał normalnym, bezbarwnym tonem:

„Czy dostaliście zegarek w podarku — kiedy byliście jeszcze chłopcem?”

Rubaszow spojrzął na niego ze zdziwieniem. Najbardziej uderzającą cechą charakteru neandertalczyków był całkowity brak poczucia humoru, albo ściślej, brak jakiegokolwiek lekkomyślności.

„Czy nie chcecie odpowiedzieć na moje pytanie?” zapytał Gletkin.

„Ależ tak”, odparł Rubaszow, coraz bardziej zdumiony.

„Ile mieliście lat, kiedy wam dano pierwszy zegarek?”

„Nie pamiętam dokładnie”, odpowiedział Rubaszow, „może osiem albo dziewięć”.

„Ja”, rzekł Gletkin normalnie poprawnym tonem, „miałem szesnaście lat, kiedy mnie nauczono, że godzina dzieli się na

minuty. Gdy chłopci z mojej wsi musieli jechać do miasta, szli na stację o świcie i spali w poczekalni aż do nadejścia pociągu, co zwykle miało miejsce w południe; czasem pociąg przyjeżdżał dopiero wieczorem, lub następnego ranka. Ci chłopci pracują teraz w naszych fabrykach. W mojej wsi na przykład, stoi teraz największa na świecie fabryka szyn żelaznych. W ciągu pierwszego roku nadzorcy kładli się spać między jednym wypróżnieniem pieca hutniczego a drugim; robili to z takim uporem, że trzeba ich było rozstrzelać. We wszystkich innych krajach chłopci mieli sto lub dwieście lat czasu, aby wyrobić w sobie poczucie precyzji przemysłowej i przywyknąć do obchodzenia się z maszynami. Tutaj dało im na to tylko dziesięć lat. Gdybyśmy ich za każde najmniejsze przewinienie nie wyrzucali i nie rozstrzeliwali, stanąłby cały kraj, a chłopci położyliby się spać na podwórzach fabryk i spali, póki by trawa nie wyrosła ponad kominy i wszystko nie było znowu jak przedtem. W przeszłym roku przyjechała do nas jakaś delegacja kobiet z Manchesteru, z Anglii. Pokazano im wszystko, a one napisały potem artykuły pełne oburzenia, w których twierdziły, że robotnicy przedzłani w Manchesterze nigdy by nie pozwolili na takie traktowanie siebie. Czytałem, że przemysł włókienniczy w Manchesterze istnieje dwieście lat. Czytałem także, jak się tam odnoszono do robotników dwieście lat temu, kiedy wszystko się zaczynało. Wy, towarzyszu Rubaszow, posłużyliście się właśnie tymi samymi argumentami, co owa delegacja kobiet z Manchesteru. A wy przecież znacie się lepiej na rzeczy, niż te kobiety. Można się więc dziwić, że używacie tych samych argumentów. Ale mimo wszystko wy macie z nimi jedną rzecz wspólną: dano wam zegarek, kiedy byliście jeszcze dzieckiem...”

Rubaszow nie odpowiedział i spojrzął na Gletkina ze świeżym zaciekawieniem. Co to ma znaczyć? Czyżby neandertalczyk wyszedł nareszcie ze skorupy? Ale Gletkin siedział sztywno na krześle i patrzył tak samo bez wyrazu, jak zwykle.

„Może w pewnym sensie macie słusność”, powiedział w końcu Rubaszow. „Ale to wy wyciągnęliście mnie na rozmowę o tych sprawach. Dlaczegoż wynajdować kozły ofiarne, jeśli trudności mają przyczyny naturalne, które przed chwilą sami opisaliście tak przekonywująco?”

„Doświadczenie uczy”, rzekł Gletkin, „że masom trzeba dać proste, łatwo zrozumiałe wytłumaczenie wszystkich trudnych i skomplikowanych procesów. Z tego co ja wiem z historii, wynika, że ludzkość nigdy nie potrafiła się obejść bez kozłów ofiarnych. Jestem przekonany, że była to instytucja niezbędna we wszystkich epokach; wasz przyjaciel Iwanow objaśnił mi, że jest ona pochodzenia religijnego. Jeśli dobrze pamiętam, tłumaczył mi, że samo słowo wywodzi się z obyczaju Hebrajczyków, którzy raz do roku ofiarowali swemu bogu kozła, obciążonego ich grzechami”. Gletkin przerwał i poprawił mankiety. „Są zresztą w historii także przykłady dobrowolnych kozłów ofiarnych. W tym samym wieku, kiedy wam dano zegarek, proboszcz wioskowy

uczył mnie, że Jezus Chrystus nazywał sam siebie barankiem, który wziął na siebie wszystkie grzechy świata. Nigdy nie rozumiałem, w jaki sposób może to być dla ludzkości pomocą, jeśli ktoś oświadcza, iż poświęca się dla jej dobra. Ale przez dwa tysiące lat wydawało się to ludziom najwidoczniej zupełnie naturalne”.

Rubaszow patrzył na Gletkina. O co mu chodzi? Jaki cel ma ta rozmowa? Po jakich labiryntach błąka się ten neandertalczyk?

„Jakkolwiek by było”, rzekł Rubaszow, „bardziej zgodne z naszą ideą byłoby powiedzieć ludziom prawdę, zamiast zaludniać świat sabotażystami i diabłami”.

„Gdyby ludziom z mojej wsi powiedziano”, odparł Gletkin, „że mimo Rewolucji i fabryk wciąż jeszcze są zacofani i powolni, nie odniosłoby to żadnego skutku. Jeśli się im mówi, że są bohaterami pracy, że są bardziej wydajni od Amerykanów i że złą są winni jedynie diabli i sabotażyści, ma to przynajmniej pewien skutek. Prawdą jest to, co ludzkości przynosi pożytek, kłamstwem, to co jej szkodzi. W zarysie historii, wydanym przez Partię dla kursów wieczornych dla dorosłych jest podkreślone, że w ciągu pierwszych stuleci religia chrześcijańska była motorem obiektywnego postępu ludzkości. Czy Jezus mówił prawdę czy nie, utrzymując, że jest synem Boga i dziewicy, nie przedstawia dla rozsądnych ludzi żadnego znaczenia. Ma to podobno sens symboliczny, ale chłopci biorą to dosłownie. My mamy takie samo prawo tworzyć pożyteczne symbole, które chłopci rozumieją dosłownie”.

„Wasze rozumowanie”, rzekł Rubaszow, „przypomina czasem rozumowanie Iwanowa”.

„Obywatel Iwanow”, odpowiedział Gletkin, „należał, podobnie jak wy, do starej inteligencji; w rozmowie z nim można było sobie przyswoić trochę tej wiedzy historycznej, której nam brakuje z powodu niedouczenia. Różnica polega na tym, że ja staram się wykorzystać ową wiedzę dla dobra Partii; obywatel Iwanow zaś był cynikiem”.

„Był...?” zapytał Rubaszow, zdejmując binokle.

„Obywatel Iwanow”, odpowiedział Gletkin, patrząc na niego bez wyrazu, „został wczoraj w nocy rozstrzelany, w wykonaniu wyroku, wydanego w trybie administracyjnym”.

Po tej rozmowie Gletkin pozwolił Rubaszowowi spać pełne dwie godziny. Wracając do celi, Rubaszow zastanawiał się nad tym, dlaczego wiadomość o śmierci Iwanowa nie wywarła na nim głębszego wrażenia. Sprawiała ona tylko, że podniecający skutek małego zwycięstwa zniknął, i że on sam poczuł się znowu znużony i senny. Doszedł widać już do tego stanu, w którym ustaje zdolność do głębszych wzruszeń. Zresztą i tak, zanim się

jeszcze dowiedział o śmierci Iwanowa, wstydził się tego bezcelowego uczucia triumfu.

Osobowość Gletkina zyskała nad nim już taką przewagę, że nawet zwycięstwa obracały się w klęskę. Siedział tam, masywny i patrzący bez wyrazu, jako brutalne wcielenie owego państwa, które samo swoje istnienie zawdzięczało właśnie Rubaszowowi i Iwanowom. Jest to ciało z ich ciała, które się oddzieliło i utraciło poczucie związku. Czy Gletkin nie przyznał sam, że jest duchowym spadkobiercą Iwanowa i starej inteligencji?

Rubaszow powtórzył sobie po raz setny, że Gletkin i nowi neandertalczykowie dopełniają tylko dzieła, rozpoczętego przez generację ponumerowanych głów. To, że ta sama nauka przybiera w ich ustach dźwięk tak nieludzki ma przyczynę, jak widać, jedynie w konstelacji klimatycznej. Te same argumenty, przytaczane przez Iwanowa, miały w sobie jeszcze ów ton, który wywołał się ze wspomnień przeszłości, z pamięci o zaginionym świecie. Można się wyprzeć swego dzieciństwa, ale nie można go wymazać. Iwanow włókł za sobą swoją przeszłość, aż do samego końca; to właśnie nadawało wszystkiemu, co mówił, ów odcień frywolnej melancholii; dlatego właśnie Gletkin nazywał go cynikiem. Gletkin nie mają czego wymazywać; nie muszą się wypierać przeszłości, bo jej nie mają. Urodzili się bez pepowiny, bez frywolności, bez melancholii.

5

Wyciąg z dziennika M. S. Rubaszowa.

„...jakim prawem, my, którzy schodzimy ze sceny, patrzymy z taką wyższością na Gletkinów? Kiedy na ziemi ukazał się pierwszy neandertalczyk, małpy się pewnie śmiały. Małpy, wysoce cywilizowane, przerzucały się zgrabnie z gałęzi na gałęzi; neandertalczyk był niezdarny i przygwoźdzony do ziemi. Małpy, nasycone i spokojne, żyły w atmosferze subtelnej zabawienia, albo też, pogrążone w filozoficznej kontemplacji, tupały muchy; neandertalczyk człapał ponuro po świecie, wywijając maczugą. Małpy patrzyły na niego z uśmiechem z wysokości drzew i obrzucały go orzechami. Czasem ogarniała je zgroza: one jadły owoce i słodkie rośliny, delikatnie i z wyrafinowaniem; neandertalczyk pożerał surowe mięso, mordował zwierzęta i swoich współtowarzyszy. Zwalat drzewa, które rosły od niepamiętnych czasów, poruszał skały z prawiećszej posady, wykraczał przeciwko każdemu prawu i każdej tradycji dżungli. Był prostacki, okrutny, nie miał godności zwierząt — z punktu widzenia wysoko rozwiniętych małp był barbarzyńskim cofnięciem się historii. Ostatni potomkowie szympanosów wciąż jeszcze odwracają się z pogardą na widok istoty ludzkiej...”

Po pięciu czy sześciu dniach zdarzył się wypadek: Rubaszow zemdlął w czasie przesłuchania. Doszli właśnie do końcowego punktu oskarżenia: do sprawy motywów działania Rubaszowa. Oskarżenie określało je po prostu jak „umysłowość kontr-rewolucyjną” a nadto ubocznie, jakby to było samo przez się zrozumiałe, wzmiankowało, że był na służbie wrogiego państwa obcego. Rubaszow toczył ostatnią bitwę o to sformułowanie. Dyskusja ciągnęła się od brzasku do południa, kiedy Rubaszow, w zupełnie niedramatycznej chwili, zesunął się bokiem z krzesła i upadł na podłogę.

Gdy po kilku minutach wrócił do przytomności, zobaczył nad sobą małą, opierzoną czaszkę lekarza, lejącego mu wodę z butelki na twarz i nacierającego skronie. Poczł jego oddech, zalatujący miętą, chlebem i smalcem i zwymiotował. Lekarz wymyślał swoim ostrym głosem i zalecił wyprowadzić Rubaszowa na świeże powietrze. Gletkin przyglądał się tej scenie martwymi oczami, zadzwonił i kazał oczyścić dywan; potem polecił odprowadzić Rubaszowa do celi. Parę minut później stary dozorca wyprowadził go na przechadzkę po podwórzu.

Przez pierwszych kilka minut Rubaszow był jakby pijany szczypiącym świeżym powietrzem. Odkrył, że ma płuca, które piją tlen, jak usta słodki, rzeźwiący napój. Słońce świeciło blado i jasno; była właśnie jedenasta w południe — godzina, o której wyprowadzano go na przechadzkę, wieki temu, zanim zaczął się długi, mglisty ciąg dni i nocy. Jakże był niemądry, nie doceniając tego błogosławieństwa. Czemu nie można po prostu żyć i oddychać i iść po śniegu i czuć letnie ciepło słońca na twarzy? Dlaczego nie można strząsnąć z siebie koszmaru, przeżywanego w pokoju Gletkina, oślepiającego światła lampy, tej całej upiornej inscenizacji — i żyć jak inni ludzie?

Ponieważ była to normalna godzina jego przechadzki, w czasie całej rundy towarzyszył mu znowu chłop w słomianych tre-pach. Obserwował z boku Rubaszowa, chodzącego obok nieco chwiejnymi krokami, odchrząknął raz i drugi, potem powiedział, zerkając na strażników:

„Już dawno nie widziałem jaśnie wielmożnego pana. Wygląda pan źle, nie długo już pan pociągnie. Mówią, że będzie wojna”.

Rubaszow nie odpowiedział. Walczył z pokusą, aby zgarnąć garść śniegu i ugnieść go dłonią w kulę. Koło poruszało się powoli dokoła podwórza. Dwadzieścia kroków przed nimi, pośrodku niskich wałów śniegu, stąpała druga para — dwaj mężczyźni mniej więcej równego wzrostu, ubrani w szare płaszcze; przed ich ustami kłębiły się obłóczki pary.

„Niedługo będzie pora siewu”, podjął chłop. „Po odwilży owce idą w góry. Zanim dojdą, trwa trzy dni. Dawniej, wszystkie wsie w okolicy wysyłały swoje owce w drogę tego samego dnia. Zaczynało się o świcie; owce były wszędzie, na wszystkich ścieżkach i polach. Przez pierwszy dzień szła za nimi cała wieś. Ja-

śnie wielmożny pan chyba w całym swoim życiu nie widział tyłu owiec, i tyłu psów, i tyle kurzu i tyle szczekania i beczenia... O Matko Boża, co to była za radość...”

Rubaszow trzymał twarz uniesioną ku słońcu; ciągle jeszcze było blade, ale już nasycało powietrze letnią miękkością. Przypatrywał się igraniu ptaków kołujących, spadających w dół i wzlatających w górę, wysoko ponad niwieżę z karabinem maszynowym. Chłop ciągnął swoje płaczliwym głosem:

„Taki dzień jak dziś, kiedy czuć w powietrzu odwilż, chwytą za serce. Żaden z nas już długo nie wytrzyma, jaśnie wielmożny panie. Zmiażdżyli nas, bo jesteśmy reakcjonistami, bo dawne czasy, w których byliśmy szczęśliwi, nie śmia więcej wrócić...”

„Czy naprawdę byliście wtedy tak szczęśliwi?” zapytał Rubaszow, ale chłop tylko coś niezrozumiale mamrotał i grdyka poruszyła mu się kilkakrotnie w górę i w dół gardła.

Rubaszow obserwował go z boku; po chwili powiedział: „Czy pamiętacie to miejsce w biblii, kiedy plemiona zaczynają płakać na pustyni: „Ustanówmy sobie wodza, a wrócmy się do Egiptu”?”

Chłop przytaknął skwapliwie i bezmyślnie... Potem odprowadzono ich do budynku.

Działanie świeżego powietrza minęło, wróciły ołowiana senność, zawrót głowy i mdłości. Przy wejściu Rubaszow się pochylił, zgarnął odrobinę śniegu i wytarł sobie nim czoło i palące oczy.

Nie odprowadzono go z powrotem do celi, jak się spodziewał, ale prosto do pokoju Gletkina. Siedział przy biurku, w tej samej postawie, w jakiej Rubaszow go opuścił — jak dawno temu? Wyglądał tak, jak gdyby w czasie nieobecności Rubaszowa nie ruszył się z miejsca. Zasłony były zaciągnięte, lampa się paliła; w tym pokoju czas stanął w miejscu, jak w gnijącej sadzawce. Siadając znowu naprzeciwko Gletkina, Rubaszow zauważył mokrą plamę na dywanie. Przypomniały mu się torsje. Od czasu gdy opuścił ten pokój, minęła więc zaledwie godzina.

„Myślę, że czujecie się teraz lepiej”, rzekł Gletkin. „Przerwa-liśmy przy końcowej sprawie motywów waszej działalności kontr-rewolucyjnej”.

Z lekkim zdziwieniem wpatrzył się w prawą rękę Rubaszowa, która spoczywała na poręczu krzesła i wciąż jeszcze trzymała garsteczkę śniegu. Rubaszow poszedł za jego wzrokiem; uśmiechnął się i podniósł rękę do lampy. Obaj przypatrywali się, jak mała kula śnieżna topniała na jego dłoni od ciepła żarówki.

„Sprawa motywów jest ostatnim punktem”, rzekł Gletkin. „Gdy to podpiszecie, skończymy ze sobą”.

Lampa promieniowała ostrzejszym światłem, niż kiedykolwiek w ostatnich czasach. Rubaszow musiał zmrużyć oczy.

„...i wtedy będziecie mogli odpocząć”, dokończył Gletkin.

Rubaszow potarł ręką skronie, ale chłód śniegu już się ulotnił. Słowo „odpocząć”, którym Gletkin zamknął zdanie, zawisło w ciszy. Odpocząć i spać. „Ustanówmy sobie wodza, a wróćmy się do Egiptu”... Spojrzał ostro przez binokle na Gletkina, mrużąc powieki:

„Znacie motywy mego działania równie dobrze, jak ja sam”, powiedział. „Wiecie, że ani nie działałem z nakazu „umysłowości kontr-rewolucyjnej”, ani nie byłem na usługach obcego państwa. Co myślałem i robiłem, myślałem i robiłem zgodnie z własnymi przekonaniem i własnym sumieniem”.

Gletkin wyciągnął akta z szuflady. Przeglądał je, wyjął jeden arkusz i odczytał swoim monotonnym głosem:

„...Dla nas sprawa subiektywnej wiary nie ma znaczenia. Kto się pomylił, musi zapłacić; kto ma rację, zostanie rozgrzeszony. Oto nasze prawo... Napisaście to w waszym dzienniku, wkrótce po aresztowaniu”.

Rubaszow poczuł za powiekami znane pałanie światła. Zdanie, które pomyślał i napisał, w ustach Gletkina miało szczególnie nagi dźwięk — jakby spowiedź, przeznaczoną wyłącznie dla ucha bezimiennego duchownego, zanotowaną na płycie gramofonowej, która teraz powtarza ją blaszanym głosem.

Gletkin wyciągnął inny arkusz z aktów, ale odczytał z niego tylko jedno zdanie, wpatrując się wciąż w Rubaszowa swymi martwymi oczami:

„Honor to: służyć bez próżności i do ostatecznej konsekwencji”.

Rubaszow usiłował wytrzymać jego wzrok.

„Nie bardzo rozumiem”, powiedział, „w czym to się może przysłużyć Partii, jeśli jej członkowie będą się czołgać w błocie, na oczach całego świata. Podpisałem wszystko, czegoście ode mnie żądali. Przyznałem się, że jestem winny, bo uprawiałem politykę fałszywą i z obiektywnego punktu widzenia szkodliwą. Czy to wam nie wystarcza?”

Nalozył binokle, zatrzepotał bezradnie powiekami w stronę lampy i zakończył znużonym, ochrypłym głosem:

„Przecież nazwisko: M. S. Rubaszow jest samo w sobie także kawałkiem historii partyjnej. Tarzając je w brudzie, szargacie historię Rewolucji”.

Gletkin przeglądał teczkę z papierami:

„I na to mogę wam odpowiedzieć cytatem z waszych własnych notatek. Napisaście tak:

„Masom trzeba wbijać każde zdanie w umysł przez ciągłe powtarzanie i upraszczanie. Co się uznaje za słuszne, musi świecić jak złoto; co uważa się za złe, musi być czarne jak smoła. Wypowiedzi polityczne winny być dla użytku mas barwione, jak pierniki na jarmarku”.

Rubaszow milczał. Wreszcie rzekł:

„A więc o to wam chodzi: mam wziąć na siebie rolę diabła w szopce, mam wyć, zgrzytać zębami, pokazywać język — i

to wszystko dobrowolnie. Dantonowi i jego przyjaciółom przynajmniej tego oszczędzono”.

Gletkin zamknął teczkę. Pochylił się trochę w przód i poprawił mankiety:

„Wasze zeznanie na rozprawie będzie ostatnią przysługą, jaką możecie oddać Partii”.

Rubaszow nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte i odpoczywał w promieniach lampy, jak znużony człowiek na słońcu; ale od głosu Gletkina nie było ucieczki.

„Wasz Danton i cała Konwencja”, mówił głos, „byli sielanekową zabawą w porównaniu z tym, o co tutaj idzie gra. Czytałem o nich: nosili pudrowane warkoczyki i deklamowali o osobistym honorze. Dla nich liczyło się tylko to, by umrzeć ze szlachetnym gestem, bez względu na to, czy gest był pożyteczny, czy szkodliwy”.

Rubaszow nie odzywał się. W uszach mu brzęczało i szumiało; głos Gletkina był ponad nim; osaczał go ze wszystkich stron; uderzał bezlitośnie w bolącą czaszkę.

„Wiecie o jaką stawkę tu chodzi”, ciągnął dalej Gletkin. „Po raz pierwszy w historii, rewolucja nie tylko doszła do władzy, ale ją utrzymała. Zrobiliśmy z naszego kraju bastion nowej epoki. Obejmuje on jedną szóstą kuli ziemskiej i jedną dziesiątą jej ludności”.

Głos Gletkina rozlegał się teraz zza pleców Rubaszowa. Gletkin wstał i przechadzał się po pokoju. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Jego buty skrzypiały przy każdym kroku, krochmalony mundur chrzęścił, w powietrzu zaczął się rozchodzić kwaśny zapach potu i skóry.

„Kiedy w naszym kraju Rewolucja się powiodła, myśleliśmy, że reszta globu ziemskiego pójdzie w ślad za nami. Zamiast tego nadeszła fala reakcji, która groziła nam zalewem. W Partii byli gotowi zaryzykować nasze zdobycze po to, by rozszerzyć rewolucję za granicami kraju. Do nich wyście należeli. My do szklidowaliśmy ją”.

Rubaszow chciał podnieść głowę i coś powiedzieć. Kroki Gletkina odbijały się echem w jego głowie. Był zbyt zmęczony. Opadł z powrotem w tył krzesła i nie otworzył oczu.

„Perspektywa Przywódcy Partii”, ciągnął dalej głos Gletkina, „była szersza, a jego taktyka bardziej długofalowa. Zrozumiał, że wszystko zależy od tego, by przetrzymać okres reakcji na świecie i utrzymać bastion obronny. Zrozumiał, że może minąć dziesięć, dwadzieścia, może nawet pięćdziesiąt lat, zanim świat jesteście osamotnieni. Do tego czasu mamy tylko jeden obowiązek: nie zginąć”.

Przez pamięć Rubaszowa mgliście przewinęło się zdanie: „Obowiązkiem rewolucjonisty jest zachować swoje życie”. Kto

to powiedział? On sam? Iwanow? W imię tej zasady poświęcił Ariową. I do czego go to doprowadziło?

„... Nie zginąć”, brzmiał głos Gletkina. „Trzeba utrzymać przyczółek, za wszelką cenę, nie szczędząc żadnej ofiary. Przywódca Partii zrozumiał tę zasadę z nieporównaną jasnością i stosował ją konsekwentnie. Polityka Międzynarodówki musiała się podporządkować naszej polityce narodowej. Trzeba było zniszczyć wszystkich, którzy nie pojmowali tej konieczności. Trzeba było zlikwidować fizycznie całe zespoły naszych najlepszych pracowników w Europie. Nie cofnęliśmy się przed zmiążdżeniem własnych organizacji na terenie wewnętrznym, jeśli tego wymagał interes Bastionu. Nie cofnęliśmy się przed współpracą z policją krajów wstecznych, by zdławić ruchy rewolucyjne, które się podnosiły w niewłaściwym momencie. Nie cofnęliśmy się przed wydaniem przyjaciół i kompromisem z nieprzyjaciółmi po to, by utrzymać Bastion. Bo na tym polega zadanie, jakie historia złożyła na nas, przedstawicielei pierwszej, zwycięskiej rewolucji. Nie rozumieli nas krótkowidze, esteci, moralisci. Ale Przywódca Rewolucji wie, że wszystko zależy od tej jednej rzeczy: być tym, który wytrzyma najdłużej”.

Gletkin zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju. Stał na krześle Rubaszowa. Blizna na wygolonej czaszce lśniła od potu. Dyszał, otarł głowę chustką i był jakby zawstydzony tym, że przełamał zwykłą powściągliwość. Wrócił z powrotem za biurko i poprawił mankiety. Zmniejszył trochę światło i ciągnął dalej zwykłym, bezbarwnym głosem:

„Linia postępowania Partii była wyraźnie nakreślona. Taktyka opierała się na zasadzie, że cel uświęca środki — wszelkie środki bez wyjątku. W imię tej zasady Prokurator zażąda waszego życia, obywatelu Rubaszow”.

„Wasza frakcja, obywatelu Rubaszow, została pobita i wytrącona. Chcielibście rozbić Partię, chociaż musieliście sobie zdawać sprawę z tego, że rozbić Partię oznacza wojnę domową. Wiedzieliście o niezadowoleniu chłopów, którzy jeszcze nie pojęli sensu wyrzeczeń, jakich się od nich żąda. Podczas wojny, która może wybuchnąć już w najbliższych miesiącach, takie prądy mogą doprowadzić do katastrofy. Stąd absolutna konieczność utrzymania jedności Partii. Musi ona być jak z jednego odlewu — przeniknięta duchem ślepej dyscypliny i bezwzględności zaufania. Wy, obywatelu Rubaszow, i wasi przyjaciele, doprowadziliście do rozłamów w Partii. Jeśli wasza skrusza jest szczerą, musicie nam pomóc naprawić ten rozłam. Powiedziałem wam już, że to jest ostatnia przysługa, jakiej Partia będzie się od was domagała”.

„Zadanie wasze jest proste. Sami je sobie postawiliście: ożłocić to co słuszne, oczernić to co błędne. Polityka opozycji jest błędna. Waszym zadaniem jest więc zohydzić opozycję; dać masom do zrozumienia, że opozycja jest zrodnię i że przywódcy opozycji są zbrodniarzami. To jest prosty język, który masy rozumieją. Jeśli zaczniecie przedstawiać wasze skomplikowane

motywy, wywołacie wśród nich tylko zamieszanie. Zadaniem waszym, obywatelu Rubaszow, jest nie dopuścić do wzbudzenia sympatii i współczucia. Sympatia i współczucie dla opozycji są niebezpieczeństwem dla kraju.

„Towarzyszu Rubaszow, mam nadzieję, że zrozumieliście zadanie, jakie wam Partia wyznaczyła”.

Po raz pierwszy od czasów ich znajomości, Gletkin nazwał Rubaszowa „towarzyszem”. Rubaszow podniósł szybko głowę. Czuł, jak go zalewa gorąca fala, przed którą nie był w stanie się obronić. Broda mu się z lekka trzęsła, kiedy nakładał binokle.

„Zrozumiałem”.

„Zwracam uwagę”, ciągnął dalej Gletkin, „że Partia nie obiecuje wam żadnej nagrody. Niektórych oskarżonych zmiekczone naciskiem fizycznym. Innych obietnicą uratowania głowy — czy też głów ich krewnych, którzy dostali się w nasze ręce jako zakładnicy. Wam, towarzyszu Rubaszow, nie proponujemy żadnego targu, nie przyrzekamy niczego”.

„Rozumiem”, powtórzył Rubaszow.

Gletkin spojrzał na akta.

„Jest w waszym dzienniku ustęp, który zrobił na mnie duże wrażenie”, mówił dalej. Napisałiście: Myślałem i postępowałem, jak należało. Jeśli miałem rację, nie mam czego żałować; jeśli się pomyliłem, zapłacę”.

Podniósł wzrok znad papierów i spojrzał Rubaszowowi prosto w twarz:

„Pomyliliście się i musicie zapłacić, towarzyszu Rubaszow. Partia daje tylko jedno przyrzeczenie: po zwycięstwie, kiedyś, kiedy to już nikomu nie zaszkodzi, opublikuje się wszystkie tajne archiwa. Wtedy świat się dowie, co stało za ową szopką — jak wyście to nazwali — którą musieliśmy przed nim odegrać zgodnie ze skrytem reżyserskim historii...”

Zatrzymał się parę sekund, poprawił mankiety i skończył trochę niezręcznie, a blizna na czaszce nabięła mu krwią:

„I wtedy wy, i niektórzy wasi przyjaciele ze starszego pokolenia, doznacie sympatii i współczucia, których wam się dzisiaj odmawia”.

Mówiąc jeszcze, podsunął Rubaszowowi przygotowane oświadczenie i położył obok niego pióro. Rubaszow wstał i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

„Zastanawiałem się zawsze, jak wygląda neandertalczyk na sentymentalno. Teraz już wiem”.

„Nie rozumiem”, powiedział Gletkin, który wstał także.

Rubaszow podpisał oświadczenie, w którym przyznawał się, że wszystkie swoje zbrodnie popełnił z pobudek kontr-rewolucyjnych i w służbie obcego mocarstwa. Kiedy podniósł głowę, jego wzrok padł na portret Nr 1, wiszący na ścianie i raz jeszcze rozpoznał ów wyraz wszystkowiedzącej ironii, którym wiele lat temu Nr 1 go pożegnał — ów cynizm melancholijny, spoglądający na ludzkość z wszędzie obecnego portretu.

„To nie ma znaczenia, że nie rozumiecie”, powiedział Ruba-

szow. „Są rzeczy, które rozumiała tylko starsza generacja, właśnie Iwanowowie, Rubaszowowie i Kiefferowie. Teraz to minęło”.

„Dam rozkaz, by wam nie przeszkadzano, aż do rozprawy”, rzekł Gletkin po krótkiej przerwie, znowu sztywny i precyzyjny. Uśmiech Rubaszowa wyprowadził go z równowagi. „Czy macie jakieś inne specjalne życzenie?”

„Spać”, odpowiedział Rubaszow. Stał w otwartych drzwiach, obok strażnika-olbrzyma, mały, starawy i niepozorny w swoich binoklach i ze zwykłą swoją bródką.

„Dam rozkaz, by wam nie przerywać snu”, rzekł Gletkin.

Kiedy drzwi zamknęły się za Rubaszowem, wrócił do biurka. Przez kilka sekund siedział bez ruchu. Potem zadzwonił na sekretarkę.

Usiadła na zwykłym miejscu, w kącie. „Winszuję wam zwycięstwa, towarzyszu Gletkin”, powiedziała.

Gletkin zmniejszył światło lampy do normalnego natężenia.

„To”, powiedział, wskazując wzrokiem lampę, „plus brak snu i wyczerpanie sił. Wszystko jest sprawą konstytucji fizycznej”.

Fikcja gramatyczna

*„Show us not the aim without the way.
For ends and means on earth are so entangled
That changing one, you change the other too;
Each different path brings other ends in view”.*

*(„Nie wskazuj celu, nie wskazując drogi.
Bo cel i środki są tu tak zmieszane,
że mieniając jedno, zmieniasz także drugie;
co nowa droga, nowy cel wskazuje”.)*

FERDINAND LASSALLE:

Franz von Sickingen.

1.

„Zapytany, czy przyznaje się do winy, oskarżony Rubaszow odpowiedział „tak”, głośno i wyraźnie. Na dalsze pytanie prokuratora, czy oskarżony działał jako agent kontr-rewolucji, znowu odpowiedział „tak”, tym razem ciszej...”

Córka dozorczy Wasylego czytała powoli, sylabizując. Rozłożyła gazetę na stole i wodziła palcem po liniach; od czasu do czasu przyglądała na głowie chustkę w kwiaty.

„... Zapytany, czy chce wziąć obrońcę, oskarżony oświadczył, że zrzeka się tego prawa. Po czym sąd przystąpił do odczytania aktu oskarżenia...”

Dozorca Wasyli leżał na łóżku odwrócony twarzą do ściany. Wiera Wasyliwna nie była nigdy pewna, czy stary słucha jej czytania czy śpi. Czasem coś tam do siebie mruzczał. Nauczyła się już nie zwracać na to uwagi i przyjęła zwyczaj czytania co wieczór gazety na głos „ze względów wychowawczych” — nawet jeśli po robocie w fabryce musiała iść na zebranie komórki partyjnej i wracała późno do domu.

„... Sentencja oskarżenia stwierdza, że oskarżonemu Rubaszowowi dowiedziono winy we wszystkich punktach oskarżenia na podstawie dowodów piśmiennych i jego własnych zeznań w czasie badania wstępnego. Na zapytanie Prezydenta Trybunału, czy ma jakiegokolwiek powody do skargi co do sposobu, w jaki było prowadzone wstępne badanie, oskarżony odpowiedział przecząco i dodał, że zeznania złożył z własnej woli, ze szczerą

skruczą za popełnione zbrodnie kontr-rewolucyjne..."

Dozorca Wasyli się nie ruszał. Nad łóżkiem, tuż nad jego głową, wisiał portret Nr 1. Obok niego wystawał ze ściany zardzewiały gwóźdź: do niedawna wisiała tam fotografia Rubaszowa jako dowódcy Partyzantów. Ręka Wasylego automatycznie namacała dziurę w sienniku, w której zwykł był przed córką chować zatłuszczoną biblię; ale niedługo po aresztowaniu Rubaszowa, Wiera znalazła ją i wyrzuciła, ze względów wychowawczych.

.... Na żądanie Prokuratora, oskarżony Rubaszow przystąpił do opisu ewolucji, która doprowadziła go od przeciwstawienia się linii Partii do działalności kontr-rewolucyjnej i zdrady ojczyzny. W obecności audytorium, słuchającego w najwyższym napięciu, oskarżony zaczął zeznania jak następuje: „Obywatele Sędziowie, wyłumaczę, co mnie skłoniło do skapitulowania przed sędzią śledczym i przed wami, jako przedstawicielami prawa naszego kraju. Historia moja wykaże, że najłżejsze odchylenie od linii postępowania Partii prowadzi niechybnie do kontr-rewolucyjnego bandytyzmu. Nieuniknionym skutkiem naszej walki opozycyjnej było brnięcie w błoto coraz dalej i dalej. Przedstawię wam mój upadek, który może być ostrzeżeniem dla tych, którzy w tej decydującej chwili okazują jeszcze chwiejność i mają jakieś ukryte wątpliwości co do przywództwa Partii i słuszności jej linii postępowania. Okryty hańbą, zgnieciony na proch, stojący w obliczu śmierci, opowiem wam smutną historię jak człowiek staje się zdrajcą, aby milionom mieszkańców naszego kraju posłużyła ona jako lekcja i odstraszący przykład...”

Dozorca Wasyli przewrócił się na łóżku i przywarł twarzą do siennika. W oczach stała mu postać Rubaszowa, dowódcy partyzantów, który nawet w najgorszym położeniu umiał kłać tak przyjemnie, że serce człowieka i Boga się radowało. „Zgnieciony, stojący w obliczu śmierci...” jęknął Wasyli. Biblii już nie miał, ale wiele jej ustępów znał na pamięć.

.... w tym miejscu Prokurator przerwał opowiadanie oskarżonego, by zadać kilka pytań, dotyczących dawnej sekretarki Rubaszowa, obywatelki Arłowej, która została skazana na śmierć na skutek oskarżenia o zdradziecką działalność. Z odpowiedzi oskarżonego Rubaszowa wynika, że ten ostatni, przyciśnięty w swoim czasie do muru dzięki czujności Partii, zwałił cały ciężar własnych zbrodni na karb Arłowej, by uratować własną głowę i móc dalej uprawiać swoją obrzydliwą działalność. M. S. Rubaszow przyznał się do tej potwornej zbrodni z bezwstydną i cyniczną szeszerością. Na uwagę Obywatela Prokuratora: „Nie macie widać żadnego uczucia moralnego”, oskarżony odpowiedział z sarkastycznym uśmiechem: „Widocznie”. Jego zachowanie wywołało spontaniczne objawy gniewu i pogardy ze strony publiczności. Jednakowoż Obywatel Prezydent Trybunału stłumił je natychmiast. W pewnej chwili te przejawy rewolucyjnego poczucia sprawiedliwości znalazły wyraz w wybuchu wesołości — było to mianowicie wtedy, kiedy oskarżony prze-

rwał opowiadanie na temat swoich zbrodni prośbą o zawieszenie przewodu na kilka minut, bo cierpi na „nieznośny ból zęba”. Typowym świadectwem poprawności, jaka cechuje wymiar rewolucyjnej sprawiedliwości jest to, że Prezydent natychmiast spełnił życzenie oskarżonego i wzruszając z pogardą ramionami, zarządził zawieszenie zeznań na pięć minut”.

Dozorca Wasyli leżał na plecach i myślał o czasach, kiedy po wyratowaniu Rubaszowa z rąk wrogów, prowadzono go w triumfie na wiecie, kiedy na estradzie, pod czerwonymi flagami i dekoracjami stał wsparty na kulach i, uśmiechając się wśród nieustających okrzyków i oklasków, wycierał szkła o rękaw.

„A żołnierze zaprowadzili go na dziedziniec ratusza i zwołali całą rotę. I przyoblekli go w purpurę i włożyli nań, upłótszy, cieniową koronę. I zaczęli go pozdrawiać: Witaj Królu Żydowski!”

„Co tam mruzcycie pod nosem?” zapytała córka.

„Co to ciebie obchodzi”, odpowiedział Wasyli i odwrócił się do ściany. Namacał ręką dziurę w sienniku, ale była pusta. Hańbą nad jego głową był także pusty. Nie protestował, kiedy córka zdjęła ze ściany portret Rubaszowa i wyrzuciła go na śmietnik — był już za stary, by wytrzymać hańbę więzienia.

Córka przerwała czytanie i postawiła na stole prymus, aby zagotować herbatę. W stróżówce rozszedł się ostry zapach nafty.

„Czy słyszeliście co czytałam?” zapytała córka. Wasyli odwrócił posłusznie głowę w jej stronę. „Słyszałem wszystko”, powiedział.

„Teraz sami widzicie”, rzekła Wiera Wasyliwna, pompując naftę do syczącego aparatu. „Sam mówi, że jest zdrajcą. Nie powiedziałby tego, gdyby to nie była prawda. Na zebraniu naszej fabryki przeprowadziliśmy rezolucję i wszyscy muszą ją podpisać”.

„Dużo się na tym znacze”, powiedział z westchnieniem Wasyli.

Wiera Wasyliwna spojrzała na niego szybko takim wzrokiem, że dozorca odwrócił się do ściany na nowo. Za każdym razem, gdy w ten sposób na niego patrzyła, Wasylemu przypominało się, że stoi na zawadzie Wierze Wasyliwnej, która chce stróżówkę mieć wyłącznie dla siebie. Trzy tygodnie temu, wpisała się z młodym mechanikiem ze swej fabryki do rejestru małżeństw, ale młoda para nie ma domu; chłopak mieszka w jednym pokoju z dwoma kolegami, a w obecnych czasach trwa to niecierpłe mieszkanie, zanim trust mieszkaniowy przydzieli mieszkanie.

Prymus wreszcie się palił. Wiera Wasyliwna nastawiła czajnik.

„Sekretarz komórki odczytał nam rezolucję. Jest w niej powiedziane, że domagamy się bezlitosnego wytępienia zdrajców. Ktokolwiek okaże im współczucie, sam jest zdrajcą i powinien być zadenurowany”, tłumaczyła umyślnie rzeczowym głosem.

„Robotnicy muszą być czujni. Wszyscy dostali kopię rezolucji, by zebrać podpisy”.

Wyciągnęła spod bluzki trochę pomięty arkusz papieru i rozprostowała go na stole. Wasyli leżał teraz na wznak; tuż nad głową sterczał zardzewiały gwóźdź. Zerknął na papier, leżący obok prymusa. Potem szybko odwrócił głowę.

„A on powiedział: Powiadam ci Piotrze, zanim dziś kur zapieje, trzy razy zaprziesz się, że mnie znasz.”

Woda w czajniku zaczęła szumieć. Twarz starego Wasylego przybrała wyraz chytrłości:

„Czy ci, którzy brali udział w Wojnie Domowej, także muszą podpisać?”

Córka w kwiciatej chustce na głowie, schylała się nad czajnikiem. „Nikt nie musi podpisać”, rzekła z tym samym dziwnym wyrazem oczu, co przedtem. „W fabryce wiedzą oczywiście, że on mieszkał w tym domu. Sekretarz komórki zapytał mnie po zebraniu, czy do końca byliście w przyjaźni i czy często rozmawialiście ze sobą”.

Stary Wasyli usiadł gwałtownie na sienniku. Nagły wysięk przyprowadził go o kaszel i żyły nabrzmiały mu na cienkiej, skrofulicznej szyi.

Córka postawiła na brzegu stołu dwie szklanki i z papierowej torebki nasypała do każdej odrobinę herbacianego pyłu. „Co tam znowu mruzcicie?” zapytała.

„Daj mi ten cholerny papier”, rzekł stary Wasyli.

Córka podsunęła mu rezolucję. „Czy wam przeczytać, abyście dokładnie wiedzieli co tam jest powiedziane?”

„Nie trzeba”, rzekł stary, stawiając swoje nazwisko. „Nie jestem ciekawy. Daj mi teraz herbaty.”

Córka podała mu szklankę. Wargi Wasylego się poruszały; pijąc małymi łykami blado-żółty płyn, mruzczał do siebie.

Po wypiciu herbaty, córka podjęła na nowo czytanie gazety. Proces oskarżonych Rubaszowa i Kieffera dobiegał końca. Dyskusja nad oskarżeniem o planowane zabójstwo przywódcy Partii wywołała hułagan oburzenia ze strony publiczności; kilkakrotnie rozległy się krzyki: „Rozstrzelać te wściekłe psy!” Na ostatnie pytanie Prokuratora dotyczące motywów całego działania, oskarżony Rubaszow, który się widocznie załamał, odpowiedział zmęczonym, rwącym się głosem:

„Mogę tylko powiedzieć, że gdy my, opozycja, raz powzięliśmy zbrodnicze postanowienie, aby usunąć siłą rząd ojczyzny Rewolucji, posługiwaliśmy się środkami, które odpowiadały naszym celom i były tak samo podłe i nikczemne, jak samo postanowienie”.

Wiera Wasyliowna odsunęła krzesło. „To obrzydliwe”, powiedziała. „Rzygać się chce, patrząc na to tarzanie się w błocie”.

Odłożyła gazetę i zaczęła hałaśliwie sprzątać prymus i szklanki. Wasyli ją obserwował. Gorąca herbata napeniała go odwagą. Usiadł na łóżku.

„Nie wmawiaj sobie, że coś z tego rozumiesz”, powiedział. „Bóg wie co miał na myśli, mówiąc w ten sposób. Partia nauczyła nas wszystkich chytrłości, a kto robi się chytry, ten traci przyzwoitość. Nie wzruszaj ramionami”, ciągnął dalej gniewnie. „Do tego doszło teraz na tym świecie, że chytrłość i przyzwoitość nie idą w parze, i kto opowiada się za jednym, musi się wyprzeczyć drugiego. Nie dobrze jest, gdy ktoś chce być za mądry. Dlatego napisano: „A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest; Nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest.”

Opadł z powrotem na siennik i odwrócił głowę, by po tym wszystkim nie widzieć twarzy córki. Od dawna już nie przeciwstawił jej się tak odważnie. Nie wiadomo, co teraz z tego wyniknie, jeśli postanowiła, że chce izby dla siebie i męża. Trzeba jednak na tym świecie być chytrym — inaczej pójdzie się na stare lata do więzienia, albo trza będzie spać pod mostem, na mrozie. To właśnie jest to co mówił: albo się postępuje chytrze, albo przyzwoicie; jednego z drugim nie da się pogodzić.

„Przeczytam wam teraz koniec”, oznajmiła córka.

Prokurator skończył publiczne przesłuchiwanie Rubaszowa. Po nim przesłuchano po raz wtóry oskarżonego Kieffera; powtórzył z wszystkimi szczegółami zeznanie, dotyczące usiłowanego zamachu. „... Zapytany przez Prezydenta, czy chce zadać Kiefferowi jakieś pytanie, do czego jest uprawniony, oskarżony Rubaszow rzekł się przysługującego mu prawa. Na tym skończyło się przesłuchanie i sesję przerwano. Po ponownym otwarciu przewodu rozpoczął przemówienie Prokurator...”

Stary Wasyli nie słuchał przemówienia Prokuratora. Odwrócił się do ściany i zasnął. Nie wiedział później jak długo spał, jak często córka dolewała nafty do lampy, ani też, jak często jej palec wskazujący docierał do końca strony i rozpoczynał wędrówkę od nowej szpalty. Obudził się dopiero w miejscu, w którym Prokurator, po zakończeniu mowy, domagał się kary śmierci. Być może, córka pod koniec zmieniła ton, być może, zatrzymała się na chwilę; Wasyl w każdym razie nie spał, kiedy doszła do ostatniego, wydrukowanego tłustymi czcionkami zdania w przemówieniu Prokuratora:

„Żądam rozstrzelania tych wściekłych psów”.

Potem pozwolono oskarżonym wypowiedzieć ostatnie słowo:

„... Oskarżony Kieffer odwrócił się do sędziów i błagał, by mu darowano życie, biorąc pod uwagę jego młody wiek. Jeszcze raz uznał podłość popełnionych zbrodni i próbował zwalić całą odpowiedzialność na podżegacza Rubaszowa. W czasie swego przemówienia zaczął się gwałtownie jąkać, wywołując tym wesołość słuchaczy, którą jednakże Obywatel Prezydent szybko stłumił. Po czym pozwolono mówić Rubaszowowi...”

Reporter bardzo plastycznie opisywał w tym miejscu, jak oskarżony Rubaszow „wpatrywał się w publiczność rozgorączkowanymi oczyma, a nie znalazłszy wśród niej ani jednej współczującej twarzy, opuścił głowę z rozpaczą”.

Ostatnie słowo Rubaszowa było bardzo krótkie. Wzmogło ono

jeszcze nieprzyjemne wrażenie, jakie wywarło całe jego poprzednie zachowanie w sądzie.

„Obywatelu Prezydencie”, oświadczył oskarżony Rubaszow, „przemawiam tu po raz ostatni w życiu. Opozycja została pobita i zmiażdżona. Pytajac się dziś, „za co umieram?” stoję przed zupełną nicością. Nie ma niczego za co warto umierać, gdyby się miało umrzeć bez skruchy i bez pogodzenia się z Partią i naszym Ruchem. Dlatego więc, na progu ostatniej godziny, kłękam przed moim krajem, przed masami i przed całym narodem. Skończyła się maskarada polityczna, zabawa w dyskusje i konspirację. Politycznie umarliśmy już dawno przedtem, zanim Obywatel Prokurator domagał się naszych głów. Biada pokonanym, których historia ściera na proch. Mam wobec was tylko jedno usprawiedliwienie, Obywatelo Sędziowie: że nie ułatwiłem sobie niczego. Próżność i resztki dumy podszeptowały mi: umrzyj w milczeniu, nie powiedz niczego; albo umrzyj z wielkim gestem, z wzruszającym śpiewem łabędzim na ustach; wypruj duszę z siebie i wyzwij oskarżycieli. Byłoby to dla starego rebelianta łatwiejsze, ale nie uległem tej pokusie. Na tym kończy się moje zadanie. Zapłaciłem; moje porachunki z historią są zamknięte. Byłoby śmieszne prosić o łaskę. Nie mam nic więcej do powiedzenia”.

„... Po krótkiej naradzie, Prezydent odczytał wyrok. Najwyższy Trybunał Rewolucyjny skazał oskarżonych w każdym przypadku na najwyższy wymiar kary: śmierć przez rozstrzelanie i konfiskatę własności osobistej”.

Stary Wasyl wlepił wzrok w zardzewiały haczyk nad głową. Szepnął:

„Niech się dzieje wola Twoja. Amen”, i odwrócił się do ściany.

2

Teraz było już po wszystkim. Rubaszow wiedział, że przed północą przestanie istnieć. Przechadzał się po celi, do której wrócił po tumulcie rozprawy; sześć i pół kroku do okna, sześć i pół kroku z powrotem. Kiedy się zatrzymywał na trzecim czarnym flizie od okna nasłuchując, z bielonych ścian, jak gdyby z głębi studni wychodziła mu naprzeciw cisza. Ciągłe jeszcze nie pojmował, skąd się brał ten spokój, zewnętrzny i wewnętrzny. Wiedział jednak, że teraz już nic nie jest w stanie go zamącić.

Cofając się myślą wstecz, pamiętał nawet, kiedy nawiedziło go to błogosławione ukojenie. Stało się to w czasie rozprawy, zanim zaczął swoje ostatnie słowo. Był przekonany, że wypalił ze świadomości ostatnie resztki egotyzmu i próżności, ale w tej chwili, w której jego oczy przepatrywały twarze publiczności i napotykały tylko obojętność i szyderstwo, w tej chwili przeniknęło go po raz ostatni pragnienie odrobiny litości; drżąc z zimna, chciał się rozgrzać własnymi słowami. Targnęła nim pokusa, by mówić o swojej przeszłości, by choć raz się zbuntować i potargać sieć, w którą go usidlili Iwanow i Gletkin, by jak Dan-

ton, rzucić swoim oskarżycielom w twarz: „Położyliście ręce na całym moim życiu. Niechże ono teraz wstanie i wyzwie was...” Oh, jak dobrze pamiętał mowę Dantona przed trybunałem rewolucyjnym. Mógłby ją powtórzyć słowo w słowo. Nauczył się jej na pamięć jako chłopiec: „Chcecie Republikę udusić we krwi. Jak długo jeszcze każdy krok ku wolności będzie kamieniem grobowym? Podniosła się tyrania; zdarła zasłonę z głowy, podniosła wysoko czoło, stąpa po naszych trupach”.

Te słowa paliły mu język. Ale pokusa trwała tylko chwilę; potem, kiedy zaczął swoje ostatnie przemówienie, zamknął się nad nim dzwon ciszy. Zrozumiał, że jest już za późno.

Za późno, by wrócić tą samą drogą, za późno, by wejść z powrotem w groby własnych kroków. Słowa nie zmieniają niczego.

Za późno dla nich wszystkich. Kiedy przyszła godzina ich ostatniego wystąpienia przed światem, żaden z nich nie był już w stanie przemienić ławy oskarżonych w trybunę, żaden z nich nie mógł odsłonić przed światem prawdy i jak Danton odrzucić oskarżenia z powrotem w twarz sędziów.

Niektórzy zaniemówili z fizycznego strachu, jak Zajęcza Warga; niektórzy łudzili się, że uratują głowy; inni znowu, że żony i synów wyrwą ze szponów Gletkina i jemu podobnych. Najlepsi milczeli, by w ten sposób oddać Partii ostatnią przysługę, idąc na ścięcie jak kozły ofiarne — a zresztą nawet najlepsi z nich mieli jakąś Arłową na sumieniu. Zbyt głęboko wkłali się we własną przeszłość, w sieć, którą sami uprzedli, zgodnie z prawami własnej zawiłej etyki i zawiłej logiki; wszyscy byli winni; choć nie tych czynów, o które sami się obwiniali. Nie było dla nich drogi powrotu. Zejście ze sceny odbywało się ściśle według reguł ich dziwnej gry. Publiczność nie oczekiwała od nich łabędzich pieśni. Musieli działać zgodnie ze skryptycznym reżyserskim, a według niego przypadła im rola wilków wyjących wśród nocy...

A teraz wszystko przeszło. Teraz nie ma on już nic wspólnego z tym wszystkim. Nie musi już wyć wraz z wilkami. Zapłacił, wyrównał rachunki. Jest człowiekiem, który rozstał się z własnym cieniem, uwolnił się od wszystkich więzów. Wyciągnął z każdej myśli ostateczną konkluzję i zgodnie z tym postępował aż do końca; godziny, które mu jeszcze zostały, są własnością owego milczącego partnera, którego domena zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się logiczne rozumowanie. Ze wstydlivością, którą Partia wpaja w swoich uczniów, wobec pierwszej osoby liczby pojedynczej, nazwał go — „fikcją gramatyczną”.

Zatrzymał się przed ścianą, która go dzieliła od Nr 406. Od czasu, gdy zabrano z niej Rip van Winkla, cela była pusta. Zdjął binokle, obejrzał się ukradkiem i wystukał:

2—5; 1—1...

Słuchał z dziecinnym zawstydzaniem i znowu wystukał:

2—5; 1—1...

Nasłuchiwał i znów powtórzy. tę samą serię znaków. Ściana milczała. Nigdy jeszcze świadomie nie wystukał słowa „ja”.

Prawdopodobnie nigdy nie zrobił tego w ogóle. Słuchał. Stukanie zamarło bez echa.

Znowu podjął wędrówkę po celi. Od chwili, kiedy przykrył go dzwon ciszy, zastanawiał się nad pewnymi sprawami, które pragnąłby rozwiązać, nim będzie za późno. Były to sprawy dość naiwne; dotyczyły sensu cierpienia, albo ściślej mówiąc, różnicy między cierpieniem, które ma sens a cierpieniem bez sensu. Oczywiście tylko takie cierpienie ma sens, którego nie można uniknąć; to znaczy to, które wyrasta z konieczności biologicznej. Z drugiej zaś strony każde cierpienie pochodzenia społecznego jest przypadkowe, a więc bezcelowe i bezsensowne. Jedynym celem Rewolucji było usunięcie bezsensownego cierpienia. Okazało się jednak, że zniesienie tego drugiego rodzaju cierpienia jest możliwe jedynie za cenę chwilowego, olbrzymiego wzrostu ogólnej sumy pierwszego rodzaju cierpienia. Powstaje więc pytanie: czy taki zabieg jest usprawiedliwiony? Niewątpliwie tak, jeśli mowa o „ludzkości” w sensie oderwanym; ale w odniesieniu do „człowieka” w liczbie pojedynczej, do cyfr 2—5, 1—1, do prawdziwej ludzkiej istoty z krwi i kości, zasada ta jest absurdalna.

Jako chłopiec wierzył, że pracując dla Partii znajdzie odpowiedź na wszystkie pytania tego rodzaju. Jego praca trwała czterdzieści lat, i zaraz na początku zapomniał o pytaniu, w którego imię ją rozpoczął. Teraz, kiedy minęły te cztery dziesiątki lat, nawrócił do bezradności chłopięctwa. Partia wzięła wszystko, co tylko jej mógł ofiarować, i nigdy nie dała mu odpowiedzi. Ale nie dał jej także ów milczący partner, którego tajemnicze imię wystukał na ścianie pustej celi. Był głuchy na pytania stawiane wprost, jakkolwiek by one były gwałtowne i rozpaczliwe.

A jednak można się z nim porozumieć. Czasem odpowiada nieoczekiwanie na jakąś melodię, albo choćby wspomnienie melodii, albo na wspomnienie złożonych rąk „Piety”, albo na wspomnienie pewnych scen z dzieciństwa. Jak, gdy się uderza w kamerton, w odpowiedzi zaczynają się rozchodzić fale, ta gdy się raz zacznie, przychodzi stan, który mistycy nazywają „ekstazą” a święci „kontemplacją”; najwięksi i najbardziej trzeźwi z nowoczesnych psychologów rozpoznali ten stan, jako rzeczywiście istniejący i nazwali go „stanem oceanicznym”. I w rzeczy samej, osobowość człowieka rozplywa się wtedy niby ziarno soli w morzu; a jednocześnie wydaje się, że całe nieskończenie wielkie morze zamyka się w owym ziarnku soli. Ziarna tego nie można już umiejscowić w czasie i przestrzeni. Jest to stan, w którym myśl zatracca wszelki kierunek i zaczyna krążyć, jak igła magnetyczna w pobliżu koła magnetycznego; aż wreszcie odrywa się od podstawy i porusza się swobodnie w przestrzeni, jak snop światła w nocy; aż dochodzi się do tego, że wszelka myśl i wszelkie uczucie, nawet sam ból i sama radość są tylko liniami spektralnymi jednego i tego samego promienia światła, rozszerepionego przez pryzmat świadomości.

Rubaszow wędrował po celi. Za dawnych czasów byłby sobie wstydliwie zabronił tego dziecinnego rozmyślenia. Teraz się nie wstydził. W obliczu śmierci metafizyka staje się rzeczą realną.

Zatrzymał się przy oknie i oparł czoło o szybę. Nad wieżą z karabinem maszynowym widać było skrawek błękitu. Był blady, i przypominał ową szczególną niebieskość, którą widywał nad sobą, gdy jako chłopiec leżał w trawie ojcowskiego parku, przyglądając się jak gałęzie topoli poruszały się zwolna na tle nieba. Widocznie nawet skrawek niebieskiego nieba wystarczy, by wywołać „stan oceaniczny”. Czytał o tym, że, według ostatnich odkryć z dziedziny astrofizyki, obszar świata jest skończony — chociaż przestrzeń nie ma granic, jest tylko samoograniczona, jak powierzchnia kuli. Nigdy nie potrafił tego pojąć; a teraz czuł gwałtowną potrzebę zrozumienia tego. Teraz także przypomniał sobie, gdzie o tym czytał: w czasie pierwszego aresztowania w Niemczech towarzysze przemycili mu do celi arkusz nielegalnego pisma partyjnego; na górze trzy szpalty mówiły o strajku w jakiejś przedalini; u dołu jednej ze szpałt, dla wypełnienia dziury, była małutkimi literami wydrukowana wiadomość o odkryciu, że świat jest skończony, ale urywała się w połowie, bo brakowało kawałka strony. Nigdy nie wykrył, co było w owej oddartej części.

Rubaszow stał przy oknie i stukał binoklami w pustą ścianę. Jako chłopiec miał rzeczywiście zamiar studiować astronomię i oto przez czterdzieści lat robił co innego. Dlaczego prokurator nie zapytał go „Oskarżony Rubaszow, co z nieskończonością?” Nie potrafiłby dać odpowiedzi i w tym, właśnie w tym tkwi właściwy załazek jego winy... Czy mogła być większa?

Gdy przeczytał tę notatkę w gazecie, tak samo samotny w celi, ze stawami jeszcze obolałymi po ostatnich torturach, wpadł w dziwną ekstazę — porwał go „stan oceaniczny”. Potem się tego wstydził. Partia karci takie stany. Nazywa je mistyką drobnomieszkańską, ucieczką do wieży z kości słoniowej. Nazywa je „ucieczką od zadania”, „dezercją z walki klas”. „Stan oceaniczny” jest kontr-rewolucyjny.

Bo prowadząc walkę, trzeba stać mocno na ziemi obiema nogami. Partia uczy człowieka, jak się to robi. Nieskończoność jest ilością politycznie podejrzaną, „ja” jest podejrzaną jakością. Partia nie uznaje ich istnienia. Indywiduum, określa się jako: tłum milionowy, dzielony przez milion.

Partia odmawia jednostce wolnej woli — a jednocześnie domaga się jej dobrowolnego samopoświęcenia. Odmawia jej zdolności wyboru między dwiema możliwościami — a jednocześnie domaga się, by ciągle wybierała możliwość jedynie słuszną. Odmawia jej zdolności odróżnienia dobrego od złego — a jednocześnie mówi pompatycznie o winie i zdradzie. Jednostka, według niej, jest naznaczona fatalizmem ekonomicznym, jest kółkiem mechanizmu nakreślonego na całą wieczność, mechanizmu, którego nie można zatrzymać i na który nie można wpływać — a Partia wymaga, by to kółko zbuntowało się przeciwko mecha-

nizmowi i zmieniło jego bieg. Gdzieś w tym obliczeniu tkwi błąd; równanie się nie zgadza.

Przez czterdzieści lat walczył z fatalizmem ekonomicznym. Jest to ośrodkowa choroba ludzkości, rak, który zżera jej wnętrzności. To właśnie trzeba zoperować; potem reszta organizmu ozdrowieje. Wszystko inne to dyletantyzm, romantyzm, szarlatanstwo. Nie można człowieka śmiertelnie chorego uzdrowić nabożnymi zaklęciami. Jedynym wyjściem jest skalpel chirurga i zimne obliczenie. Ale gdzie tylko przyłożono skalpel, pojawiał się nowy wrzód na miejscu dawnego. I znowu równanie się nie zgadzało.

Przez czterdzieści lat żył ściśle według ślubów swego zakonu, Partii. Trzymał się zasad logicznego rozumowania. Kwasek rozumu wypalił ze świadomości resztki starej, nielogicznej moralności. Odwrócił się od kuszeń milczącego partnera i z całej siły walczył przeciwko „stanowi oceanicznemu”, i dokąd go to zawiodło? Drogi nieskalanej prawdy doprowadziły do mety zupełnego absurdu; nieodparte dedukcje Iwanowa i Gletkina zaprowadziły go prosto na niepojęte, upiorne widowisko rozprawy publicznej. Może człowiekowi nie przystoi domyślać każdej myśli do logicznej konkluzji.

Rubaszow wpatrywał się przez kraty okna w skrawek niebieskości nad wieżą z karabinem maszynowym. Gdy spoglądał na swoją przeszłość zdawało mu się, że przez czterdzieści lat biegł niewstrzymanie jak opętany amokiem: szałem-amokiem czystego rozumu. Może nie przystoi człowiekowi wyzwać się całkowicie ze starych więzów, z hamulców wszystkich „Nie będziesz” i „Nie uczynisz”, może nie wolno mu biec prosto do celu.

Niebieskość zaczynała lekko różowieć, zapadał zmierzch, dookoła wieży krążyła chmura czarnych ptaków, uderzając powoli i miarowo skrzydłami. Nie, równanie się nie zgadza. To wyraźnie nie wystarcza, skierować oczy człowieka na jakiś cel i dać mu nóż do ręki; nie przystoi mu eksperymentować nożem. Może kiedyś, później. Na razie jest jeszcze zbyt młody i zbyt nieporadny. Jak szalał na owym wielkim polu doświadczalnym, w oczymie Rewolucji, w Bastionie Wolności! Gletkin usprawiedliwia wszystko, co się dzieje, zasadą, że należy utrzymać bastion. Ale jak ten bastion wygląda od wewnątrz? Nie, raju nie buduje się z betonu. Bastion może się utrzymać, ale nie przyniesie światu już żadnego zwiastowania, ani nie będzie mu przykładem. Reżim, kierowany przez Nr 1, zszargał ideał Państwa Socjalistycznego tak samo, jak papież średniowiecza zszargał ideał Cesarstwa Chrześcijańskiego. Flaga Rewolucji jest opuszczona do połowy masztu.

Rubaszow przechadzał się po celi. Było cicho i prawie ciemno. Niedługo przyjdą po niego. Gdzieś tkwi błąd w równaniu — nawet w całym matematycznym sposobie myślenia. Podejrzewał to już dawno, od czasu sprawy Ryszarda i Piety, ale nigdy nie miał odwagi przyznać tego przed samym sobą. Może Rewolucja

przyszła za wcześnie, może był to płód poroniony, o potwornych, wynaturzonych kształtach. Może wszystko zostało źle obliczone w czasie. Cywilizacja rzymska wydawała się już w pierwszym wieku przed Chrystusem także skazana na zagładę; wydawała się tak przegniła do szpiku kości, jak nasza; i wtedy najlepší myśleli, że nadszedł czas wielkiej przemiany; a jednak stary, sterany świat wytrzymał jeszcze dalszych pięćset lat. Historia żyje wolnym tętnem; człowiek oblicza na lata, historia na pokolenia. Może to ciągle jeszcze dopiero drugi dzień stworzenia. Jakże by pragnął jeszcze żyć i rozbudować teorię o względnej dojrzałości mas!...

W celi było cicho. Rubaszow słyszał tylko skrzywienie własnych kroków na płytach. Sześć i pół kroku do drzwi, skąd po niego przyjdą, sześć i pół kroku do okna, za którym zapada noc. Niedługo będzie po wszystkim. Ale kiedy pyta sam siebie: za co właściwie umierasz? nie znajduje odpowiedzi.

Błąd tkwi w samym systemie; może tkwi w założeniu, które wydawało mu się dotąd niepodlegające dyskusji, w którego imię poświęcił innych i sam stał się ofiarą: w założeniu, że cel uświęca środki. Właśnie to zdanie zabiło wielkie braterstwo Rewolucji i spowodowało, że wszyscy popadli w obłąd. Cóż to zapisał w dzienniku? „Wyrzuciliśmy za burtę wszelkie konwencje, jedyną naszą zasadą przewodnią jest konsekwentna logika; płyniemy bez balastu etycznego”.

Może w tym jest źródło zła? Może nie przystoi ludzkości płynąć bez balastu. Może sam rozsądek jest niedoskonałym kompasem, prowadzącym po tak krętym, zawilim kursie, że cel traci się w końcu we mgle.

Może nastąpi teraz okres wielkiej ciemności.

Może później, o wiele później, podniesie się nowy ruch — uwieńczony nowymi sztandarami, przeniknięty nowym duchem, który będzie rozumiał obie rzeczy: ekonomiczną konieczność i „stan oceaniczny”. Może członkowie nowej partii będą nosili mnisie kaptury i głosili, że tylko czystość środków usprawiedliwia cel. Może będą nauczali, że doktryna mówiąca: człowiek to milion podzielony przez milion jest fałszywa i wprowadzą nowy rodzaj arytmetyki, oparty na mnożeniu: na połączeniu miliona jednostek, by stworzyć nową całość, która nie będzie już bezkształtną masą; która rozwinie własną świadomość i własną osobowość, wraz z „uczuciem oceanicznym”, milionkroć wzmożonym w nieskończonej a jednak samoograniczonej przestrzeni.

Rubaszow przerwał swoją przechadzkę i nasłuchiwał. Wzdłuż korytarza biegł oddźwięk stłumionego bębnienia.

Bębnienie brzmiało, jak przywiane wiatrem z daleka; było jeszcze odległe, zbliżało się powoli. Rubaszow stał nieporuszony. Nogi, stojące na kaflach, przestały podlegać jego woli; czuł, jak powoli narasta w nich siła ciężenia całej ziemi. Nie spuszcza

czając oczu z otworu judasza, cofnął się o trzy kroki wstecz, pod okno. Odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Usłyszał tykanie w murze, przy którym stała prycza:

PRZYSZLI PO ZAJĘCZĄ WARGĘ. PRZESYŁA WAM POZDROWIENIA.

Cieężkość z nóg ustąpiła. Podeszedł do drzwi i zaczął szybko i rytmicznie uderzać w metal rozprostowanymi dłońmi. Podawanie wiadomości Nr 406 było teraz bezcelowe. Cela była pusta; łańcuch urywał się w tym miejscu. Bębnił i przyciskał oko do otworu judasza.

Mdłe światło elektryczne paliło się na korytarzu, jak zawsze. Widział żelazne drzwi nr 401 do nr 407, jak zwykle. Bębnienie się wzmogło, zbliżały się kroki, wolne i powłóczące, było je wyraźnie słychać na flizach. Nagle Zajęcza Warga znalazł się w polu widzenia judasza. Stał jak zawsze, z drżącymi ustami, jak wtedy w świetle reflektora, w pokoju Gletkina; ręce, skute w kajdanki, zwisały mu za plecami w dziwnie wykreśnionej pozycji. Nie mógł widzieć oka Rubaszowa za judaszem i wpatrywał się w drzwi ślepyimi, szukającymi źrenicami, jakby tam leżała ostatnia nadzieja ratunku. Potem rozległ się rozkaz i Zajęcza Warga posłusznie obrócił się i ruszył dalej. Za nim szedł umundurowany olbrzym z rewolwerem u pasa. Jeden po drugim zniknęli z pola widzenia Rubaszowa.

Bębnienie zamarło; znowu zapanowała cisza. Od ściany nad pryczą rozległo się stukanie:

DOBRZE SIĘ TRZYMAŁ...

Od dnia, w którym Rubaszow powiedział Nr 402 o swojej kaptulacji, nie rozmawiali więcej ze sobą. Nr 402 ciągnął dalej:

ZOSTAJE WAM JESZCZE OKOŁO DZIESIĘCIU MINUT. JAK SIĘ CZUJECIE?

Rubaszow zrozumiał, że Nr 402 rozpoczął konwersację, by mu ułatwić czekanie. Był mu za to wdzięczny. Usiadł na pryczy i odstukał:

CHCIAŁBYM, ŻEBY JUŻ BYŁO PO WSZYSTKIM...

NIE WYWIESICIE BIAŁEJ CHORAĞWI, stukał Nr 402. WIE-MY, ŻE JESTEŚCIE BYCZY CHŁOP... Przerwał, potem szybko powtórzył ostatnie słowa: BYCZY CHŁOP... Wyraźnie nie chciał dopuścić do przerwania rozmowy. PAMIĘTACIE: „PIERSI JAK CZARY OD SZAMPANA”? HA-HA! BYCZY Z WAS CHŁOP...

Rubaszow nasłuchiwał dźwięków, dochodzących z korytarza. Nie było nic słychać. Nr 402 zdawał się odgadywać jego myśli, bo zastukał natychmiast:

NIE NASLUCHUJCIE. ZAWIADOMIĘ WAS ZAWCZASU JAK PRZYJDA... CO BYŚCIE ZROBILI, GDYBY WAS ULASKAWIONO?

Rubaszow zastanowił się. Potem wystukał:

STUDIOWAŁBYM ASTRONOMIĘ.

HA-HA! wystukał Nr 402. JA MOŻE RÓWNIEŻ. LUDZIE MÓWIĄ, ŻE GWIAZDY SĄ MOŻE TAKŻE ZAMIESZKAŁE. POZWÓLCIE, ŻE DAM WAM JEDNĄ RADE.

PROSZE BARDZO, odpowiedział Rubaszow zdziwiony.

NIE BIERZCIE MI TEGO ZA ZŁE, PROSZE. TO TECHNICZNA SUGESTIA STAREGO ŻOŁNIERZA. WYPRÓBNIJCIE PECHERZ. ZAWSZE LEPIJ W TAKICH PRZYPADKACH. DUCH JEST SILNY, ALE CIAŁO MDŁE. HA-HA!

Rubaszow uśmiechnął się i posłusznie poszedł do kubła. Potem usiadł z powrotem na pryczy i wystukał:

DZIĘKUJĘ. ŚWIETNY POMYSŁ. A JAKIE SĄ WASZE WIDOKI?

Nr 402 milczał przez chwilę. Potem wystukał, trochę wolniej niż poprzednio:

JESZCZE OSIEMNAŚCIE LAT. NIECAŁE, TYLKO 6.530 DNI... Przerwał, potem dodał:

WŁAŚCIWIE ZAZDROSZCZĘ WAM. A później po dalszej przerwie: POMYŚLCIE TYLKO — JESZCZE 6.530 NOCY BEZ KOBIETY...

Rubaszow nie odpowiedział. Potem wystukał:

PRZECIEŻ MOŻECIE CZYTAĆ, STUDIOWAĆ...

NIE MAM DO TEGO GŁOWY, odstukał Nr 402. A potem głośno i szybko: IDA...

Przerwał, ale po kilku sekundach dodał:

SZKODA. TAK NAM SIĘ WŁAŚNIE PRZYJEMNIE ROZMAWIAŁO...

Rubaszow wstał z pryczy. Namyslał się przez chwilę, potem wystukał:

POMOGLIŚCIE MI BARDZO. DZIĘKUJĘ.

Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi się rozwarły. Na zewnątrz stał olbrzym w mundurze i jakiś cywil. Cywil wywołał nazwisko Rubaszowa i wyrecytował tekst jakiegoś dokumentu. Podczas gdy mu wykręcali ręce w tył i nakładali kajdanki, usłyszał jeszcze jak Nr 402 szybko stukał:

ZAZDROSZCZĘ WAM. ZAZDROSZCZĘ WAM. BÓG Z WAMI.

Na korytarzu rozległo się znowu bębnienie. Szło z nimi, aż do pokoju fryzjera. Rubaszow wiedział, że zza każdych drzwi przez otwór judasza przypatrują mu się jakieś oczy; ale nie odwracał głowy ani w prawo ani w lewo. Kajdanki wpijały mu się w przeguby; olbrzym przykreślił je zbyt mocno i naciągnął mu ramiona wyłamując je w tył; bolały go teraz.

Pojawiły się schody prowadzące do podziemi. Rubaszow zwolnił kroku. Cywil zatrzymał się na górze. Był mały i miał z lekka wytrzeszczone oczy. Zapytał:

„Czy macie jakieś życzenie?”

„Żadnego”, odpowiedział Rubaszow i zaczął schodzić po schodach. Cywil stał wciąż na górze i patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami.

Schody były ciasne i źle oświetlone. Rubaszow musiał uważać, by się nie potknąć, bo nie mógł się trzymać poręczy. Bębnienie ustało. Słyszał, jak umundurowany funkcjonariusz schodził trzy kroki za nim.

Schody skręcały się w spiralę. Rubaszow pochylił się w przód,

by lepiej widzieć; binokle oderwały mu się od twarzy i spadły dwa kroki przed nim; stłukły się, odbiły i spadły niżej, zatrzymując się na ostatnim stopniu. Rubaszow przystanął, wahając się chwilę, potem zaczął schodzić dalej po omacku. Słyszał, że umundurowany funkcjonariusz schylił się za nim i wsadził stłuczone binokle do kieszeni. Ciągle nie odwracał głowy.

Był teraz prawie ślepy, ale znowu miał pod nogami stały grunt. Otworzył się przed nim długi korytarz; ściany były zamazane i nie widział końca. Człowiek w mundurze trzymał się wciąż trzy kroki za nim. Rubaszow czuł jego wzrok na swoim karku, ale nie odwracał głowy. Ostrożnie stawiał nogę przed nogą.

Zdawało mu się, że idą tym korytarzem już kilka minut. Wciąż jeszcze nic się nie działo. Prawdopodobnie usłyszy, jak człowiek w mundurze wyciągnie rewolwer z kobuza. Tak długo ma więc czas, ciągle jeszcze jest bezpieczny. Czy też może ten człowiek idący za nim postępuje jak dentysta, który chowa instrumenty w rękawie, gdy się nachyla nad pacjentem? Rubaszow starał się myśleć o czymś innym, ale musiał całą uwagę skupić na tym, by nie odwrócić głowy.

Dziwne, że ból zęba ustał z chwilą, kiedy podczas rozprawy zamknęła się nad nim owa błogosławiona cisza. Może wtedy właśnie pękł ropień. Co powiedział? „Kłękam przed krajem, przed masami, przed całym narodem...” I co z tego? Co się stanie z tymi masami, z tym narodem? Gnano go przez czterdzieści lat przez pustynię, groźbami i obietnicami, wymyślonym terrorem i wymyślonymi nagrodami. A gdzie jest Ziemia Obiecana?

Czy ten cel istnieje rzeczywiście dla błąkającej się ludzkości? Na to pytanie chciałby znaleźć odpowiedź, nim będzie za późno. Mojżeszowi także nie było dane wejść do Ziemi Obiecanej. Ale pozwolono mu spojrzeć na nią, ze szczytu góry zobaczyć, jak się roztaczała u jego stóp. Umrzeć tak, mając przed oczami dotykalny cel, jest łatwo. Jego, Mikołaja Salomonowicza Rubaszowa nie zaprowadzono na szczyt góry; i gdzie tylko spojrzy, nie widzi nic, prócz pustyni i mroku i nocy.

Poczuł tępe uderzenie w tył głowy. Czekał na nie od dawna a jednak przyszło nieoczekiwanie. Czuł ze zdziwieniem, że uginają się pod nim kolana i ciało okręca się dokoła własnej osi. „Jak teatralnie”, myślał padając, „a przecież nic nie czuję”. Leżał skulony na ziemi, dotykając policzkiem zimnego kamienia. Robiło się ciemno, morze unosiło go, kołysząc na swej mrocznej powierzchni. Przepływały przez niego wspomnienia, jak pasma mgły nad wodą.

Ktoś stukał do drzwi z zewnątrz, śniło mu się, że przychodzą go aresztować; ale w jakim jest kraju?

Próbował utrafić ręką w rękaw szlafroka. Ale czyj to oleodrukowy portret wisi nad jego łóżkiem i patrzy na niego?

Czy to Nr 1, czy to ten drugi — ten z ironicznym uśmiechem i szklanym wzrokiem?

Bezkształtna postać schyliła się nad nim, poczuł zapach świeżej skóry pasa; ale jakie odznaki ma ta postać na rękawach i naramiennikach munduru — i w czym imieniu podnosi ciemną lufę pistoletu?

Drugie, ogłuszające uderzenie trafiło go w ucho. Potem nastała cisza. Oto znowu morze ze swym poszumem. Jakaś fala unosi go powoli. Przychodzi z daleka i przepływa spokojnie. To wieczność wzrusza ramionami.

KONIEC

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa „Orła Białego”,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

To, czego nawet Koestler nie przewidział

W chwili, kiedy to piszę, proces kardynała Mindszenty, oskarżonego o spisek, zdradę, łączność z wywiadami Zachodu i Bóg wie jakie inne zbrodnie, toczy się w Budapeszcie. Nie wiem, jak się ten proces skończy, choć liczne przykłady, od Moskwy do Sofii i od Sofii do Belgradu, świadczą jak się najczęściej kończą procesy tego rodzaju. Nie znam zupełnie ani aktów sprawy, ani kardynała Mindszenty i nie mam żadnego tytułu — nawet tytułu przynależności do chrześcijaństwa — by brać w obronę księcia Kościoła. Nie zgadzam się też w pełni z argumentacją protestów z Ameryki i Rzymu, wedle których kardynał Mindszenty nigdy nie spiskował przeciw rządowi „Republiki Ludowej”. Przeciwnie, mam prawo sądzić, że był zdecydowanym przeciwnikiem „Republiki Ludowej” i że wskutek tego nie można *a priori* wykluczać, że na Węgrzech czy zagranicą starał się skupiać siły, mogące obalić reżim, do którego miał największe obrzydzenie. Tak samo jednak nie można *a priori* wykluczać hipotezy przeciwnej, a mianowicie, że nie rozwijał żadnej akcji tego rodzaju i że władcy Węgier chcieli go zniszczyć jako przeciwnika politycznego, szczególnie niewygodnego z powodu znaczenia i dostojęstwa. Tym nie mniej, by nie szukać argumentów łatwych, przyjmuję, że kardynał Mindszenty chciał obalić Republikę Ludową, a nawet że spiskował w tym celu z zagranicą. Zresztą, jeżeli tak nawet było, to czyż co innego robią komuniści w innych republikach, zwalczając ich instytucje w łączności z komunistami z zagranicy i według międzynarodowego planu działania? Przyjmuję więc, że kard. Mindszenty spiskował. Nie jest to zresztą pierwszy wypadek tego rodzaju, jeżeli chodzi o kardynałów. Wystarczy przypomnieć historię kardynała de Retz. Inna rzecz, że kardynał de Retz żył w czasach barbarzyńskich i że nie musiał bynajmniej, na skutek policyjnego śledztwa, wynizać dziewięćdziesięciostronicowej spowiedzi, by okryć się hańbą, zaprzecić się sprawy, której służył, dostarczyć dowodów sędziom i dać rozgrzeszenie katom. Napisał natomiast najspokojniej w świecie swoje **Pamiętniki**. Porównanie historii obu kardynałów jest znakomitym przebieżem postępu, jaki w tym czasie zrobiła ludzkość w dziedzinie poszanowania godności i wolności człowieka.

Co mnie szczególnie interesuje, to właśnie to usługne, wy-

czerpujące i dokładne przyznanie się do winy kardynała Mindszenty. Interesuje mnie bardziej aniżeli aresztowanie (widzieliśmy inne), lub wyrok (widzieliśmy także inne).

Oczywiście, były już inne przyznania się do winy tego rodzaju. Właściwie nic nie powinno nas już dziwić w tym zakresie. Oskarżenia w moskiewskich procesach — w tych procesach, które stanowią dziś wzór klasyczny — pogrążali się z dziką rozkoszą w bezceństwach, jakie im zarzucano. Było to zadziwiające współzawodnictwo między prokuratorem a oskarżonymi: „Zdradziłeś z czystej złośliwości”. — „Ależ skąd, panie prokuratorze, dla zysku, płacono mi za to”. — „Byłeś współnikiem faszystowskiego wroga”. — „Sprzedawczykiem, panie prokuratorze; sprzedawczyk jest lepszym określeniem”. — „Świadomie pozwoliłeś zardzewieć maszynom, by sabotować „piatiletkę”. — „Pozwoliłem zardzewieć? Ależ ja je polewałem wodą, by zardzewiały”. — „Wsadzałeś gwoździe do masła, by dziurawić żołądki dzieci”. — „Tak, panie prokuratorze, ale przed tym maczałem gwoździe w kwasie pruskim”. — „Będziesz rozstrzelany”. — „To mało, panie prokuratorze. Zasluguje, żeby być smażony na wolnym ogniu, albo zjedzony żywcem przez czerwone mrówki. Nigdy, przenigdy nie będę dość cierpiał, by zapłacić za ohydne zbrodnie, których się dopuściłem na szkodę Związku Radzieckiego i jego wspaniałego wodza”.

Toteż, kiedy dziś kardynał Mindszenty zeznaje, że zawsze był hitlerowcem; że zanim jeszcze starał się obalić Republikę Ludową, to już pomagał ze wszelkich sił Niemcom w ujarzmianiu Polski; że więc był właściwie agentem Gestapo, zanim się stał agentem wywiadu amerykańskiego; że prócz tego spekulował dewizami; że dlatego jest nie tylko przeciwnikiem politycznym, ile zdrajcą, i to nie tylko zdrajcą ale i nieuczciwym maklerem, oszustem w purpurze i w ogóle najgorszego gatunku łajdakiem; że wobec tego zasługuje nie tyle na kulę w łeb, co właściwie jest szlachetnym rodzajem śmierci, ale na jakieś utonięcie w płwocinach niktzemności, na wzgardę, którą by okryty został i Kościół rzymski, winny, że takich osobników obdarza dostojnością, i religia katolicka, której sługą jest Kościół do tego stopnia zbeszczeszczony — to rozumiemy, że spowiedź kardynała Mindszenty ma służyć podobnie jak spowiedź towarzyszy Lenina w moskiewskich procesach, nie tylko do uzasadnienia wyroku, ale i do napiętnowania hańbą oskarżonego, dla chwały i politycznego pożytku reżimu. Ma najpierw wykazać, że reżim ten karze nie za nieprawomyślność, ale za rzeczywiste zbrodnie, a powtórnie udowodnić, że wszyscy przeciwnicy reżimu należą do kategorii *Untermensch*’ów (mówiąc stylem hitlerowców) i że ktokolwiek nie zgadza się z komunistycznym reżimem jest właściwie tylko dość niktzemnym łajdakiem. Jeżeli chodzi o przyznanie się do winy i o cel, w jakim się je wymusza, istnieje wyraźne podobieństwo między procesami moskiewskimi a procesem budapeszteńskim. Jeżeli więc analiza sposobu wydobywania zeznań, zrobiona przez Koestlera w *Ciemności w południe*,

jest słuszna dla procesów moskiewskich, to powinna również stosować się do sprawy kardynała Mindszenty. Tymczasem w tym wypadku psychologiczne subtelności analizy Koestlera zawodzą.

Bohater Koestlera kaja się nie tylko na skutek policyjnych metod śledczych, które wyczerpują ciało i łamią wolę, ale także w wyniku łamańców własnego rozumowania, w wyniku rachunku sumienia, który robi w godzinach przerwy między jednym badaniem a drugim. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli Rubaszow po pewnym czasie zaczyna wyznanie niepopelnionych win uważać za jedyne wyzolenie, to dzieje się to najpierw w wyniku tortury (tortury zmęczenia). Świadomość beznadziejności obrony, pewność, że winny, czy nie winny, przyznając się do winy, czy nie, nie wyjdzie żywy, a wreszcie pokusa, znana tym wszystkim, którzy znaleźli się w ręku policji, by do wszystkiego się przyznać, wszystko podpisać, na wszystko się zgodzić, bo przysła chwila, kiedy wściekłość z powodu niedorzecznej sytuacji, w jakiej się znalazło, kiedy chęć życia ustępuje miejsca nieodpartej potrzebie spokoju i snu — wszystko to nie wystarczyłoby prawdopodobnie, by go złamać. Ale to nie wszystko. Bohater Koestlera jest marksista, był jednym z największych rewolucjonistów z października, jednym z najznakomitszych towarzyszy Lenina. Jeżeli stał się przeciwnikiem reżimu, to tylko dlatego, że, zdaniem jego, reżim ten zeszedł z prostej drogi rewolucji. I choćby postępowanie następców Lenina wydawało mu się nie wiadomo jak niepokojące, to jednak, w ich ręku, znajduje się święty skarb nadziei ludzkości, a świat kapitalistyczny czyha na najmniejszą rysę w bloku rewolucyjnym, by uderzyć w przeciwnatarciu. Wojna grozi. Jeżeli rząd sowiecki załamie się pod uderzeniem wojsk kapitalistycznych, lub faszystowskich, to w Rosji zwycięży nie prawdziwa, leninowska rewolucja, ale reakcja. Krytykować rząd sowiecki wobec cudzoziemców — to dawać zagranicy oręż przeciw Związkowi Socjalistycznym. Krytykować go wobec Rosjan — to osłabiać wewnętrzną spójność niezbędną dla Sowietów w obliczu zagrożenia z zewnątrz. Może więc, służąc w moim przekonaniu Rewolucji przeciw uzurpatorom, którzy się nią posługują dla własnych celów, służyłem naprawdę reakcji. Może, obiektywnie biorąc, jestem zdrajcą. Obiektywnie, a nie subiektywnie, bo zamiary moje były dobre. Jestem jednak marksista. Czy mogę przykładać jakąś wagę do mego subiektywizmu, do moich zamiarów, do mej osoby? Żąda się ode mnie zeznania, że zdradziłem z premedytacją, żąda się przyznania do czynów, których nie popełniłem. Żąda się może dlatego, że to jest użyteczne, że trzeba, by proces mój był jasny, prosty i nie pozostawiał żadnych wątpliwości w duszy tych, którzy bronić będą niebawem ojczyzny rewolucji. Może więc nie bez racji żąda się tego ode mnie, a ja nie mam racji odmawiając, bo przecież całkiem możliwe, że, obiektywnie a nie subiektywnie biorąc, jestem zdrajcą. Ponieważ niechcący za-

szkodziłem Rewolucji, dlaczego nie powiedzieć, że chciałem jej zaszkodzić? Czyż może mnie powstrzymać czcza obawa przed utratą honoru? I na cóż mi honor burżuazyjny, honor związany z jednostką? Honorem rewolucjonisty jest służba rewolucji. Winienem poświęcić rewolucji mój honor, tak jak poświęciłbym życie. Jakiegokolwiek byłyby błędy, czy zbrodnie reżimu, los rewolucji jest z nim obecnie nierozdzielnie związany. Ponieważ będę na pewno skazany, niech to przynajmniej będzie z pożytkiem dla Rewolucji. Niechże raczej utwierdzi w wierze obywateli sowieckich, wpajając im przekonanie słuszności wyroku, miażdżącego człowieka godnego wzgardy, zamiast osłabiać ich wiarę zasianiem zwątpienia w słuszność wyroku, skazującego szczerzego opozycjonistę. A zresztą czy to takie pewne, że nie jestem winny? Czy, nawet jeżeli jestem niewinny, nie jest moim obowiązkiem rewolucjonisty przyznać się choćby dlatego, by wydany na mnie przez Rewolucję wyrok był sprawiedliwy? Przyznam się. Przyznaję się.

Owszem, taka kombinacja „presji fizycznej” zmęczenia, rozpacz, słowiańskiego kompleksu winy, dialektycznego światopoglądu i skrupułów rewolucjonisty, może w ostateczności wytłumaczyć wyznania Rubaszowa. Ale kardynał Mindszenty nie jest Rubaszowem. Kardynał Mindszenty mógł być doświadczony „fizycznej presji” zmęczenia. Trudno uwierzyć, by mógł popaść w absolutną rozpacz, bo jest katolikiem. Trudno przyjąć, że mógł się zastanawiać nad stopniem swego przewinienia wobec Republiki Ludowej, bo był jej zdecydowanym przeciwnikiem. Mało jest prawdopodobne, by się dał wziąć na obietnicę jakiejś pobłażliwości sędziów, skoro całe jego zachowanie, aż do chwili aresztowania, było zachowaniem człowieka, który świadomie idzie na skazanie przez swój nieustraszony opór władzy, przez zdecydowaną nieustępliwość, a nawet można by powiedzieć, przez wyzwanie, przez pragnienie męczeństwa, godne pierwszych chrześcijan. Czy można przypuszczać, że upokorzył się przed sądem, że zgodził się dostarczyć najlepszych argumentów swym prześladowcom, podnieść autorytet swych komunistycznych sędziów, przyznając im rację i poderwać zaufanie do własnej sprawy tylko dlatego, że mu obiecano, iż jego ofiara z honoru przyczyni się do zgody między Republiką Ludową a Kościołem, do jakiegoś *modus vivendi* między skłonnym do tolerancji reżimem komunistycznym a katolikami węgierskimi? Przypuszczenie takie jest całkowicie fałszywe. Kardynał Mindszenty nawet w stanie zamroczenia, z osłabioną świadomością i wolą załamana kilkudziesięciogodzinnym śledztwem, nie mógł udzielić w podobne banialuki. Był człowiekiem przy całkiem zdrowych zmysłach. Jeżeli zaś chodzi o klucz, który proponuje Koestler, by rozwiązać zagadkę kajań się moskiewskich, do zagadki kajania się w Budapeszcie, klucz ten nie pasuje zupełnie. Kardynał Mindszenty nie był jednym z pierwszych towarzyszy Lenina. Kardynał Mindszenty nie był przecież marksyistą, a jeżeli nim był, to krył się z tym nadzwyczajnie. Kardynał

nał Mindszenty na pewno nie pragnął zabezpieczyć przed złą wolą i zwątpieniem ojczyzny Rewolucji narażonej na kapitalistyczne ataki, biorąc na siebie hańbę, która przez niego okryć musiała cały Kościół. Kardynał Mindszenty nie miał najmniejszej racji, by nadać wyrokowi pozory słuszności, skoro całe jego poprzednie postępowanie zmierzało do tego, by katów zmusić właśnie do niesprawiedliwości. Kardynał Mindszenty nie miał żadnego powodu, by współpracować osobiście z antyreligijną propagandą marksizmu, by nieprzyjaciółom swego Boga i prześladowcom swej wiary podawać się za przykład — jakże łatwy do wykorzystania — złego kapłana, wroga swej ojczyzny, który współpracuje z agentami zagranicy, wroga ludu, który sprzeciwia się reformie rolnej, tchórza, który błaga Amerykanów, by mu ułatwili ucieczkę i szachraja, który jest współnikiem paskarzy. Rewolucjonista może się zaprzeć siebie dla rewolucyjnej racji stanu, ale nie książe Kościoła katolickiego. I gdyby nawet kardynał był rzeczywiście winny wszelkiego rodzaju zbrodni, to nie mógłby uważać za słuszne przyznanie się do nich, bo to pomagałoby jego przeciwnikom w antyreligijnej akcji. Przyznanie się jego do winy można więc wytłumaczyć tylko **przymusem bezwzględny**.

Jest to tak oczywiste, że nasuwa się pytanie, jak reżyserzy procesu mogli o tej oczywistości zapomnieć. Jakto, najmniejszego faktu, by uczynić strawną, zrozumiałą tę niełychną zmianę, która prymasa Węgier i jego współoskarżonych prowadzi do takiego publicznego poniżenia? Bo przecież oni przyznają się **do wszystkiego**. I przyznają się **wszyscy**. To załamanie się zupełne. Pajacom Trumana poprzecinano sznurki i leżą teraz porozrywane na podłodze sali sądowej. Trzeba było naprawdę bardzo kiepskich uczniów Wyszyńskiego i Berii na stanowisku organizatorów tej zadziwiającej galówki hańby, by nie pojąć, że takie przyznanie się **wszystkich i do wszystkiego**, to jednak trochę za dużo. Że w to przecież nikt nie uwierzy. Że „trik” jest zanadto widoczny. I że choć w naszej epoce wycucie prawdy bardzo stępiało, to jednak każdy się wzdrygnie, widząc tak gładko toczący się proces. Najgorszy pacykarz zna wartość przeciwstawiania kolorów, zna rolę kontrastów, które nadają śpiewność barwom. Panowie z policji politycznej Republiki Ludowej chcieli wywołać wrażenie, że cały Kościół węgierski przynięciony jest ciężarem swych zbrodni, że brnie w pogardzie dla samego siebie, że wylewa przed sędziami swe bezceństwa, podobnie jak ścigany zbrodniarz, który w końcu wykrztuszał: „Trudno, złapał mnie, będę zeznawał”. Jakże ci panowie z policji politycznej mogli byli nie pojąć, że, by wrażenie takie wywołać, potrzeba było w środku tego błota jednej małej, niewzruszonej skały, jednego jedyne go człowieka, którego nieugięta odwaga byłaby tym jaskrawiej uwypukliła tchórzostwo wszystkich innych; jednego, jedyne go człowieka, który by krzyczał aż do końca: „Nie, nie zdradziłem Węgier, zwalczałem tylko reżim, którego nienawidzę, którego obalenie jest świętym obowiąz-

zkiem! Nie jestem ani paskarzem, ani zdrajcą, ani tchórzem! Nie, nie uda się wam zmusić mnie do przyznania, wam racji, do uznania waszego prawa. Nie macie żadnej racji, żadnego prawa. Nie załamie się, nie ustąpię, nie przyznam się do niczego; wołam, że proces ten jest procesem haniebnym i będę to powtarzał aż do śmierci, której się nie boję". Oto, czego wam było potrzeba, panowie z policji politycznej. Potrzeba wam było jednego buntownika. Jednego jedynego. Jednego małego, maleńkiego buntownika. Buntownika, który byłby pozwolił strawić zadziwiające załamanie się innych, bo samo jego istnienie zdawałoby się świadczyć, że oskarżony przez waszym trybunałem ma prawo mówić, co chce i być tym, czym chce. Nie mieliście odwagi pozwolić sobie na takiego maleńkiego buntownika. Czyżby dlatego, że pogardę dla publiczności posuwacie tak daleko, że pogarda ta staje się niezręcznością? Czy też dlatego, że wystarczyłoby takiego jednego, maleńkiego buntownika, by wstrząsnąć posadami, na których spoczywa cały wasz zakon? Czy też po prostu dlatego tylko, że jesteście także bezdennie głupi?

Proponuję, by w interesie samej Rewolucji postawić przed sądem organizatora budapeszteńskiego procesu za tę właśnie nadmierną gorliwość, która, **obiektywnie biorąc**, jest kontrrewolucyjnym sabotażem. Miał stanowczo za ciężką rękę.

Wiem, że nasz Jagoda z Budapesztu mógłby się bronić (gdyby przez specjalny wzgląd na wybitne dostojenstwo politycznego policjanta pozwolono mu na nie przyznanie się do winy). Wiem, że w jego reżyserii procesu jest mały cudowny szczegół, mający nadać cech autentyczności zeznaniom. Wiem, jest historia kalesonów.

Przypuszczam, że czytelnicy zapamiętali sobie ową historię kalesonów, podaną przez sprawozdanie z procesu. Pomiędzy dowodami aktu oskarżenia przeciw kardynałowi Mindszenty był i taki: jeżeli kardynał Mindszenty (choć był hitlerowcem) został wtrącony przez Niemców do więzienia w okresie, kiedy Niemcy byli panami Węgier, to stało się nie dlatego — wbrew wypuszczonej przez niego pogłosce — że zwalczał panowanie niemieckie, ale dlatego, że zajmował się w pałacu arcybiskupim nielegalnym handlem męską bielizną (męską tylko; i policja polityczna ma swoją delikatność uczuć). Wynikało z tego, że, aby powiększyć swe dochody osobiste, czy też dochody Kościoła (sprawa ta nie jest wyjaśniona), kardynał Mindszenty stał się, wbrew przepisom, hurtownikiem bielizny. I oto kardynał Mindszenty przyznał się przed sądem do wszystkiego. Wyznał wszystko: i intrygi z szpiegami amerykańskimi i projekt ucieczki z pomocą ambasady amerykańskiej, i spiszek zbrojny przeciw Republice i nielegalny handel dewiz w arcybiskupim pałacu. Wszystko. Wszystko. Wszystko. Wszystko za wyjątkiem kalesonów. Cała дума, cała nieprzejednana stanowczość Vercingetorixa wobec Cezara, męczenników z Colosseum wobec rozjuszonych lwów, wszystkich męczonych wobec oprawców, wszystkich uciśnionych wobec tyranów, wszystkich skazańców wobec wy-

roku śmierci, sprawiedliwego lub nie, cała ta siła niezłomna, ziemską, czy boską, która podtrzymywała w ciągu wieków ludzi gotowych dać życie za dobrą, czy złą sprawę, bronić wiary przed tym co jej zagraża i godności ludzkiej przed tym co ją łamie — wszystko to w procesie budapeszteńskim ukryło się w ostatnim bastionie ostatniego oporu, który pozwolił oskarżonemu zaprzeczyć stanowczo wszelkiego współnictwa z „gangiem” bielizniarzy. „Wszystko, co chcecie. Wszystko, nie to. Nie kalesony”. W ten sposób panowie z policji politycznej mogli zwrócić się do widzów tego cudownego procesu i oświadczyć: „Patrzcie, oto dowód, że wyznania oskarżonego były całkiem swobodne, a więc autentyczne, a więc bez zarzutu. Mógł przecieć nie przyznać się do kalesonów”. Jeżeli o mnie chodzi — widocznie mam uprzedzenie. Historia kalesonów nie wystarcza, by mnie przekonać.

A przecieć, powiecie, oskarżony wyglądał zdrowo. Nie można więc zeznań jego tłumaczyć torturami. A zresztą, przyjmując nawet, że zeznania wydobyte zostały zmęczeniem — nikt nie może wytrzymać pewnego okresu bezsenności — nic nie przeszkadzało mu przecieć wycofać swych zeznań przed sądem i krzyżeć przynajmniej wtedy, że nie uznaje ani swej winy, ani sądu, ani sędziów. I cóż mu groziło innego, aniżeli śmierć, która groziła mu i tak? Nie ulega wątpliwości, że stojmy tu przed zagadką o wiele bardziej tajemniczą aniżeli proces moskiewski, który hipoteza Koestlera na pół nam tłumaczy. Nie wiemy, co zrobiono, by kardynał Mindszenty, chorąży ruchu katolickiego, walczącego z węgierskim marksizmem, stanął przed trybunałem jako bezsilny starzec, pomagający tym, co go chcieli skaźnić. Można by domyślać się wielu rzeczy: i strasznych gróźb przeciw innym osobom, przeciw bliskim i narkotyków unicestwiających wolę. Cokolwiek byśmy przyjęli — są to tylko domysły. Ważne w tej sprawie jest nie **jak**, ale **dłaczego**. Ważne jest to, że teraz człowiek, wchodzący w podziemia totalitarnej kaźni z podniesionym czołem i w przekonaniu, że stoczy bój ostateczny w publicznej, otwartej rozprawie, wychodzi z nich z czołem pochylonym tylko po to, by swym sędziom-katom i kierownikom partii, którzy się nimi wysługują, dać satysfakcję swego załamania się moralnego, swego całkowitego poddania. Ważne jest to, że dzięki nieznaney nam jeszcze technice poniżania człowieka nie ma już w świecie, który stoi przed nimi, miejsca na chwałę dla zwyciężonych. Po raz pierwszy w historii, władcy społeczeństw dają tłumom widowisko nie tylko fizycznego zniszczenia swych bezsilnych przeciwników, ale i ich moralnego poniżenia i zaparcia się sprawy, za którą walczyli.

Jakże byli ludzcy owi Cezarowie, którzy pozwalali męczonym chrześcijanom głosić zwycięstwo wiary pod toporem, pod rozpalonym żelazem, pod pazurami drapieżnego zwierza. Jakże byli ludzcy sędziowie barbarzyńskich wieków, którzy używali tortur, by wyrwać zbrodniarzom imiona współników, ale nie pokajania się. Jakże byli ludzcy oprawcy Inkwizycji, czy sędziowie Trybu-

nału rewolucyjnego, którzy pozwalali arystokratom na szafocie jeszcze głosić swe przekonania, czy okazywać wzdargę. Jakże byli ludzcy, wczoraj jeszcze, sędziowie trybunału norymberskiego — choć i zasada jego i procedura tyle strasznych budzi zastrzeżeń — którzy pozwalali oskarżonym śmiać się, podnosić czoła i nie przyznawać się do winy! Teraz mamy do czynienia z innym rodzajem sędziów, których zadaniem nie jest tylko karanie, czy niszczenie winnych, ale przerabianie ofiar, za pomocą straszliwie skutecznych środków, na świadków triumfu katów i na wzór całkowitego odczłowieczenia, sprowadzenie ich do stanu owego potwornego żalu za grzechy, do owego podejrzanego płaszczenia się, które wstrząsa nami, jako oznaka najwyższej słabości ludzkiej. Uzbrojony w nieznaną nam broń, sędzia nowych czasów zbliża się do ofiary, szepcząc: „Odprzysiąż się, odprzysiąż, odprzysiąż”. I ofiara się odprzysiąża. Opuściliśmy po wielu wiekach świat, w którym pozostawała człowiekowi ostateczna broń: mógł być za cenę swego fizycznego zniszczenia głosić to, co było w głębi jego nieugięte i niewzruszalne. Ci, którzy chcą walczyć z nową tyranią, muszą wiedzieć, że u kresu ich drogi, jeżeli zostaną pobici, jest śmierć plugawa, bez chwały, śmierć pogrążona w nikczemności. Oto zmierzch bohaterów.

Taki jest głęboki sens procesu budapeszteńskiego. Musimy sobie zdać sprawę, że bohaterstwo jest odtąd zastrzeżone dla zwycięzców — jest to rodzaj urzędowej premii, coś, jak medal dany krowie, nagrodzonej na targach, czy fotografia stachanowca w gazecie — i że zwyciężeni nie mają doń prawa. Wyznania moskiewskie, wyznania kardynała Mindszenty są, rzecz prosta, najpierw strawą propagandową dla prostaczków. Chodzi o wzmocnienie sprawiedliwości „demokracji ludowych” wobec ogólnej nieufności, jaka ją otacza. Dowodem, że ludzie, którzy się skazują, są winni jest to, że przynajmniej sami do winy. Ale poza tym pierwszym motywem jest i drugi: Aby demokracja ludowa nie spotykała się z żadnymi zastrzeżeniami, aby nie było żadnych wątpliwości co do słuszności jej metod i celów, trzeba, żeby wszystkie szlachetne uczucia były po jej stronie, trzeba, żeby nikt nie mógł być jej przeciwnikiem z pobudek szlachetnych, trzeba, żeby wszyscy, którzy ją zwalczają, byli łajdakami i dla wygody, by przyznawali się sami, że są łajdakami. Jest to pewien rewolucyjny manicheizm. Poza tym drugim motywem jest jeszcze i trzeci, któremu organizatorzy rewolucyjnych procesów ulegają może nie zupełnie świadomie. Trzeba, żeby mit rewolucyjny wznosił się na ołtarzu, otoczonym wszechpotężnymi piorunami. Trzeba, żeby otaczała go cześć pełna bojaźni i żeby świętokradcy, którzy by się odważyli podnieść nań rękę, pokazywani byli tłumom bez świętokradczej pychy, ze strzaskaną wolą, która ośmieliła się sięgnąć Boga, pozbawieni wolności, poniżeni w ich człowieczeństwie. Trzeba pozbawić nieodwołalnie przeciwników rewolucji wszelkiej nadziei na śmierć bohaterską, na śmierć przykładną, na męczeń-

stwo. Oto przestroga, jaką im daje zwycięska Rewolucja: „Wy, którzy odważacie się wystąpić przeciwko mnie, nie liczcie na waszą śmierć. Potrafię ją zbezczęścić”.

Jesteśmy dziś świadkami historii człowieka, który pragnął wyraźnie męczeństwa, a któremu nawet prawa do męczeństwa odmówiono. Nic nam nie pozwala sądzić, że kardynał Mindszenty był człowiekiem słabym, którego siła łatwo mogła się była skończyć, a odwaga osłabnąć. Zaden z widzów jego zadziwiającej klęski nie ma prawa twierdzić, że na jego miejscu byłby się zachował lepiej niż on. Trzeba więc z tego wyciągnąć wnioski. Tyrania, która nadchodzi, posiada środki, które unicestwią w nas nawet możliwości powiedzenia jej: nie. Nikt z tych, którzy ją zwalczają nie może być pewien, że któregoś dnia nie stanie przed sądem podobnym do trybunału w Budapeszcie, zmuszony do ostatecznej kapitulacji. Ryzyko ostatecznego upodlenia łączy się odtąd z ryzykiem śmierci, trzeba je więc traktować łącznie. Jedyne co możemy zrobić, to przygotować się zawczasu, zabezpieczyć przed słabością ciała narażonego na szwank i łamliwej woli. Trzeba, póki czas, stwierdzić: „Jeżeli kiedyś opowiadać będę przed sądem demokracji ludowej, że chodziłem do okienek banków amerykańskich, że odstępuję od mych błędów i że się kajam, należy tę moją spowiedź uważać za kłamliwą, a moje odstępstwo i kajanie za ruchy bezwolnego automatu. Ten, który będzie odpowiadał przed trybunałem demokracji ludowej, nie będzie miał żadnego związku ze mną, a wszelkie jego przyznania się do winy ogłaszam z góry za nieważne”. Bo nikt nie może twierdzić, że wytrzyma. Nikt nie może być pewien, że będzie mężny, jak Antygona; a i to zresztą już nie wystarczy, bo gdyby nawet sama Antygona stanęła dziś przed sądem demokracji ludowej, powiedziałaaby niewątpliwie: „Byłam na żołdzie”.

Nie wiemy i nie możemy wiedzieć w której dokładnie chwili, w ciągu tygodni więzienia, które poprzedzały proces, w czasie policyjnego śledztwa, zmarł kardynał Mindszenty. Skłómy głowę z należnym skupieniem i czią przed żyjącymi zwłokami, które stanęły przed sądem i w których zgasło światło stanowiące o człowieczeństwie, światło, które człowiekowi pozwala rozporządzać sobą. Skłómy głowę przed trupem, trupem o unicestwionej świadomości. Ten starzec, potulny jak dziecko, powtarzający słowa poddania głosem, który nie jest jego głosem, śle nam z głębin swego poniżenia bez chwały i upadku przestrogę silniejszą, więcej mówiącą, niż jakiegokolwiek nieugięte słowa. Jest przykładem tego, co może dziś człowiek zrobić z człowiekiem. Świadectwa jego nic zagłuszyć nie zdoła.

Thierry MAULNIER.

Autoryzowany przekład Daniela Świeżawskiego.

Na tyłach

Guatemala, sierpień—grudzień.

Leżę w łóżku już trzeci dzień. Osłabienie, senna, ból głowy, coś w rodzaju bólu gardła. Patrzę w sufit albo w szeroko otwarte okno. Wśród wysokich kwiatów, podobnych do nagietek, kręcą się szafirowe kolibry z żółtymi podbrzuszkami i piją z kwiatów przez słomkę jakąś swoją „Coca-cola”. Bo cóż innego mogłyby pić na tym kontynencie? Między nimi uwijają się zupełnie nieznanne motyle, kawałki jedwabiu „imprimée” lub wycinanki z mory. W rogu okna, wielka czarna osa założyła sobie obóz koncentracyjny dla pajaków. Zwozi je z głośnym bzykiem, wpycha żywe do gniazda, jakoś je tam zaryglowuje i leci po następnego. Perfidna. Chwilami zamykam oczy i usypiam na kilka minut.

Śni mi się, że jeszcze jestem na okręcie; widoki przywalone tropikalnym słońcem, domki z piernika na Curaçao, czarne pręty łódek tubylców wysuwające się nagle o świcie z dżungli kolumbijskich brzegów i sunące po celofanowo-różowym morzu. Budzi mnie pianie koguta albo głośniejszy grzmot którejś z kilku burz; w porze deszczowej przetaczają się tędy ze stukiem i punktualnością międzynarodowych expressów, nadlatując od Panamy lub Meksyku i nikną w błękitnie. Znowu zamykam oczy, znowu obezwładniający półsen wypełniony półsnami.

Potem budzi mnie na odmianę José. Przypasując pistolet, zapytuje, co przywieźć mi z Guatemala-City. Od razu po wylądowaniu, zajechaliśmy do tej fermy, położonej w górach. Do stolicy jest czternaście kilometrów droga, dostępną teraz, w porze deszczowej, tylko dla konia, muła lub jeep'a. Patrzę, jak kolba „Smith and Wesson” wystaje z ładnego, skórzanego olstra i mówię z przymkniętymi oczami: „Kup mi kolorowy film do mojego aparatu — 4x6,5.” José winduje się na meksykańskie siodło i zmniejsza na gliniastej drodze. Od tej drogi, o cztery kilometry stąd, odszczepia się taka sama droga w bok i opada gdzieś w dżunglę. Od czasu Hiszpanów pozostała do dziś dnia nietknięta.

Spoglądam na wzgórze porośnięte cedrami i akacjami, gdzieś niedaleko dębami i sosnami, przemieszanymi z tropikalną ro-

ślinnością. Przez okno wpada chłodny powiew, pachnący górami i wtedy wydaje mi się, że jestem w Rabce. Taniec, bezustanny taniec od wielu lat nieobecnych wspomnień: z wczesnego dzieciństwa, z gimnazjum. Wiją się godzinami, odtwarzane teraz wprost z proustowską precyzją. Skrzypi dziurki w bocznej, górnej kieszeni munduru ojca, wielki guzik z orłem wysuwa się wreszcie i — „co tam masz?” Dzwoni w uszach ten walc, grywany zawsze przez matkę na fortepianie gdy była w dobrym humorze i ta serenada z ciągłymi trylami, które mi tak imponowały. Drzemie, znowu zupełnie osłabienie i korowody obrazów.

Czuje, że jestem niezdrów i wiem, że w gruncie rzeczy nic mi nie jest. Z początku bałem się, że przyplątała mi się jakaś choroba. Ale wśród tych godzin bezruchu, wypełnionych wspomnieniami i idealnym spokojem to znowuż beładnymi myślami, przeskakującymi z uporem Atlantyckimi i spinającymi w ułamkach sekund kontynenty na siatce Mercatora (jaki ten świat mały), zrozumiałem, że cały mój stan rozbicia jest po prostu szokiem, jakiemu ulega narkoman, gdy nagle odbierze mu się alkohol, kokainę lub inny środek podniecająco-ogłupiający. To szok poeuropejski. Trzeba to odleżeć i oprzytomnieć.

Do pokoju wchodzi żona z malutką kaczka w rękach i wnosi ze sobą zapach dymu z kuchni. Drzewo jest mokre i kopci na cały dom. Przypatruje mi się z troską w oczach i pyta, czy nie napiłbym się soku z pomarańczy; a może kawałek banana lub ananasa? — „Daj mi spokój — muszę najpierw wy... Europe.” Odwracam się do ściany i nie mam ochoty na nic. Nawet na „Morrisa”, choć tak je lubię. Zostawiła mi na łóżku kaczuszkę, kładzie kilka pism zabranych „stamtąd” i wysypuje na nocny stolik trochę ziarn kukurydzy. „Pobaw się z nią, a potem sobie poczytaj” — powiada i wychodzi aby podgonić powolną Indiankę.

Kaczka jest przemiła. Opukuje małym dziobem, zrobionym jakby z politurowanych deseczek, wszystkie guziki przy koszuli, po czym zawzięcie kuje w zegarek, chcąc dobrać się do ziarenek cyfr za szkłem. Poświstuje sobie przy tym przez zęby. Karmię ją kukurydzą i dopiero teraz naprawdę zauważam, jak świetnie Disney chwytła swoje zwierzęta. Kiedy drażnię się z nią, zaczyna natychmiast zachowywać się, jak Donald. Te same przekrzywienia głowy, identyczne zmarszczenia brwi i błyski w oczach. Ale pierwsze dźwięki ulewy już przyciągają jej uwagę bardziej, niż zęby kukurydzy. Wstaję i stawiam ją na ziemi za oknem. Kręci mi się w głowie, nie chcę się kłaść i ciągnie mnie do łóżka. Niebo, przed chwilą jeszcze błękitne, zniknęło w chmurach. Ulewa jest tak gwałtowna, że nie widzi się strug wody. Leje się z chmur, jak z wiadra. Kładę się i owijam w ogłuszający szum deszczu.

Po raz nie wiem który przeskakuje myślą do Europy. Nieuporządkowane spostrzeżenia, rozproszone na trasie długiej podróży, motywy wyjazdu (raczej ucieczki), tworzące się bardziej

na koniuszkach nerwów, niż w mózgu — wszystko to osiada teraz powoli i nawarstwia się stopniowo. Nie wiem, co będę tutaj robił, jechałem w nieznanne, sam, nie oprawiony w żadne ramy akcji emigracyjnej, z wizą turystyczną. 150 dolarów jest całym moim kapitałem, ale jest mi dobrze. Mam uczucie wyrwania się z zatechłej prowincji, wydobywania się z borowiny z pretensjami źródlanej wody. Ze środowiska płaczek, skrapiających dzień w dzień gorzkimi łzami upadek Europy i jej kultury przez olbrzymie „K” i wydłużane „U” i wyczekujących dla jej zbawienia produktów nieokrzeseanej Ameryki.

Jest we mnie strach o przyszłość, ten sam strach, jaki nakażywał mi załatwiać formalności wyjazdowe jakby poza świadomością; tu jest on już nagi, prosty, nie przyoblekany w efektowne szaty „obawy przed próżnią intelektualną”, „brakiem atmosfery”, „prądów” i tym podobnych łakoci europejskich, których naprawdę brak już tam tak samo, jak chleba, mięsa i masła. Zresztą prawdopodobnie właśnie dlatego. Ten strach dominuje we mnie. Mogę i muszę liczyć tylko na siebie. Tam, na ulicach Paryża, bałem się tego najbardziej. Nie żadnej „próżni”. Te różne próżnie i „europejskość do szpiku kości” wielu ludzi (nie wyobrażam sobie życia poza Europą) jest często brakiem odwagi odcepienia się od jakichś pieniędzy, które tam albo siam jeszcze istnieją albo będą. DADZA. Tam, a jeszcze wyraźniej tu, czuję do jakiego stopnia zdążyłem w ciągu wojny i głównie tych lat powojennych — „zdipisieć”, stać się człowiekiem, liczącym przede wszystkim na czyjąś pomoc, na resztki jakichś funduszy lub nowe fundusze, na „przecież mnie nie pozwolą na śmierć głodową”, na „opiekę”... Razem z kilkudziesięciu milionami dawniej okupowanych i nieokupowanych (ci w słabszym stopniu) Europejczyków i ich rządów uwierzyłem już, że udzielanie pomocy nawet nierobom, trutniom i niedorajdom jest „polityką społeczną”, a nieudzielenie jej skandalem. I ja już zacząłem myśleć: „Jako — co jest MUSZĄ dać”. Kto? Państwo, rząd, I.R.O., Marshall, Francuski Czerwony Krzyż, Aide aux Emigrants, Kwakry, Armia Zbawienia, Joint, Arcybiskup Paryża itp. Europa kilkudziesięciu milionów dipisów, wiedzona przez „zdipisiałych” mężów stanu, preliminarujących kulawe budżety z „Muszą dać” jako główną pozycją wpływów, wpatrzona w porty, oplakująca upadek kultury i równocześnie niezdolna wyprodukować nic, co mogłoby być wehikułem jej kultury i cywilizacji. Duch sam jest nieporadny w dzisiejszej epoce; potrzebuje dobrego i taniego samochodu, dobrego prototypu samolotu, maszyny. Niesiony na nikłej chmurze zapachu perfum Guerlain'a, przewożony w koszykowych butelkach Chiantii lub poruszający się na rowerach kilku krajów, nie mówi nic. Może jest to smutne, ale tak było zawsze. A w Europie jest teraz moda wyśmiewania się z cywilizacji lodówek elektrycznych po czym samemu siedzi się w pokojach-lodówkach naturalnych i szczeka zębami o kulturze europejskiej. I jakie pretensje, jakie poczucie wyższości, jakie pogardliwe uśmiechy i klepanie po

ramieniu tego tutejszego świata. I to nużące już rozwijanie pergaminów. I ten prowincjonalny, trącący myszką, nacjonalizm sierżanta garnizonu w Kamionce Strumiłowej: „U nas, panie, w pułku, to taka orkiestra, że, panie, w żadnym pułku takiej nie ma. Chłopcy wyrównani, a trąby, panie, wyczyszczono, jak nigdzie”.

Boję się. Nie mam żadnego fachu. Umiem wprawdzie odróżnić pilnik do żelaza od pilnika do paznokci (w czym różnią się od pisarzy „realistycznych” i marksistowskich Polski współczesnej), ale to jeszcze za mało. Skoczyłem do głębokiej wody, nie umiejąc należycie pływać. W każdym razie na dłuższy dystans. Bo takiego pływania od wysepki do wysepki, od fundusiku do oboziku, a od oboziku do fundusiku itd. Europa uczy świetnie. Tu co innego. Będą co najwyżej przyglądać się, oceniać ruchy i wymieniać uwagi między sobą. Boję się tak, że kto wie, czy i z tego powodu nie przedłużam trochę mojego leżenia. Lecz równocześnie wspaniałe poczucie swobody, szerokiego oddechu, życia. Wyrwałem się nareszcie z obozu Europa, uniezależniłem od „funduszy”, od planu Marshall'a, od „przydziałów”, od intelektualizmu, który już dawno przestał nim być, a stał się niemal wyłącznie polityką i zagadnieniem społecznym, od „zapatrzania” w metody „rozwiązań” pchające już dziś cały Zachód europejski w zwyczajny totalizm, w coraz to cięższy do zniesienia ucisk Państwa, w zubożanie wszystkich celem niewzbożenia nikogo. Uwolniłem się jednym skokiem od przymusowych ubezpieczeń społecznych, od podatków, od felietonów Mauriac'a w *Figaro*, od rodaków liczących każdy grosz „pożeranych” przeze mnie funduszy (żebyż tak...) i czekających tylko na okazję „wskoczenia”, od całej Europy.

Jestem nareszcie wolny, tak wolny, iż mogę nawet swobodnie umrzeć z głodu. Pozwolą mi. I to jest to najwspanialsze uczucie. Intensywnością tego radosnego poczucia i zarazem jego niedorzecznością mierzę stopień przerażającego już „zesklawizowania się” człowieka dzisiejszej Europy.



Pierwsze kroki w obcym mieście, w nowym świecie. Pierwsze znajomości, szukanie pracy. Nie znam języka. Mój hiszpański jest jak puszczenie kółek przez niewprawnego palacza. Mówię najczęściej po angielsku, francusku i po — niemiecku. W rezultacie ten ostatni język jest najpewniejszy. Trzeba być obiektywnym: to, co rzuca się w oczy, co czuje się już po kilkunastu dniach pobytu tutaj, to porządna robota niemiecka. Trudno określić, na czym to polega, lecz tchnie to ze stylu życia, z tego zeuropeizowania daleko posuniętego i w dobrym sensie tego kraju. Ekspansja gospodarcza Niemiec musiała tu być bardzo silna przed wojną: wśród najnowszych modeli amerykańskich samochodów i motocykli, widzi się jeszcze sporo starszych „Mercedesów”, „Horchów”, „Adlerów”, „Opli”, „Zündapów”.

Chodzę prostymi „Avenidas” oznaczonymi jedynie numerami i równie prostymi „Calles”, prostopadłymi do „Avenidas”. Miasto jest niskie i rozległe. Domy przeważnie parterowe ze względu na trzęsienia ziemi. Jest ciepło, ale nigdy nie za gorąco. Cudowny klimat, a przy tym wcale nie jednostajny. Jacyś przybysze z tropikalnych nizin, w hełmach korkowych na głowie, wyglądają na tych ulicach dość egzotycznie. O bliskości zwrotnika przypomni tylko czasem przywiany do miasta wielki motyl, zabłąkany w pajęczynie drutów nad ulicą. Mnóstwo samochodów. Wieczorem, na rozświetlonych neonami jezdniach, zatory Packardów, Buick’ów, Pontiac’ów i innych modeli 1949. W halach targowych stopy jedzenia i przekupki indyjskie, ciemne, z papierosem w ustach, wielkie i godne. Nad nimi wysiaduje czasem papuga i pokrzykuje: „Bahhrrato, bahhrrato” (tanio). Po ziemi, jak karaluchy, czołgają się dzieci. Ameryka Centralna rozrządza się w błyskawicznym tempie.

Mieszkam już w ślicznym domu, wynajętym do spółki z wyjątkowo sympatycznym Hiszpanem. Dom, a raczej willa, umeblowana; do tego radio, maszyna do szycia i lodówka elektryczna. Mieszkania drogie. Mój kapitał już stopniał, podskórna obawa „co dalej” trwa ciągle. Ale równocześnie wczoraj tańczyłem po kolacji u jednego z przyjaciół moich znajomych. Pierwszy raz od wielu, wielu lat, tańczyłem z prawdziwą przyjemnością. Nawet z własną żoną. A gdy wychodzę do miasta, mam cały czas ochotę przeciągać się na płytkich i rozświetlonych ulicach lub bawić się z wielkim sępem i małym pieskiem, które na środku ulicy sprzecają się najspokojnie o wielką kość. A ponad tym wszystkim i przede wszystkim swobodny oddech.

Nareszcie nie czuje się na każdym kroku Państwa, tej „istoty fantastycznej i nienawistnej”, jak pisał Flaubert do G. Sand. Normalne życie, dawna kulturalna Europa. Aby ją odnaleźć, trzeba z niej dziś wyjechać. Choćby do takiego „Affenland” jak z typowo europejską megalomanią Niemcy nazywają te kraje. Uprzejmość, spokój, kupione w sklepie produkty opakowują starannie i odsyłają do domu bez dopłaty i napiwków (zakupy można załatwić także telefonicznie), pocztę roznoszą także w niedziele i święta, programy radiowe świetne. Nareszcie w Ameryce uwolniliśmy się od „swingu” i tych potwornych jazz’ów. W sklepach przeważają towary amerykańskie. Spośród europejskich wysuwają się na czoło produkty krajów nieobjętych planem Marshall’a. Szwajcaria: zegarki, małe maszyny do pisania „Hermes-Baby” biją na głowę „Remingtona” i „Underwooda”. Nawet Amerykanie kupują te małe maszyny. Motocykleki „Husquarna”, motory elektryczne, maszyny do liczenia. Czechosłowacja już obecna. Kryształ, porcelana, aparaty fotograficzne, soczewki. Spodziewane są polskie rowery i materiały ubraniowe. Ale to zrozumiałe: kraje wspomagane muszą najpierw skonsuować i potem zabrać się do produkcji. Tymczasem jak zwykle perfumy, wino, koniak, oliwki marynowane, krawaciki, paski do spodni, a z poważniejszych maszyn — rowery i parasole.

Ruch w sklepach, w których można wszystko kupić. W tym samym sklepie można np. swobodnie kupić parę pończoch nylonowych, damskie dessous’y, 16-to strzałowego „Winchester’a” lub doskonałego „Smith and Wesson”. Wolny handel bronią, swobodne noszenie jej i nienadużywanie imponują mi jako kulturalnemu Europejczykowi. Tyle mówi się o tej naszej kulturze — może by tak wypróbować ją sprzedając choćby przez tydzień pistolety razem z krawatami. Np. w „Galerii Lafayette”. Ciekawe, czy mielibyśmy się potem czym szczyścić. Księgarnie doskonale zaopatrzone. W wydawnictwach wiodą prym Meksyk i Argentyna. Chodzę i rozkoszuję się tym wszystkim.

I teraz już wiem na pewno: dzień, który przeważał szalę mojej decyzji był dniem wymiany banknotów 5.000 frs. w Paryżu. Teraz, na tych ulicach, wśród tych ludzi na pewno mniej „kulturalnych” i „intelektualnych” w znaczeniu europejskim, ale ogonki pokornych obywateli rewolucyjnej i indywidualistycznej Francji, stojących cierpliwie i utrudnionych, widzę ciągle te i buntu, godzących się potulnie z bezprawiem i rabunkiem, jakiego po raz już X-ty dopuściło się na nich Państwo. Ogonki, przepisy, ustawy, co dzień nowe, co dzień wdzierające się głębiej w życie jednostki przy równoczesnym pianiu o wolności, o poszanowaniu praw osoby ludzkiej, ratowaniu „esprit européen”. Sprawia to wrażenie, że intelekt europejski wyrwał się z zasięgu przyciągania życia codziennego i poszedł w przestrzeń. I tam sobie buja i załamuje ręce.

Europa to przede wszystkim jej człowiek, a — trudno i darmo — gałunek tego człowieka psuje się ostatnio z zatrważającą szybkością. Europejczyk zamienia się w „pacotille”, w barana, traci wszystkie te cechy, które stanowiły o jego wyższości dawniej: przedsiębiorczość, pęd do rozsądnego ryzyka, zdolność indywidualnego sądu, rozsądne nieposłuszeństwo. Wprost przeciwnie — stał się posłuszny Państwu i Państwowi obcym. Stoi dziś cierpliwie w ogonkach, wypełnia skrupulatnie dziesiątki formularzy, onanizuje się biernym krytycyzmem i intelektem jako namiastkami życia i przejawia cały swój indywidualizm i przedsiębiorczość w czarnym handlu, w małych kombinacjach krótkometrażowych. I uwierzył już, że spokojne, „kulturalne” stosowanie się do coraz to nowych ustaw i przepisów Państwa jest właśnie dowodem kultury. Oczywiście — jest ono dowodem do pewnego punktu. Ale ten punkt został już w obydwu Europach dawno przekroczony i dalsze „kulturalne” wykonywanie przepisów nie jest żadną kulturą. Jest jej upadkiem, jest zachowaniem się trzody, posłusznej każdemu szczenińcu owczarka. Europejczyk, który nie chce być wolnym, przestaje być Europejczykiem. Aby nim pozostać, musiałem wyjechać. Ktoś z Polski powiedział mi raz: „Widzi pan — totalizm, to nie rząd totalistyczny, to nie ustrój totalistyczny. Totalizm zaczyna się wtedy, gdy nie tylko szary obywatel, człowiek ulicy, lecz kiedy całe społeczeństwo zaczyna z pełnym przekonaniem mówić:

„Rząd musi, Państwo powinno” itd. Dopiero wtedy zaczyna się prawdziwy totalizm. Totalizm nie jest formą ustroju — jest on formacją duszy i umysłu obywatela”. W Europie całe społeczeństwa zaczynają już wierzyć, że „Rząd musi”.

Pamiętam, że z początku przerażały mnie objawy tzw. „chamstwa” w paryskim „Métro”, dawniej niespotykane. Kiwałem głową, czytając w prasie polskiej o objawach chamstwa w pociągach, tramwajach, autobusach, tysiącach przejazdów na gapię na P.K.P. Mówiłem sobie: upadek kultury. Nieprawda! To zdrowy odruch, podświadomy objaw buntu i odwetu ludzi uciskanych, tłamszonych przez Państwo. Bunt ten obiera sobie na pewno złą drogę, ale takie jest już prawo każdego wysokiego ciśnienia. Kociół popuszcza w miejscach słabiej zanitowanych. Nie należy się tym martwić — wprost przeciwnie. Na zmartwienie będzie czas, gdy wszyscy będą się pchać w milczeniu, gdy nikt nie zaklnie plugawie, gdy żebra i serca będą pękać w ciszy, w karnym spokoju. Kiedy dziś czytam felietoniki, piętnujące chamstwo w życiu codziennym kraju, cieszę się i myślę, że jeszcze Polska nie zginęła. Wstrząsająca była dla mnie wiadomość, że żołnierz sowieckiego oduczono już podobno kłąć. W dzisiejszych warunkach oznacza to po prostu koniec człowieka, śmierć duszy.

Valéry, pisząc o Europie, zauważył słusznie, że inne części świata miały także swoje wielkie cywilizacje, znakomitych poetów i uczonych. Lecz żadna nie posiadała tej jedynej w swoim rodzaju właściwości: wyjątkowej zdolności emisyjnej sprzężonej z absolutnie doskonałą zdolnością wchłaniania. Niestety wydaje mi się, że zdolności te stały się w dzisiejszej Europie bardzo jednostronne i dla reszty świata wręcz szkodliwe. Jeżeli chodzi o zdolność emisyjną, to nie waham się twierdzić (a rozmowy z ludźmi tu utwierdziły mnie w tym), że Europa dzisiejsza, z punktu widzenia emisyjnego, jest czymś w rodzaju źródła zarazy: dżumy etatyzmu, upaństwowiania od stóp do głów, biurokracji, centralizacji, metod „odgórnych” i tegoż nacjonalizmu. Podczas gdy z połowy wschodniej wiatr roznosi wiadome bakcyle, jej połowa zachodnia wchłania ich więcej, niż przypuszcza (nawet w swych odłamach najbardziej „anty”), przetwarza, płata się między faktycznym totalizmem a słowną demokracją i pozwala tutejszym „demokratom” na gładką robotę „demokratyczną” z ciągłym powoływaniem się właśnie na — Europę Zachodnią, na jej „postępowość”, na jej „politykę społeczną” itp. Nie mówiąc o tym, że wszelkie błędne posunięcia gospodarcze i społeczne rządów tutejszych czerpią natchnienie z — Europy. Zaraza i tu przenika. Przebywając długo w jej zasięgu, czuję jej najmniejsze przejawy; jej zaduch uderza mi w nozdrza nieraz z nie nie mówiącego tutejszym mieszkańcom drobnego rozporządzenia, ogłoszenia lub artykułu w gazecie. Rozmawiając z ludźmi, kończę te rozmowy zawsze tym samym: „Róbcie co chcecie, tylko nie starajcie się w niczym naśladować Europy”. Trafiam zresztą na dużo zrozumienia. Pewien urzędnik tutej-

szego M.S.Z., który przyjechał z Paryża przed kilku dniami, mówił ze mną o Europie mniej więcej w takim tonie, w jakim Olsza śpiewa swoją piosenkę o cici na Ochocie. Owszem, ciocia ma sklep. Jest tam i mydło i powidło. Nie byłem tym ani zdziwiony ani oburzony.

Nie z tego nie wychodzi. Bardzo uprzejmi, bardzo życzliwi, ale ja nie znam hiszpańskiego; a w ogóle nie wiadomo, co to za jeden. Nie tracę rozpedu, bo pomimo wszystkiego, czuję się świetnie. Pomijając zupełny brak uczucia jakiegokolwiek egzotyzmu, spowodowany najprawdopodobniej tym, że Europa współczesna jest na pewno najbardziej egzotycznym kontynentem (z prawem dżungli włącznie), czuję się przede wszystkim swojo.

Jak pod działaniem różdżki czarodziejskiej znikło to gniotące od wielu lat, niemiłe i przemilczane nawet przed samym sobą poczucie bycia obcym, „étranger”. Po ośmiu latach życia we Francji, która właściwie uformowała mnie, którą pokochałem i z którą tak silnie się zżyłem, tu czuję się mniej obco. Od pierwszego dnia. I to wcale nie dlatego, że jest tu świetna czysta wyborowa meksykańska, śledziki w śmietanie, ogórki i kapusta kiszona, świetne pączki, kajzerki i gładkie bułki, że w południe wpadam na ciepłe paszteciki nie gorsze, niż u Maurizio w Krakowie, że jest Koenigsberger — towary żelazne, Danziger — towary mieszane, Kirsch — artykuły krawieckie i że należy się u nich targować, że jest mnóstwo kościołów, a Indianin tutejszy do złudzenia podobny jest do Poleszuka i nasyżych chłopów, że w sobotę jest tzw. „ochłaj” i wódę monopolową sprzedaje się w „szpaczkach” i „szczeniakach”, a papierosy także na sztuki, że kościoły są pełne i baby zawodzą w nich zupełnie po naszemu, że na odpustach jest smród, obwarzanki i koguciki, że cały styl życia jest prawie przedwojenno-polski z polskim snobizmem włącznie — nie, wcale nie dlatego. Po prostu dlatego, że nigdzie nie wyczułem odniesienia się do mnie, jako do obcego. Może także z powodów bardzo błahych, papierowych, ale znaczących wiele: otrzymałem tutejszy dowód osobisty („cedula de vecindad”) — zupełnie taki sam, jak tutejsi obywatele, w którym nie ma nawet rubryki „narodowość”. Jedynie miejsce urodzenia może o niej świadczyć. Ponieważ jestem Polakiem, urodzonym w Wiener Neustadt, więc aby wszystko klapowało, W. Neustadt włączono do „Polonia”. Z tym dowodem, w jedno popołudnie, mogę otrzymać wizę do każdego kraju od Meksyku począwszy, a na przylądku Horn skończywszy. Ze St. Zjedn. są tylko trudności, ale to nic dziwnego. Podobnie jak Europa, tak i U.S.A. nie leżą na tyłach. To strefa przyfrontowa.

Trudno. Pracę musiałem sobie stworzyć sam, zanim zapas pieniędzy, ocalony przed zamachami urzędu podatkowego 12-go Arrondissement nie stopnieje do reszty. Właśnie otrzymałem z Paryża list, że już byli u mnie w hotelu, bo podobno nie zapłaciłem jakichś 5.000 frs. na jakąś tam pożyczkę, mającą pokryć niedobory któregoś z budżetów.

Pracuję ciężko. Założyłem sobie warsztacik zabawek. Nie mam narzędzi, dłubię kuchennymi nożykami „Colonial” za 40 centów, siedzę nocami. Po europejskiej paszy objętościowej, przejście na paszę treściwą odbiło się fatalnie na mojej wątrobie. Kawa, ta tutejsza, najlepsza kawa świata, pijana nocami przy pracy (brak narzędzi nadrabiam godzinami pracy), wprawiła zbożowe serce w niebezpieczne akrobacje. Reguluję je, wyskakując w południe do małej pływalni, położonej o pięć minut od mojego domu. Mieszkamy na końcu miasta i niemal za furtką zaczyna się wielka ferma, urządzona jako park z boiskami sportowymi i pływalnią. Jest tam prześlicznie. Tuż, o pięć kroków od domu, można zanurzyć się w zieloności, zapaść w głębokie jary, oddychać górami. Krażą nad głową sępy-czyszciciele, domowe ptactwo tego miasta. Białe chmurki przekreślają stożki wulkanów, sinawe i idealne w rysunku.

Zarabiam bardzo mało, ale mam nadzieję zarobić więcej. Tymczasem wcinam się „Colonialami” w pachnący cedr, piję słońce, a czasem, ukradkiem, czytam Madariagę. Czytam już swobodnie. Tak chciałem mieć moc zacząć wchłanianie tego ciekawego świata, zupełnie nieznanego (swoją drogą ta megalomania europejska jest zatrwająca. Tam już wszystko sprowadziło się do zagadnienia trójkąta Paryż-Londyn-Kolbuszowa. Wszyscy mają psi obowiązek wiedzieć, co się tam dzieje), tymczasem jednak nie mam czasu.

Świat, nowy świat, trzeci wielki świat. Mówi się o nim mało, podkpiwa z Guatemal, Costa-Ric, San Salvadorów i innych Hondurasów, a co się o nich wie? Przebogaty obszar, wielki i otwarty, pełen swobody i jeszcze ciągle najlepszych tradycji Europy. Kto wie, czy jej duch nie przetrwa właśnie tu i nie zaowocuje na nowo? Nie odczuwam wcale tego, że jestem w małym mieście małego kraju; czuję pod stopami przede wszystkim kontynent, niezmierny, wspaniały, kipiący życiem. Otoczony jestem przyrodą. Mijają miesiące, a nie mam nawet ochoty pójść do kina. Przy całym zmęczeniu, przepracowaniu (pracuję właściwie fizycznie) jestem jakby odnowiony. Ciężko nam, nie ukrywam tego. Brak nieraz kilku centów na głupstwo, na „Coca-Cola” (inna sprawa, że pcham wszystko w warsztat), ale gdy siadam wieczorem do skromnej kolacji, jestem zadowolony z dnia. Odtotalniam się, wypacam z siebie ośpienie europejskie, zależności. I popijam rum „Caribe” z Jamajki, mówiąc żonie, że to politura.

Europejczycy. Bardzo wielu z nich, przebywając już tu od kilku miesięcy, nawet od roku, liczy ciągle na jakąś pomoc. Wspomagani w ciągu całej wojny i po wojnie przez instytucje dobroczynne wszelkich wyznań, przez krewnych zamorskich, stanowią oni szkolny przykład tej specjalnej mentalności europejskiej, która ogarnęła tam już nie tylko poszczególne jednostki, zdemoralizowane ciągłym wspomaganiem ich, lecz także całe narody. Jest to zupełnie świadoma, najdokładniej wykalibrowana chęć uzyskania w dożywocie tytułu „ofiary wojny”.

I tak to tutejszy dentysta, ośmielający się przysłać rachunek za leczenie zębów jest „świnia” (Ja już, notabene, także...), od lekarza wymaga się bezpłatnych porad, od przyjaciół bezwrotnych pożyczek, od gospodarzy domów bezpłatnego mieszkania itd. Czy dziś już mentalność całych narodów nie zaczyna po troszę przypominać tych ludzi? Co mówi się np. o Ameryce we Francji, we Włoszech? I to już po odliczeniu inspirowanych ze wschodu słów. Wystarczy. Czy całe kraje nie zaczynają już uderzająco przypominać obozów D.P. pod opieką I.R.O.? Nikogo tak łatwo nie daje się nakłonić do buntu przeciwko opiekunowi, do bezprzedmiotowego niezadowolenia, jak właśnie mieszkańca obozu. Człowiek, nad którym rozciąga się wszechstronna opieka, przestaje bardzo prędko dostrzegać w opiece dobroczynną. Dostrzega tyrana. Wydaje mi się, że ten moment psychologiczny nie został należycie uwzględniony i stąd ta łatwość organizowania strajków, które już tyle „namieszały” w całym planie. I tu nastąpiło tak typowe dla nas „zapatrzenie”. Oblicza się w tonach produkty, jakie Europa może wytworzyć po otrzymaniu tej pomocy, zlicza się te tony „in spe” przyjmując i zakładając, lecz czynnik „homo Europeus” współczesny nie jest w tym należycie uwzględniony. Ani przez Europę, ani przez Amerykę. Tymczasem ten człowiek jest już u końca cyklu, który w skrócie wyraża się: „Jak to ładnie, że dają”, „Zrozumiałe, że dają”, „Co jest — MUSZĄ DAĆ”. Konsumuje się, po czym czeka się na nowy przydział, mając ucho wyczulone na podszpty tych „buntowszczyków”, co chodzą po obozie i mówią: „I co dali? G... dali! Z tym nawet chodzić nie można, a cóż dopiero pracować”. Każde opóźnienie w dostawach i — co gorsze — poślizgnięcie się w zbiurokratyzowanym rozdziale, jest skrzętnie wyyskiwane i przechyla nawet najmniej skłonnych do buntu na stronę agitatorów. Bardzo to obosieczne.

Amerykanie bazują swe obliczenia na swoim człowieku, na człowieku, dla którego wsparcie jest bodźcem do rozwinięcia większej aktywności. Wygląda to na pomyłkę. Szwajcaria odmówiła pomocy, Anglia załatwiła to jakoś inaczej. I są już. Spotykałem je wszędzie od Madery począwszy i potem wzdłuż brzegów i wysp na północ od La Guaira w Venezueli aż do Panamy. Są już także kraje z zasięgu zakazu Stalina. Czy zakaz ten podyktowany został li-tylko względami politycznymi? Tam wysysa się ludzi przy pomocy przymusowych poświęceń, ale naprawdę wyciąga się z nich zapasy energii wprost atomowej dro-

gą poświęceń dobrowolnych, bodźcem „Patrzcie — my sami damy sobie radę”. Na tym „My sami” odbudowuje się Warszawa, cała nadwartość „My sami”, potężna, wyjeżdża pociągami na wschód, reszta przenika już tu i wpompowuje dalsze zapasy energii: „My sami; i już tam jesteśmy”. Psychologia licytacji „à l'américaine” wyzyskana bez zarzutu.

Minęły miesiące, obserwuję tutejszy mikrokosmos. W czasie mojego pobytu tutaj zjechało sporo Europejczyków. Pomoc I.R.O. skończyła się po pokryciu kosztów podróży, często z dietami. Ludzie ci zaczęli w większości wypadków powoli pracować — nieraz za niskim wynagrodzeniem, to prawda, ale z energią. I nagle, z końcem października, zjawia się delegat I.R.O. i otwiera swoje biuro. Ci, którzy już zaczęli pracować, rzucili pracę. Wysiadają w przedpokojach biura I.R.O., zdołali już uzyskać zapomogi, a cała grupa rodaków zamieszkała w luksusowym domu, wynajętym dla nich przez tę „drańską” instytucję. Gotują sobie i mieszkają, odsyłając rachunki na 6-tą Avenidę. A ten delegat, to łobuz, wywłoka z Hondurasu. Nieraz każe czekać, albo nie przyjmuje. Jeden z rodaków powiedział mi: „Dom luksusowy, łazienki, telefon, ciepła i zimna woda, lodówka i pralka elektryczna, tarasy, można się opalać, ale co z tego, kiedy kucharki nie ma.” Słowo w słowo! I teraz „już nie ma co tutaj robić”. Jedziemy do Kanady. Pewnej Angielce, mówiącej 5-ma językami, chcąc jej pomóc w jego trudnej sytuacji (z zawodu filolog klasyczny) oświadczył w czasie decydującego podwieczorku, że ludzie nie mówiący po łacinie są idiotami. Stał w obronie kultury. Przypomniał mi jednego Francuza, który w kilka dni po uwolnieniu Paryża mówił mi: „Wie pan, te chamy (goujats) amerykańskie jedzą sardynki z czekoladą”. I mówiła to ta „fine fleur de la culture européenne” zjadając przy moim stole sardynki amerykańskie z „2 persons half ration”.

Ja sam, po czterech miesiącach ciężkiej pracy w moim warsztacie, w ciągu których o własnych siłach kupiłem już trochę narzędzi i elektryczną frezarkę do drzewa, mam ochotę to wszystko rzucić. Pracuję po 12, 14 i 16 godzin na dobę, jestem wymęczony, każdy wydatek waży się skrupulatnie, budżet obcina. Mam ochotę pójść do tego „łobuza” z I.R.O., powiedzieć że jestem „pisarzem”, „intelektualistą”, że mam szereg rzeczy pozaczynanych i nie mogę pisać. Dawać, psiakrew! Co jest? Ale nie — jeszcze raz zacisnę zęby i zacznę się teraz starać o normalną pożyczkę. Pod zastaw pracy. Ludzie, którzy delikatnie mnie zbywali, gdy prosiłem ich o zajęcie, sami proponują mi pieniądze.

Jeszcze czekają mnie długie miesiące ciężkich dni. Za to dni, w których mogę być zawsze w zgodzie z samym sobą, swobodny, niezależny, w pozycji „spocznij” z papierosem w ustach. A nie na „bacznosc” w „Europalager”.

Andrzej BOBKOWSKI

Mickiewicz wieczny

Im bardziej upływ czasu oddala nas od dni rzeczywistego życia Mickiewicza, od jego ludzkich narodzin i ludzkiej, rozdzierającej śmierci, tym wyraźniej jawi się on przed nami jako pełnia, jako całość, jako skończoność. Za lat ziemskich i przez długie lata po śmierci ówiartowano, dzielono to istnienie na części; oddarte części składano do relikwiarzy, jakieś inne usiłowano unieważnić i zataić.

Pozytywistom mistyka Mickiewicza wydawała się wstydlivym obłędem. Rodzony syn brał udział w nabożnych fałszerstwach. Jeszcze w dobie drugiej niepodległości rozgorzały wokół Mickiewicza dwie hałaśliwe awantury: jedna o dzieło, druga o życie. Jeszcze wtedy ulegano żalostnemu złudzeniu, że można wykreślić z tego nieśmiertelnego rysopisu jedno z największych, może największe dokonanie poetyckie, że trzeba spod bronzu wydobywać Mickiewicza „żywego”, jakby nie był dość żywy ktoś, kto jest — wieczny.

Po tych doświadczeniach, poddani teraz doświadczeniu, które było jego własnym, możemy się kusić o to, aby go zobaczyć jako jedność, aby go zobaczyć obrysowanego konturem wieczności. Jest to nakaz tym bardziej naglący, że na naszych oczach dokonywa się ówiartowanie tego życia nie przez swoich, ale przez „mieczowych złodziei”; przez przywłaszczycieli i wrogów.

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej, jednocześnie z wywózką ludzi, odwiecznym szlakiem sybirskim odbyła się w listopadzie 1940 r. „kampania mickiewiczowska”. Usiłowano w niej wtłoczyć Mickiewicza w formułę marksowską i aby to bezna-dziejne przedsięwzięcie uprawdopodobnić, wydano w Moskwie jego dzieła, przykrócone o lirykę religijną i mistyczne ustępy „Dziadów” drezdeńskich. Dzisiaj znowu przymierza się, przykrawa Mickiewicza, aby strzępami jego patetycznych dzieł, które całe były walką o wolność duchową, przykryć i usprawiedliwić niewolę. Znowu wybiera się jedno i odrzuca drugie, zataja się i fałszuje.

A Mickiewicz jest całością, jest cyklem pełnym i zamkniętym, jest największym mitem o człowieku, jaki wydała ziemia polska, jednym z największych na całym obszarze kultury europejskiej. Mickiewicz zniósł granicę między poezją a życiem, między twórczością a działaniem, między artystem a trudem etycz-

nym, trudem dorastania do wielkości. Można powiedzieć, że utożsamili sztukę i świętość tak, jak — już za naszych czasów — przybliżono znowu do siebie lirykę i modlitwę, rozpoznano ich wewnętrzne powinowactwo. Był poetą w najwyższym pojęciu swego czasu i wszystkich czasów. I chciał być czymś więcej niż poetą. I był.

To, co w prelekcjach paryskich powiedział z powodu Byrona, stanowi bodaj cząstkową prawdę o twórcy „Manfreda”, a całą prawdę o nim samym. „... poezja nie jest częścią rozrywką, nie dość tu życzeń i słów, trzeba samemu tak żyć, jak się pisze” — mówiąc to, mówił przede wszystkim o sobie. „Mocne uczucie spoetyzowania swego życia, zbliżenia ideału do rzeczywistości” — jest chyba w większym stopniu właściwe Mickiewiczowi niż Byronowi. I przez Mickiewicza zostało dopełnione w mierze najwyższej. Dlatego to nie podobna w nim oddzielić twórcy od tworu, dzieła doczesnego od wiecznego istnienia. Dlatego największym dziełem Mickiewicza jest — sam Mickiewicz.

Nie należy on do tych, którzy, jak Conrad i Proust zaczęli tworzyć późno, ale do tych, którzy wcześniej skończyli, by poezję pisaną zastąpić i dopełnić poezją przeżyta.

Byli przed nim i po nim potężni pisarze, którzy w pewnej chwili życia odżegnawali się od sztuki: Racine, Gogol, Tołstoj, Rimbaud. Ale wszyscy oni czynili to albo w przystępie zwątpienia w sens twórczości, albo po to, aby się jeszcze bardziej zająć sobą, albo po to, aby uciec od męki twórczej. Mickiewicz przestał pisać w trzydziestym szóstym roku życia z nakazów nie osobistych, ale zbiorowych. Było to wyrzeczenie się w imię celu wyższego.

Żył tuż przed Mickiewiczem twórca, który z własnego życia uczynił dzieło sztuki, przetwarzał życie na artyzm — Goethe. Mickiewicz uczynił z niego historię dopracowywania się świętości, zmienił je w tytaniczny trud przetwarzania człowieka i przemiany świata.

Życie duchowe, coraz bardziej świadome, coraz mozolniejsze, coraz boleśniej napięte, stanowi dno, z którego wzrosć mogły dzieła poetyckie i wznieść się w górę jak kolumny. Stanowi ono także kopułę, która je zasklepia i wiąże w architektoniczną jedność.

Historia literatury może pojedyncze dzieła wyłączać z tego ścisłego związku. Może to być usiłowanie ciekawe i partykularnie pożyteczne. Ale gdyby zaginęła wieść o człowieku, o jego losie i losie jego narodu, trudno by było powiązać takie utwory, jak III część „Dziadów”, „Księgi Pielgrzymstwa” i „Pan Tadeusz”, mimo że powstały one jedno po drugim, na rozpięciu ledwo trzech, czterech lat. Może by powstał spór, czy są pióra jednego twórcy.

Tak czy inaczej dla historii duchowości, dla historii samowiedzy narodowej, istnieje tylko jeden twórca całkowity, przedziwny, niepowtarzalny, wstrząsający: Adam Mickiewicz.

Potomek drobnej, zagonowej szlachty mazowieckiej, osiadłej

na kresach czarnoruskich, syn komornika przy sądzie w Nowogródku — ogniskuje on w sobie i streszcza całą rdzenność polską i całą polską swoistość kresową. A jednocześnie, u drugiego krańca, jest to najbardziej autentyczny, pełny Europejczyk polski, geniusz na wskrós chrześcijański, czujący i myślący kategoriami uniwersalistycznymi, jakimi nie myślał i nie czuł w Polsce nikt przed nim, a niewielu myślało i czuło po nim.

Między tymi dwoma biegunami rozpina się stroma parabola życia, linia wzrostu, wstępująca burzliwie, namiętnie, wśród zwycięstw i klęsk, wlotów i upadków, wysilen i przezwyjężeń.

Zaczyna się ona dzieciństwem, które sam nazwał „sielskim, anielskim”. Nasyca to dzieciństwo tajemnicza muzyka nowogrodzkiego krajobrazu, ludowa piosenka i ludowa wyobraźnia, symbolika pierwotnego istnienia i religijność obejmująca całego człowieka. Jest to dzieciństwo, jedno z najbardziej błogosławionych, jakie komukolwiek było dane na ziemi. Z tego dzieciństwa wywodzi się polskość, której starczyło na całe życie i całe dzieło i na „Pana Tadeusza” — arcyepoemat o Polsce powszedniej i Polsce wiekistej. To tam rodzi się realista, potwierdzający życie we wszystkim co nim jest, natchniony chwalcą zwyczajności, dostrzegacz konkretnego drobiazgu. Tam także rodzi się mistyk, wychylający się poza brzeg rzeczywistego świata i pod tekstem rzeczy widzialnych usiłujący odtąd odczytywać głębszy, metafizyczny sens istnienia. Człowiek, który jak nikt w Polsce rozumiał ziemię, zmysłową dotykalność bytu i człowiek, który miał się poważnie na szturmowanie milczących niebios gestem prometejskim, nie mającym w zuchwalstwie nic sobie równego.

Ale tymczasem na ten podkład instyktownej pierwotności nałoży się polski Wiek Oświecenia. Rozbudzi on w przyszłym poecie i przyszłym działaczu zmysł społeczny, zdolność i skłonność widzenia wszystkiego w związkach międzyludzkich. Podda umysł rzetelnej uprawie, nauczy go zdumiewającej jasności i rzeczowości myślenia. Na Trembeckim wprawi go do rzemiosła piarsarskiego.

Kiedy Mickiewicz wychyli się z mroku na polskie niebo, aby na nim zostać jako gwiazda pierwszej, niezaćmionej wielkości — te czynniki z pozoru sprzeczne wystąpią w nim w zadziwiającej zgodzie. Jest to, i pozostanie, jednym ze znamion jego wielkości, że łączy on w sobie dalekie przeciwieństwa, że doprowadzając je do największego natężenia, wiąże je w jedyną harmonię.

I u samego początku, z inicjatora największej u nas rewolucji literackiej będzie współżył tradycjonalista, który treść na wskrós romantyczną „Ody do Młodości” zamknie w klasycznym kształcie. Litewski regionalista znajdzie się na szlaku wielkich prądów zachodnich, gdy rodzimą ludowość zespoli z „szyleromanią” i „brytanomanią”, z czujnym wsłuchaniem się w głosy szerokiego świata, ze współtwórczym zapatrzeniem się w obowiązujące wzorce kulturalne. Obok społecznika, prawodawcy „Ody” objawi się jednocześnie niepospolita indywidualność

uczuciowa i w „Dziadach” wileńsko-kowieńskich wyda nigdy dotąd w Polsce niesłyszany okrzyk skargi miłosnej, przeniesie w poezję wprost z życia drgające żywą krwią cierpienie osobiste. Subiektywista zaświadczy dar przedmiotowego przedstawiania świata. I co najdziwniejsze: świadomy, od razu niemal dojrzały artysta zdradzi w klasycznej, chłodnej opowieści o Grażynie — utajonego etyka, poetę woli moralnej.

Ta sprawa, dla Mickiewicza najbardziej istotna, ujawni się w całej oczywistości po procesie wileńskim. Skazany w nim za „szerzenie nierozsądnego nacjonalizmu polskiego” na przymusowy pobyt w Rosji — zostanie, przez rosyjską elitę kulturalną przyjęty jako poeta z Bożej łaski. Ma wszystkie dane na wirtuoza, olśniewającego technika formy. Ale obok na wskroś artystowskich, stanowiących popis mistrzostwa „Sonetów Krymskich” staje tam „Konrad Wallenrod”.

Jest to temat konspiracyjny, szfrowany, niejako pisany atrymentem sympatycznym, poemat o poezji i poecie. Poezja jednak występuje w nim nie jako sztuka, ale siła działająca w życiu, kształtująca historię, poeta występuje nie jako sztukmistrz, ale organizator duszy zbiorowej. Poezja i poeta są tu wrzęgnięci w służbie idei — idei walki o naród.

W Rosji, w ciągu kilku najbuźniejszych lat życia, lat najpełniejszego potwierdzenia, ważyły się losy Mickiewicza. Była tam może w grze również przyszłość naszego narodu. Poeta-improvizator, otoczony aureolą niezwykłości, uroku, magicznej siły, stał wobec pokusy czystego artyzmu i pokusy rosyjskości potężnej a przyjaznej. Na przekór jednej i drugiej ocalił się w nim od zraty poeta narodowy tak, jak przede wszystkim dzięki niemu od „włania się w rosyjskie morze” — według formuły Puszkina — miał się ocalić odrębny nurt polski.

Jest w tym coś szczególnie znaczącego, że z Moskwy — przez Niemcy odstręczające Heglem, zbyt olimpijskie w Goethem — zdąży Mickiewicz do Rzymu. Tu ośrodkowa sprawa życia nasycy się treścią religijną, chrześcijańską, katolicką.

Gdy w serce uderzy kłeska powstania 31 r., gdy je udreży pierwsza i jedyna w życiu niekonsekwencja: nieobecność w tej walce — „Dziady” drezdeńskie z wulkaniczną siłą wyrażą nowy etap drogi moralnej. Jak w poemacie antyrosyjskim tak w tym dramacie, którego perspektywa jest rozbudowana w głąb i w górę, stanowisko poety wyraża się dwoistym wcieleniem. Halbana i Wallenroda, poetę-budziela świadomości narodowej i bojownika-mściciela narodowej krzywdy zastępuje Konrad i ksiądz Piotr. Pierwszy, to człowiek, który ogarnia naród sobą, utożsamia się z nim i będzie się o jego los prawował z Bogiem. Drugi, to człowiek, który za naród złoży siebie na ofiarę.

Zejdą się te dwa sobowtóry w Jacku Soplicy, przemienionym w księdza Robaka. Jak nieszczęśliwy kochanek Maryli, Gustaw, tak ksiądz Robak, pokorny, bezimienny kochanek ojczyzny, jest już jedną osobą — wszystkie przeciwieństwa, rozdwojenia, zostały przezyciężone. Jest on postawiony na ziemi, w konkret-

nym świecie i w konkretnej akcji poematu, który jest najbardziej cudowną opowieścią o konkretności życia.

Skokami, w gwałtownych wybuchach, w ciągu niespełna piętnastu lat, została dokonana cała droga poetycka. Właśnie bezpośrednio po „Panu Tadeuszu”, po pozornym uspokojeniu burzy, otwiera się największy, najbardziej przejmujący kryzys w życiu Mickiewicza.

Przyszedł czas na potwierdzenie słowa działaniem. Z przymusu nieodpartej logiki moralnej życie staje się poematem nie pisanym, ale przeżywanym. Dokonywa się podniesienie słowa do czynu, zatarcie bolesnej granicy między rzeczywistością sztuki i rzeczywistością działania. Następuje wcielanie poezji w materię realnego świata.

Między okresem twórczości poetyckiej i dwoma dziesiątkami lat, które po nim nastąpiły, zachodzi prawie tak ścisła odpowiedniość jak między kształtem rzeczywistym a jego lustrzanym odbiciem. Jest ta odpowiedniość tym dziwniejsza, że niematerialna, idealne odbicie niejako wyprzedziło i zapowiedziało kształty rzeczywiste.

Szczyt okresu poetyckiego stanowi Wielka Improwizacja, jedyna z największych eksplozji duchowych, jakie się wydarzyły w świecie ludzkim i uzewnętrzniły w wyrazie artystycznym. Drugą improwizację, szczyt okresu czynnego, wolno widzieć w Legionie 1848 r.

Monolog Konrada był rozprawą z Bogiem. Przedwiośnie rzymskie, słynna audjencja u papieża jest wyzwaniem namiestnika Bożego na ziemi. Przy znizeniu stopnia, nastąpiło jednoczesne rozszerzenie kręgu. Konrad „chwycił Boga za obie prawice”, upominał się o swój naród, o krzywdę narodu, o władzę nad narodem, „aby go uszczęśliwić, by nim cały świat zadziwić”. Żywy Mickiewicz tym samym niecierpliwym gestem gwałtownika chce porwać papieża do walki o wolność ludów, do urzeczywistnienia chrześcijaństwa w życiu społecznym i politycznym. Tam, natchniony nacjonalista, człowiek-naród występował, tu, przed najwyższym autorytetem duchowym staje bohater kultury zachodniej, człowiek o ostrej samowiedzy społecznej, odważający się twierdzić, że duch Boży skrywa się pod bluzami paryskiego ludu. Nosi on w sobie pełny program polityczny, socjalny, moralny, który nazajutrz zamknie w wersetach „Składu zasad”, przeznaczonych dla Legionu Polskiego. Złączy się tu w jedno żarliwe przejęcie się ideałem chrześcijańskim, instynkt solidarności ludzkiej, frenetyczna wola przemiany obrazu świata.

Było to drugie, najwyższe wspięcie już nie poezji tylko, ale życia, które stało się poezją, w którym po raz pierwszy ktoś w tym stopniu usiłował postawić znak równania między człowiekiem a poetą, między słowem a czynem, wiarą a praktykowaniem wiary. Tę drugą improwizację Mickiewicza przygotował etap długi, bolesny i niezmiernie bogaty. Jej echo szło za Mickiewiczem aż do końca jego dni.

Arcymistrz słowa i udzielnny pan królestwa poezji będzie, niby

Faust, próbował wszystkiego: i pracy redaktorskiej, i bezpośredniego oddziaływania na życie słowem publicysty, i akcji społecznej we wszystkich, najbardziej powszednich, szarych, nużących postaciach. Będzie myślał o tworzeniu organizacji religijnej. Przejdzie przez wysiłający okres uprawy mistycznej pod wpływem i przewodem Andrzeja Towiańskiego. Parafianin, który nigdy nie zatraci regionalnego, wileńskiego akcentu i będzie po Paryżu chodził w kapocie z szaraczkowego sukna, stanie się na katedrze w Collège de France tłumaczem swego narodu i całej Słowiańszczyzny. W czasie, kiedy „przyjaciel Moskal” Puszkina, a z nim Rosja i rosyjskość odstrychnie się już na zawsze od Zachodu, Mickiewicz, zrastając się z Zachodem w ogniu namiętej krytyki, urośnie w uniwersalistę zachodniego, da dobitny wyraz dążeniom do przebudowy kultury europejskiej w duchu czynnego chrześcijaństwa. Podtrzymując, rozwijając ideę „człowieka wewnętrznego”, „człowieka pełnego”, „człowieka wiecznego”, zarysowaną w wykładach paryskich, zaatakuje najszerszy zakres zagadnienia, połączy i dziś zmagające się postawy: zapragnie przemieniać jednocześnie i człowieka żyjącego w świecie i świat otaczający człowieka. Nacjonalista stanie się w „Tribune des Peuples” heroldem wszystkich uciemienionych narodów. Tradycjonalista z całego wewnętrznego ustroju, będzie głosicielem wiary rewolucyjnej.

I już nigdy nie zejdzie ze stanowiska walki. Spotka śmierć pośród nadziei i przygotowań do czynu zbrojnego, do „wojny powszechnej o wolność ludów”. Umierając mógłby o sobie powiedzieć słowami młodzieńczej „Ody”: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu”. Mógłby także stwierdzić, że pozostał wierny temu bohaterskiemu i tragicznemu wyznaniu wiary, jak wszystkie jego literackie sobowtóry, owe „kształty z ducha zdjęte”: od Grażyny do księdza Robaka.

Wielu ludziom to życie wydawało się życiem zmarnowanym. Z punktu widzenia ekonomii normalnej może i było. Na pewno nie było z punktu widzenia ekonomii polskiej.

Mickiewicz podzielił całe ryzyko ze swoim narodem. W najtrudniejszej chwili bytu zbiorowego wyznaczył najwyższą miarę sobie i wszystkim Polakom. W ten sposób zrosł się na zawsze z polskim instynktem odporu, trwania i życia. Na wieki wieczne, póki polskość istnieć będzie — stworzył heroiczny mit polskości.

Jednocześnie stanowi on najbardziej śmiały wzlot polskiej ekspansji duchowej — z litewskiego partykularza na cokolwiek pomnika w stolicy świata, choć sam skromnie marzył tylko o tym, aby mu za „Pana Tadeusza” wystawiono pomnik w Nowogródku. Pierwszy jasno zobaczył Polskę w świecie, w określonym porządku moralnym, w określonym systemie wartości. W swoim regionalizmie, w owym „Litwo, ojczyzno moja” był polski jak nikt przed nim i nikt po nim. W swojej polskości absolutnej, nieprzekroczonej, był na wskrós europejski. W swojej europejskości, tak namiętej, jak namięta była jego polskość, krytycznej i wymagającej, stał się uniwersalny, uniwersalnie chrześcijański.

Wstępując po tych szczeblach, uogólnił on ideę moralną na świat, rozumiał i głosił do ostatniej godziny przeświadczenie, że tylko w lepszym świecie, żyć może lepszy naród, w lepszym narodzie lepszy człowiek.

W ten sposób stanowi on największe osiągnięcie polskie, przedstawia największą skalę możliwości przejawienia się człowieczeństwa, najpełniejszą polską syntezę. Można go przekroczyć, przewyższyć w jednej lub drugiej z tych możliwości, bodaj niepodobna we wszystkich naraz. Pełnia, całość, skończoność jaką stanowi, jest jedyna i niepowtarzalna. Jest wieczna.

Zapamiętały miłośnik rodzajowości polskiej, kochający się w prozie Rzewuskiego, w swoim rzymskim spowiedniku, księdzu Chołoniewskim upatrujący malowniczo, arcywłoski okaz ludzki, wodzący za sobą aż do śmierci staropolskiego facejonistę Służalskiego — był Mickiewicz jednocześnie czcicielem symbolów, poszukiwaczem znaków niebieskich na ziemi. W Soplicowie, którego nie ma na żadnej mapie, podniósł Polskę do wyżyny symbolu. Sam stał się symbolem.

I coś symbolicznego było w tej gwiaździstej nocy nowogródzkiej sprzed lat stu pięćdziesięciu, gdy w święto z istoty swojej najbardziej chrześcijańskie, bo zawierające w sobie także Pasję, gdy w święto najbardziej polskie, nasycone polską uczuciowością, jak żadne inne, przychodził na świat i brał na siebie imię pierwszego człowieka Adama — pierwszy, największy Polak.

Grudzień 1948.

Tymon TERLECKI.

„KRONIKA”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg
US Zone, Germany.

Przedstawicielstwo we Francji:

Librairie «LIBELLA», 12, rue St-Louis en l'Île,
Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata
roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie
Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

JUŻ UKAZAŁ SIĘ Nr 2 (LUTY 1949 r.)

UNIVERSUM

miesięcznika Ruchu Chrześcijańsko-Społecznego

R. C. S.

Redakcja i administracja: Monachium-Allach, Waldhornstr. 25, oraz 18, Penywern Road, London SW 5.

Numer zawiera m. in. wywiady z gen. Lvem Prchalą i min. Karolem Sidorem, art. M. Brzezińskiego o «Sprawie Gomułki», poezje M. Czuchnowskiego, omówienia nowych książek *Bez Ostatniego Rozdziału* Gen. W. Andersa (Olechowski), *Spowiedź Pokolenia* J. Katelbacha (W. Zaleski), *Wracam z Polski* A. Janty (W. Zaleski).

CENA EGZEMPLARZA w sprzedaży i w prenumeracie wraz z przesyłką pocztową wynosi w Anglii 1 sh.; w Niemczech 80 fn.; w Belgii (przedst. Librairie Polonaise, 42, rue Defacqz, Bruxelles); we Francji 30 fr.fr. (przedst. Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV); w Holandii 80 centów (tylko w prenum. przedst. Poolsch Aamoezenier, Gasthuistr. 45, Heerlen — Limburg); w Kanadzie 25 cent. z przesyłką lotniczą 70 cent. (przedst. H.R. Radomski, 107, Givins str. Toronto, Ont.); w Stanach Zjednoczonych cena jak w Kanadzie, przedst. L. Dudarew-Ossetyński, «Wilno», Ventoura Boulevard, Agoura, P.O. Box 113, California; w Szwajcarii 60 cent, przedst. «Pod Prąd», Fribourg 2, case postale 10; we Włoszech 80 lir, przedst. J. Grochowski, via della Croce 81/8, Roma.

Arkusze poetyckie

Wiatr

Leci wiatr, huczy wiatr,
Ma usta otwarte, jak ryba,
Zielony węgorz w komin wpadł,
Oślizgły ogon plusnął w dach
I poleciała z wiatrem szyba.

Zakotysały się ściany,
Zatrzepotały gonty
I uparły się
I oddartły się,
Jeden, drugi,
Dziesiąty.

I stadem z dachu sfrunęły
I cały mój dom uskrzydliły,
Leci sypialnia mojej miłej,
Beżowy jej płaszcz z kapiszonem
I abażur z motyli i roślin
I szpiżarnia, róg obfitości,
I pies leci w powietrzu za panią,
Leci mój pokój z książkami,
Szeleści stronicami
I sypie wiersze na nią.

O ceratowej wstążce

Gdzie się podziała ta wstążka
Z czarnej ceraty,
Od kapelusza?
I gdzie ten kapelusz,
Znikł?
Moja trzcino, moja palmo,

Żle uczesane włosy
 Wiatr ci rozprósza,
 Wstyd.
 Przepadła ceratowa wstążka,
 Przepadła historyczna pamiątka
 Z przed ilu, ilu
 (Trzynastu?) lat?
 Całe szczęście, że głowa została
 Na mojej palmie, na trzećcinie,
 Jedyńy okrągły,
 Prawdziwy i mądry
 Świat.

O moim geniuszu

Mój geniusz jest niedaleko,
 Tuż nade mną,
 Na pierwszym piętrze.
 Słyszę jak chodzi z kąta do kąta
 A nawet wiem co robi:
 Sprząta.

Chodzi i pewnie myśli: on pisze,
 Pracuje już dwa lata,
 Więc trzeba tym elektroluksem
 Jak najciszej.
 I do innego pokoju się przeprowadza.

A ja tu na dole
 Nie męczę się bynajmniej
 I nie mozołę.
 Nic mi to nie przeszkadza.
 Ja latam.

Latam.

Dianę z Orionem swatam,
 Balony uliczne sprzedaję,
 Stonię na sznurku pajęczyny,
 Z Magellanem w nieznanne kraje
 Przeciskam się przez cieśniny
 I na nowo rysuję świat.

Nie gniewaj się, moja miła.
 To nie dwa lata,
 To już pięćdziesiąt lat.

O naszych kwiatach

Kup mi jak dawniej przed wiosną
 Kilka anemonów i frezji,
 Chciałbym mieć kwaciarnię na biurku,
 Okno zachodzące parą poezji.

Ostre amarylisy i śmieszne petunie,
 Sterlicje z otwartym płasim dziobem
 I trochę nasion, gdy się obsunie
 Tymianek z murawą nad grobem.

Rośliny

Jest nas wielka rodzina
 Związana korzeniami,
 Czarnooka Zuzanna,
 Żłocisty Aleksander
 I Trawa z Parnasu:
 Brat jest zielony,
 Siostry niebieskie
 A każda panna
 Srebrna, z atlasu.

Jest Pióro Salomona,
 Które owocuje perłami,
 Jest Kapusta Skunksa
 I Orchidea Grzechotnika,
 I jest w okularach
 I w kaloszach na bagnie
 Wypatrująca cudów
 W naszym podziemiu
 Euredyka.

Rośniemy w głębinnych lasach,
 Żyjemy w bezczynnych czasach,
 Za skórą ziemi rosistej,
 W magmie mulistej,
 W drożdżach korzennych,
 Rodzina ślepych,
 Pięknych
 I Sennyh.

Kolibry pluszczącą chmurą
 Nad nami w powietrzu stoją,
 Trzmiela jedzą nas głodne,

*Pszczoły swatają miodne
I sarny tratuja
Przy wodopoju.*

*A pod topianem, pod liściem-olbrzymem,
Pod parasolem i baldachimem
Siedzi na tronie złoto-zielony,
Poważny i gruby
Żuk, nasz król, Skarabeusz:
On wszystko słyszy, wszechwiedny,
Koboldy wysła z pomocą*

*Kiedy zakrzyczy nocą
Szukający swej zguby
Orfeusz.*

Kazimierz WIERZYŃSKI.

Z wierszy warszawskich

*Spójrz na ten kamień. Widzisz: milczy
milczeniem wiary i mądrości.
Niech dzwoni miecz, niech głosem wilczym
szczeka zła krew, niech w ślepej złości*

*szaleją światy. Nagi głaz
tkwi nieruchomy.*

*Mknie gromada.
Przechodzi człowiek, mija czas.
Przemija wszystko.*

*On, jak prawda
najbezwzględniejsza, tkwi gdzieś z brzegu,
wzgardliwy, zimny wpośród burz.
I jego śmiechu kamiennego
nie widzi wzrok wędrownych łuszczy.*

WIOSNA

*Idzie, jak cień
i szepta: — Zmarniej! —
ten biały dzień
tej wiosny czarnej.*

*Zaciśnij wargi!
Bezsilna ręka.
Smutek — bez skargi,
samotna ręka.*

*Deszczem i słońcą,
gorzkimi łzami...
Zabierz, zgryzoto,
i w sen mnie zamień!*

*Bez śpiewnych słów
drzemą ogarnij
w tym białym dniu
tej wiosny czarnej.*

ANNO DOMINI MCMXLIV

*Tego roku kwiaty nie kwitły,
nie śpiewały słowiki wśród burz
i kometa nadchodzącej bitwy
nie wypisał swych prorockich wróżb.*

*I już proroctw ludzie nie czytali
— nie do proroctw było w tych dniach!
W pustkach ulic wyły szakale
i bezoki czatował strach.*

*Wszechobecność niesytej zarazy,
co szła w ciszy zgubie na wór —
i wybuchał śmiercią ekrazyt
w gorzkim wieńcu z płomieni i chmur.*

Jewhen MAŁANIUK

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

Słowo o klótni

*Namarszczył brwi pan Ada
na wspomnienie Juliusza
co on? młody i durny
wspina się na koturny
błędne u niego słowa
zgrabiona w słowach dusza
nie nie wskóra, powiadam...*

*A Juliusz poblądł z gniewu
kiedy o tamtym mowa. —
Jak śmiał, jak się odważył
ojczyrna mu znieważył...*

*już chyba siłą śpiewu
na despekt ten odpowie*

by zamknąć w swoim słowie
które strofami spiętrzy
grom, płomień, blask gorętszy
niż go pomieścić zdoła
Adama język gładki...

i trząst puklami włosów
i skarżył się do matki
że o nim zapomnieli
i słuchał że go wola
chórem nieziemskich głosów

Stawa — jak Odkupiciel
on — Kordian i Anelli
on — wódz i wieszcz i mściciel
wysłuchany już w anioła
co szeptem mu do ucha
oktawy „Króla-Ducha”...

Mieszkali jeszcze w Paryżu. Raz, na tym samym bulwarze
idąc spotkali się obaj. Pan Adam w swojej czamarze
Juliusz z kotnierzem otwartym, włos bujny i wzrok daleki
szedł, zagłębiony w marzenie. Lecz nagle spuścił powieki
poznał z przeciwka Adama. Nie, ręki jemu nie poda
wstrząsnęto nim to spotkanie, pali mu krew ta niezgoda
i żal i krzywda i duma. Nie zechce głową mu skinąć.
Adam zobaczył go także. I także pragnął wyminać:
drażniący jest mu ów młody wiersze piszący jegomość.
Nie lubi jego poezji. Nie dba o taką znajomość.
Odwrócił pośpiesznie głowę.

A właśnie w tamtym momencie
powóz się lśniący wytoczył z bocznej ulicy na skrócie
dwa konie dziarsko parszając szły teraz pośrodku jezdni
w powozie zaś — on i ona. Na pewno jacyś przejezdni
których widuje się dzisiaj nie rzadko w stolicy Francji
ci jednak byli odmienni przez szyk i styl elegancji
on drobny i ostronosy, gris-perle cylinder i chusta
i rękawiczki na rękach, a ona wyniosłobiusta
wcięła i w czerni, po męsku w kostiumie i z pejczem w dłoni
ubrana jak amazonka salonów bardziej, niż koni
z włosami w tył i od wiatru rozwianym szeroko szalem...

A wtedy jeden z przechodni rzekł: „To już trąci skandalem!”
„Któż to jest?” spytał drugi.

Toć żona Dudevanta
co pisze dziś romanse i co ma reputację —
znowu na spacer wiezie swojego muzykanta.”
„A on kto?”

„Jakiś Polak i dandys owej damy
a choć zwie się z francuska także jest z emigracji
Polaków już w Paryżu trochę za wielu mamy
ten grywa na salonach...”

Przechodniów rozmowę

słyszał Adam i Juliusz, obracając głowę
ku jadącej w powozie ekscentrycznej parze —
przykro, że o rodaku tak mówią prostacy.
Muzyk dojrzał z powozu dwie niezwykle twarze
i pomyślał że może tak jak on — Polacy.
A wtedy Adam minął, przyspieszając kroku
Juliusza z cierniem w sercu i zadumą w oku.

Obróciły się lata w legendy
wspominamy: był tutaj, szedł tędy
to myślał, tamto pisał, ten był sens utworu —
ktoś krok zdziwiony stawia na tropach ich sporu
na śladach sprzeczki, klótni, wzajemnej obrazę
którą nie duch wiódł z duchem, lecz człowiek z człowiekiem

rozeszły się ich drogi i rozbiegły stopy
aż potem, na dwóch krańcach i kresach Europy
jednego i drugiego dotknął jad zarazy
i trumna proch każdego obcym skryta wiekiem...

PRZECIWN I SOBIE, ZNAĆ SIĘ NIE CHCIELI
DRAŻNI ICH WIELKOŚĆ, DUMA ICH DZIELI
ALE CZAS — KLÓTNI ICH NIE OBLICZA
STAŁY SIĘ RZECZY JUŻ INNEJ WAGI
W TRUMNACH ZOSTAŁA POPIOŁU SZCZYPYTA
SŁOWACKI OBOK MICKIEWICZA
DWA DUCHY I DWA SARKOFAGI
TA SAMA KRYPTA.

Aleksander JANTA

Podróż poranna

.. cynowych dzbanach chłód czyjegoś serca
przynosi nam świt. I czyjeś ręce
wstrzymują chustę nocną.
Tymczasem oliwki gorzknieją sennie
— gorzknieją bezwocnie —
jak czyjeś serce dalekie, bezimienne.

Nad misą dolin paruje mgła — marzenia,
cofnięte lata przyjaciół stąd w niepamięć.
Na próżno w mgłach chcesz znaleźć ich istnienie,
jesz już sam, jak dziecka płacz pod zamieć.

Z mądrości ksiąg została nam zapowiedź
niespełnionych snów jak zamęt mgielny,
wołaniom nawet echo nie odpowie,
— wilgocią więc i smutkiem się weselmy.

W powadze brzozy drogą polną dążą
— tak, jak idziemy cicho w nieskończoność —
w dzień umieramy, aby w nocy ożyć
i taską pragnień o świetle każdym sptonąć.

Już przed pacierzem usta obumarty
— o co tu prosić i na kiedy?

Napojem nas ochłodzi i pokarmem
podnieś nas, Boże szczęśliwych i biednych.

Nim świt odpłynie w jasność ponad sity
pozwól nam przebyć niepokój samotnych,
aby nam sny co nigdy się nie snity
z dróg powróciły niepowrotnych.

Gdy myślę, że w dzbanach cynowych
odnoszą napój ustami nietknięty
— z zautków i framug dzień wychodzi płowy
i trudny jak sen niedośnięty.

Józef ŻYWINA

Wczoraj i dziś

Zdania przemieniamy w gąłęzie
Słowa w liści zielonych kształt,
By w szumiącym drzewie uwieźć
Poezję uchodzących lat.

Dni minionych srebrne ławice
Przebłykują przez ciemny prąd.
Już ich nigdy, miła, nie schwycisz
Rozpaczliwą tęsknotą rąk.

Nie pochylaj się w przeszłość, droga.
Wspomnień żrąca stoczy nas rdza
I jak trudno już będzie pokochać
Szare oczy zwykłego dnia.

Jakby tylko czas, który minął
Uniósł z sobą magiczny czar,
Który nocą jesienną sptywa
W drzew gąłęziach, jak w wierszach — żal.

A ty przecież wiesz, moja śliczna,
Ze to dziś, a nie wczoraj, w snach
Rośnie nasza miłość egzotyczna
Purpurowy, niezwykły kwiat.

Jan OLECHOWSKI

„POD PRĄD”

(wychodzi 3 razy w miesiącu)

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e
(cena 25 fr.).

W. BRYTANIA: Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill
Grove, London W.3.

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles,
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.

Ścieżki

Mel

8-go stycznia wyjechał do Stanów Zjednoczonych Melchior Wańkowicz. Zawód? Specjalista od hodowli kur.

„Kiedy mnie pytają, co robiłem dotychczas, powiem — całe życie hodowałem kury”, pisze w ostatnim liście.

Źle śledzę prasę polską, ale poza artykułem Bielatowicza w „Wiadomościach”, wywiadem w „Życiu”, pożegnalnym i serdecznym tegoż Bielatowicza, nie umiem sobie przypomnieć, by ostatnio pisano o nim równie serdecznie, z takim poczuciem **znaczenia** Wańkowicza, a przy tym bez przekłętą bronzownictwa. Pamiętam za to jakieś listy do redakcji, zgorszone czy rozdrażnione na tego pisarza, no i wzmianki w rozmowach, nieraz niechętne.

„Tak, tak, to na pewno pisarz, ale...” i następuje zawsze jakaś pretensja. Albo styl niedbały, niepoprawny, niegramatyczny, albo politycznie Wańkowicz jest zanadto szlachcic, nie dość „lewicowy inteligent”, albo znów zanadto lewy (zdradza swoją klasę), a nawet politycznie niepewny, niezbyt twardy wobec kuszających uśmiechów z Warszawy, to coś przesadził, czy przekreślił, czy siebie pochwalił. Zanadto wzniosły, zanadto sentymentalny, to cyniczny, lub zwyczajnie sprośny. Każdemu coś u Wańkowicza nie smakuje. Główna pretensja, że nie ma takiej szufladki emigracyjnej, w którą by się dało upchać Wańkowicza, nigdzie się nie mieści.

Nie wiem, czy te wszystkie zarzuty, są zawsze niesłuszne, pod jakimś **jednym** kątem wiele z tych zarzutów dałoby się obronić. Niejedną niekonsekwencję Wańkowiczowi wytknąć. Ale bo Wańkowicz jest stopem sprzeczności, z którymi może sam nie zawsze umie dać sobie rady.

Mój ojciec mówił zawsze „to się robi, a tego się nie robi” i miał spokój (często mu zazdroszczę). I to nie było tylko scalone poczucie etyczne, ale wrośnięty w tę etykę *savoir vivre*. Ludzie o tak prostych i niezłomnych zasadach postępo-

wania osiągnęli bardzo piękny styl życia, harmonijny, nie zastanawiali się nawet, wiedzieli co robić wypada w każdym wypadku. Wańkowicz jest przeciwieństwem tego stylu. Każdą sprawę swoją i cudzą zawsze brał mozolnie na warsztat, a tych spraw, tych sprzecznych elementów było tak wiele dla człowieka, w którego życiu zmieniało się wszystko. Kolejne trzęsienia ziemi niszczyły tradycje, niszczyły zwyczaje. Ileż razy wszystko trzeba było budować od nowa. Sprzeczności było tak wiele i Wańkowicz w nieustannym doszukiwaniu się słusznej linii postępowania, w nieodrzucaaniu *à priori* niczego, w wahaniu i nierównościach jest właśnie może najbardziej pisarzem naszego pokolenia.

Wyjazd Wańkowicza uświadomił nam wszystkim, ile tracimy nie mając już teraz perspektywy bezpośredniego obcowania z człowiekiem, który dla tyłu z nas jest przede wszystkim przyjacielem.

Bardzo dawno chciałem pisać o Wańkowiczu, niech wyjazd jego będzie tym pretekstem, który mnie do tego zmusił. Nie stać mnie na krytykę literacką, chcę pisać tylko o żywym człowieku, bez obowiązującego szacunku, a tylko z przyjaźni, o Melu; znam go od trzydziestu lat i ani oddzielić, ani oderwać go od jego literatury nie mogę, bo nie wiem, czy jest pisarz, którego forma włącznie do budowy zdania, wraz z całą tematyką, ściślej, bardziej wiernie obrysowałyby kontur samego człowieka.

Gdy myślę o niechęci, którą ten pisarz nieraz w życiu napotykał, pomimo tylu przyjaciół, zastanawiać się zaczynam nąd własnym do niego stosunkiem. Przecież, żeby się do Wańkowicza przekonać naprawdę, potrzebowałem lat, a przede wszystkim lat wojennych od Bagdadu do Włoch, gdzie kontakt miałem z nim bezpośredni, okresami codzienny. I mnie w młodości drażnił ten pisarz: piewca stanu szlacheckiego i „zacofanych obyczajów” („Szczęście lata”), entuzjasta Moskwy („Nieopierzona rewolucja”), macher finansowy („Cukier krzepi”), dziennikarz („Podróż do Meksyku”), czy wydawca („Rój”)?!
 Nie doceniałem, bo znów nie wiedziałem jak poszufladkować, a czytałem go powierzchownie. „Szczęście lata” zdawały mi się iść wprost od „Sobola i Panny”, książki pisarza, którego, jako wierny wyznawca Brzozowskiego, nienawidziłem. Niedawno otworzyłem „Szczęście lata” znowu w miarę czytania wzrastało zdziwienie — gdzie miałem czy, jakże czytałem tę książkę wiele lat temu! Soczystość, bogactwo, wrażliwość, jedrność języka, precyzja ewokacji mnie zachwyciły. Cóż za zmysłowa, niechybna pamięć światła, zapachów, dźwięków. Jaki czuły, subtelny rysunek istot, które go otaczały w dzieciństwie i jaki przytem humor i pasja życia.

Nagle zdało mi się, że odnalazłem sekret Wańkowicza. Kiedyś, na wystawie arcydzieł w Grenoble, w Paryżu wykrzykiwał do mnie stary Pankiewicz, potrząsając katalogiem: „Patrz pan, co za durnie, oni w katalogu piszą, że to Hobbema, ale niech się pan przyjrzy **materii**, *qualité* obrazu. Oni piszą Hobbema, bo genre pejzażu przypomina jego obrazy, ale co znaczy

temat, określa się hierarchię malarza jakością materii malarzkiej. Cóż wspólnego ma ta szara brudnawa płaszczyzna z cudowną jakością płócien Hobbema?"

Czytając strony „Szczęńczych lat”, na chybił trafił otworzonej książki, miałem także wrażenie, że przedtem, niż dyskutować o większej lub mniejszej zwartości wańkowiczowskiego światopoglądu, może by warto przyjrzeć się uważniej materii pisarskiej Wańkowicza. Ileż dyskusji wywołały takie czy inne oceny historyczne czy społeczne tego pisarza, jego poglądy czy „niedyskrecje”, jak mało ludzi przyjrzało się jego prozie. Nie widzę w piśmiennictwie polskim współczesnym, poza jednym Mackiewiczem, pisarza o tak organicznym powiązaniu polskiego słowa z ziemią polską, litewską, kresową, z polską gwarą, tak różnorodną i tak bogatą. Nie widzę stylisty polskiego o słowotwórstwie tak bogatym, o zapożyczeniach tak różnorodnych z rozmowy potocznej wszystkich warstw, jak właśnie u Wańkowicza. Niech się puryści gorszą. Purysci rosyjscy gorszyli się Rozanowem, a purysci polscy z Koźmianem na czele gorszyli się Mickiewiczem.

Było to na pustyni między Kairem a Aleksandrią, przed samym przeskokiem do Włoch. Najnudniejszy obóz, na płaskiej jak stół, najnudniejszej pustyni, zasianej różnym, cienkim piaskiem, naciętym asfaltowymi szosami. O kilkanaście kilometrów klub oficerski angielski, gdzieśmy jeździli od czasu do czasu i popijali obrzydliwe whisky w arcynudnym towarzystwie angielskim. Oczekiwanie. Na to wszystko przyjechał Wańkowicz. Zamieszkał w sąsiednim namiocie, ale właściwie zapełnił sobą wszystkie. Wylał cały ogromny słoć konfitur do cudzego śpiwora i w ogóle był kłopotliwy. Ale nareszcie można było żyć, pogadać i pośmiać się. Nagle telefon z Kairu: jutro święto Kaziuka w Wilnie, na jutro musi być artykuł o Kaziuku do **Dziennika Żołnierza**. Nieśmiało poprosiłem Wańkowicza. Wydawało mi się prawie niemożliwe napisanie dobrego artykułu zaraz, z narzuconym tematem. Wańkowicz przyjął to „społeczne zamówienie” bez zdziwienia. Siadł do maszyny i zaczął pisać, pamiętam jeszcze, czerwonymi czcionkami. Siedział zgarbiony, trochę sapął, jak ktoś kto ceruje skarpetki lub jak grzeczny uczeń, przepisyjący wypracowanie. Po godzinie artykuł był gotów. Ani poprawki. To przecież nie fata morgana w pustyni? **Pamiętam**, że to było małe arcydzieło stylu, czujności, serdecznej i fenomenalnej pamięci. Były tam opisy kolorowych pierników, straganów i czystą wileńską gwarą śpiewną powtórzone rozmowy, nawoływania jakiejś starej kobiety, sprzedającej trawki lecznicze i tajemne wileńskie lubezyki. Nie wiem, czy ten artykuł zauważono. Były wówczas takie ważne sprawy: wojna, bombardowania, ofensywa etc. Twierdzę, że tego artykułu nie wolno zagubić, że powinien pójść do wypisów polskiej literatury.

Improwizator? Byłoby najbardziej fałszywe widzieć w Wańkowiczu improwizatora. Jeżeli Wańkowicz umie, prawie że w parę minut, napisać stronę, gdzie nie można nic ująć — nie

dość, to dlatego, że praca, w którą włożył całe życie, w języku „podstęp” wszystkiego co jest w języku polskim swoiste i dźwięczne, w budowę każdej książki, prawie, że każdego zdania, w nieustanny wysiłek operowania konkretnym obrazem, a nie abstrakcją, że praca ta jest ogromna. Co powierzonemu czytelnikowi mogłoby się zdawać puszczaniem, jest nieraz aż zanadto świadome. Bo też smak pracy cechuje tego pisarza. Nie ma ona żadnych określonych odgraniczeń od zabawy. Niewiadomo, czy Wańkowicz pracuje, czy się bawi, kiedy plan przyszłej książki kratkuje i numeruje kolorowymi ołówkami, albo jak zaprosiwszy kogokolwiek na obiad, zwykle świetny, wyżyłuje go, wyciągnie wszystko, co tylko chce wiedzieć, podpatrzy ruchy i odruchy, obsypie serdecznością i dowcipami, a czasem mocno i złośliwie drapnie.

Ale zdaje mi się, że największą siłą tego pisarza jest jego zdolność uwagi i związana z tym fenomenalna pamięć. Któż to powiedział „le génie c'est l'attention”? Obserwowałem go wiele razy w rozmowach: upór docierania do sedna, szacunek człowieka, którego „żyłuje”. Może najmniej chętnie obserwuje Wańkowicz kawiarnianych „naczytanych” inteligentów. Uduje przed nimi pokornutkiego „cóż ja tak mało czytałem, nic nie umiem”. Ale poprzez stek cytatów i tytułów książek, którymi go rozmówca obsypuje, próbuje dotrzeć do wartości samego człowieka tak nieraz żadnej, pod stosem przeczytanych książek i cudzych cytat.

Wańkowicz jest najbardziej obcy, nawet wrogi jakiemuś elitaryzmowi pisarskiemu i smażeniu się pisarzy wyłączenie we własnym sosie. Interesuje go najbardziej chyba człowiek od literatury najdalszy. Dostojewski, gdy pytali go młodzi pisarze, jak mają pisać, mówił, by nigdy nie zabierać się od początku do opisu ludzi specjalnie efektownych, do scen bardzo oryginalnych, wstrząsających biografii. „Przyglądajcie się i opisyjcie ludzi codziennych, z waszego otoczenia, **pozornie** najbardziej szarych. Tam właśnie dojrzeć możecie skarby”. Nie ma człowieka dla Wańkowicza nieciekawego. W tych setkach wspólnych wędrówek, setkach rozmów Wańkowicza, którym się przysłuchiwałem nie tylko, że podziwiałem dar jego nieustannego zainteresowania człowiekiem, ale czułem się zawsze upokorzony, stwierdzając, na ile krąg moich ludzkich zainteresowań jest węższy, jaką skalę ludzką Wańkowicz ogarnia, jak głęboko sondę umie zapuścić.

Każda pszczoła miód swój ciągnie jak umie. Myślę, że Wańkowicz jest pisarzem wyjątkowo samorodnym. Jeżeli kiedyś historyk literatury będzie się starał stworzyć mu jakąś genealogię wpływów pisarskich świadomie przeżytych, to będzie genealogia niesłychanie szczupła. Książki zdają się Wańkowiczowi prawie niepotrzebne, czyta je bo musi, ale ich jakby nie asymiluje, nie są dla niego tworzywem, które by on, pisarz, transponował. Tworzywem Wańkowicza jest najbardziej realne otaczające życie, jest każdy spotkany człowiek.

Jaki jest ten stosunek Wańkowicza do człowieka, odczułem na sobie bardzo wiele lat temu. W 1919 r., po dwukrotnych eskapadach do Rosji Sowieckiej, nie znając właściwie zupełnie Polski, poza dalekimi kresami, zgubiony w tym świecie zupełnie dla mnie nowym, po karkołomnych ideologicznych przeskokach, po okresie gwałtownego pacyfizmu, chciałem wstąpić z powrotem do wojska. Spotkałem Wańkowicza. Znalismy się zaledwie. Przyjrzał mi się i z punktu mi powiedział: „Musisz przede wszystkim poznać Polskę”, a na to musisz się zetknąć z ludźmi, którzy ci mogą być najbliżsi. Poznaj młodzież akademicką, tę co poszła na front. Idź jako szeregowiec do „Śmiałego”. „Śmiały” był pociągiem pancernym; o jego wyczynach w okresie obrony Lwowa mówili wówczas wszyscy. Załogę tego pociągu stanowili w dużej większości studenci warszawscy, krakowscy i lwowscy. Dowódcą tego pociągu był Stanisław Małagowski, szwagier Wańkowicza. On i jego brat, student politechniki, zdolny malarz i architekt, dali duszę załodze, która ich ubóstwiała. Wyruszyłem do pociągu. Dzień przyjazdu do „Śmiałego” był dniem śmierci brata dowódcy, dwa tygodnie potem prawie na moich oczach zginął sam dowódca. Wańkowiczowi zawdzięczam, że mnie rzucił w środowisko najbardziej polskie i młodzieńczo ofiarne, że zetknąłem się z nimi w akcji i to w chwili, kiedy tę młodzież dotknął cios — strata ukochanego dowódcy.

Poprzez załogę „Śmiałego”, poprzez tradycję dwóch braci zmarłych, odkryłem nie abstrakcyjnie, nie z polemik gazeciarskich świeżą tradycję legionów i tę młodzież polską, entuzjastyczną, różnobarwną i bogatą. Stamtąd już, z „Śmiałego” odkrywałem całą polską rzeczywistość: Belweder i głośny śmiech Komendanta, kiedy mu zawiozłem ze „Śmiałego” doniesienie o przygodzie, która mi się zdawała dramatyczna, z jakąś kupą dyplomatów i półdyplomatów, wyrzuconych z Moskwy, przetrzymanych przez nasze wojsko dwa tygodnie w szczerym polu, między liniami frontu i Żeromskiego, w małym pokoiku na Kručzej, z oknami, wychodzącymi na podwórze, nosiłem mu zawsze „genialne” dzieła poetyckie moich kolegów, które Żeromski zawsze szczerze chwalił, aż po Struga, ze śnieżnym, białym czubem i wielkimi jasnymi oczami, (robiły takie wrażenie!). Temu redaktorowi „Rządu i Wojska” znosiłem wszystkie zatargi między Hallerczykami, Legionistami i żołnierzami Wschodniego Korpusu. Wtedy zacząłem pisać do jednodniówki „Śmiałego” i do „Rządu i Wojska”.

Dziś, kiedy to wspominam, myślę, że drzwi w ten świat otworzył mi Wańkowicz, że zawdzięczam to wszystko już wówczas tak uważnemu jego spojrzeniu, a jeżeli to podkreślam, to dlatego, że na pewno nie ja jeden, ale takich jak ja było setki, którym jego rada i przyjaźń pomogły.

Kiedyś w Iraku przyniósł Wańkowiczowi żołnierz, chłop kresowy, przewieziony przez łagry sowieckie, Turkiestan i Persję, zmięty i zżółkły papier, artykuł Wańkowicza. Parę lat przed wojną pisarz odwiedził tego chłopca, umiał się znów jemu przy-

rzec, o jego trudnym losie opowiedzieć. Jestem pewny, że ten zmięty papier, ofiarowany mu przez żołnierza, był dla niego radością większą, niż krytyka pochwalna najinteligentniejszego z inteligentów.

Chyba Wańkowicz nigdy nie miał zamiaru być w pisarstwie swoim rewolucjonistą. Pragnął właściwie, by go wszyscy lubili i książki jego czytali. Ostatni z kandydatów na „poète maudit”. Ale i Manet całe życie marzył o popularności. Chciał malować portrety wielkich burżujów, być cenionym w środowiskach wpływowych, a jednocześnie by każdy fiaker paryski, widząc go, mówił mu „bonjour monsieur Manet”. Ale talent i wielka rzetelność Maneta robiły, że zamiast zachwyty, spotykał zgorszenie i krytyki, właśnie w tych środowiskach, w których chciał się podobać. Wcale nie uznał za komplement, gdy mu Baudelaire powiedział, że jest „Garibaldim francuskiego malarstwa”. Manet był bohaterem pomimo woli, francuskie mieszczaństwo naprawdę zrozumiało go w latach 1930, a więc w 50 lat po jego śmierci.

Myślę, że Wańkowicz, zabierając się do jakiegoś tematu nieraz również nie widzi na początku, ile ten temat ukrywa w sobie raf podwodnych. Ale czujny słuch pisarza zmusza go po chwili do omawiania spraw drażliwych. Wszystkie punkty newralgiczne, wszystkie podlegające dyskusji palące zagadnienia, tak czy inaczej przeżywa, stawia i próbuje rozwiązać. Nigdy nie powie „to się robi, a tego się nie robi”. Każda książka wywołuje jakieś obrazy, oburzenia, czy zgorszenia. Nie będę mówił o zatargach, które miał Wańkowicz przed wojną. Znam je za mało, ale już w okresie, kiedyśmy razem pracowali w 2 Korpusie, ileż razy Mel się narywał. Było to czasami dramatyczne, a często humorystyczne. Ale jeżeli przyjrzeć się tym konfliktom uważniej, bierze mnie przecież pasja, ile książek Wańkowiczowi napisać uniemożliwiono.

2 Korpus jest w Iraku. Wańkowicz siedzi w Palestynie, jest znów z powodu tam czegoś napiętnowany. Potężny wówczas na Wschodzie minister Kot ocenia Wańkowicza jako jednego ze szkodników narodu polskiego. Wańkowicz siedzi w Tel Aviwie, będzie klepie, ale czasu nie traci. Pisze książkę o sjonizmie, całą upchana ogromnym materiałem, wydobytym z dużej ilości książek (tu nagle w tym obcym temacie stają mu się nieodzowne), upchana również setkami wywiadów, rozmów ze sjonistami, wędrownkami po Kibucach. Ukazuje się w Palestynie dopiero pierwsza część wielkiego dzieła. Ściągamy Wańkowicza do Korpusu. Pełne lato. Straszliwy upał. Quisil Ribat o 100 klm od Bagdadu. Jest noc. Przyjechał autem z Kairu pułkownik amerykański, wyjeżdża za trzy dni i prosi o materiały katyńskie najdokładniejsze; zamierza je wieźć do Białego Domu. Po dniu bieżących spraw, ganiań jeep'em, siedzę w nocy i piszę. Wańkowicz przeżywa pierwszą noc na pustyni. Sapie i jęczy. Już nawet przestał dowcipkować. Rozwalił nam dwa fotele. Już nawet przestał dowcipkować. Rozwalił nam dwa fotele. Już położył się na przygotowane łóżko polowe, które momentalnie

pod nim trzasło, a gdy się już na nowo po wielkich trudach ułożył, zobaczył nad głową autentyczną tarantulę (ukąszenie pono śmiertelne). Wtedy przyleciał do mnie w rozwianej piźmie i siadł na twardym krzeselku, w prawdziwym przygnębieniu. Myślałem zakłopotany, jak się nam uda Wańkowicza do tej temperatury przystosować. Nie pamiętam dalszego biegu wypadków. Wiem jedno, że Wańkowicz od dnia następnego zaczął jeździć z odczytami, że zrobił ich w wojsku, które w pustyni, było głodne żywego słowa, przynajmniej kilkadziesiąt, że te odczyty były słuchane łączywie, z entuzjazmem, a czasem ze łzami. Mówił o kraju naszym, o psychologii Polaka o naszych błędach i zaletach; odczyty te były mówione tak, że słuchacz najbardziej wyszukany i najprostsz, reagował z równym zainteresowaniem. Pamiętam taki odczyt w kompanii transportowej (wdzięczni słuchacze tej właśnie kompanii zbudowali mu łóżko polowe z rur żelaznych). Mel stał na lorze, o zmierzchu, i cała kompania stała naokoło niego wsłuchana. Myślę, że nie słyszałem w moim życiu wielu odczytów równie świetnych, naturalnych, przy których kontakt między mówcą a słuchaczem był tak niewymuszony i bliski.

Potem udało się nam wysłać Wańkowicza do Teheranu. Owoc tej podróży „Rodzina Korzeniowskich”, dziś ukazała się już po angielsku, francusku i włosku. Mała książeczka, może ze wszystkich książek polskich o Rosji mówiąca czytelnikowi najwnikliwiej o tamtym świecie, a napisana została przez człowieka, który przez Rosję nie przeszedł. Znowu uwaga serdeczna Wańkowicza, potrafił spojrzeć na tragedię naszą w Rosji oczami dziecka, które straciło tam wszystko.

Gdyby Wańkowicz ograniczył się do książek w stylu „Korzeniowskich”, miałby mniej przeciwników. Ale jednocześnie zaczął pisać „Listy perskie nie Monteskiusza”, a trochę później „Kundlizm”. Listy perskie były to opowiadania jego przygód i jego obserwacji z podróży, wraz z nieprawdopodobnie długimi i nieoczekiwanymi odskokami w kierunku dawnych wspomnień, Warszawy, Kresów, Paryża, całej masy brodatych anegdotek i dowcipów, jak najbardziej rabelesowskich. Muszę przyznać, że jeszcze dziś pamiętam, jakieśmy się na dzikiej plaży w Hercli od tych artykułów wprost tarzali ze śmiechu. Niestety cykl opowiadań „nie Monteskiusza” musiał być przerwany. Fala cnotliwego oburzenia dotarła aż do Londynu, a z powodu dowcipów o Szachu Perskim, przyszedł telegram od samego ministra wojny, zakazujący dalszego drukowania felietonów, ponieważ mogły grozić konfliktem między rządem Rzeczypospolitej a Iranem. Wańkowicz przestał je drukować, a że jest zupełnie niezdolny pisać nie do druku, a gdzieś w przestrzeń, urwał całe swoje opowiadanie, a rozdziały o Iraku, już przygotowane w jego głowie, przepadły dla nas na zawsze. Tego jemu nigdy nie daruję.

W okresie irackim zostało zmontowane w 2 Korpusie Biuro Dokumentacji. Było to systematycznie prowadzone archiwum

wszystkich materiałów, zeznań z naszych wędrowek po Rosji Sowieckiej. Gdy ta instytucja została powołana do życia przez dowódcę Korpusu, Wańkowicz był dla mnie pierwszym w kolejce pisarzem, któremu trzeba było ten materiał jak najszybciej udostępnić. Wańkowicz się natychmiast do tego projektu zapalił. Chciał zrobić wówczas wielkie dzieło na miarę późniejszego „Monte Cassino”. „Rodzina Korzeniowskich” byłaby jednym z drobnych fragmentów. Chodziło o opowieści polskich wędrowek od strony autentycznych zeznań i opowiadań dziecka, matki, żołnierza, robotnika, chłopca czy generała. Dziś jestem przekonany, że książka taka, gdyby się wówczas ukazała, mogłaby zrobić poważną robotę propagandową w najszerszych masach. Trafiałaby do czytelników, których nikt z nas jeszcze zdobyć nie potrafił. Projekt ten jednak nie brał pod uwagę faktu, że Wańkowicz był dla niejednego przedstawiciela „Dwójki” człowiekiem przynajmniej niepewnym. Był wciąż ten strach „zdradzenia tajemnic wojskowych”. Już w „Wiadomościach” ukazał się jakiś artykuł jego, opowiadanie z Tobruku: niektórzy oficerowie Dwójki wyrwali sobie włosy z powodu jakoby jakichś dramatycznych nieścisłości militarnych (może mieli rację), ale teraz czarne sumienie Wańkowicza zostało obciążone jeszcze jedną zbrodnią! Dopuszczony do archiwum w Jerozolimie, Wańkowicz dokonał nareszcie prawdziwej zdrady wojskowej. Przepisał sobie parę listów dzieci z Rosji Sowieckiej, specjalnie wruszających i odczytał znajomemu w kawiarni, a przecież wszystkie dokumenty tam były „ściśle tajne”. Wańkowicz nadużył zaufania i został od archiwów tych odsunięty. Książka o Rosji Sowieckiej wskutek tego nie powstała. Gdy w tej sprawie mówiłem z jednym z jego przeciwników, tłumacząc, że ten pisarz, jak nikt inny, potrafiłby z tych listów dziecięcych zrobić rzecz, która by trafiła pod „strzechy świata”, powiedziano mi: „No tak, ale Wańkowicz wyskubie nam co ciekawsze i archiwa stracą wartość”. Zupełny brak zrozumienia u wielu ludzi techniki pisarskiej i elementarnej techniki informacyjnej w znaczeniu literackim, a nie dwójkowym, stały zawsze na przeszkodzie pracy Wańkowicza i trzeba było jego żelaznego uporu i wspaniałej zęczności, a przy tym ogromnej ilości ludzi jemu przyjaznych i oddanych, by te trudności biurokratyczno-szablonowe przewyciężać.

Wyprawa Mela do Włoch, to mógłby być znowu cały rozdział opowiadania. Trzeba było przewyciężyć morze chińszczyzny, żeby zrobić z niego korespondenta wojennego. Przecież nie był „naprawdę” żołnierzem. Pierwszy lepszy dziennikarz, należący do takiej czy innej kompanii, mógł łatwiej stać się korespondentem wojennym. Już nie mówiąc o tym, że Londyn weszły w Wańkowiczu „groźnego” ducha sanacji. I ten pisarz polski, już niemłody, który się pchał na front za wojskiem polskim, musiał przewyciężyć sto przeszkód, by do Włoch trafić. A tam, we Włoszech, jaką miał bogatą ilościowo konkurencję młodych dziennikarzy, mających przecież stokrotnie wię-

cej danych fizycznie, by w warunkach wojennych więcej widzieć i dając materiał „gorętszy”, stworzyć epopeę naszych włoskich walk. Wańkiewicz zdystansował wszystkich talentem, niezmordowaną pracą, nie ustępując nikomu odwagą.

„Między nami to byli takie, co mówili, że z panem Wańkiewiczem to już jeździć nie będą, bo zawsze się pchał, gdzie niepotrzeba, — opowiadał mi mój przyjaciel kierowca.

Kiedy się czyta tę sumę, którą jest „Monte Cassino”, nie uświadamiamy sobie, ile pracy ona zawiera, ile stron Wańkiewicz odrzucił, po wielogodzinnych rozmowach z dowódcami i szeregowymi, ile razy każdą informację przekontrolowywał. Znam żołnierza, który brał udział w zdobywaniu Monte Cassino. Rok po bitwie, Mel pojechał na te wzgórza z nim razem i okazuje się, że nie ten żołnierz, ale Wańkiewicz wiedział lepiej, jak się ofensywa rozwijała na tym właśnie wąskim odcinku, i on właśnie wnosił wierne poprawki do relacji świadka. Przy tej ogromnej wiedzy, ta książka jest chyba najbardziej żołnierską książką o bitwie, opowiadającą jak to było „kiedy poszedł Stach na wojnę”. Do tego wszystkiego muszę dodać, że wbrew wszystkim trudnościom, które spotykały Wańkowicza, doznawał on nieustannej pomocy, że stosunek dowódców był przecież napiętnowany szacunkiem dla jego pracy. Mel jeździł i chodził gdzie chciał, a w trzecim tomie wystąpił z ostrą krytyką jednej z zasadniczych operacji, wbrew ocenie Sztabu. Nie wiem, czy miał czy nie miał racji, ale nie o to chodzi. Chciałbym widzieć historiografa bitwy pod Lenino, który by się ośmielił mieć swoje „indywidualne” spojrzenie na zalety i błędy operacji, w dziele, napisanym do pewnego stopnia na zamówienie, i przy walnej pomocy wojska. W tych tarciach, w tych walkach była przecież wielka doza szacunku dla pisarza i dla wolności jego ocen i jego wypowiedzi nawet wśród jego oponentów.

Pisząc to wszystko, zastanawiam się ze „zgrozą”, ile Wańkiewicz zrobił w parę krótkich lat. Przecież poza tym, o czym pisałem, do dnia dzisiejszego powstał i „Wrzesień żagwiący”, książka września 1939 r., i „Kundlizm” namiętnie czytany, który tak obraził paru wzniosłych krytyków i nowe, ogromne dzieło o Żydach, które dopiero ma się ukazać w Ameryce po angielsku. To dzieło, może bardziej niż jakie inne, jeżeli sędzić mogę wedle rozdziałów, czytanych z maszynopisu, wzbudzić może ze wszystkich stron dyskusje, może ataki. Na podstawie tych stron żydowskich myślę, że pięta achillesowa Wańkowicza jest jego nieopanowana wrażliwość, różnorodna i też niejednokrotnie sprzeczna w reakcjach; dlatego drażni każdego, który ma zamkniętą logiczną koncepcję. Jest w tej książce i Wańkiewicz szlachcic, poklepujący swego Żydkę po ramieniu, ten właśnie w nim wyczuwalny stosunek, który Żyda obraża najbardziej, cież trochę obrzydzonego lekceważenia, (i mnie do pasji doprowadza, choć Żydem nie jestem). Ale jednocześnie ten sam Wańkiewicz przemierzył szereg kibuców, przyjrzał się pracy paru bohaterskich pokoleń żydowskich i w tejże książce buduje pom-

niki tym ludziom, którzy ze skrajnej nędzy, z upokorzenia, biedni, wzgardzeni Żydzi, brudnych i nędznych ghatt polskich, rosyjskich, ukraińskich, potrafili niewiarygodnym trudem i wspaniałą wiernością swej tradycji odbudować godność narodu i stworzyć cud, by to najstarsze drzewo narodowe znów zakwitło. I tutaj szlachcic Wańkiewicz gubi wszelkie urazy i zwyczajnie, po bratersku, podziwia wielkość.

Cóż nam przyniesie „Historia Domeczku”. Przecież i ją pisarz teraz wykańcza. Czy to będzie jaki „Pan Tadeusz” w prozie, gdzie się zmiesza marzenie i rzeczywistość, rubaszny humor Wańkowicza, jego przesady i najczulsza miłość do wspomnień najdroższych? Mówiąc o tych wszystkich książkach prawie się zapomina, że równoległe płynęły artykuły, odczyty (czy kto je zbiera?), że na każdy temat drażliwy, na każdą rocznicę Wańkiewicz występował z artykułem, nigdy banalnym. Kto odważnie, serdecznie, bez zamazywania, omawiał tragiczną sprawę recalcitrantów, poza artykułami Wańkowicza, które zresztą częściowo tylko „Dziennik” londyński ośmielił się wydrukować.

Czegoż życzyć Wańkowiczowi? Znowu on, jako „najmłodszy”, wyjeżdża na pioniera do Ameryki. Może uda mu się nawiązać stosunek z Polonią amerykańską bardziej bezpośredni, może potrafi pisać tak, by ci ludzie, oderwani od naszej literatury, rosnący w atmosferze innych, potężnych wpływów amerykańskich, zaczęli go czytać, a może potrafi o Polonii amerykańskiej napisać nam tak, byśmy ją nareszcie zobaczyli jak żywą z bliska.

W imieniu swoim i całego zespołu „Kultury” żegnamy go, wierząc, że kontaktu zerwać z nami nie zechce, że się jeszcze spotkamy i jeszcze będziemy ze sobą gadać i kłócić do rana o sprawach naszych i o całym świecie.

Józef CZAPSKI

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSAPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

«LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Najnowsza historia Polski

A. K. zdobywa tajemnicę «V»

Konspiracyjna poczta służbowa dostarczała każdego dnia do mej meliny pracy setki meldunków wywiadowczych, posegregowanych i zestawionych w przejrzyste raporty. Obejmowały one najrozmaitsze tematy i zagadnienia z wielu dziedzin życia okupanta z bardzo rozległych obszarów. Dokąd tylko bowiem docierała stopa żołnierza niemieckiego, wszędzie tam wdzierały się wkrótce potem macki wywiadu AK i zewsząd nadsyłało wyniki obserwacji. Różna była ich ważność i znaczenie, ale żadnej, najbardziej błahej wiadomości nie wolno było zlekceważyć. Dopiero bowiem obszerny wachlarz informacji, zestawionych i porównanych ze sobą, może pozwolić na właściwą ocenę czasem na pozór mało ważnego meldunku. Rzadko też pojedynczy meldunek wyświetli zagadnienie, szczególnie, gdy jest ono skomplikowane. Sprawa wraca przeważnie na sieć do dalszego rozpracowania, wymaga studiów w centrali i wiele czasu upłynie, zanim tajemnica zostanie wyświetlona. A oto jaki interesujący bieg miała jedna ze spraw.

Z końcem 1943 roku Okręg Kraków powtarzał w meldunkach wiadomości, że w obozie ćwiczeń SS w miejscowości Blizna-Pustków, opodal Mielca, Niemcy zaostrzyli kontrolę. Zwolniono zatrudnionych tam poprzednio polskich robotników, otoczono część obozu dodatkowymi zasiekami drutów, zaciągnięto wzmocnione warty, budowano dodatkowe tory kolejowe i rampy.

Chociaż było oczywiste, że szef wywiadu Okręgu nie pozostawi dalszego biegu wydarzeń bez zaostrzonej obserwacji, niemniej otrzymał rozkaz dotarcia do środka obozu i zbadania, co się tam święci.

Wkrótce nadeszły dalsze informacje. Oto na teren obozu zaczęły przybywać jakieś tajemnicze transporty kolejowe. Składały się przeważnie z ładunków na lorach nienaturalnej długości i specjalnie wzmocnionej budowie, ponadto z cystern o konstrukcji odmiennej od normalnej. Ładunki lor, szczególnie opakowane brezentem, trudne były do rozpoznania, gdyż każdy wagon bardzo silnie chroniony był posterunkami SS. Okolicz-

ności te tym bardziej zaostrzyły ciekawość wywiadu Okręgu Krakowskiego i drażniły ambicję, że nie można rozwiązać zagadki. Toteż na całej trasie, gdzie tylko można było dopaść transporty, czatowały na nie specjalnie ekipy. Inne, troskliwie dobrane, miały spenetrować obóz. Dostarczono fotografie ładunków kolejowych, nie wiele one jednak wyjaśniły. Można było wprawdzie rozpoznać, że zawierały ładunki o kształcie kadłuba samolotu, ale nic więcej. Stwierdzono ponadto, że naklejki na wagonach wskazują Wrocław jako stację załadowczą. Siegnięto więc mackami i tam, by zbadać, z jakiego zakładu przemysłowego pochodzi ładunek. Okazało się jednak, że Wrocław nie jest stacją załadowczą. Transporty przybywają z innych, różnych miejscowości Rzeszy, a we Wrocławiu zmieniają tylko naklejki. Rzecz jasna, by ukryć miejsce, skąd transport przybywa. Prawdopodobne było, że operacja zmiany naklejek była dokonywana również i przed Wrocławiem. Okoliczność ta podniosła wagę zagadnienia tym więcej.

W tym stadium sprawy nadchodzi inna, drobna, nie związana z tym informacja. Meldunek jednej z warszawskich komórek bezpieczeństwa w rubryce: „wydarzenia różne” podawał krótką notatkę, że na rondzie Waszyngtona, w miejscu, gdzie za dawnych czasów miało miejsce wiele wypadków, uległ katastrofie samochód niemiecki. W wypadku zginęło kilku cywilnych Niemców. W centralnej polskiej komórce wywiadowczej można chyba przejść do porządku dziennego nad wiadomością o przypadkowej śmierci kilku przedstawicieli wrogiej okupacji. A jednak nie była to wiadomość bez znaczenia. Wkrótce potem inna warszawska komórka bezpieczeństwa doniosła informację, zaczerpniętą z „niedyskrecji sfer niemieckich”, że wspomniana katastrofa okryła techniczne koła niemieckie wyjątkową załobą. Pomiędzy zabitymi bowiem byli członkowie ekipy, pracującej nad nowymi wynalazkami z dziedziny „Neue Waffe”.

Trudno o lepszy przykład słuszności sloganu-przestrogi: „pst — cicho, szpieg podsłuchuje”, który na każdym kroku spotykało się wówczas w kraju, rozlepiony pod postacią najrozmaitszych afiszów niemieckich.

Teraz wszystkie okoliczności, tej na pozór drobnej informacji, nabierają szczególnej wagi. Niewiele trudu kosztowało zdobycie nazwisk zabitych i miejscowości, skąd przybyli do Warszawy. I oto okazało się, że samochód przyjechał z Mielca. Skojarzenie tej informacji z tajemniczością czynności, wykonywanych w obozie Blizna-Pustków mówiło samo za siebie. Muszą być wyciężone wszystkie siły, by tajemnicę — może jedną z najbardziej atrakcyjnych w toczącej się wojnie — wydrzeć przeciwnikowi, zanim ta zapowiadana, straszna „Neue Waffe” rozpocznie się zniszczenie.

Wydane rozkazy i całość podjętej akcji zmierzały w kilku kierunkach. Szef wywiadu Okręgu Kraków został poinformowany o wadze zagadnienia i otrzymał instrukcję, jak ma prowadzić obserwację.

Szefowi centralnie kierowanej sieci wywiadowczej nakazano rozpoznanie rejonu obozu i przygotowanie ekipy, która mogłaby natychmiast przystąpić do pracy, gdyby z takich czy innych powodów działalność sieci miejscowej została sparaliżowana.

Szef Biura Studiów przemysłowo-technicznych Oddziału II Komendy Głównej AK miał sformować komisję techników specjalistów z różnych dziedzin. Mieli oni przystąpić do systematycznych badań w miarę napływu wyników obserwacji.

Po uzyskaniu zgody dowódcy AK, „Kedyw” *) Komendy Głównej otrzymał rozkaz opracowania akcji bojowej dla opanowania jednego z transportów i wyświetlenia zawartości ładunków przewożonych do obozu Blizna-Pustków. Chodziło o zdobycie części składowych tej tajemniczej broni i rozpoznanie jej cech charakterystycznych.

Tylko nieliczni z zainteresowanych zostali wtajemniczeni w istotę przygotowań. Byłoby szkodliwe dla podjętej akcji, gdyby przeciekła do Niemców wiadomość, że AK jest już na tropie tajemnicy.

Wywiad AK już po raz drugi spotkał na swej drodze niemieckie przygotowania w dziedzinie „Neue Waffe”. Miał ambicję, by okazji podobnych nie marnować. Poprzedniej towarzyszyły nieco inne, trudniejsze okoliczności, obecna wpadała sama w ręce, nie można jej utracić. Wspomniana, poprzednia afera z „Neue Waffe” była doskonałym przykładem współdziałania i sprawności organizacyjnej sprzymierzonych armii. Wchodziło bowiem w grę współdziałanie brytyjskich i polskich sztabów, wywiadu, łączności i wreszcie lotnictwa.

Oto na wiosnę 1943 roku placówki wywiadowcze AK, działające w portach Bałtyku doniosły, że przy ujściu Odry w Pünemünde, w obozie doświadczalnym Luftwaffe, odbywają się prace badawcze nad jakąś tajemniczą, nową bronią. Wiadomość tę przekazano radiem z Warszawy do Londynu. W odpowiedzi otrzymano zadanie rozpoznania obozu i nadesłania dokładnego planu sytuacyjnego. Przedostanie się do środka obiektu, strzeżonego wszystkimi możliwymi środkami, lub zdobycie jego planów — nie było sprawą prostą. Pomimo to zadanie zostało wykonane i w parę tygodni później odszedł kurierem do Londynu plan sytuacyjny obozu, z zaznaczeniem ważniejszych obiektów i budynków.

W nocy z 17/18 sierpnia 1943 r., RAF, znając rozmieszczenie obozu, w potężnym nalocie zbombardowała go dokładnie. W nalocie zginęli: gen. Jeschonek, ówczesny szef sztabu Luftwaffe oraz część ekipy doświadczalnej. Wiele hal i urządzeń zostało doszczętnie zniszczonych.

Wydarzenie to głośne było wówczas szeroko. Wyrażano opinię, że wprowadzenie „Neue Waffe” na pole walki zostało na skutek tego opóźnione co najmniej o kilka miesięcy. Nie było

*) Skrót słów „Kierownictwo Dywersji” — nazwy jednostki zorganizowanej w AK do prowadzenia akcji dywersyjnej.

to bez znaczenia dla ogólnego przebiegu wojny. Możliwość użycia broni „V” przeciwko Wielkiej Brytanii, przed rozpoczęciem inwazji przez Sprzymierzonych na kontynent, mogła mieć nieobliczalne następstwa. Na skutek opóźnienia gotowości broni, pociski te mogły razić wyspę dopiero wówczas, gdy siły Sprzymierzonych uchwyciły już dostatecznie mocno przyczółek we Francji. Torpedy nie mogły już w tym stadium działania Sprzymierzonych przeszkodzić inwazji kontynentu.

Obecnie jest okazja ponowna, może nawet donioślejsza w skutkach, gdyż można Niemcom wydrzeć tajemnicę i przygotować środki jej zwalczania. Czyżby Niemcy nie doceniali groźby, jaką dla ich wynalazku stanowiła AK, że próby te przeniesi na polski teren? Wówczas nie wiedzieli jeszcze, jaki był polski udział w nalocie RAF na Pünemünde. Nie przypuszczali zapewne, i w zimie 1943/44, że pomimo, iż są dopiero w stadium przygotowań, wywiad polski nie tylko już był na tropie, ale zabiegał o wydarcie tajemnicy.

Tymczasem zaczęły napływać z Okręgu Krakowskiego meldunki z bliższymi szczegółami. Na terenie obozu wznoszono budowle, które, sądząc z kształtu, mogły być, według oceny techników — wyrzutniami. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że „Neue Waffe” odezwała się po raz pierwszy. Okoliczności wyrzucenia pocisku, jego lot oraz charakterystyka budowy były sensacją. Pociskowi nadałiśmy nazwę „torpedy powietrznej”, gdyż dopiero później, po użyciu jej przeciwko Wielkiej Brytanii, przyjęła się nazwa „V”.

Wyrzucanie następnych torped odbywało się z dużymi przerwami, co kilka lub kilkanaście dni. Początkowe przerwy bywały dłuższe, co umożliwiała usprawnienie naszej obserwacji. Wszystkie możliwe okoliczności, dające się ustalić przy wyrzucaniu torped, były systematycznie notowane przez sieć obserwacyjną AK. Pracowała ona według kwestionariusza pytań, opracowanego przez techniczną komisję badawczą, by zebrać potrzebne dla niej elementy.

Niektórzy inżynierowie, członkowie komisji badawczej, udali się z Warszawy w okolice obozu Blizna, by na miejscu zaobserwować pewne, interesujące ich, ciekawsze szczegóły.

Następnym zadaniem było zdobycie odłamków torpedy, by na tej podstawie odtworzyć jej konstrukcję oraz cechy charakterystyczne. Okręgi Armii Krajowej, położone na wschód i północno-wschód od Blizna, otrzymały rozkaz objęcia siecią patroli całego obszaru i po upadku torpedy zdobycia wszelkich odłamków i części składowych. Obarczono tym zadaniem Okręgi, położone na wschód od wyrzutni, gdyż stwierdzono, że taki był zawsze przybliżony kierunek lotu torpedy.

Stwierdzono, że porozmieszczane na całym terenie samochodowe patrole niemieckie każdorazowo po upadku torpedy, zjawiały się natychmiast i zbierały bardzo skrętnie wszelkie jej odłamki, nie pozostawiając zgoła nic. Rozpoczął się więc wyścig pomiędzy niemieckimi a polskimi patrolami dla zdobycia tego

cennego złomu. Niemcy mieli wyższość nad polskimi patrolami, gdyż dysponowali większą ilością środków motorowych i łączności, co ułatwiało szybsze kierowanie patroli do właściwych miejsc. Patrole AK górowały zaciętością w poszukiwaniach i rozległością sieci organizacyjnej, co pozwalało w wielu wypadkach uprzedzić Niemców. Zdarzało się często, że niemieckie patrole poszukiwaczy całymi godzinami kręciły się wokół miejsc upadku torpedy, które były już zaorane, a wszelkie odłamki pozbierane i ukryte, lub były już w drodze do Warszawy. Niemcy wracali w to samo miejsce po jakimś czasie, szukali z pasją i odjeżdżali z niczym. Tymczasem polska komisja badawcza z nadsyłanych zewsząd cząsteczek składała całość torpedy, rozgryzając krok po kroku tajemnicę sensacyjnego wynalazku.

Londyn był stale informowany depepszami radiowymi o każdym nowym osiągnięciu.

Z wyników polskich obserwacji i badań można było wywnioskować, że wynalazek był jeszcze w stadium doświadczeń, a postępy prób usprawniały działanie broni. Donośność broni nie była jednakowa. Jedne pociski wybuchaly w powietrzu, inne dopiero po zetknięciu z ziemią. Niektóre pociski upadały w pobliżu nad Sanem, inne na lewym brzegu Wisły pomiędzy Radomiem a Dęblinem, inne znów docierały aż do Bugu w Lubelskim. Początkowy rozrzut, wynoszący kilkaset kilometrów, gdyż torpedy padały w wycinku obszaru ograniczonym Pilicą—środkowym Bugiem i dolnym Sanem, zacieśnił się bardzo. Promień rozrzutu wynosił już tylko kilkadziesiąt kilometrów, a miejsca upadku skupiły się nad Bugiem w miejscu, gdzie linia kolejowa Warszawa-Wołkowysk przecina tę rzekę w okolicy wsi Sarnaki. Nagromadzenie w tym rejonie patroli poszukiwaczy niemieckich utrudniło bardzo patrolom AK zbieranie odłamków, gdyż Niemcy przybywali bardzo szybko na miejsce upadku. Niemniej w tym okresie wpadła w ręce AK najcenniejsza zdobycz. Oto jedna z torped upadła na piaszczysty brzeg Bugu i częściowy tylko jej wybuch pozostawił skorupę i sporą ilość części składowych — nieuszkodzonych. Patrolom AK udało się zepchnąć skorupę do rzeki i ukryć przed Niemcami. Wysłana z Warszawy ekipa inżynierów z komisji technicznej zdołała dokonać pomiarów, zdjęć fotograficznych i zabrać ze sobą niektóre części składowe dotąd jej nieznane.

Tajemnice wynalazku okazały się tak skomplikowane, że nie wszystkie jego cechy charakterystyczne i mechanizmy działania udało się rozpoznać ekipie badawczej. Były tam nieznane elementy zarówno z dziedziny chemii, radiotechniki, metaloznawstwa i wiele innych. Trzeba było wciągnąć do pracy szeroki wachlarz specjalistów. Zwrócono się więc o współpracę do profesorów uniwersytetów i naukowców z wielu dziedzin.

Zagadnienie stawało się skomplikowane i wymagało tylu szarmonizowanych czynności, że normalnym aparatem kierowniczym i wykonawczym nie można było podołać zadaniu. Aby usprawnić akcję, powierzono „Rafałowi”, energicznemu pracow-

nikowi centralnej komórki wywiadowczej, mającemu zdolności kierownicze — prowadzenie całości sprawy. Otrzymał w tym zakresie szerokie pełnomocnictwa i miał koordynować wszystkie czynności, jak obserwacja rejonu obozu, poszukiwanie odłamków i ich transport do Warszawy, oraz pracę komisji badawczej.

W tym czasie nawiązano już pomiędzy krajem a Londynem dwustronną łączność lotniczą i była możliwość podejmowania kurierów i poczty z lotnisk położonych w Polsce samolotem, przybywającym z zachodu.

W meldunkach radiowych nie można było dokładnie opisać wszystkich szczegółów technicznych wynalazku, gdyż wymagały one ilustrowania wykresami. Najlepiej byłoby, gdyby technicy, badający to zagadnienie w Wielkiej Brytanii, mogli mieć w swych laboratoriach poszczególne części składowe torpedy. Postanowiono więc, że „Rafał”, najlepiej zorientowany w zagadnieniu, zabierze całość wyników badań z najcenniejszymi częściami torpedy i zostanie przetrzucony samolotem z kraju do Londynu. Trzecim z kolei samolotem, który lądował w Polsce na lotnisku w Małopolsce pod Tarnowem, „Rafał” wraz z drogocennym ładunkiem odleciał do Wielkiej Brytanii. W niedługim czasie po starcie samolotu technicy państw sprzymierzonych mogli w swych laboratoriach przystąpić do badań nowego wynalazku niemieckiego i w ten sposób pogłębić studia, oparte dotąd tylko na meldunkach radiowych. Sztaby alianckie zaś, znając zawczasu szczegóły charakterystyczne torpedy, mogły przygotować sposoby jej zwalczania.

Gdy 11 czerwca 1944 roku pierwsze torpedy wystrzeliwane z wyrzutni na kontynencie upadły w rejonie Londynu — ich działanie nie było zaskoczeniem ani dla sztabów, ani dla świata naukowego państw sprzymierzonych. Dzięki czujności wywiadu AK zostali ostrzeżeni w porę.

Już po raz drugi w tej wojnie największa tajemnica niemiecka została zdemaskowana. „Neue Waffe” nie miała szczęścia do AK.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI.

Z doświadczeń Wielkiej Emigracji

„Oto już opinią jest, że myśleć nie umiesz a dobra tylko jesteś do korda... jakgdybys ty nie wzięła testamentu żadnego po Ojcach twoich i nie wiedziała o żadnym Duchu polskiego rozkazie.”

(J. Słowacki; Do Emigracji. O Potrzebie Idei).

Każda z naszych kolejnych emigracji politycznych, od XVIII w. po obecną miały dużo cech wspólnych a także wspólną przyczynę wszystkich ruchów tego rodzaju: wiekowy konflikt rosyjsko-polski. Historia się powtarza.

Niekiedy emigracja polityczna stwarzała kadry zbrojnych legii, to znów wojsko, które wyszło z kraju w imię dalszej walki o wolność, przekształcało się powoli w emigrację polityczną.

W 1831 roku, podobnie jak w 1945 działania wojenne zdawały się nam tylko zawieszona a nowy konflikt bliski i nieunikniony. Uchodźcy ówczesni pokładali w tę wojnę powszechną za wolność ludów wszystkie swoje nadzieje, a chociaż dziś nie wiemy czy aby o wolność ludów będzie chodziło w przyszłym „poruszeniu”, wielu zniewolonych i wygnanych spodziewa się tego starcia nie mając innych nadziei dla śmiertelnie zagrożonych krajów ojczystych.

„Polak — pisał Mochnecki — emigruje w imieniu całego kraju i zdaje się jakby brał od swego narodu specjalny na to mandat... Synowie opuszczają dom Ojcowski i niosą skargę swego domu na cały świat. Wielki jest i głęboki sens każdej polskiej emigracji...”

Charakteryzując tymi słowy emigrację z 1794 r. miał Mochnecki na myśli następną z 1831 i do dziś dnia nie straciły te słowa swej aktualności.

Polistopadowe uchodźstwo, wielokrotnie od dzisiejszego szcuplejsze, obejmowało niecałe 10 tysięcy ludzi, prawie wyłącznie mężczyzn, w ogromnej większości wojskowych, skoncentrowanych masowo we Francji. Nieliczne grupy dotarły do Anglii, tylko jednostki emigrowały za morze, ale dopływ dalszych uchodźców z Polski, w ciągu następnych lat, był nieprzerwany i składał się przeważnie z podoficerów i szeregowych. Byli to ci, którzy przyjąwszy amnestię Mikołaja, uciekali przed przynusem 15-letniej służby wojskowej, albo wysiedleniem w głąb Rosji.

Dążyli ku Francji, zrazu pojedynczo, potem gromadami, wreszcie całymi kolumnami i w szyku wojskowym. Ten „naród wojenny”, solidarny z ludem, wrogi wszelkim tyranom, był wszędzie witany z uniesieniem jako ptaki zwiastujące burzę rewolucyjną („die Sturmvögel der Revolution”). Hojnie goszczeni, szczerze wspierani w ówczesnych Niemczech, ciągnęli do Francji pełni złudzeń. Zawiazywano komitety pomocy dla uchodźców polskich, układano pieśni i hymny na ich cześć — byli bohaterami dnia, rycerzami wolności.

Naród francuski witał braci-rewolucjonistów z nie mniejszym entuzjazmem. Louis Blanc w swojej *Histoire de Dix Ans* powiada, że wybuch powstania listopadowego był dla Francji drugą Rewolucją Lipcową i świętem narodowym, że Francuzi żyli w owe dni myślą i sercem w Polsce, a upadek Warszawy był dla Francji republikańskiej dniem klęski i żałoby.

Poeci, jak Delavigne, Béranger, Barthélémy, sławili w pieśniach i hymnach bohaterstwo, klęskę i krzywdę bratniego narodu, piętnując małoduszność władz francuskich, obojętność wobec tragedii Warszawy, ugodowość wobec Rosji.

...Que le teint de la honte embrase notre front
Vous voulez voir venir les Russes — ils viendront!

kończy Barthélémy jeden ze swoich utworów na cześć Warszawy.

Rząd Ludwika Filipa usiłował istotnie za wszelką cenę uniknąć zdrażnień z Rosją. Imigracja cudzoziemców to było zarzewie nowych rozruchów. Komitety pomocy Polakom, zawiązywane w Paryżu i na prowincji, odradzały się w stowarzyszenia rewolucyjne, rozwiązane i zakazane ustawą z marca 1832. Po raz pierwszy we Francji, w kołach rządowych, pojawiła się głucho nienawiść przeciwko Polakom.

Czego chcą od nas ci ludzie, zamęczający wiecznie pokój świata? Czy nie przelewaliśmy za nich krwi naszej? Czyż nie oni wciągnęli nas w łody dalekiej północy? Czy nie dosyć Polsce jej własnych niedoli? Czyż zawsze mamy ją wspierać na nasz koszt i nasze ryzyko? I czy to jest w ogóle naród? Nic więcej dowiedzionego, jako że Polska nie ma nawet własnych granic... Oto temat szeroko rozwijany w Parlamencie przez Thiersa, teoretyka ówczesnego rządu, 19. IX. 31 r., trzy dni po sławnej deklaracji Sebastianiego o „porządku” w Warszawie.¹⁾

Echo tych poglądów odnajdujemy u Balzaka w opinii o Polsce i Polakach przeciętnego obywatela Francji orleańskiej, Francji burżuazyjnej, dorabiającej się i sytej:

«To ludzie, którzy chcą zarzec ogień w Europie — skarży się przemysłowiec Rivel w «Cousine Bette» — podkopać handel, zrujnować kupców, dla jakiegoś ojczyzny, która jakoby jest jednym bagnem, zamieszkałym przez

¹⁾ Cytowane w pracy Michała Sokolnickiego: *Les Origines de l'Emigration Polonoise en France 1831-1832*. Paris 1910, str. 63.

ohydnych Żydów, nie licząc Kozaków i chłopów, dzikich bydlat, mylnie zaliczanych do rodzaju ludzkiego. Ci Polacy nie rozumieją epoki. Nie jesteśmy już barbarzyńcami. Wojna już się przeżyła, przeżyła się z królami. Nasze czasy to triumf handlu, przemysłu i mieszczańskiego rozsądku...».

Ówczesna prasa francuska, od rządowej do opozycyjnej, odbijała całą gamę nastrojów społeczeństwa.

«Ci biedni Polacy — pisał dyplomatycznie bardzo wpływowy *Courrier Français* z 2. X. 31 r. — zwrócają spojrzenie swe ku Francji... to ludzie niebezpieczni, będą bowiem żywe zainteresowania przez swoją odwagę, rezygnację, niedolę, nie mogą lubić systemu min. Périer, rewolucyjne sympatie, które idą im naprzeciw mogłyby stać się zgorszeniem w Petersburgu, być źle notowane w Berlinie...»²⁾

Prasa opozycyjna stawiała surowe żądania, ulica groziła; rząd „króla epizjów” musiał się z tym liczyć. Zostały więc wysygnowane sumy na wsparcie dążących do Francji uchodźców, 300 tys. fr. złożonych na ręce francuskich posłów przy dworach niemieckich; ustanowiono też punkty zbornie, a parlament uchwalił kredyty na żołąd, który miał być wypłacany tułaczom szeregom.

Rok 1832, rok największego nasilenia polskiej imigracji we Francji był dla Paryża rokiem klęski. Z wiosną pojawiła się w stolicy cholera, na którą w trzy miesiące ginie ok. 20 tys. osób. „Siny strach” (la peur bleue) pada na miasto. W maju umiera na cholerę premier Casimir Périer, pogromca rewolucji lipcowej, znakomity uczonec Georges Cuvier, najbliższy przyjaciel młodego Proudhon — Gustave Fallot i wielu innych. W czerwcu wybuchają nowe rozruchy, w których emigranci polscy i włoscy wspierają republikanów. Krwawo stłumione przez gwardię narodową, stanowią jeszcze jeden walny argument niechęci rządowej do cudzoziemców, toteż już w kwietniu 32, pod presją ambasady rosyjskiej, Izba uchwała prawo wyjmujące emigrantów spod kompetencji ministerstwa wojny i oddanie ich pod nadzór policji. Odtąd więc Polacy, wraz z innymi cudzoziemcami, byli wyjęci spod prawa obywatelskiego, podlegając wyłącznie administracji.

«Périer może z nami zrobić co mu się podoba — pisał M. Mochnacki po ogłoszeniu tego prawa — ...albo odda (emigrację polską) w moc Moskalów, albo wyszle czy do Algieru, czy do Marjynki, czy do Gwadelupy, byle tylko we Francji tyle Polaków nie było, bo to kole w oczy cara...»³⁾

W prasie emigracyjnej i korespondencjach uchodźców dziwnie mało znajdujemy wzmianek o paryskiej cholercie. Liczne konduktu pogrzebowe i wozy załadowane trumnami, ciągnęły opustoszałymi ulicami, ludzie z zamożnych sfer tłumnie opuszczali zagrożoną stolicę, wśród ludu krążyły ponure pogłoski, że to nie cholera a trucizna, że zwłoki zbierane na wozy to nie zmarli z zarazy, a ludzie pomordowani... Ale ani cholera, ani

2) Tamże, str. 96.

3) Dzieła M. Mochnackiego, Poznań 1863, t. I, Listy.

najsurowsze policyjne zakazy nie przeszkadzały Polakom przynikać do Paryża, gdzie pod osłoną rozruchów i paniki zaczęto organizować własną republikę emigracyjną.

Ta uchodźcza rzeczpospolita przedstawiała istotnie wszystko, co kraj miał najlepszego pod względem ducha, charakteru, talentów, z nieodzownym dodatkiem plew i mętów. Zachwyceni zrazu sympatią ludu, bogactwem kraju, wielkością i żywotnością Paryża, ale bez znajomości języka i obyczajów, doznali wkrótce polistopadowi żołnierze, przeważnie wieśniacy, przeraźliwego poczucia zawodu i osamotnienia. Tryby żelaznego organizmu wielkiego miasta kruszyły ich i ścierały na proch; Mickiewicz pisał, że Paryżem brzydzi się jak piekłem, że nienawistny mu jest jego bruk, że Francja to „Ateny za czasów Demostenesa; będą wrzeszczeć, odmieniać mówców i wodzów, ale się nie ulecza, bo rak tóczy ich serca”. Młody zaś suchotnik, major Kamil Mochnacki wyznawał rodzicom: „Paryż to cudne miasto, ale to miasto dla emigrantów, albo raczej dla każdego ubogiego człowieka jest najnudniejszą pustynią...”. Niektórzy, nacierpiawszy się nędzy i policyjnych rugów w stolicy, wracali do „dépôts” prowincjonalnych, gdzie żyjąc z głodowego żołądka czekali wypadków.

«Tułacza nasza osada — pisał Stan. Ropelowski w 1840 roku — poszła szukać na Zachodzie nie samego dla głów swych przytułku, ale uniósłszy z gruzów ojczyznych wszystkie włókna narodowego życia, jęła przy gościnnym ognisku snuć dalej jego przedzę...»⁴⁾

Na tę emigracyjną przedzę składały się różne wątki, niekiedy zbieżne, najczęściej sprzeczne; konserwatywne i rewolucyjne, dyplomatyczne i wojskowe.

Ludzie młodzi, pełni energii, którzy ustąpili z pola bitwy nie poddawszy się przeciwnikowi, jęli się teraz namiętnie szermierki ideowej, tocząc zażarte, długoletnie spory o doktryny i systemy.

Bo też jedni chcieli leczyć Ojczyznę „wedle nauki Browna”, inni „wedle nauki Hennemana”; wrogie obozy spierały się piórem i słowem, nie gardząc obmową, którą bito w przeciwnika jak kulą; po „dépôts” mnożyły się pojedynki, niekiedy gromadne rozprawy, jedna partia nacierała na drugą z bronią w rękę, takie było zacietrzewienie przeciwników, tyle energii nie wykorzystanej. Ale rosnąca nędza tułacza, rozwiane złudzenia, zachwiane nadzieje siały też melancholię i chorobę wygnańczą — gruźlicę.

«Emigracja we Francji — pisał M. Mochnacki — jest na kształt korony drzewa, mającego korzenie swoje szeroko rozpostarte w ziemi polskiej. Każdy z nas zostawił w kraju ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, znajomych. Ten stan owdowienia Ojczyzny... dziwnie sprzyja interesowi przyszłej Polski i nie dozwoli zabliznić się głębokim ranom, które ostatnie powstanie wznowiło, utrzymując pozostałych tam w nadziei, w oczekiwaniu, w niespokojności...»

4) Z bezimiennego artykułu pt. «Wspomnienia o piśmiennictwie polskim na Emigracji» w *Kalendarzu Pięćdziesiątstwa Polskiego* na 1840 r.

Wśród tych, którzy zaufali dyplomacji, wysunął się na czoło 60-letni już wtedy ks. Adam Czartoryski

...stara twarz Rzymiana
Na pieniądzu wół zatarta;

prawość nieskalana, ofiarność, pracowitość, rozum, takt, rozległe stosunki, wielkie doświadczenie, bez chęci panowania, bez umiejętności rozkazywania, a zwłaszcza bez wiary w siebie, bez wiary w **rzecz**.

«I taką prostą, szlachetną, niebrońną indywidualność duchową — powiada Askenazy — rzucito przeznaczenie w otchłań najpewniejszych, najzawrotniejszych wirów dziejowych...»⁵⁾

Nie próżno zawołaniu rodowemu Czartoryskich „Bądź co bądź” dodał ks. Adam dewizę: „Ja służę...”.

U boku księcia stał Niemcewicz, starzec zasłużony, świadek 50 lat dziejów ojczystych, gorący stronnik reform na Sejmie Czteroletnim, przyjaciel Kościuszki, więzień Katarzyny, pisarz płodny, poeta ulubiony, dobroduszny, skromny... ale politycznie bez żadnej już wtedy wartości.

„Stary sługa samozwańczego króla” — jak go przezywali demokraci.

Poeta, rycerz, starzec — nic,
Dziewięciu Feba sułtanie
Eunuch...

szczył Słowacki.

Generał Kniaziewicz, w którym szeregi żołnierskie chciały widzieć naczelnego wodza na emigracji, działał magią wielkiego nazwiska, ale liczył też już 72 lata i był obarczony zwykłymi przyzwyczajeniami wieku, umysłem skostniałym i starczym uporem.

Stronnictwo Demokratyczne pomawiało „dyplomatów” o wszystko najgorsze, włącznie do porozumiewania się z ambasadorem Pozzo di Borgo w myśl usuwania z Francji tzw. „klubistów”, szkodliwych akcji dyplomatycznej.

«Nieugiętego uporu, zastarzałych przesądów — pisał o nich Kamil Mochacki — za nic nie poświęca swoich zasad. Ale noszą imiona, które magiczny wpływ wywierają na naszych ziomków. Nie więc u Polaków nie może się obejść bez Czartoryskiego, bez Niemcewicza, Kniaziewicza itd.»

Rząd francuski zabiega naprzód o powszechną amnestię carską dla powstańców, spodziewając się tą drogą uniknąć konieczności udzielenia politycznym uchodźcom polskim azylu; Petersburg przyjął to wstawiennictwo bardzo chłodno.

Po uchwaleniu ustawy marcowej o wyjęciu emigrantów spod prawa obywatelskiego, dążył znów rząd Ludwika Filipa do pozbycia się rewolucyjnych elementów, zsyłając je do Algieru, gdzie zamierzano wcielić Polaków do Legii Cudzoziemskiej. Na-

5) Zabiegi dyplomatyczne polskie 1830/31. Bibl. Warsz., 1902, III.

czelnym dążeniem rządu Périera i Sebastianiego było zabezpieczenie pokoju, jedyną zaś nadzieją wychodźstwa polskiego była wojna.

Lelewel, głowa Stronnictwa Demokratycznego, twórca i wyznawca idei rewolucyjnej i międzynarodowej, nieustrudzony w działaniu, płodny w pomysłach, uczony wielkiej klasy, cierpliwy, wytrwały, drobiazgowy, w polityce uciekał się nieraz do intrygi, czym zrażał do siebie najgorętszych zrazu stronników i zafanyh przyjaciół. Zarzucano mu nadmierne ambicje osobiste i mściwość przy usposobieniu tchórzliwym i zgubnym, w chwilach rozstrzygających, niezdecydowanie. Lelewel chciał rządzić ale nie umiał. Temu „sfinansowi na krzywych nogach” wyprowadza Słowacki z diabelskiego kotła świętę krzykaczy:

...Rzucić język Balaama oślicy
A ci co się z niego wyrodzą
Narodowej się chwycą mównicy —
...mówców plemię,
Tłum, tłum poleciał na ziemię,
Jak zwichrzzone szpaków stado!...

Istotnie brać tułacza, zrazu skupiona w koszarach Avignonskich, potem rozbita małymi grupkami po dépôts prowincjonalnych, albo stłoczona w małych hotelikach paryskich, było to zbłąkane i zwichrzone szpaków stado, które rozprawiało o rzeczach, na których się nie znało i na których bieg wpłynąć nie mogło. Każdy z nich czuł się na serio owym „mandata-riuszem” skrzywdzonej ojczyzny, a skromny żołd, wypracany byłym żołnierzom rewolucji w dépôts lub zapomogi komitetów w Paryżu pozwalały zrazu większości uchodźców poświęcać cały nieomal czas politycznym dysputom, naradom, wyborom, konstytuowaniu rad, przedstawicielstw, centralizacji, tworzeniu partyj i programów. Mania politykowania ogarnęła też żołnierzy, ludzi, którzy dotychczas nie z polityką nie mieli do czynienia, a swoboda słowa i dźwięku sprzyjała nieskończonym obradom i powodzi odezów, deklaracji, adresów, protestów, pamfletów, okólników.

Koszta druku pokrywano albo z funduszków tzw. rządowych, nieraz spornych, albo z sum składkowych lub prywatnych; kilku magnatów polskich łożyło hojnie na cele emigracyjne, ale poważnie bezimiennie, jako że stosunki z emigracją za Mikołaja były srogo ścigane, a przekazy pieniężne na zagranicę bardzo źle przez rząd rosyjski widziane, dla nadawców niebezpieczne.

Pierwszą drukarnią, która nabyła doskonały skład czcionek polskich, była to drukarnia Pinard, pod nr 15 na Quai Voltaire. Właścicielkami jej były trzy siostry Pinard, z których średnią, 15-letnią Korę o hiszpańskim typie, znamy z korespondencji Słowackiego.

W miarę jednak płodności piór emigracyjnych, zaczęto tłoczyć polskie druki u Baudouin, Bourgojne et Martinet i in. Już w 1833, tuż obok drukarni Pinard, na „Wolterowym Wybrzeżu”, pod nr 11, powstała księgarnia pod firmą Hector Bossange et Januszkiewicz; fundusze były Francuza, praca, stosunki i zapobiegliwość Polaka. Eustachy Januszkiewicz dbał o to, aby wszystko, co wychodziło polskiego na emigracji, wysyłać do kraju i sprowadzać druki krajowe na emigrację. W czwartym dopiero roku uchodźstwa została otwarta drukarnia polska pod firmą Al. Jełowicki i S-ka, połączona z księgarnią i domem komisowym.

«Z młodości naszej pamiętamy żywo — pisze L. Gadon — jakie te książki przybywające nie wiedzieć jakimi drogami niosły ze sobą urok. Witaliśmy je jak zesłańców sfer lepszych, a kryliśmy się z nimi jak ze zbrodnia jaka Chwaliśmy je w wydrążeniu drzewa starego, lub w innej niedostępnej kryjówce. W zaufanym kółku czytano je wśród nocnej ciszy, przy drzwiach zamkniętych i zasłoniętych oknach; słuchano w skupieniu, z drżącym sercem...

Książki krawczyły z rąk do rąk, z powiatu do powiatu, szły dalej do Moskwy, Petersburga, Dorpatu; przepisywano zeń długie ustępy, uczono się na pamięć. Kiedy egzemplarz wydany w Warszawie lub Wiedniu trafiał do jednego lub kilku czytelników, to książka polska drukowana w Paryżu, miała ich sto, miała ich dwieście... Nieraz ten co ją przewoził szedł do więzienia lub na zesłanie, ale i tam nawet, do głębi Rosji, i dalej, istic cudownym sposobem, dolatywały te kartki od braci znad Sekwany, przynosząc pociechę i nadzieję.»⁶⁾

Poza pismami ulotnymi, wzmiankowanymi wyżej, zaczęto niezwłocznie tłoczyć też czasopisma, będące w pierwszym rzędzie na usługach stronnictw politycznych. Były one liczne, ale nągół krótkotrwałe, wydawane często nie periodycznie, dwa albo trzy razy miesięcznie lub kilka razy do roku, bez stałych tytułów, często bez dat, dla obejścia powinności składania znacznej kaucji, wymaganej od publikacji periodycznych; kaucja, przy zakładaniu gazety, wynosiła wówczas 100 tys. franków, a stempel i inne koszty pociągały dalsze, bardzo znaczne wydatki.

Poza czasopiśmiennictwem, literatura emigracyjna, w pierwszych latach ograniczała się prawie wyłącznie do poezji i pamiętników o charakterze relacji historycznych.

«Dziecko burzliwych okoliczności — pisał Stanisław Ropielewski w sprawozdaniu wyżej wzmiankowanym — literatura emigracyjna nosi wydatne znamię wojującej, namiętnej polityki. Historia tam przybrała gwałtowne, polemiczne kształty, ówdzie pod umiarkowańszym piórem wyszła na założona legendę, której ukrytym morałem jest narodowy okrzyk: do broni! Próby filozoficzne, wprawdzie przelotnie po pismach czasowych jawione, zdradzają tę ogólną pochyłość rozumów ku działaniu. Teoria sztuki, ile można miarkować z rozmów jej lubowników, z głośniejszych sympatii ku pewnym pisarzom, z przedmów do dzieł niektórych, nie chce już chodzić jedno w parze z politycznymi i społecznymi teoriami. Wolno bajce nie mieć dowcipu, byle miała «zasady». Romans co po dziś dzień malował obyczaje, uważał grę namiętności, odsłaniał serdeczną, domową stronę historii — porzucił teraz te wszystkie zatrudnienia i został emisariuszem... Jest to szaf święty, to upojenie się jedną myślą, tak że nam wiecznie przytomna, że się miesza do wszystkich ruchów

naszego rozumu, do wszystkich kształtów jakie chce kreslić wyobraźnia, że jest wieczystą przedzą snów naszych. Ów szaf, on tylko nas doprowadzić potrafi do przystani, on jest błogosławieństwem i darem Bożym dla ludzi co już spędzeni z koła zwyczajnych prawdopodobieństw. Tak uważając ten zalew duchowego światła od myśli i namiętności politycznej mamy go nawet za prawdę estetyczną. A jeśli to jest fałszem w rzetelnym pojęciu sztuki to nas usprawiedliwi następne pokolenie, że robiąc broń ze wszystkiego dla wywalczenia im wolności, nabijaliśmy kusze blokami marmuru, zamiast z nich ciosać posągi, a duto przeznaczone na wydobywanie piękności z opoki zmieniliśmy na sztylet aby nim sięgać serc wrogów.»

Emigracja nie zdobyła się w owe lata na żaden dziennik, mimo że prasa codzienna była już od W. Rewolucji potęgą we Francji.

Po francusku ukazało się kilka prac, jakbyśmy dziś powiedzieli, propagandowych, jak np. *Les Polonais et les Polonaises*, ou 100 portraits et biographies des personnes qui ont figuré dans la dernière guerre, tomes 1-2, 1832-37, pod redakcją Józefa Straszewicza; tegoż autora *Armée Polonoise, costumes militaires* — w 12 zeszytach (1835 r.), biografia Emilla Plater i in.

Były też wydawane, staraniem stronnictwa arystokratycznego, dwa czasopisma: *Souvenirs de Pologne historiques, statistiques et littéraires* (lata 1833-34) pod redakcją Karola Hoffmana, Józefa Straszewicza, Bronikowskiego i Jełowickiego (wyszło 14 zeszytów) oraz *Le Polonais, Journal des intérêts de la Pologne*, pod redakcją Władysława Platera, w latach 33-36 (wyszło 6 tomów in 8^o); obie te publikacje były bardzo pogardliwie oceniane przez demokratów.

Obok tych kosztownych i prawdopodobnie mało skutecznych imprez, istniała inna francuska, całkiem samorzutna i nawet dochodowa a sięgająca w szerokie warstwy społeczeństwa francuskiego, było to przedstawienie w Cirque Olympique.

Już w grudniu 31 r., mimo niechęci rządu do Rewolucji Polskiej i jej sprawców, mimo trwającego podniecenia umysłów, cyrk ten wystawił co dnia, w ciągu kilku miesięcy bez przerwy, sztukę pod tytułem „Les Polonais”, w której różne epizody powstańcze były obrazowo odtworzone.

«Teatr ten — pisał w styczniu 32 r. Michał Podczaszyński, redaktor *Pamiętnika Emigracyjnego* — jest dramatyczno-koński, a jego kawaleria szarżuje, strzelają z armat, z karabinów, rzucają bomby, sypią kartaczami.

«Panna Platerówna ze dwadzieścia razy bije Moskalów na czele swoich ułanów, szkoda, że niezasłużone imię Platerów na tym zyskuje...

«Wystawiany jest i pan Joachim Lelewel w jaratacce (sic!) i czapce rogatej, z czego niechybnie się roześmiał, patrząc z parteru. Le Nonce Lelewel jest żwawy junak z podkaszanyimi polami, bije się jak lew z Moskalami a sam wzrok jego zabija Dybicza...»

Zważywszy, że w grudniu 31 r. było Polaków jeszcze bardzo mało w Paryżu, około 100 najwyżej, jasne się staje, że nie oni to, ani też nie dla nich wystawiano owe „dramatyczno-końskie” widowisko.

6) Ludomir Gadon: *Emigracja Polska*, Kraków 1901, t. III, str. 288.

byli: **Pamiętnik Emigracji, Pielgrzym Polski** oraz **Kronika Emigracji Polskiej** — organ konserwatystów. **Pamiętnik** wydawany przez Michała Podczaszyńskiego, przyjaciela Mochnackich (pod hasłem **Niepodległość, Całość, Wolność**), wychodził pod postacią broszur z nazwami kolejnych książek i królów polskich. Nr 1 nosił datę 1. VII. 1832 r. Prawdopodobnie dla oszczędności papieru drukowany był bardzo drobną czcionką, ale o bardzo ładnym, wyraźnym i bezbłędnym składzie.

Duszą czasopisma był Maurycy Mochnacki, jego twórcza i do ostatniej chwili dynamiczna inteligencja, niewyczerpana żywotność, przenikliwy zmysł krytyczny nadawały charakter piśmiu. Ideolog i działacz, był Maurycy ponadto znakomitym stylistą, a artykuły tego, już śmiercią naznaczonego człowieka, nie straciły do dziś dnia swego blasku ani tętna.

Artykuł wstępny Podczaszyńskiego wyjaśnia nam zamiar redakcji zostawienia każdemu piszącemu, w odniesieniu do opinii politycznej i filozoficznej, zupełnej wolności, jako że każdy z tułaczy walczył za Ojczyznę, Wolność i Cywilizację, żaden więc z nich

«z namysłu, z systematu, z interesu nie może być obrońcą reprezentowanych dogmatów zgubnych Ojczyźnie. A jeżeli się znajdzie taki co błędem i nieświadomości tylko swojej winien był zaszczyt walczenia za najświętsze prawa Ojczyzny i ludzkości, lepiej niech się objaśni, porzuci chlubne dla narodu tułactwo i pójdzie używać pożądanego sobie szczęścia pod rządem moskiewskim».

Pamiętnik obiecywał sobie wystrzegać się znieślawień, „aby pozostałych w kraju ziomków obrazem niezgód naszych nie zamazać”, postanowił sądzić raczej czyny niż osoby, raczej osoby niż partie.

W 2-gim n-rze **Pamiętnik Emigracyjny** zamieścił **Hymn Lamena's'go** na cześć Polski datowany: Rzym, Kwiecień 1832 r., którego każda zwrotka zakończona jest słowami: „Śpij o Polsko, śpij w pokoju w tym co oni nazywają twym grobem, ja wiem że to Twoja kolebka”.

Od 1-go także n-ru, tj. od lipca 32 r., zabiera Mochnacki głos w sprawie, która roznamiętnia całe uchodźstwo: jaką postawę mają zająć Polacy w razie nowej wojny lub rewolucji we Francji? Mochnacki stanął na stanowisku najściślejszej neutralności.

«Zadużyła się Europa naszemu zacnemu ludowi — pisał. — W nagrodę 10-ciu wieków granicznej straży nie używała nam żadnej pomocy. Po tylekroć konaliśmy w jej obliczu!... Skutkiem bliskich i nieprzewidzianych wypadków Polska odzyska zapewne swą udziałność i całość, ale już to bez nas się stać powinno...».

Mochnacki ostrzegał przed „polską powolnością śpieszenia na lada wezwanie w zgiełk orężny”; byłoby to, jego zdaniem, „kazić szczytki powstania narodowego najemną tylko usługą, pod dorywczym sztandarem... Krew nasza tylko dla Polski!” — dowodził.

Równocześnie gen. Bem, jeden z najmłodszych i najzdolniejszych generałów powstania, cieszący się zaufaniem żołnierzy, zaczął werbować wojskowych do legionu Don Pedra portugalskiego przeciw Miguelowi, w myśl „zebrania rozproszonych braci w jedno ciało i zachowania go do dalszych usług dla kraju”. Bemowi chodziło o tę zbrojną reprezentację, o zachowanie emigracji egzystencji na prawach obywatelskich opartej w chwili, kiedy Polacy są zewsząd wyganiani, wszędzie przesładowani, więzieni.

Książę Czartoryski udzielił swego moralnego poparcia Bemowi, ku oburzeniu obozu republikańskiego, który pomawiał księcia o to, że „kupczy polską krwią”, a z Bema zrobił swego „faktora”.

Zdaniem Mickiewicza, „wszędzie tam gdzie jest ucisk wolności nie powinno zabraknąć polskiego oręża, bo to jest dalsza walka o ojczyznę”. Ale ani następstwo tronu portugalskiego ani podbijanie wolnych plemion Berberów w algierskiej Legii Cudzoziemskiej nie były walką o wolność.

„Krew nasza dla Polski” — dowodził Mochnacki. „Krew nasza dla Wolności” — pisał Mickiewicz. „Zachować zbrojną reprezentację narodu, inaczej wszystko się rozpręgnie” — powtarzał Bem.

Pielgrzym Polski (wychodził od końca 32 do końca 33) był poświęcony polityce i literaturze narodowej. Wydawał go Eustachy Januszkiewicz pod wezwaniem **Wiara i Wolność**. Podobnie jak **Pamiętnik** ukrywał swój charakter periodyczny, tytułując kolejne zeszyty nazwiskami zasłużonych Polaków. Współpraca w nim Mickiewicza była publicystycznym rozwinięciem ideologii Książki Pielgrzymstwa: aktywizmu i legalizmu politycznego w oparciu o zasady etyki chrześcijańskiej. Demokracja przezwali **Pielgrzyma** „pobożnym” i „jezuickim”.⁷⁾

Pismo obiecywało sobie ułatwianie w nabywaniu wiadomości o tym, co się w Polsce i na różnych punktach emigracyjnego rozproszenia dzieje, powiadamianie o głównych w świecie politycznych wypadkach..., o zmianach, którym Europa z kolei czasu ulega, w celu zastąpienia gazet zagranicznych. Pismo postanawiało rozwijać zasady z rzetelnym interesem Ojczyzny i postępem ludzkości zgodne.

Wiadomości z Polski pt. „Rzeczy Narodowe” były uwzględniane w całej prasie ówczesnej. Czytamy więc o rejestracji szlachty w prowincjach tzw. zabranych, o wysiedlaniu tysięcy rodzin z Litwy i Podola w głąb Rosji lub na „stepy Kaukazu”, o 15-letniej służbie wojskowej dla mężczyzn, którzy nie mogą papierami lub majątkiem wykazać swego szlactwa; czytamy,

⁷⁾ Wybór publicystyki Mickiewicza opracował i poprowadził obszernym wstępem Tymon Terlecki, wydając pt. **Słowa do Emigracji i słowa do Europy**. Londyn, 1948.

że amnestia dla żołnierzy rewolucyjnych dotyczy tylko tych, co służyli w wojsku polskim przed 29. XI., reszta zaś to zwykłe buntownicy, którzy będą odpowiednio za winę swoją karani.

Pamiętnik donosił o mnóstwie rozporządzeń, mających na celu zniszczenie narodowości, zepsucie i znikczemnienie narodu; pisał o wywożeniu drobnych dzieci w głąb Rosji, tych mianowicie, których matki, zwabione obietnicą opieki cara nad ubogimi, rejestrowały się jako będące bez środków do życia. Ich małe trupy znaczyły drogi, wiodące do Rosji, inne bywały przez konwojentów sprzedawane Żydom lub chłopom okolicznym.

Czytamy w prasie ówczesnej o partyzantkach, kryjących się w Puszczy Białowieskiej, obliczanych na kilkanaście tysięcy ludzi, unikających Syberii i srogiego prześladowania, a toczących formalne bitwy z wojskiem, wysyłanym na ich wytopienie (Moskale podnosili jakoby tę cyfrę do kilkudziesięciu tysięcy).

Czytamy, że order Polski Niepodległej Virtuti Militari „wisł na piersiach każdego Moskala... najpodlejszego ciury i pomywacza lazaretu” z wojska rosyjskiego, oblegającego Warszawę i w całości odznaczonego tym polskim krzyżem wojskowym... że w Warszawie nie widać polskich twarzy: brodaci woźnice wożą wyorderowanych wojskowych..., brudne markietany rozłożyły swoje targe aż pod Kolumnę Zygmunta, nie płacą podatków i rujną handel miejscowy..., place Warszawy w nocy zawsze uzbrojone w armaty, czerńcy patrolują po ulicach i zatrzymują kogo się podoba..., że jednak stolica z godnością znosi swoje nieszczęście.

Przedrukowane listy „znad granicy pruskiej” donosiły o masowej translokacji urzędników, ci co dotąd biegle nie mówią po rosyjsku tracą posady..., łapanie po traktach wieśniaków i mieszczan jest na porządku dziennym; zauważono również nocne transporty więźniów ewakuowanych do Rosji; ludzie żyją w ciągłym lęku przesiadłeń..., odbywa się dalszy pobór dzieci...

Pielgrzym informował o kasowaniu zakładów naukowych, o przymusowym wprowadzaniu wiary prawosławnej, języka rosyjskiego i rosyjskich zwyczajów, „a wśród nich najokropniejszej zarazy przedałości i szpiegostwa”, wspomina o niszczeniu kraju przez nałożone nowe podatki, o ustanawianiu sądów kryminalnych wojennych, o zakładaniu tysięcy nowych więzień w całej Polsce, o zdzierstwach urzędników i prześladowaniach wszelkiego rodzaju.

A oto cytat „z listu zza Niemna”:

„Litwa najsmutniejszy obraz przedstawia, wszędzie prześladowania, wszędzie rozpacz i nieszczęście... Cały kolosalny majątek Eustachego Sapiiehy skonfiskowany. Z pałacu jego w Dereczynie wszelkie ruchomości (srebra, posągi zbierane pokoleńiami) wywiezione zostały do Białegostoku... Dobra pułkownika Adama Sołtana, marszałka nowogródzkiego, gen. Tadeusza Tysskiewicza, Józefa Kaszyca i tysiąca innych zostały również skonfiskowane, tak że żony ich i dzieci bez przytułku i bez kawałka chleba zostają...”

Zauważmy, że za naszych dni, po raz zapewne ostatni, wracają nie tylko te same nazwiska, ale nawet te same imiona. Eustachy Sapiieha, b. minister Spr. Zagran. aresztowany w 1939 r. został wyrokiem sądu Moskiewskiego skazany na karę śmierci za podpisanie traktatu pokojowego w Rydze, traktatu zawartego z obustronną i niczym nie przymuszoną zgodą... Ofensywa niemiecka i stalinowska „amnestia” zachowywały go przy życiu za to major Adam Sołtan, Jeniec Starobielska, wraz z kilku tysiącami polskich oficerów zaginął bez wieści, pozostawiając podobnie jak tamci sprzed wieku „żony i dzieci bez przytułku i bez kawałka chleba.”

„Rodacy nasi — czytamy w **Pamiętniku** — nie żądają dla nas amnestii owszem, wszyscy piszą: nie wracajcie, nie wracajcie! Car publikuje podanie obywatelstwa wołyńskiego o amnestię dla emigrantów, chce zmusić Francję aby Polakom przytułku i wsparcia nie dawała... aby Polacy gwałtem wparci do Polski powiększyli tam liczbę ofiar jego tyranii...”

A oto jeszcze jedna wiadomość z listopada 32 r.:

«Donoszą z Warszawy, że na skutek ponawianych żądań cara Mikołaja rząd angielski odwołał Pana Clifford, konsula swojego w Warszawie, powodem tego miało być ułatwienie przezeń korespondencji tułaczów polskich w Londynie z ich rodzinami...»

«Opowiadajcie to wszystkim przyjaciółom wolności — przytacza **Pamiętnik** urywek z listu z Warszawy pod datą 5. VI. 32 r. — a jeżeli spokojni mieszkańcy Europy nie dadzą Wam wiary, powiedzcie im, że może kiedy swego niedowiarstwa szczerze żałować będą, równie jak i my, kiedyśmy skargi dawniej jęczących pod jarzmem za przesadne uważali...»

Historia się powtarza.

«Prosty lud polski — czytamy w tymże liście z Warszawy — odebrał szczególniejsze usposobienie od natury iż ma najmocniejszą wiarę w rychłe wybawienie i jakąś upartą wesołość w nieszczęście... Według niego Francja lub Węgry są już o kilka mil od Warszawy...»

Oczekiwanie tej rychłej wojny dźwięczy echem w prasie i korespondencjach ówczesnych. W kraju oczekują Francuzów pod wodzą gen. Lafayette i straszą w ulicznych kawałach Moskali tym dobrodusznym prezesem wszystkich Komitetów Pomocy Polakom, szczerym przyjacielem sprawy polskiej, ale bezsilnym już wtedy starcem.

Na emigracji jedno złudzenie goni drugie. Każda reperacja dróg, budowa mostu, manewry wojskowe, zdawały się zapowiedzią upragnionego poruszenia.

„Długo to nie potrwa — pisał M. Podczaszynski do Kraju w marcu 32 r. — Ministerstwo upadnie a wojna na wiosnę prawie niewątpliwa...»

«O niczem też Polacy nie myślą, niczego więcej nie pragną, jak jakiego stanowczego poruszenia» — donosi Kamil Mochnacki rodzicom w grudniu 32 r.

«Wielkie armie koalicji rozpoczynają strategiczne poruszenia. Prędzej może jak się spodziewamy Emigracja polska ruszy w awangardzie rewolucji — stwierdzał Maurycy M. w listopadzie tegoż roku — dla tej przyczyny nie wiem, jak wiele wolnego czasu mieć będziemy...»

W dwa lata później wszyscy trzej już nie żyli, a ów „wolny czas” do następnego „poruszenia” trwał dalszych lat 14.

W wiadomościach dotyczących polityki francuskiej, słyszymy ton zawodu i rozgoryczenia:

Pielgrzym z 2. XII. 32 konstatuje, iż

«Imć Król Francuzów przy otwarciu Izb raczył o Polsce w mowie swojej zapomnieć... Izby w odpowiednim adresie zachowały podobne milczenie... P. Broglie, Minister Spraw Zagran. przedstawiał potrzebę nadzwyczajnego umiarkowania, żeby nie obrazić Rosji, a raczej Cara Mikołaja...

«Taka jest zasada wszystkich ministeriów i rządów! — komentuje **Pielgrzym** — one woła raczej ściągnąć na się przekleństwo ludów aniżeli niełaskę jednej z głów koronowanych».

Nie brak nawet w ówczesnej prasie działu poszukiwań, ujętych w formę ogłoszeń, niczym nie różniących się od dzisiejszych.

W ostatnim półroczu części 2-giej **Pielgrzyma** znajdujemy pismo pt. „List Apostolski” z Warszawy. List ten nie ma ani daty ani podpisu; wyjmujemy z niego następujący cytat:

«Każdy z was, gdyby był pozostał w kraju byłby niemym i ślepym i głuchym na sprawę ludów i prawdy; lecz skazawszy się na dobrowolne wygnanie, przestając na jednej sukni i na takim pożywieniu jakie u kogo zostanie, każdy z Was stał się Apostołem Słowa Bożego, oświecającego wszystkie ludy i każdy w miarę swojej wiary czyni cuda...».

Tak styl jak i duch tego listu, jego żal do faryzejskiego rządu Francji, dążenie do reform społecznych w oparciu o chrześcijańskie odrodzenie ludzkości zdają się być echem wskazań Księga Pielgrzymstwa. Kto był jego autorem? Czy istotnie pochodził z kraju? Żaden komentarz tego nie wyjaśnia.

Odrębną i pożądaną godną rolę odgrywała **Nowa Polska**, specjalizująca się w oszczerstwach, fałszywych doniesieniach i szkalowaniu wszystkich i wszystkiego. Temu też niestety zawdzięczała przetrwanie blisko 12 lat z kilku przerwami, czyli dłużej niż jakiegokolwiek pismo emigracyjne. Był to też jedyny periodyk, który rząd rosyjski niekiedy dopuszczał do kraju, przytaczając zeń nawet dłuższe ustępy dla zohydzenia emigracji.

T.D.P. (organ Towarzystwa Demokratycznego) ukazywał się od sierpnia 32 do końca 33, w sumie tylko trzy zeszyty po 30 stron; **Demokrata Polski** pojawił się dopiero w 1838, wydawany w Poitiers jako pismo polemiczne.

Za motto przyjął podstawową wypowiedź **Manifestu Towarzystwa Demokratycznego**:

Polska Niepodległa, Polska Demokratyczna;

Wszystko dla ludu, dla wszystkich, wszystko przez lud, przez wszystkich;

Przez Towarzystwo dla Polski, przez Polskę dla ludzkości.

Demokrata głosił, że dwie tylko w Polsce mogą być opinie: arystokratyczna, czyli konserwatywna i demokratyczna, dążąca do wszechwładztwa ludu; liberalne, środkowe opinie nie mogą

— zdaniem **Demokraty** — być podstawą żadnej budowy.

Towarzystwo Demokratyczne uznawało konieczność działania bezpośrednio na kraj przez emisariuszy.

„**Wołaliśmy** — pisał jego organ — że emigracja nie jest krajem, że zbawienie Polski na jej wewnętrznych siłach, ale nie na siłach tułactwa polega, że obowiązkiem jest tułactwa rozbierać przeszłość, rozjaśnić zasady, przenieść je do kraju, aby zaszczerpione w masach obudziły ich energię i stały się ogniskiem, jednoczącym wszystkie siły Polski” (podkreślenia w tekście).

Jednym z dalszych już w rozwoju swoim, ale prawdziwie płodnych i najtrwalszych przedsięwzięć ówczesnej emigracji było założenie Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Powstało ono w kwietniu 1832. Podstawowy artykuł ustawy opiewał, że „zadanie Towarzystwa będzie zbierać i ogłaszać materiały dotyczące Królestwa Polskiego, jego obecnego położenia lub pomyślności przyszłej a to w widoku zachowywania i ożywiania w opinii narodów spótcucia, które dla Polski okazywały...”.

Założycieli było tylko 13, w ich liczbie generałowie Bem i Umiński, dyplomaci Ludwik Plater, Teodor Morawski, Aleksander Walewski, ludzie ustosunkowani jak Wołowsy ojciec i syn oraz inni.

„Nowemu stowarzyszeniu — pisze L. Gadon — nie tyle o uprawę literatury chodziło, była to raczej garstka patriotów, którzy ręką pozbawioną teraz szabli lub bagnetu, chwyтали za pióro aby nim dalej bronić sprawy”⁸⁾

Stowarzyszeni nie mieli swego lokalu, zbierali się kolejno u różnych członków, a nie mając też własnego pisma, bronili sprawy w różnych przychylnych Polsce gazetach. W tym celu podzielono się na sekcje, z których każda śledziła pewną klasę pism:

1-sza — dzienniki opozycji konstytucyjnej,

2-ga — republikańskie i legitymistyczne (karlistowskie),

3-cia — ministerialne,

4-ta — krajowe, emigracyjne oraz niemieckie i angielskie.

Każdego roku, aż do 1848, przed zgromadzeniem Izb francuskich, Towarzystwo układało memoriał, przedstawiający w zwięzłych słowach kwestię polską. W formie drukowanej pismo to było następnie rozdawane wszystkim parom Francji i deputowanym, zaś ks. Adam Czartoryski, prezes Towarzystwa, usiłował na podstawie osobistych stosunków zyskać w Parlamencie mówców za Polskę.

Polska Biblioteka Publiczna, przeznaczona na własność narodową, powstała oficjalnie w 1838 r. z połączenia zbiorów trzech

8) Z życia Polaków we Francji, Paryż, 1883.

sekcji Towarzystwa (historycznej, literackiej i statystycznej) i szybko się bogaciła darami żywych i legatami zmarłych członków i sympatyków. Własny dom, jako siedziba dla Biblioteki, okazał się z biegiem lat koniecznością. Odezwa wzywająca do datków na kupno domu w Paryżu, którego koszta obliczono na 100 tysięcy fr., została rozesłana po emigracji, docierając także do kraju. Krytycy zamierzenia dowodzili, że ważniejsze od konserwacji literackich pamiątek byłoby wystawienie polskiego kościoła w Paryżu, albo ufundowanie Towarzystwa Opieki nad ubogimi rodakami, ale były to głosy odosobnione, projekt zyskał na ogół duże uznanie, datki płynęły zewsząd, także z kraju.

«Nie pojmuję, aby cokolwiek miano przeciw Bibliotece — czytamy w jednym z listów do prezesa Komisji w odpowiedzi na odezwę — ... zarzut o ubogich, żadnym zarzutem. Naród jest wyższym pojęciem niż choćby najniezwyklejsze w nim indywidualia... Naród, który by już nie pojmował takich ofiar i pomników i zakładów przestałby tym samym być sobą samym...

Dla idei narodowej tem one, czem obrządki i kościoły dla Boga, tem czem dla Chrystusa balsam wylan na Jego stopy przez Magdalene o którym także szemrali uczniowie, a mianowicie Judasz... Są idealne rzeczywistości tak samo potrzebne życiu ludzkości, jak chleb dla łaknących chleba. Chleb dla duchów i chleb przeznaczony duchom, na to aby umiały szlachetnie i godnie dźwigać szatę ciała. Głosuję za Biblioteką!»⁹⁾

Słowa tego anonimowego listu pochodziły od zawsze hojnego na cele narodowe Zygmunta Krasińskiego.

Kupno domu dla Biblioteki Polskiej przy Quai d'Orléans 6, na wyspie św. Ludwika, dokonane zostało w końcu 1853 r.

Analogii, wynikających z tego związłego zestawienia ważniejszych dążeń i poczynań Wielkiej Emigracji nie potrzeba podkreślać.

„Tak dłużej trwać nie może...” — mówimy jak tamci, i jak ślepi i chromi na krążgankach otaczających ewangeliczną, Owczą Sadzawkę po żydowsku zwaną Betsajda, czekamy poruszenia wody. Ale Anioł Pański zwleka.

Od dziesięciu lat, pod ciężarem tęsknoty albo ucisku nad miarę sił ludzkich, złożywszy haracz krwi nieznanego w dziejach Polski ogromu, poniósłszy nieobliczoną sumę ofiar, przetrząsnawszy wszystkie prorocтва, zbadawszy Apokalipsę, rozpytawszy jaśnowidzów, miarkując znaki na niebie i ziemi — zapytujemy nadal trwożnie: jak długo jeszcze i skąd przyjdzie zbawienie?

Dziś, jak wtedy, liczymy procesy dziejowe własnym trwaniem — na lata, niekiedy na dni. Zwykła choroba niewoli, zwodnicze fatamorgana tułactwa, nadzieje na ludzką miarę.

Tamto pokolenie zostawiło nam w testamencie swoje doświadczenie, a w tym doświadczeniu swój **rozkaz**.

⁹⁾ Cytuje Gadon: Z życia Polaków we Francji, str. 68.

Trzeba nam się uczyć, jak ów męzny pływak z przypowieści Słowackiego, **oddychać pod wodą**, i po omacku badać drogi, którymi pójdzie Ojczyzna ku następnemu wcieleniu, drogi te torować i nie zwątpić jeżeli my Jej twarzą w twarz nie spotkamy. Wody Owczej Sadzawki będą poruszone, bo tak długo trwać nie może.

Maria CZAPSKA.

Artykułem Marii Czapskiej rozszerzamy dział **NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKIEJ na historię polskich walk wyzwoleniczych w XIX w. i historię emigracji. Jest to historia może nie najnowsza, ale zawsze aktualna, a przy tym prawie nieznaną szerszemu ogółowi.**

W następnych numerach ukażą się z tego cyklu artykuły

ALEKSANDRA GROBICKIEGO:

ROZBITKOWIE POLSCY NA AMERYKAŃSKIEJ PUSTYNI.

Dzieje 235 Polaków-żołnierzy, deportowanych w 1833 roku z Austrii do Stanów Zjednoczonych A. P.,

oraz

EMIGRACJA POLSKA I FRANCUSKA LEGIA CUDZOZIEMSKA

w latach 1832-1836, zawierający m. in. po raz pierwszy publikowaną listę oficerów i podoficerów polskiego batalionu Legii Cudzoziemskiej w 1832-1835.

**POLSKA
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE**

p. n.

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY, WIADOMOŚCI i ORLA BIAŁEGO.**

Kronika kulturalna

Wystawa T. Potworowskiego

Sądzę, że jedną z najbardziej istotnych cech malarstwa europejskiego jest jego różnorodność, jego złożoność. Uśmiech Madonny Cimabue'go był niejako uchyleniem tamy, nałożonej malarstwu średniowiecza przez konwencjonalizm bizantyński. Giotto odkrył boskość Chrystusa w Jego człowieczeństwie. Był on pierwszym humanistą w malarstwie. Perspektywa, przestrzeń, pejzaż, stały się tłem dla uwypuklenia dramatu Człowieka. Od tam każdy artysta stara się go pokazać na swój własny sposób, swymi środkami — dać swoją własną wizję, swoją koncepcję malarską człowieka i świata.

Każda indywidualność malarska jest zwierciadłem swej epoki i jednocześnie zalaźnią przyszłości. Malarz daje obraz świata w którym żyje, — zagadnień, które go interesują, problemów, będących istotą jego twórczości, realnością dotykającą, żywą i widzialną. Dlatego też realizm nie może być jeden. Cézanne, van Gogh, Renoir, tworzą w jednej epoce, w tym samym kraju, ba, prawie w tym samym otoczeniu, lecz reakcje ich na podobne zjawiska są całkowicie różne — stąd wizje malarskie, wspaniałe, pełne, realne i zupełnie odrębne.

Jednostka piętnuje swoją epokę w tej samej mierze, jak i epoka odbija się na twórczości artysty. Picasso jest malarzem XX wieku, zarówno jak Matisse, Chagal, Bonnard, czy Rouault. Czasy nasze są nie tylko wiekiem bomby atomowej, lecz również konstrukcji żelazo-betonowych, penicyliny, kina, radia i koców elektrycznie ogrzewanych. Nie należy jednak zapominać, że fizjologia człowieka od setek tysięcy lat nie zmieniła się, tak jak nie zmieniły się pewne reakcje psychiczne i pewne prastare formy życia.

Świat jest pełen bogactw, obok których przechodzimy z zamkniętymi oczami. Artysta, malarz, o wrażliwości wiecznie świeżej, niestępionej monotonią i rutyną codzienności, przeżywa ciągle nowe wzruszenia i pokazuje je w coraz to nowej formie, która zdumiewa i cieszy, gdyż ta forma jest prawdziwa, — re-

alna, tylko trzeba ją umieć zobaczyć. Przeżycia artysty, z chwilą skryształizowania się w pewną formę twórczą, stają się własnością publiczną. Siła ekspresji, suma emocji, wywołanych zawartością dzieła, jego walorami czysto indywidualnymi, stanowią o właściwym jego ciężarze gatunkowym. Talent, intuicja, kultura i inteligencja składają się na całokształt osobowości artysty i decydują o jego twórczości, która jest jego rzeczywistością, narzuconą, a raczej narzucającą się właśnie przez indywidualność twórcy.

Obrazy Potworowskiego otwierają nam ową rzeczywistość, żywą, odrębną i przedziwną. Im dłużej patrzy się na te płótna, o barwach jasnych, łagodnych, naświetlonych, tym bardziej ulega się czarowi ich atmosfery intymnej, trochę tajemniczej i poetyckiej. Potworowski operuje tonami lekkimi, złamanymi, i dźwięku w sumie jednak bardzo czystym: Obrazy jego mają jak gdyby nalot srebrzystego, rozpylonego światła — nawet w „Czerwonym pokoju”, który jest przecież malowany w różowym zmięczeniu. Kontrastów prawie że nie ma. Czerwienie i zielenie są w takim nateżeniu, że harmonizują ze sobą i tworzą akord. („Czerwona parasolka”, „Czytająca dziewczynka”). Czernie, powtarzające się dość często, są bardzo szlachetne i w gamie tonów lekkich, są mocnymi akcentami, podkreślającymi i wiążącymi elementy kompozycji. Struktura obrazów jest przeważnie niezwykle prosta. Potworowski ogranicza się do zestawienia dwóch, trzech, czterech kolorów, lecz gradacja ich jest tak subtelna, tak wyrafinowana, iż w sumie robią wrażenie niezmiernego, lecz dyskretnego bogactwa.

Pejzaże z Sommerset, monumentalne w swej prostocie, są zestawieniem dużych płacht soczystej zieleni, ciemnej i jasnej, zimnego, jak gdyby płaskiego błękitu, drobnych plamek czerni i bieli. W „Kobiecie czeszącej włosy”, w gamie szarości srebrzysto-niebieskich, jeden tylko mały akcent czerni, mocnego błękitu i duża plama szkarłatu, o tonie tak wyszukany, że nateżenie tej czerwieni nie przeważa walorem owych powiernych szarości. „Pokój w prąki” jest znowu stopniowaniem czerwieni, od brunatnego, głębokiego kraplaku, aż do chłodnej różowości.

Forma Potworowskiego jest pełna prostoty, sprowadzona do najprymitywniejszego pojęcia postaci, kwiatu, czy przedmiotu. Uderza świeżością spojrzenia artysty, niewinność oka dostrzegającego każdą rzecz, jak gdyby po raz pierwszy, w jej najistotniejszym znaczeniu malarskim. To absolutne oderwanie się od obiektu, to odrzucenie gotowej, wizualnej „sztancy”, sprawia że każdy przedmiot w obrazie Potworowskiego objawia się w zupełnie niespodziewanej postaci, obnażony i jednocześnie tajemniczy, nieuchwytny przez swą nienazwalność i pewną nieokreśloność. Nastrój owej nieuchwytności, intymnej bezpośredniości, delikatnego sensualizmu, pewnego niedomówienia, promieniuje ze wszystkich obrazów Potworowskiego. Jest w nich atmosfera skondensowanej poezji i liryki, ujętych w formę

plastyczną. Potworowski w swej aurze psychicznej jest bliski „intymistom”: Bonnardowi i Vuillardowi — jest w nim ta sama harmonia, zestrojenie się z wszechświatem, akceptacja życia, wszelkich jego form i przejawów i wypływający z tej postawy spokój, pełnia i ukojenie. Kolor i środki malarskie, wizja Potworowskiego, są jednak jego własnością, jego indywidualną realnością, która wypowiada się w ten a nie inny sposób.

Szereg artystów na terenie londyńskim twierdzi z uporem, iż malarstwo nowoczesne powinno być „abstrakcyjne”. Wydaje mi się, że w zastosowaniu tego określenia do malarstwa kryje się pewne, zasadnicze nieporozumienie. Abstrakcja właściwie jest czystym pojęciem myślowym i nie ma nic wspólnego z elementami malarstwa na wskróś konkretnymi, jak kolor i forma. Jeżeli „abstrakcyjność” w malarstwie uznamy za oderwanie się od obiektu i swobodną jego interpretację, to malarstwo „abstrakcyjne” istnieje od chwili samego powstania malarstwa. „Abstrakcyjny” jest obraz malowany przez średniowiecznego mnicha, czy przez siedmioletnie dziecko, rzeźba murzyńska, czy obraz Picasso. Nie jest to jednak nic innego, jak swoista wizja świata, wizja malarza, plastyka.

Niewątpliwie indywidualność Picassa ciąży na naszej epoce i wycisnęła na malarstwie nowoczesnym pewne piętno, tak jak Giotto, Michał Anioł czy El Greco znaczyli swoje czasy. Nie jest to bynajmniej powód, by malarz nowoczesny musiał naśladować Picassa. Matisse, Braque, Chagal, Utrillo, są z tej samej epoki i każdy z nich ma swoją wizję malarską, osobiste widzenie świata. Odwaga wypowiedzenia się w swej własnej formie jest zadaniem każdego artysty. Potworowski stworzył swój świat i swoją rzeczywistość, która chociaż nie mieści się w ramach kubizmu, czy innych „izmów”, ma tę wielką wartość, że wnosi pewne nowe walory malarskie do wielkiego skarbcza sztuki europejskiej.

Alicja DRWESKA

Książki

Opus Magnum A. Krzyżanowskiego

ADAM KRZYŻANOWSKI: **Chrześcijańska moralność polityczna**. Wydawnictwo Eug. Kuthana. Kraków 1948. Str. 230 in 4°.

W 1939 r., ku jesieni, rozeszły się pogłoski, na szczęście, jak się później okazało, nieprawdziwe, że Adam Krzyżanowski zmarł w więzieniu Gestapo. Napisałem wówczas pośmiertne wspomnienie o mistrzu, które wydrukowałem w paryskim *«Słowie»* St. Mackiewicza, i drugie, które umieścił londyński *Times*. Nie przypuszczałem, że zrzadzeniem łaskawym losu będzie mi dane przesłać po wojnie rektorowi obydwą te wycinki i otrzymać od niego gorące podziękowania za ten makabryczny hołd. Adam Krzyżanowski dał nawet, że w kodycyli do testamentu zarządził by te wspomnienia z paryskiego *Słowa* były odczytane zamiast mów na jego pogrzebie. Mam głęboką ufność, że moment wypełnienia tej ostatniej woli jest jeszcze bardzo odległy: wierzę bowiem w przesąd, że pochowani za życia odznaczają się długą i krzepką długowiecznością. Nie przypuszczałem natomiast, nawet i po wojnie, że po tej «ostatniej posłusze» przyjdzie mi jeszcze wysłubić jako recenzent nowego dzieła Adama Krzyżanowskiego i z całym przekonaniem twierdzić, że ostatnia jego praca jest najlepszą, najpiękniejszą książką, którą w długim i tak owocnym życiu wydał. Napisał ją z tą rozległością horyzontów, umiarem myśli, wszechstronnością sądu, który jest udziałem ludzi, co się do ósmego

krzyżyka zbliżają (w styczniu 1949 Krzyżanowski ukończył 76 lat!), ale również z wigorem, i niekiedy pasją, którą zwykle wiąże się z ludźmi w sile wieku, ba, nieledwie w zranieniu młodości.

Ta młodość umysłu w wieku sędziwym jest zawsze zjawiskiem wyjątkowym, a wśród nas po prostu nieznanym — wszak jako rasa starzejemy się niezwykle wcześnie, z reguły już koło pięćdziesiątki. Nieliczni bardzo wybrani potrafią i w późnym wieku kontynuować badania, do których zaprawili się przez całe życie; i tutaj nazwisko Bruecknera się naturalnie narzuca. Ale do prawdy nie znam wypadku, by w 76-tym roku życia jakiś Polak pokusił się o opanowanie nowej dziedziny, z fachem jego niezwiązanej, i na tym właśnie polu od razu zajął erudycją olbrzymią, myślą systematyczną a głęboką, wreszcie wnioskami, które na najszersze rozpowszechnienie zasługują. Tego właśnie dokonał Krzyżanowski. Znacomity ekonomista, specjalista od pieniądza i skarbowości, podjął się wielkiego trudu w dziedzinie moralności, zahaczając nawet o teologię. I śmiało twierdzą, że gdyby całego jego dotychczasowego dorobku nie było, to jedna praca zapewniłaby mu trwałą pozycję i nazwisko w naszym piśmiennictwie XX stulecia.

Co prawda, te nowe zainteresowania p. Adama nie były niespodzianką dla tych, co go dobrze znali. Od wielu lat wypowiadał w rozmowach prywatnych poglądy, że ekonomia łączy się ściśle z moralnością, że li-

beralni klasycy angielscy byli moralistami. Ale co innego tego typu generalizacja, co innego praca poważna i źródłowa, która ponadto w dużej mierze wykazuje płytkość i niedostateczność założeń moralnych tej właśnie szkoły liberalnej, której całe życie był Krzyżanowski wyznawcą i propagatorem.

Wydaje mi się, że system etyczny i filozofia moralna autora z trzech przede wszystkim wywodzą się założeń. Po pierwsze Krzyżanowski doszedł do przekonania (z którym całkowicie się solidaryzuję), że wszelka moralność nie oparta na dogmatycznych wierzeniach nie ma szans trwałości. Píše (str. 228): «Mahometa zakaz używania alkoholu, podniesiony przez niego do rzędu przykazań religijnych, przetrwał wśród jego wyznawców z dobrym skutkiem przez 12 wieków i upadł dopiero z chwilą zachwiania się wierzeń religijnych. Zakaz tej trześci, wydany przed 30 laty w St. Zjedn., wybitnie świecki, poparty całym autorytetem państwa, ale pozbawiony sankcji religijnej, musiał być zniesiony po 10 latach z powodu jego masowego nieprzestrzegania przez obywateli... Przykład jak mało który wymowny.

Drugie założenie — to rozważenie argumentów, które skłaniają autora do kategorię odrzucenia pragmatyzmu, tzn. moralności, która dzisiaj de facto (choć bodaj nie kanonicznie) stanowi podstawę nauk moralnych sekt protestanckich, przede wszystkim w Anglii i Ameryce, a identyfikuje się z treścią wiary szkoły liberalnej, której sam autor był wyznawcą (oczywiście nie w sensie teologicznym, bo Adam Krzyżanowski nigdy nie zaprzeczał Objawieniu). Znowu najlepiej będzie oddać głos samemu autorowi (str. 14—17):

«...Sceptycy przeważnie uważają rozsądne nagradzanie dobrych czynków i karanie złych za użyteczne, nie dają jednak odpowiedzi na czym właściwie użyteczność polega? . . . Podkreślanie wagi użyteczności przykazań doprowadza do wniosku, że właściwą miarą ich użyteczności jest ich skuteczność. . . Innymi słowy: skutki a nie zamierzenia usprawiedliwiają poczynania ludzkie. . . Jednostronność tego założenia jest widoczna. Z tej zasady wychodząc, trzeba się wyrzec potępienia nawet najgorszych zamierzeń ludzkich, bo kto wie, czy z nich nie wynikną skutki ko-

rzysne. W razie upowszechnienia się podobnych zapatrywań, człowiek zubożałby niewymownie, albowiem zostałby pozbawiony swego najwyższego dobra: zadowolenia, wypływającego z poczucia spełnionego obowiązku. . . Pragmatycy są skrajnymi optymistami, uznającymi życie jako takie za dobro najwyższe i bezwzględne. . . Pragmatyzm nie daje żadnej podstawy do ustalenia hierarchii wartości. . . Program, streszczający się wyłącznie w hasło: «spracuj, idź naprzód» staje się wykonalny dopiero po uzupełnieniu go decyzją zwrócenia wysiłku ku określonym celom, przedstawiającym różne wartości, a nie w gruncie rzeczy jednokowe, jak zakłada pragmatyzm». . . Jeszcze mocniej rozprawia się autor z teoriami irracjonalistycznymi (które woli nazywać woluntarystycznymi), tzn. z wywodami wiary, rozumowo nieuzasadnionymi. Nie ma oczywiście trudności w wykazaniu, że wierzenia podobne są zawsze partykularne, nie powszechne, że oparte są na moralności podwójnej, że zatem prowadzą logicznie do wojen, masakr i ucisku, i oczywiście do obalenia wszelkiego porządku moralnego na ziemi.

Trzecim wreszcie kamieniem węgielnym filozofii Krzyżanowskiego jest przeświadczenie, że moralność chrześcijańska (którą zresztą utożsamia z katolicką, powołując się na Leona XIII i ignorując zalecenia synodów protestanckich) jest najlepszym wyrazem umiaru i złotego środka; opiera się w równym stopniu na przykazaniach wiary jak i nakazach rozumu, na systemie dualistycznym odrębnych bytów duchowych i materialnych, na wierze personalistycznej zarówno w odniesieniu do bytu Boga, jak i poszczególnych ludzi, na odrzuceniu wierzeń partykularnych i pluralizmu moralnego. Píše (str. 28): «Moralność chrześcijańska jest systemem umiaru i harmonizowania pozornie wykluczających się antytez, systemem pośrednim między pierwotnym światopoglądem plemiennym a religiami przesadnie indywidualistycznymi. Religie plemienne, szczególnie symplistyczne i ubogie duchowo, operują po dziś dzień jedną jedyną wartością, a mianowicie wartością więzi plemienną».

Nie mam, rzecz jasna, dostatecznego wykształcenia teologicznego, by móc orzec, czy i o ile to ostateczne założenie można uważać za właści-

wą wykładnię istoty chrystianizmu. Sprawa, sądzę, jest bardziej skomplikowana. Pojęcia złotego środka i idealnego umiaru prowadzą naturalnie do gloryfikacji kompromisu, jako metody rozwiązywania wszystkich problemów. Wydaje mi się, że nie tylko dzieje Kościoła, ale i wszelkich religii dostarczyć mogą licznych przykładów, że nie zawsze kompromisowość była najbardziej charakterystyczną cechą apostołów wszelkich dogmatów. Może więcej prawdy jest w twierdzeniu głośnego katolickiego angielskiego historyka, Christopher Dawson'a, że każdy człowiek czy ruch, który czegoś wielkiego i trwałego dokonał, musiał się wydawać współczesnym niebezpiecznym i obłąkanym fanatykiem. Z przesłanek Krzyżanowskiego wypływa m.in. jego stanowcze potępienie życia pustelniczego, które określa nieomal jako grzeszne, pisząc, że hermitci pozbawiają się największej radości, jaką jest pomaganie bliźnim i czynienie dobra. Pogląd podobny, wielce dzisiaj rozpowszechniony, jest o tyle sprzeczny z doktryną chrześcijańską, że neguje potrzebę zakonów kontemplacyjnych. Zgadza się z arcybiskupem Davidem Mathew (obecnie delegatem Apostolskim w Afryce), że pogląd podobny zapoznaje znaczenie modlitwy w strukturze uniwersalnego Kościoła. Można do tegoż zagadnienia podejść w sposób bardziej świecki. Hostowiec, który nie był klerykiem, podkreślał w «Corona Turrita», że habit zakonny był i jest, zwłaszcza dzisiaj, symbolem wolności i autonomii człowieka wobec przygniatających go maksów społecznych i politycznych. Rzecz ciekawa, że nawet tak racjonalistyczny Kościół angielski robi pewne próby, zresztą mało udane, powołania w swym łonie zakonów kontemplacyjnych i pustelniczych; samo ich istnienie winno ochraniać wyznawców przed zbyt utilitarnym rozumieniem celów istnienia ich organizacji wyznaniowej. Niezwykły rozwój surowych kontemplacyjnych zakonów katolickich w Anglii i wyjątkowy szacunek, którym się cieszą, wykazuje, że odpowiadają one pewnym głębokim tkwiącym potrzebom życia zbiorowego. Jest np. rzeczą znaną (a nie do pomysłenia w Polsce nawet przedwrześniowej), że głośny polityk, b. minister wojny, p. Hoare-Belisha, żyd z pochodzenia, co roku spędza parę tygodni na pobożnych rozmyślaniach w pus-

celni trapistów koło Leicester, i publicznie się tym chwali. Sam ogłądał sznury samochodów, które zwoziły turystów na wieczorne modły w benedyktyńskim opactwie w Buckfast Abbey. Wielki powieściopisarz, Evelyn Waugh, pisał ostatnio po powrocie z Ameryki, że najbardziej w Stanach go zafrapował klasztor Kartuzów w Kentucky i że, jego zdaniem, uczyłizowanie Ameryki zależy od tego, czy podobnych pustelni powstanie więcej, tak, by co 50 mil przynajmniej można było znaleźć jedną. Podobnież znany ateusz i pisarz, Aldous Huxley, od kilku lat zajmuje się niemal wyłącznie literaturą mistyczną oraz architekturą katolickich nagrobków. Moralność chrześcijańska, jak píše sam Krzyżanowski (str. 28), «stara się o równomierne uwzględnienie wszystkich trzech kategorii wartości: indywidualnych, państwowych względnie narodowych oraz ogólnoludzkich» życie pustelnicze jest może skrajnym przejawem moralności indywidualnej, ale w czasach, gdy prawa jednostki są szczególnie gwałcone i negowane, szczególnie cenne i pożyteczne. Bardziej cenne dzisiaj, niż np. w anarchicznej Polsce przedrozbiorowej, gdzie właśnie potrzebowałismy karnego zakonu Jezuitów. Zresztą spór ten nigdy nie będzie i nie może być rozstrzygnięty. Ostatnio wybuchł tutaj na tle przepięknego filmu francuskiego o św. Wincentym a Paulo, w którym ów wielki święty dość lekceważąco wyraża się o innych duchownych zajętych wyłącznie liturgią i modlitwą. To jedno zdanie wywołało w tutejszej prasie katolickiej niezliczone listy z protestami, choć popierali je liczni aktywiści, którzy, opanowani szalem proselitycznym, właśnie w misyjnym ekstraspekcyjnym żywocie św. Wincentego upatrują wzór i ideał.

Dzielo Adama Krzyżanowskiego nasuwa i szereg innych refleksji. Sądzę, że oddaje ono w sposób wcale ścisły poglądy polityczno-moralne, którym Kościół w obecnej swej fazie hołduje. W rzeczy samej, wypowiedzi Krzyżanowskiego wykazują daleko idącą zbliżność z poglądami czołowych katolickich pisarzy angielskich, choć z przypisków nie wygląda, by był bliżej z nimi obznajomiony. W szczególności opinie krawkowskiego uczonego wykazują ciekawą analogię do nauk, głoszonych przez wielkiego katolickiego history-

ka, Lorda Acton'a, który był też najbliższym przyjacielem Gladstone'a, a zmarł pół wieku temu. Krzyżanowski cytuje za Trevor-Ropes'em (nędznym i niskiej klasy skrybą, który z wagnerowskiej tragedii hitlerowskiej Goetterdaemmerung zrobił bulwarową, płaszką sensację) słynne zdanie Acton'a «Power corrupts, and absolute power corrupts absolutely». W cytacie tej opuszcza początkowe słowo «every power corrupts» itd., naciśk jest na «every» — każda władza korumpuje; Acton nie wierzył by władza czy rząd mogły być moralne. Był on bardzo skrajnym liberałem — z dogmatem o nieomyślności papieża pogodził się dopiero po ciężkiej walce z sobą, podobnie jak i kardynał Newman, chociaż się obaj nienawidzili: antypatia wynikająca z przeciwieństw między magnatem, reprezentującym katolicyzm «z urodzenia», a konwertytą okazała się silniejszą od wspólnych teologicznych upodobań. Acton jeszcze silniej niż Krzyżanowski podkreślał niebezpieczeństwa elementu nacjonalistycznego w religii — do tego stopnia, że potępiał w ogóle istnienie państw narodowych, i twierdził, że dwa tylko państwa mogą dążyć do doskonałości moralnej: Szwajcaria i Austro-Węgry. Poglądy Actona znam zresztą nie z pierwszej ręki — jest to prawie niepodobieństwem, ponieważ on swej wielkiej planowanej «historii wolności» nigdy nie napisał, rozproszył się na tysiące rozpraw, porozrzucających po różnych kwartalnikach i miesięcznikach, ale z jego zaiste przepysznej biografii pióra już wspomnianego arcyb. Mathew, jednego z najświetniejszych historyków i stylistów Anglii współczesnej.

Podobnie Krzyżanowski znalazłby bardzo bliskich sobie autorów w Christopher Dawson'ie (którego już wspominałem), w głośnym dzisiaj 80-letnim filozofie hiszpańsko-amerykańskim Georges Santayana, który na starość osiadł w Rzymie, i w bardzo się ostatnio wybijającym konwertycie Christopher Hollis'ie, konserwatywnym pośle do parlamentu, ekonomście z zawodu, autorze kapitalnego dzieła o marksizmie, który nieubłagalnie zwalcza. Można by tę listę nazwisk znakomych bez końca przedłużać. Katolicy angielscy słusznie się chlubią, że choć niezbyt liczni, wydali tylu koryfeuszów świeckich wielkiej katolickiej nauki, literatury, piśmiennictwa, pu-

bleystyki (nie wspominał tu oczywiście Chesterton'a, który jest nieznośnie przereklamowany, podobnie jak w innej dziedzinie Conrad). W Polsce znałem tylko trzech ludzi świeckich, którzy się ojcami Kościoła i zagadnieniami teologicznymi serio interesowali: śp. Władysława Leopolda Jaworskiego, śp. Henryka Tennenbauma i Adama Krzyżanowskiego. Dwaj pierwsi niestety wyrazu tym swym zainteresowaniem nie zdążyli dać w poważniejszych pracach. Dopiero Krzyżanowski dał nam wreszcie książkę, która nam pozwala rywalizować z odnośną literaturą Zachodu. Czas był doprawdy najwyższy. Stan rzeczy bowiem pod tym względem był katastrofalny. Stosunkowo niedawno otrzymałem jedno z pism krajowych z pośmiertnym drukiem rozprawki X. Salamuchy, który, jak słyszę, uchodził za lewicowej okupacji za luminarza katolickiego. Skłanian głowy przed jego intencjami, ale poziom mnie przeraził.

Powiedziałem, że poglądy Krzyżanowskiego odzwierciedlają m. zd. trafnie i wiernie obecne myśli przewodnie świata katolickiego. Dzisiaj — to znaczy w okresie, w którym katolicyzm jest prawie wszędzie wyznaniem **mniejszościowym**, walczyć musi o swe istnienie, tak w krajach zony sowieckiej, jak i na bardziej szczęśliwym Zachodzie, o pełne równouprawnienie. W tej sytuacji symboli, którą darzy demokrację i liberalizm, jest zrozumiała i konieczna. Podzielał Krzyżanowskiego zapatrywania na kręskowość nacjonalizmu, na niebezpieczeństwo wojen dla moralności i jedności Kościoła, na wielkie zalety ustroju demoliberalnego. Pójdę nawet dalej i powiem, że moim zdaniem rozdział Kościoła i państwa jest dla religii i religijności korzystny, konkordaty szkodliwe, udział duchowieństwa w bieżącym życiu politycznym niepożądany. Powiedziałbym, że najbardziej pilną reformą kościelną wydał mi się zwiększenie jego międzynarodowości, przemianowanie narodowości w szeregach duchowieństwa, maksymalne oderwanie od nacjonalizmu; i tak np. system angielski, w którym nawet Koledy na Boże Narodzenie śpiewają tutaj na pasterece **po łacinie**, głęboko mi odpowiada. Atoli moralność, będąc z istoty swej absolutna, nie może uwzględniać tylko obecnego stanu, przejściowego jak wszystkie

inne; musi również uwzględniać i sytuacje inne, bardziej z ideałem zgodne, a mianowicie powstanie państw katolickich i międzynarodowej katolickiej społeczności. Czy w tym wypadku (który w praktyce zależy od nawrócenia Ameryki) nakazy politycznej moralności katolickiej nie ulegną pewnym modyfikacjom, no, przynajmniej jakimś niuansom? Historia średniowiecza pozwala tu żywić różne wątpliwości. Sam autor je lekko zaznacza, pisząc o wyprawach Krzyżowych jako o wyjątku od zasad pacyfistycznych, które każą moralności chrześcijańskiej wyznawać.

Przypominam sobie, jak znakomity romanista i cywilista, śp. Stanisław Wróblewski zwykł był mówić z uśmiechem o wykładowcach prawa publicznego, dając do zrozumienia, że w porównaniu z prawem cywilnym prawo publiczne, a tym bardziej międzynarodowe, żadnym prawem nie jest. Oczywiście, to prawda. Otóż i to samo w pewnym stopniu można powiedzieć o moralności indywidualnej i politycznej. Pierwsza jest skodyfikowana w sposób nierównie bardziej ściśle od drugiej. Pierwsza ma sankcję w postaci pojęcia grzechu, druga właściwie sankcji nie posiada, bo przeciw odrucamy odpowiedzialność zbiorową. św. Augustyn w «De civitate Dei» dochodzi do wniosku, że państwa chrześcijańskiego na świecie być nie może, że gdyby zaistniało — to przestałoby istnieć, pozostałoby tylko Kościół. Historycy katolicy są zgodni, że nawet teokratyczne państwo kościelne nie było ideałem ani urzeczywistnieniem państwa katolickiego. Z drugiej strony Kościół nigdy nie wpadł w ekstremizm prawosławia, które głosząc, że państwo jest przejawem grzechu, rezygnowało z wszelkich prób naprawiania go i biernie się wysługiwało najgorszym tyranom carskim i bolszewickim. Po prostu trzeba stwierdzić, że moralność polityczna nie jest ściśle sprecyzowana, najlepsi katolicy mogą się w jej interpretacji różnić, choć oczywiście tylko w pewnych granicach. Zasady złotego środka, które głosi Krzyżanowski, są z pewnością właściwe przy dyskusjach między wiernymi na temat jak moralność polityczna należy pojmować.

Tym, którym się zdaje, że Krzyżanowski zerwał zupełnie z ekonomią, zalecam lekturę rozdziału o po-

glądach ekonomicznych biblijnych proroków. Rzadko czytałem coś równie oryginalnego i pasjonującego, i widzę, że nasz mistrz i w swych nowych dociekaniach pozostał nieublaganym wrogiem ustawowego regulowania stopy procentowej. Gdy chodzi o lichwę i papieża bywają omylni.

Adam Krzyżanowski nie tyle wzbogacił teorie ekonomiczne szkoły liberalnej, ile był ich nieocenionym popularyzatorem, uzupełniając je niezwykłe trafnymi uwagami i komentarzami, w których ujmował wnioski z wnikliwej analizy stosunków współczesnych i rzeczywistości polskiej. W ten sposób wywarł wpływ olbrzymi na poglądy gospodarze w dobre niepodległości; poniekąd, jak zwykle to bywa, zbyt gorliwi uczniowie przesadzili i wynaturzyli nauki mistrza i trzymali się uparcie jego wskazań o walucie i budżecie w latach, gdy on sam przestawał w poprzedniej sztywniej formie je wyznawać. Dzisiaj, jako teoretyk chrześcijańskiej moralności, da Bóg, będzie w stanie wywrzeć równie trwały i potężny wpływ na zapoznanie się naszego społeczeństwa z podstawowymi prawdami moralnymi i filozoficznymi, które umysły polskie są tak skłone zapoznawać. Jego przestrogi pod adresem obecnych okupantów są tak jasne i dosadne, że nie potrzebują dłuższych omówień. Natomiast dla Polaków na emigracji ważniejsze są jego wywody, w których tak kategorycznie potępia nacjonalizm właśnie z punktu widzenia etyki, oraz to drugie państwo-mocarstwo złudzenie, któremu drugi odłam naszego wychodźstwa, epigoni tzw. sanacji — jest tak skłonny przesadnie hołdować. Pisze (str. 134): «Zasadniczo sprzeczny z moralnością jest pogląd, wedle którego państwo stanowić winno ostateczny cel działalności jednostek choćby dlatego, że państwo stanowi wartość doczesną i że polityka państw przeciwstawiała się nie raz i przeciwstawiać się może w przyszłości spełnianiu przez wiernych przykazania moralności chrześcijańskiej. Teza, mocą której państwo powinno być celem ostatecznym wysiłków indywidualnych, właściwie nie zawiera w sobie żadnej rozumnej treści, boć przeciw państwo nie istnieje poza jednostkami. Uznanie przedłużenia bytu państwa po najdłuższe wieki najbardziej odpowiada intencjom tego zawołania. . . Bez-

warunkowe przedłużanie bytu jednostek jest programem równie nieuzasadnionym jak postulat jak najdłuższego trwania państwa sam przez się, ponieważ państwo ma rację bytu tylko o tyle, o ile urzeczywistnia ideał sprawiedliwości i o ile służy umoralnianiu ludzi. I dodaje, że wkład państw, które istniały tylko krótko (republika ateńska) okazał się znacznie większym, wartościowszym i trwałszym od wkładu państw, których był szczególnie długowieczny (Japonia).

Na tej pięknej i głębokiej uwadze

Książki o Niemczech

KARL JASPERS: **Die Schuldfrage.** Ein Beitrag zur deutschen Frage. Artemis-Verlag, Zürich 1946. Str. 96.

WILHELM ROEPKE: **Die deutsche Frage.** Dritte veränderte und erweiterte Ausgabe. Eugen Rentsch Verlag, Zürich 1948. Str. 338 + 2 nbl.

HANS ZBINDEN: **Um Deutschlands Zukunft.** Gedanken eines Schweizer. Artemis-Verlag, Zürich 1947. Str. 80. Verlag Lambert Schneider, Heidelberg 1947. Str. 96.

Wśród nielicznych głosów niemieckich, traktujących o problemie winy Niemiec, wybijają się na pierwsze miejsce broszura prof. Jaspersa. Zarówno ze względu na osobę autora — jednego z największych współczesnych filozofów niemieckich, jak i ze względu na głębokie, filozoficzne potraktowanie przez niego niektórych aspektów problemu. Dla nas, Polaków — walczących z żydami o palmę pierwszeństwa, jako ofiary niemieckiego szaleństwa — szczególnie ciekawe jest, co ma do powiedzenia na temat niemieckiej winy wybitny filozof, a więc spadkobierca tych «drugich» Niemiec, ojczyzny uczonych, filozofów i muzyków.

We wstępie stwierdza prof. Jaspers, że obowiązkiem Niemców jest szczerze rozważyć problem niemieckiej winy i wyciągnąć konsekwencje z osądu. Nie tylko dla tego, że nie jest obojętne, co sądzą o tym inne narody, ale przede wszystkim dlatego, że jest to zagadnienie życiowe niemieckiej duszy, że tędy prowadzi

mistrza zakończę tę recenzję. Dodam tylko, że styl jego pozostał zwięzły i przejrzysty jak zawsze, z dziwną skłonnością do latynizmów w postaci gerundivum. Druk dobry; korekta świetna, papier doskonały. Całość powinna być jak najbardziej rozpowszechniona, i każdy czytelnik zaciągnie dług wdzięczności wobec sędziego autora, który pewną ręką prowadzi nas na szczyty myśli, na których tak rzadko, niestety, polskiego przewodnika znaleźć można.

W. A. ZBYSZEWSKI.

droga do nawrotu i odnowienia. Środki, przedsięwzięte przez zwycięzców, mają wyłącznie charakter polityczny, ale nie mogą one w niczym dopomóc Niemcom do wkroczenia na właściwą drogę. Jest to sprawa niemieckiego sumienia, sprawa wobec której Niemcy pozostawieni są sami sobie i którą sami muszą rozstrzygnąć, przywołując na pomoc filozofię i teologię.

Autor poprzedza rozważania o winie niemieckiej dość obszernymi wywodami ogólnymi o charakterze czysto teoretycznym, a dotyczącymi problemu winy i kary w ogóle. Rozróżnia on cztery pojęcia winy: 1) **winę kryminalną**, polegającą na czynach naruszających obowiązujące ustawodawstwo karne i do orzekania o której właściwą instancją są sądy; 2) **winę polityczną**, której istota polega na odpowiedzialności za działalność państwa, a więc za czynności jego przywódców, przez ludzi będących obywatelami tego państwa. Każdy człowiek jest odpowiedzialny za to, jak był rządzony. Instancją jest władza i wola zwycięzców w dziedzinie polityki zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej. Właściwymi normami prawnymi w tym zakresie są normy, uznane pod nazwą prawa natury i prawa narodów; 3) **winę moralną**, która obciąża każdego za jego czyny również polityczne i wojskowe. Na tę winę nie ma wpływu działanie na rozkaz, gdyż przestępstwo pozostaje przestępstwem z punktu widzenia moralnego nawet w wypadku, gdy jest dokonane na rozkaz. Przymus, groźba i terror stanowić mogą jedyn-

nie okoliczności łagodzące. Właściwą instancją, jeśli chodzi o winę moralną, jest sumienie jednostki; 4) **winę metafizyczną**. Ta ostatnia wywodzi się z obowiązku solidarności człowieka wobec człowieka i powoduje, że każdy człowiek jest odpowiedzialny za każde bezprawie i każdą niesprawiedliwość na świecie, a w szczególności za przestępstwa, popełnione w jego obecności lub za jego wiedzą. Instancją w zakresie winy metafizycznej jest tylko sam Bóg. Prof. Jaspers rozważa następnie zagadnienie następstwa winy, stosunku siły do prawa, problem oskarżyciela i oskarżonego, aby przejść z kolei do zagadnienia centralnego **winy zbiorowej**.

Jaspers przyjmuje istnienie winy zbiorowej w dziedzinie wyłącznie odpowiedzialności politycznej. W tym względzie idzie w swych wywodach dość daleko, gdyż jego zdaniem wszyscy obywatele państwa są odpowiedzialni za skutki postępowania tego państwa, nawet w tym wypadku, kiedy walczyli z panującym reżimem. Natomiast jeśli chodzi o winę kryminalną, to obciąża ona jedynie przestępców indywidualnie każdego za jego czyny. Przestępcą może być tylko jednostka i nie można oskarżać całego narodu jako zbiorowego przestępcę. Podobnie również nie można całego narodu obciążać winą moralną. Z punktu widzenia moralnego można oskarżać jedynie jednostkę, a nie zbiorowość. Nie ma bowiem jakiegos narodowego charakteru. Wszelkie uogólniające charakterystyki poszczególnych narodów są powierzchniowe i niesłuszne. Co więcej, z myślenia takimi ogólnikami rodzi się wzajemna nienawiść narodów i to właśnie było nadużyte przez narodowych socjalistów. Naród, jako całość, nie istnieje. Pojęcie narodu nie pokrywa się ani z państwem, ani z językiem, ani z wspólnymi dziejami, ani kulturą. Naród nie może być przestępcą czy bohaterem, nie może postępować słusznie lub niesłusznie, nie może być winny lub niewinny, ani w znaczeniu winy kryminalnej, ani politycznej (obciąża ona obywateli państwa, a nie naród) ani moralnej.

Po tych rozważaniach natury teoretycznej ogólnej, przechodzi Jaspers do analizy winy niemieckiej, rozporóżniając od winy kryminalnej. W odróżnieniu od pierwszej wojny światowej, są dziś przestępstwa wo-

jenne reżimu nazistowskiego oczywiście. W odróżnieniu od pierwszej wojny światowej, kiedy historycy nie rozstrzygnęli właściwie, kto ponosi odpowiedzialność za wywołanie wojny (?), ostatnia wojna została rozpoczęta przez Niemcy hitlerowskie. Przed sądem norymberskim nie stanął naród niemiecki, ale pojedynczy Niemcy, którzy dopuścili się przestępstw, a w szczególności przywódcy reżimu hitlerowskiego. Przytaczając szereg zastrzeżeń, wysuwanych ze strony niemieckiej, autor daje na nie odpowiedź. I tak wysuniętej obojętnej, że wszak wojny istniały zawsze i trudno jest ustalić odpowiedzialność za nie, odpowiada, że tym razem nie ma żadnej wątpliwości, że to Niemcy przygotowały planowo i rozpoczęły wojnę, a ponadto, że ta wojna była czymś szczególnym w dziejach. Na uwagi, że przecież wielu żołnierzy walczyło rycersko jak na żołnierzy przystało, odpowiada, że Niemcy dopuścili się czynów, zmierzających do wymordowania całych narodów oraz szeregu okrucieństw. Tym Niemcom, którzy sądzą, że podanie wodzów III Rzeszy pod sąd trybunału międzynarodowego uwłacza honorowi narodowemu, odpowiada on, że honor narodowy Niemców naruszony został nie przez sąd, ale przez czyny reżimu, które go do tego doprowadziły. Powołującym się na zasady nieodpowiedzialności szefów państw za postępowanie państwa odpowiada, że zasada nieodpowiedzialności suwerennej głowy państwa została już dawno zarzucona. Polemizuje również z ekscypcją, wysuniętą w swoim czasie przez obrońcę w procesie norymberskim «nulla poena sine lege».

Wina polityczna obciąża cały naród niemiecki. Cały naród czynić powinien pokutę za postępek reżimu, który był niemiecki i który rządził niemieckim państwem. Wszyscy obywatele niemieccy muszą słusznie cierpieć skutki polityczne reżimu hitlerowskiego. W polityce bowiem nie liczy się dobra wola i czyste zamiary, liczą się skutki. Toteż wina polityczna ciąży i na tych Niemcach, którzy widzieli niebezpieczeństwo, do którego reżim nazistowski prowadził, którzy byli w opozycji lub którzy stali z dala od jakiegokolwiek polityki.

Wina moralna obciąża wszystkich. W szczególności obciąża tych wszystkich Niemców, którzy, będąc prze-

ciwnikami hitleryzmu w głębi duszy, z tych czy innych powodów uznawali reżim. Któż z nas Niemców — pyta autor — nie ma na sumieniu takiej winy, jak deklaracje lojalności wobec władz, używanie pozdrowienia hitlerowskiego, udział w publicznych zgromadzeniach itp.? Jaspers zajmuje się szczegółowo winą żołnierzy, którzy walczyli na frontach w przekonaniu, że niezależnie od reżimu, walczą o Ojczyznę niemiecką. Ale, odpowiada on, obowiązek wobec ojczyzny idzie dużo głębiej, niż ślepe posłuszeństwo każdemu rozkazowi. Ojczyzna przestaje być ojczyzną, kiedy jej dusza jest zniszczona. Potęgą państwa nie jest celem samym w sobie. Obowiązek wobec ojczyzny wcale nie oznaczał posłuszeństwa Hitlerowi i nie wynika z niego, jako samo przez się zrozumiałe, że również jako państwo hitlerowskie muszą Niemcy wojnę wygrać. Oficerom, którzy utrzymują, że mieli zamiar po zwycięskiej wojnie obalić rządy Hitlera, odpowiada: po winie poszlibyście chętnie do domu, władza pozostałaby dalej w rękach uzbrojonego Gestapo, państwo zaś niemieckie przygotowywałoby nową wojnę do definitywnego podboju całego świata. W dalszym ciągu rozprawia się autor z uczonymi i intelektualistami.

Wina metafizyczna opiera się na złamaniu ogólnoludzkiej solidarności. Tutaj posuwa się Jaspers bardzo daleko. Sam ten fakt, że my żyjemy, kiedy miliony innych ludzi zostało przez reżim hitlerowski, wybitych, obciąża nas winą. Mogliśmy — powiada — szukać śmierci w walce z reżimem, kiedy rozpoczął on przesładowania, mordy, rabunki i deportacje spokojnych współobywateli lub kiedy rozpoczął on wojnę w której pogwałcił wszelkie normy prawa narodów. Tysiące zginęło w walce z reżimem, ale my pozostaliśmy żywi. Kiedy naszych braci Żydów wyprawdzano, nie wyszliśmy na ulice, nie podnieśliśmy głosu protestu. To, że żyjemy, jest naszą winą.

Następnie zajmuje się prof. Jaspers rozpatrzeniem możliwości częściowego usprawiedliwienia względnie wy tłumaczenia winy niemieckiej. Pierwszym takim usprawiedliwieniem jest, jego zdaniem, terror reżimu nazistowskiego. Autor przypomina, że do roku 1939 obozy koncentacyjne były zapelniane przez Niemców, a w roku 1944 ilość aresztowanych politycz-

nych pośród Niemców wynosiła przeciętnie 4000 osób miesięcznie. Daleszego usprawiedliwienia doszukuje się Jaspers w przesłankach historyczno-geograficznych, czy jak kto woli, geopolitycznych. Niemcy mają granice otwarte na wszystkie strony, co zmuszało je zawsze do utrzymywania siły wojskowej. Niemcy nigdy nie czuli się, z racji swego położenia geograficznego, tak bezpiecznie jak np. Anglia lub Stany Zjednoczone. Na trzecim wreszcie miejscu wymienia Jaspers winy innych narodów, które utrzymywały dobre stosunki z Niemcami hitlerowskimi i nie przeciwdziałały pierwszym agresjom, paktując ze zbrodniczym reżimem.

Gdyby publikacja prof. Jaspersa była jedną z wielu książek niemieckich, rozważających problem niemieckiej winy, takie podejście autora byłoby może i słuszne, jako pogłębienie zagadnienia i rzucenie na światła ze specjalnego punktu widzenia. Ponieważ jednak jest to, pośród powodzi książek o «niemieckim ruchu oporu», jeden z bardzo nielicznych głosów, przeto zbyt głęboka analiza problemu «winy jako takiej», nie pozbawiona jest cech przysłowiowego dla nauki niemieckiej «rozszczepiania włosa na czworo», raczej zaciemnia problem. Żywe, bolesne zagadnienie, obraz straszliwych zbrodni, nieznanych dotąd w dziejach świata cywilizowanego — wszystko to staje się dalekie, suche, nierzeczywiste, ujęte w teoretyczne formułki rozważań filozoficznych, psychologicznych, metafizycznych. Jeżeli książka ta miała przemówić do Niemców, to nie jest ona przekonująca. W każdym razie nie wydaje się, aby przekonać mogła masy, tj. t. zw. szarego człowieka. Tym bardziej, że równocześnie prof. Jaspers stara się znaleźć pewne usprawiedliwienia, których każdy Niemiec z łatwością znajduje wiele. Okoliczność ta oraz fakt, że praca opublikowana została w Szwajcarii wskazuje na to, iż raczej przeznaczona jest ona dla czytelnika nie-niemieckiego. Wbrew pozorom jest więc jedną więcej pozycją w rosnącej ilościowo książkowej propagandzie niemieckiej. Niemcy nie od dziś są specjalistami od propagandy «naukowej», głębokiej, rozłożonej na lata całe. Zawsze zaprzęgał do niej naukowców i profesorów. Dziś porzucili znowu prostackie metody Goebbelsa i powrócili do niej. Schemat jest na ogół dość jednolity: tak,

jesteśmy winni, ale i to nas przecież usprawiedliwia, a poza tym inni też nie są bez winy. To wszystko podbudowane solidnie historią «niemieckiego ruchu oporu». Wybitny filozof nie odszedł od tego schematu, przywołał jedynie na pomoc swoją specjalność i swe nazwisko naukowe. Zdaje się nie widzieć tego, że łepiona przez Gestapo opozycja antyhitlerowska w Niemczech nie koniecznie i nie zawsze reprezentowała inny program zagraniczny, inny pogląd na stosunek Niemiec do sąsiadujących z nimi narodów. Natężenie opozycji w r. 1944 odkrywa jej źródło jakim było przekonanie, że Hitler prowadzi Niemcy do zguby i że wojna jest już przegrana. Argument, zaczerpnięty z geopolityki, również nie wytrzymuje krytyki. Od wojen napoleońskich Niemcy, mimo braku granic naturalnych, nie były narażone na żadne niebezpieczeństwo, a przeciwnie, ustawicznie same stawały się niebezpieczeństwem dla innych.

◆
Książka prof. Röpkego jest największą i najpoważniejszą pracą, poświęconą całości problemu niemieckiego. Autor, powszechnie znany ekonomista niemiecki, żyjący od lat na emigracji w Szwajcarii, profesor Instytutu Uniwersyteckiego Wyższych Studiów Międzynarodowych w Genewie, ma wiele danych, aby przedmiot swej pracy omówić z jak największym znanstwem. We wstępie do książki podkreśla sam, że żyjąc jako Niemiec między Niemcami przez wiele lat, a potem przez liczne lata na emigracji, uważa się za szczególnie dobrze wyposażonego do traktowania zagadnienia i uchwylenia należytego obrazu, patrząc nań ani ze zbyt bliska ani ze zbyt daleka. Dodajmy, że ostatnio wyszło już trzecie wydanie jego książki po niemiecku i że książka ta była przetłumaczona również na inne języki.

Zadanie, jakie sobie autor postawił, przekracza problem hitleryzmu. Chodzi o zagadnienie Niemiec, chodzi o problem, którego narodowy socjalizm był szczytem i końcową fazą wiodącą do obecnej katastrofy. Chodzi o tragedię wielkiego narodu, który jakimś dziwnym fatalizmem wiedziony, wszedł na drogę samobójstwa i stał się odium generis humani. O ile osoba autora i pierwsze uwagi wstępne wzbudzić mogły zau-

fanie, to już dalsze wywody w części wstępnej, noszącej tytuł: «Tragedia wielkiego narodu» zastrzążają czujność. Oto bowiem Niemcy zrobiła takimi jakimi są historia i nieszczęśliwy los. Röpke przyrównuje Niemców do innego tragicznego narodu w dziejach świata — do Żydów. Przy tej okazji dowiadujemy się również, że antysemityzm nigdy nie leżał w naturze niemieckiej i przyszedł do Niemiec ze wschodu Europy. Nawiasem przypomnijmy, że kiedyś Żydzi zawędrowali do Europy wschodniej, uchodząc właśnie przed przesładowaniami na zachodzie, a m. in. i w Niemczech.

Pierwsza część pracy prof. Röpkego poświęcona jest Trzeciej Rzeszy i jej końcowi, a głównym jej problemem jest pytanie, czy Niemcy hitlerowskie były tylko jedną więcej tyranią, jakie się w dziejach od czasu do czasu spotyka, czy też narodowy socjalizm był tylko kwintesencją wszystkiego zła, które tkwi w narodzie niemieckim od wieków. Rozważania swe rozpoczyna autor od zagadnienia wspólnoty całego świata. Od pierwszej chwili objęcia rządów przez hitleryzm wiadomo było, z kim ma się do czynienia. Jednakże świat był obojętny. Napływający na zachód emigranci polityczni z Niemiec przyjęli ich wprawdzie z sympatią, ale uważano ich trochę za szkodników pokoju, za propagujących wojnę, za rozsądni zamieszek. Zachód chciał widzieć w narodowo-socjalistycznych Niemczech zapórę przeciw komunistycznej Rosji. Była to koncepcja wypędzania diabła Belzebubem, przy czym mało kto dostrzegł, że w gruncie rzeczy różnica między czerwonym a brązowym kolektywizmem i totalizmem nie jest istotna. Bajeczka o tym, jak to brzydecy kapitaliści przy pomocy narodowego socjalizmu opanowali niemiecki proletariatus nie ma żadnych rozsądnych podstaw rzeczowych. Bez poparcia szerokiej mas ludu niemieckiego narodowy socjalizm ani nie mógłby dojść do rządów ani przy nich się utrzymać. Faktu tego w niczym nie zmienia okoliczność, że te same masy przedtem głosowały przy wyborach na socjalistów lub komunistów i dziś znowu tak głosują. Świat zaś skapitulował duchowo i moralnie przed Hitlerem i jego Trzecią Rzeszą. Długitarze wszystkich narodów zjeżdżali do Niemiec przy różnych okazjach, brali udział w konferen-

cyjach, zjazdach, uroczystościach, ściskali dłonie mordercom, podpalać, zbrońcom, podpisywali z nimi pakt, umowy i porozumienia. Szczytem zaś było Monachium, gdzie słabość Chamberlain'a, Bonnet'a i Daladier'a wydała Europę definitywnie na łup Hitlera. Reszty dokonała zdrada Rosji i jej pakt z agresorem w przeddzień najazdu na Polskę.

Röpke widzi w hitleryzmie jedynie jeszcze jeden przejaw totalizmu i tyranii. Obszernie omawia jego związki z faszyzmem i komunizmem, zagadnienie rządów masy, rządów tłumu przeciw elicie. Według autora, to nie była bynajmniej ideologia zrodzona w dziewiętnastym wieku Niemiec, ale nowe wcielenie odwiecznego i powszechnego zjawiska. Przeprowadza on pewną paralelę z rządami Napoleona i tyrańca paragwajskiego Francisco Solano Lopez. Narodowy socjalizm, to totalizm opracowany z niemiecką «Gründlichkeit», jego ideologami są Sorel, Lenin, Mussolini, Pareto, podobnie jak ideologiem rasizmu był Gobineau. Praktyka hitleryzmu, to tylko udoskonalona jeszcze technicznie praktyka faszyzmu i komunizmu. Również obszerny jest wywód o wpływie socjalizmu na duchową genezę totalizmu i roli Marksa i jego «dyktatury proletariatu». W konkluzji autor stwierdza, że narodowy socjalizm był raczej wyrazem międzynarodowego ducha naszych czasów niż narodowego ducha niemieckiego. Obojętne śmierci w Majdanku i Oświęcimiu są, zdaniem Röpkego, wynikiem ewolucji całego wieku poprzedniego. W zakończeniu swych rozważań o wspólnym źródle komunizmu i hitleryzmu, autor podkreśla, że totalizm komunistyczny jest jeszcze bardziej niebezpieczny, ze względu na to, iż jest bardziej uniwersalny. Trudno sobie wyobrazić aby idea narodowego socjalizmu z jej teorią «Herrenvolku» mogła np. zdobyć sobie adherentów wśród Hontotów. Tymczasem komuniści mogą dojść wszędzie a dziś słynna ongiś niemiecka «pięta kolumna» jest śmieszna i dziecinna w porównaniu z tą, jaką dysponują bolszewicy.

Przedstawiając dojście do władzy Hitlera, autor zapomina o tym, co pisał wyżej o poparciu szerokich mas ludu niemieckiego. Piszcie, że narodowy socjalizm doszedł do władzy nie w oparciu o jasną wolę większości niemieckiego narodu, ale poprzez brudne «tylne schody» zamachu sta-

nu. Powołuje się przy tym na wybory w r. 1933, kiedy, mimo stosowanego terroru, nazisci uzyskali jedynie 43 procent głosów. Zapomina natomiast o tym, jak to nikomu nieznanemu bliżej Hitler uzyskał nagłe jako kandydat starszego Marszałka Hindenburga kilkanaście milionów głosów przy ostatnich wyborach prezydenta Rzeszy. Później zaś Hitler rządził terrorem. Röpke cytuje, że do r. 1938 reżim szłaż na śmierć z powodów politycznych 12 tysięcy Niemców, zamknął do więzień 302.562, a kartoteka Gestapo zawierała aż dwa miliony «podejrzanych». To nie naród niemiecki — pisze autor — ale totalizm ukazał swe prawdziwe oblicze w «kruciestwach i mordach. Czy Japończycy lub Koczacy Własowa byli mniej okrutni w czasie ostatniej wojny? Czy jest jakaś różnica między Buchenwaldem a Solówkami? To po prostu otworzono «kloakę niemieckiego społeczeństwa, a jak określił jakiś Francuz, cytowany przez autora: «Les Boches ont vaincu les Allemands».

Jednakże Röpke przyznaje, że i naród niemiecki miał w tym wszystkim swój udział, swoją «Mitschuld». W szczególności był szereg grup, na których, według autora, ciążyła pośrednia odpowiedzialność oddania władzy w ręce hitlerowskich szmowin. Na pierwszym miejscu wymienia on grupę, która w dniu 30.1.1933 doprowadziła przez zakulisowe machinacje do rządów Hitlera. Zalicza do tej grupy Papena, Thyssena, kilku generałów oraz klikę junkrów wschodnio-pruskich. Jako współwinni wymienia na dalszym miejscu: Wehrmacht, kierownicze koła gospodarstwa (Schacht), członków Reichstagu, wyższych urzędników i dyplomatów, a na koniec intelektualistów. Tej ostatniej grupie poświęca Röpke szczególną uwagę, a zwłaszcza duchowieństwu i kołom profesorów wyższych uczelni. Wina szczególna profesorów leży w tym, że reprezentowali oni wielki autorytet w niemieckim narodzie i sprzedali się przeważnie z oportunizmu w służbę ruchu antyintelektualnego. Prócz tego liczni specjaliści odegrali obrzydliwą rolę pośrednio w zbrodniach hitleryzmu, jak np. w niszczeniu i plądrowaniu skarbów kulturalnych krajów okupowanych. Dla intelektualistów jest Röpke najsurowszym sędzią, a rozdział poświęcony ich haniebnym rolom «opatrzone jest mottem z Stiftera

«Wenn einmal eine Bewegung ausbräche, dann behüte uns Gott vor den Journalisten und Professoren».

Röpke również zwalcza koncepcję winy zbiorowej narodu niemieckiego. Mimo to jednak zaznacza, że narodowy socjalizm nie był zupełnym przypadkiem w dziejach Niemiec. Hitlerzy zdarzają się w każdym narodzie i przez wszystkie czasy, ale jest jednak rzeczą wyjątkową, że naród niemiecki uznał za swego «Führera» tego rodzaju figurę. Trzecia Rzesza tkwi bowiem swymi korzeniami głęboko w niemieckiej historii. Nie znaczy to jednak aby wszyscy Niemcy zawsze byli zbrodniarzami. Pierwszą winą Niemców jest ich posłuszeństwo i dyscyplina. Te dwie cechy więcej zaskodziły narodowi niemieckiemu niż innym narodom ich brak. Ale czy koncepcją tzw. «ewigie Deutsche» jest słuszna? Główne źródło historyczne, według Röpkego, leży w tym, co określamy nazwą «prusactwa». Wpływ protestantyzmu luterńskiego, podkreślany przez niektórych autorów, uważa prof. Röpke jedynie za «półprawdę». Zdaniem jego nie sam protestantyzm wpłynął na niemiecki charakter i późniejszą ewolucję, gdyż np. w Szwecji protestantyzm poszedł zupełnie inną drogą, ale sojusz protestantyzmu z absolutyzmem i feudalizmem, Niemcy składają się z dwu zupełnie odmiennych światów — mają dwa różne «strumienie historyczne» — niemiecki i pruski. Łąca stanowi wyraźną granicę między właściwymi Niemcami, starym «Stammlandem», a Niemcami «kolonialnymi», Prusami, zbudowanymi przez podbite, kolonizowane i zakucie w niewolę plemion słowiańskich. Ten odmienny sposób powstania Prus, jako państwa kolonialnego, wpłynął na ich zupełnie odmienny ustrój społeczny, gospodarczy itp. Prusy nie miały ani bogatych miast ani średniej klasy włościańskiej, ale klasę junkrów, właścicieli «dóbr rycerskich», panującą nad masą wyrobliczego proletariatu wiejskiego. Klasyfikacyjnym uosobieniem Prus są Fryderyk II i Bismarck. Autor cytuje świetne określenie Mirabeau: «La Prusse n'est pas un pays qui a une armée, c'est une armée qui a un pays». Na wymienionym powyżej podłożu społecznym powstało państwo biurokratyczno-wojskowe, które rozszerzając się, jako tzw. Grosspreussen, podbiło właściwie całe Niemcy. To prusactwo zatruło nie-

miecką duszę swoją ideologią podboju i marszu ku potędze poprzez «Blut-und-Eisen», aby na koniec doprowadzić naród niemiecki do katastrofy. Pisząc o tym autor dotyka zagadnienia stosunków polsko-niemieckich. Za nienawiść wzajemną odpowiedzialny jest w pierwszym rzędzie Bismarck i jego brutalna i pełna szykan «Polenpolitik». Röpke nie sięga w tej sprawie głębiej w poprzednie okresy historii, ale to co mówi przedtem o «kolonialnym» charakterze państwa pruskiego, wyrosłego z podboju, ma swoją wymowę.

W ostatniej części pracy zajmuje się prof. Röpke zagadnieniem rozwiązania problemu niemieckiego. Zdaniem jego, droga prowadzi poprzez potrójną «rewolucję» — moralną, społeczno-gospodarczą i polityczną. Przebudowa społeczno-gospodarcza musi całkowicie zlikwidować masową, kolektywną gospodarkę. Należy przeprowadzić decentralizację i odprusczenie Niemiec. W tej ostatniej sprawie nie jest autor konsekwentny do końca. Po obszernych wywodach o kolonialnym charakterze Prus, można by sądzić, że utratę ziem podbitych w swoim czasie i likwidację Prus uzna on za korzystne. Jednakże z kilku aluzji widać, że raczej uważa to za niezashodzącą karę, choć zupełnie wyraźnie problemu granicy zachodniej Polski nie porusza. Tak więc, choć w świetle jego własnych poglądów zabór ziem słowiańskich i stworzenie marzchii kolonialnej był początkiem i źródłem niemieckiej katastrofy, był fatalnym przebiegiem dziejów Niemiec, mimo to Röpke cofa się przed wyciągnięciem logicznego wniosku końcowego. Bardzo słuszne są uwagi końcowe o błędach aliantów, którzy zająwszy Niemcy po bezwarunkowej kapitulacji, nie mieli właściwie — poza Rosją — żadnego programu w stosunku do Niemiec.

Autorem trzeciej z omawianych prac, dr Hans Zbinden, wybitny publicysta szwajcarski, patrzy na zagadnienie przyszłości Niemiec nie tylko jako Szwajcar, ale też jako Europejczyk. Może nawet przede wszystkim jako Europejczyk. Zbindena poznaliśmy kiedyś przed laty we Lwowie. Było to w domu, gdzie bywało wiele ciekawych osób z Polski i zza granicy i gdzie spotkać można było m.in. Ostapa Ortwiną, szereg Stem-

powskiego, Adolfa Bocheńskiego, Stanisława Vincenza i wielu lwowskich profesorów. Zbinden przyjeżdżał od czasu do czasu ze Szwajcarii i siedział nieraz kilka tygodni we Lwowie lub na wsi, w majątku Vincenzów. Człowiek o dużej kulturze umysłowej, Europejczyk, który nie rozumiał zupełnie narastających w Europie międzywojennej szowinizmów nacjonalistycznych i rasowych, typowy, prawdziwy, wysokiej klasy syn zachodniej cywilizacji.

Toteż jeszcze przed przeczytaniem jego książeczki o przyszłości Niemiec, mogłem sobie wyobrazić jak ujmie on to zagadnienie. Moje przewidywania potwierdziły się w zupełności. Autor, podkreślając szczególnie zainteresowanie dla problemu ze strony Szwajcarii, której znaczną część łączy z Niemcami wspólnota języka, nie mniej ujmując zagadnienie przede wszystkim jako problem europejski. Europa nie może żyć, jeżeli w samym jej centrum znajduje się ogromny organizm państwowy chory psychicznie, zwłaszcza iż choroba ta jest już dość zadawniona, gdyż sięga mniej więcej czasów Lutra. Dlatego nawrócenie narodu niemieckiego z jego błędnej drogi jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi dla przyszłości Europy, a więc i przyszłości świata, dla uratowania naszej cywilizacji zagrożonej przez chorobę materializmu. Jednakże nawrócenie narodu, to nie jest rzecz, którą dokonać można od razu, z dnia na dzień, czy z roku na rok, przy pomocy środków raczej mechanicznych i systematycznie odgrymym przez władzę okupacyjną. Wychowanie narodu niemieckiego do demokracji, to ogromna praca, wymagająca wieloletniego wysiłku. Autor pisze bardzo ironicznie o działalności wojsk okupacyjnych jako «pedagogii», mającego wychować naród niemiecki do demokracji. Żadna armia na świecie nie jest przygotowana do takiej roli i żaden czynnik nie mógłby spełnić tego zadania w sposób bardziej nieudolny niż wojsko, z natury swej już instytucja raczej niedemokratyczna i skłonna do operowania uproszczonymi schematami. Szczególnie ostro krytykuje Zbinden Amerykanów, w których strefie okupacyjnej na przykład dobor filmów dyktowany jest nie względami wychowawczymi, lecz interesami amerykańskich przedsiębiorstw filmowych.

Następnie przestżega autor przez przykładaniem zbyt wielkiej wagi do roli, jaką w dziele odbudowy duchowej Niemiec odegrać ma odbudowa gospodarcza. Odbudowa gospodarcza jest naturalnie konieczna, nędza i zniszczenia nie są korzystnym podłożem dla demokracji, ale sama odbudowa gospodarcza nie poprowadzi Niemców na drogę demokracji automatycznie, jak się to niektórym kołom wydaje. Podobnie odbudowa demokracji nie jest równoznaczna z przywróceniem partii politycznych i tworzeniem od góry w oparciu o te partie organów państwowych. W wypadku Niemiec, których choroba sumienia datuje się od wieków, odbudowę demokracji należy zacząć od dołu, od najszybszych warstw społeczeństwa i najniższych komórek życia organizacyjno - społecznego. Całe dzieło odbudowy zależeć może w zupełności od punktu wyjścia, jaki się przyjmie dla pracy w tym kierunku. Zasadniczą rzeczą, której Niemcy przede wszystkim potrzebują dla tej odbudowy jest przywrócenie kontaktu intelektualnego, łączności duchowej z resztą świata należącego do zachodniej cywilizacji, kontaktu, który utracili oni tak dawno. W tym dziele odbudowy autor przypisuje szczególną rolę nie władzom okupacyjnym i nie politykom i partiom niemieckim, ale czynnikowi duchowemu i intelektualnemu, kościółowi i uniwersytetom.

Zarówno zasadniczy punkt widzenia Zbindena, jak i wiele uwag dotyczących mniej ważnych szczegółów wydają się słuszne. Trudno się jednakże oprzeć wrażeniu, że podchodzi on do całej sprawy trochę zbyt idealistycznie i nie zawsze realnie. Należy niewątpliwie zapisać na plus autora, że straciwszy w zawieszonym rozpiętym przez niemieckie barbarzyństwo wielu przyjaciół polskich i niemieckich, potrafił podejść do zagadnienia Niemiec z tak dużym obiektywizmem i pozostał w swych tezach wierny światu, który go wychował. Nie mniej jednak postawa ta wydaje się świadczyć o tym, iż nie docenia on okoliczności, że barbarzyństwo usadowiło się w Niemczech tak głęboko i tak szeroko. Wydaje się nie widzieć szeregu zjawisk, świadczących coraz bardziej o tym, że Niemcy raz jeszcze niczego się nie nauczyli i niczego nie zrozumieli. Stanowisko autora jest głęboko chrześcijańskie i wynika konse-

kwentnie z całej jego podstawy. Niestety jednak problem Niemiec jest przede wszystkim problemem politycznym, a w tym zakresie ewolucja świata ciągle jeszcze oddala się od

ideałów, które dla współzycia ludzi i narodów sformułowane zostały przez chrześcijaństwo.

Aleksander KORCZYŃSKI

Konferencja w San Francisco

ALEKSANDER BREGMAN: **Dzieje pustego fotela**. 1948 r. Wydawnictwo Polish Press Agency «Światopól», Ltd., 28, Beaufort Gardens, London S.W. 3 (str. 220).

Aleksander Bregman należy do najbardziej sumiennych polskich znawców współczesnych zagadnień polityki międzynarodowej. Jako współredaktor londyńskiego **Dziennika Polskiego** i **Dziennika Żołnierza**, prowadzi on od pięciu lat dział zagraniczny. Większość artykułów wstępnych (w lewej szpalcie na drugiej stronie) spod jego wychodzi pióra. Znaczone są inicjałami A. B. Bregman jest też stałym współpracownikiem kombatanckiej **Polski Walczącej** i innych pism emigracyjnych. Można by wręcz stwierdzić, że zmonopolizował zagadnienia polityki zagranicznej w prasie londyńskiej. Konkurować z nim zaczyna głębsi publicyści Jerzy Prądzynski. W naszym obecnym położeniu, kiedy na czoło zadań emigracji politycznej wysuwa się zagadnienie planowej akcji zewnętrznej, dobra znajomość stosunków międzynarodowych winna być zasadniczym elementem naszego działania. Przeważająca większość błędów propagandowych, popełnionych przez nas, wynika z narcyzowego zapatrzenia w siebie i katastrofalnego braku znajomości szerszych zagadnień międzynarodowych. **Dzieje Pustego Fotela**, obojętne doskonałe książki amb. Ciecchanowskiego **Defeat in Victory** (która ukazała się jedynie w języku angielskim) to czołowe pozycje skromnego polskiego dorobku powojennego w dziedzinie pogłębiania aktualnych problemów polityki zagranicznej. Książkę Bregmana cechuje wysokie znawstwo tych zagadnień oraz godna pochwały jasność i prostota w podaniu ich czytelnikowi.

Pod tytuł tej rozprawki, dedykowanej śp. por.-nawigatorowi Jerzemu Bregmanowi z Dywizjonu 300, który nie powrócił z wyprawy bombowej

na Niemcy, brzmi: «Konferencja w San Francisco i Sprawa Polska». Nie jest to tylko jednak rzetelnie przeprowadzona rozprawka na temat «Śłońa a Sprawa Polska», gdyż Bregman umie pisać i wyłącznie o Słońiu. Niestety, wydanie książki trwało prawie półtora roku, co nadmiernie opóźniło żywą reakcję autora i zdeaktualizowało w pewnej mierze bieżącą wartość użytkową sprawozdania. **Dzieje Pustego Fotela** są bowiem rzetelnie przeprowadzonym sprawozdaniem prasowym z misji dziennikarskiej na Konferencję w San Francisco, dokąd udał się Bregman wraz z Zygmuntem Lityńskim z ramienia wolnej prasy polskiej. Myliłby się jednak, kto by sądził, że jest to przysłowiowa musztarda po obiedzie. Książka Bregmana jest bowiem i pozostanie znakomitym przyczynkiem dla zrozumienia pojałtańskiego okresu w polityce wielkich mocarstw. Posiada ona wartość klasycznego wykładu politycznego o tej epoce, w której na skutek prawdziwej lub wymyślonej presji sowieckiej, a przede wszystkim szczytowego oportunizmu państw zachodnich, sprawa polska znalazła się u dna kłeski, czego najbardziej widomym symbolem był ów pustka świecący fotel przy stole narodów zjednoczonych. Nie wystarczy nam błąd nad przewrotnością moźnych tego świata. Winniśmy umieć rozpoznać całą tę zdradę mechaniczną, wszelkie jej aspekty i motywy, a to choćby po to, by wyciągnąć na przyszłość odpowiednie wnioski. Komplex przyczyn, który doprowadził do owej niewątpliwie zdrady, jest zjawiskiem ogromnie złożonym. Bregman wyjaśnia punkt po punkcie.

Od samego początku naczelnym problemem było utrzymanie pokoju z Rosją, pokoju — za wszelką cenę. Konferencja toczyła się jeszcze w trakcie wojny dalekowschodniej (wpłynęło to nawet na wybór miejsca nad Pacyfikiem). Stanom Zjednoczonym szczególnie zależało na po-

myślnym i możliwie jak najszybszym zakończeniu wojny z Japonią. Dlatego to m. inn. sprawą największej wagi było «dogadanie się» z Rosją. Zasadą kompromisu musi być jednak obustronne ustępstwo — w San Francisco Rosja, wykorzystując anglosaską politykę «war expediency» (cele wojenne przede wszystkim), w niczym nie potrzebowała się kępować i z niczego nie zamierzała się wycofywać. Tak to idea zbiorowego bezpieczeństwa poświęcona została na rzecz polityki «appeasementu» wobec Sowietów tout court. Ojcem duchowym preponderancji największych mocarstw był red. polityczny **Times'a** londyńskiego z czasów wojny, prof. Carr, którego książka **Conditions of Peace**, wydana w Anglii w r. 1942, była czytana jak biblia przez urzędników służby zagranicznej. Carr dopatrywał się przyczyny wszystkich wojen europejskich w zbytym rozdrobnieniu państwowym (np. Bałkany). Jako skuteczne antidotum na tak rozpoznany stan chorobowy zalecał zarówno w swej książce jak i we wstępnych artykułach **Times'a** oparcie pokoju o strefy wpływów największych mocarstw (Rosja, St. Zjednoczone, W. Brytania, Chiny). Tylko bardzo doktrynerski a zarazem ograniczony umysł mógł wykonypować tego rodzaju rozwiązanie, według którego istnienie kilku potężnych bloków gwarantować miałyby długotrwały pokój, zagrażany dotąd rzekomo nie przez imperializmy, ale przez małe państwa. Pamiętam, jak straszny wstrząs wywołała książka ta, przemyciona potajemnie do kraju w 1943 r.

Teza ta stała się, obok konieczności wojennych i szantażu sowieckiego (groźba zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami) leitmotytem konferencji moskiewskiej, teherańskiej, no i wreszcie jałtańskiej.

Przez konferencję w San Francisco przewijały się głównie dwa zagadnienia: Sprawa weta w Radzie Bezpieczeństwa i sprawa polska. Bregman wykazuje, że istniało niewątpliwe ujemne pomiedzy tymi dwoma problemami. Ustępstwami w sprawie polskiej chciano zjednać Rosję dla współtworzenia możliwie jak najsilniejszej instytucji międzynarodowej. Nie mieliśmy zbyt wielu obrońców. Francja, która mogła łatwo odegrać rolę przywódcy mniejszych mocarstw, odegrała rolę żalosa. Wołała być ostatnim z moźnych niż

pierwszym wśród całej reszty państw. Próbował bronić nas Eden w związku z haniebnym «procesem szesnastu», który był nie tylko zbrodnią wobec Polski Walczącej, ale i policzkiem wobec Zachodu. Ale i on w końcu skapitulował, opuszczając przed czasem konferencję «na skutek choroby». Najszlachetniej zachowała się mała Kuba, państwko, które żadnych przeciw wobec nas nie miało zobowiązań. Sprawa nasza wracała jak mackbetowski duch Banka raz po raz w San Francisco. Była szczególnie pikantnym punktem każdej poważniejszej konferencji prasowej. Bregman i Lityński sprawowali się wzorowo. Postawili w trudnej sytuacji samego Molotowa, a towarzysza Manuilskiego, «reprezentanta» Ukrainy i starego bolszewika, potrafili wręcz zagnać w kozi róg. W braku oficjalnej delegacji, dwaj nasi dziennikarze i bardzo czynne przedstawicielstwo Kongresu Polonii Amerykańskiej z prezesem Rozmarkiem na czele, musieli prowadzić całą kampanię. Przypominam sobie, że pełniąc wówczas obowiązki sekretarza premiera Arciszewskiego, oczekiwałem co dnia tragicznej nowiny o wycofaniu uznania. Pracowaliśmy pozornie jakby nigdy nic, ale w powietrzu wisiła już ostateczna katastrofa. Pusty fotel polski w San Francisco, zakulisowe pertraktacje na temat uznania Komitetu Lubelskiego, to wszystko składało się na szczególnie ciężką atmosferę, w której do reszty odbierano legalnym władzom Rzeczypospolitej możliwości działania. San Francisco było niewątpliwym dnem kryzysu. I wówczas już akcja naszych dziennikarzy wykazała, jak wielkie spadły zadania na każdego świadomego emigranta politycznego. Trzeba umieć nieraz przetamać w sobie ową gorzyc antyszambrowania. Konieczna jest do przewyciężenia emeszetowska «mocarstwowa postawa» — po to, by nie rezygnować z żadnej okazji działania. Znamy to już dziś, bardzo dobrze znamy. Nie idzie, Boże broń, o kompleks niższości, a tylko o umiejętne przestawienie metod oddziaływania w nowej sytuacji, kiedy zabrakło uznawanych tytułów formalnych. Akcja Benesa z pierwszych lat minionej wojny, czy współczesna ruchliwość Gafencu, mogą tu być ciekawym przykładem.

Żałować należy, że tak bystry dziennikarz i propagandzista jak Li-

tyński, zawieruszył się gdzieś w Ameryce. Pamiętam wyborną jego broszurę angielską z czasu powstania warszawskiego, którą zakończył patetycznym opisem powrotu (nie wszystkich) polskich lotników myśliwskich z akcji nad Rzeszę. Pytają go z miejsca o aliancką pomoc dla walczącej drugiej misją Warszawy. Lityński rozkłada ręce, a na to jeden z lotników «na gorąco» rzuca pytanie retoryczne: «Mr. Newspaperman — and what are we fighting for?» («Panie od gazety, powiedz pan, po jaką cholerę my się tu bijemy?»). Zagubił się też gdzieś autor nagrodzonej przez amerykański «Book of the Month Club» książki Jan Karski, z dotkliwymi trudnościami zmagający się w New Yorku pierwszorzędnym dziennikarzem agencyjnym Zygmuntem Nagórskim. A przeciw tego właśnie typu ludzie mogliby dziś najlepiej prowadzić naszą propagandę na Zachodzie. Wzruszający jest przytoczony przez Bregmana epizod z Arturem Rubinsteinem. «... Któreś niedzieli gmach opery na parę godzin powrócił we władanie muzyki. Oto Artur Rubinstein dawał dla delegatów koncert. Wielki pianista grał na estradzie, na której pozostawiono flagi «Narodów Zjednoczonych», oczywiście nadal bez flagi polskiej. Postanowił urządzić demonstrację. Odegrał, zgodnie ze zwyczajem, hymn amerykański, po czym wstał i oznajmił: «W tej sali, w której tworzy się historię cywilizacji bez udziału Polski, odegrał obecnie mój hymn narodowy — hymn polski». Wszyscy wstali, a gdy Rubinstein skończył grać Mazurka Dąbrowskiego, sala zgotowała mu owację, która zamiała oklaski dla któregośkolwiek z mówców. Niewątpliwie w ten sposób manifestowała ona swe uczucia wobec Polski, oklaskami próbowała zagłuszyć wyrzuty sumienia. Na nie więcej tych ludzi stać nie było».

Charakterystyczną cechą konferencji, podobnie zresztą jak i całej naszej epoki, to brak wielkich indywidualności.

«Dramatem tej konferencji był brak odwagi, cechujący delegatów. Byli to na ogół ludzie mali i bez charakteru...»

«... Jeżeli porównywał się konferencję w San Francisco z Wersalem, czy Kongresem Wiedeńskim, to różnica była oczywiście uderzająca. Zestawmy tylko Wilsona i Stettinius, Talleyranda czy Clemenceau i Bi-

dault...».

Świat zachodni przeżywa w tej dziedzinie wielki kryzys. Nie można bowiem odmówić Sowietom, by przywódca ich nie był osobistością ponad miarę. Nie wiemy, jaki będzie koniec moskiewskiego dyktatora, jedno już dziś można stwierdzić, że przyemil on zarówno Mussoliniego i Hitlera jak i współczesnych przywódców demokratycznych. Kiedy brak jest demokracjom wielkich, genialnych liderów (chyba tylko Churchill i to wyłącznie w skali wojennej), — a demokracja również przeciw wymaga przywódców z prawdziwego zdarzenia, — wówczas tym większą wartość przedstawia umiejętność pracy zespołowej. Przykładem takiego idealnego «team work» jest obecny rząd brytyjski, pozabawiony błyskotliwych menterów, a przeciwieście potrafiący się porać z trudnościami społecznymi, gospodarczymi i międzynarodowymi.

Bregman przytacza brutalny w swym realizmie komentarz pisarza amerykańskiego Emery Reeves'a na temat konferencji w San Francisco. «Wielkie mocarstwa zachowują się jak gangsterzy, małe państwa — jak prostytutki». Bregman dorzuca: «małe państwa nawet często nie umiały sprzedać się, raczej dawały się gwałcić bez protestu». Jakże daleko zaszedł świat zachodni od niedawnej epoki wilsonowskiego idealizmu. Naruszone zostało elementarne prawo demokracji — ochrona interesów mniejszości. Odnosi się ono zarówno do ustroju wewnątrz-państwowego jak i stosunków międzynarodowych.

Dzisiaj, po trzech latach, przychodzi nam żałować, że puste miejsce polskie się zapelnilo. «Delegaci polscy» czarno zapisują bowiem w opinii świata naszą narodową hipotezę. Nawet ich wystąpienia w obronie Ziemi Zachodnich mają, niestety, wręcz odwrotny skutek.

Widziałem niedawno na sesji paryskiej działanie zespołu: Modzelewski, Katz-Suchy, Putrament, Lapter, Altman, Lychowski i Lachs. Obrzydzenie bierze patrzeć na zachowanie się tych «reprezentantów» polskiego narodu. Nie tylko nie przysparzają nam oni sympatii, ale wykonując za Wyszńskiego i delegację sowiecką każdą najbrudniejszą robotę, stawiają Bogu ducha winną Polskę na czele znienawidzonych totalitarnych satelitów rosyjskich. I znowu trzeba będzie odrabiać i tłumaczyć na każ-

dym kroku, że to nie naród polski jest odpowiedzialny za tego rodzaju reżim i politykę. Lepiej by polski hotel pozostał pusty do końca.

Bodaj jedynym trzeźwym głosem w sprawie Rosji była deklaracja biskupów katolickich Ameryki z dn. 18 grudnia 1944 r., która głosiła:

«Jesteśmy zdania, że jeżeli ma być zapewniony prawdziwy i trwały pokój światowy, to organizacja międzynarodowa winna wymagać, jako warunek przynależności do niej, by każdy naród zagwarantował prawem i przestrzegając w praktyce przyrodzone prawa ludzi, rodzin i grup mniejszościowych w ich życiu cywilnym i religijnym.

«Z pewnością pokolenie nasze winno zdawać sobie sprawę z tego, że tyrania w jednym narodzie zagraża pokojowi świata. Na naród, który odmawia przyznania własnym obywatelom pełnego korzystania z przyrodzonych praw ludzkich, nie można liczyć, by współpracował w społeczności międzynarodowej nad utrzymaniem pokoju, opartego na uznaniu wolności narodowej. Tego rodzaju naród prowadzić będzie własną, egoistyczną politykę, udając przywiązanie do współpracy międzynarodowej.

Kluczową sprawą Konferencji San Francisco był ustrój Rady Bezpieczeństwa. Sowiety przy zgodzie innych wielkich mocarstw, sparaliżowały raz na zawsze skuteczne działanie tej kluczowej instytucji Org. Nar. Zjedn. Od tej pory veto rosyjskie zaczęło raz na zawsze staropolskie liberum veto. Mimo usilnych prób delegata amerykańskiego, senatora Vandenbergha, zwyciężyła formuła jałtańska. Wbrew podstawowej zasadzie prawa rzymskiego «nemo iudex in sua causa esse», zatwierdzenie prawa weta utrwaliło nonsensowny stan, w którym każde zainteresowane mocarstwo jest w stanie uniemożliwić jakąkolwiek akcję zbiorową, zmierzającą do ukrócenia samowoli. Veto sowieckie zastosowane zostało wielokrotnie, największą wagę miało jednakże przy projekcie międzynarodowej kontroli energii atomowej. Dalekowzroczny plan Lihentala i Barucha, zmierzający do zapobieżenia wojnie atomowej, został w obawie przed penetracją mię-

dzynarodową w odizolowaną strefę sowiecką, całkowicie zbojkotowany przez rząd rosyjski. Stało się to punktem zwrotnym dla stosunku Ameryki do Rosji. W pewnej mierze było już za późno, gdyż początkowe oportunistyczne decyzje w sprawie weta spowodowały, że Organizacja Narodów Zjednoczonych skazana została na całkowitą bezsilność. Zwycięzyła bowiem w San Francisco teza nieograniczonej suwerenności państwowej kilku największych mocarstw. Prof. Carr i *Times* londyński odnieśli zwycięstwo, operacja się udała, tylko pacjent umarł — gdyż «celem ćwiczenia» miał być błogosławiony stan pokoju, — tymczasem nigdy groza wojny nie ciążyła w tym stopniu nad całą ludzkością, jak właśnie obecnie, w dobie zrodzonej w San Francisco Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W gruncie rzeczy, jak to słusznie podkreśla Bregman, Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych służy dziś jedynie Rosji jako najlepsza trybuna agitacyjna w rozgrywce międzynarodowej. Tak więc po kolei rozgrywane są poszczególne propagandowe ofensywy, np.: ochrona ludów kolorowych przed imperializmem mocarstw kolonialnych, sprawa interwencji obcej w Grecji, problem Hiszpanii Franca, zagadnienie rozbrojenia, itp. W Radzie Bezpieczeństwa Rosja bywa zazwyczaj odosobniona, nie przełamuje się jednak tym zbytnio, skoro i tak może swym wetem sparaliżować każdą akcję Zachodu, hamującą jej światoburcze zapędy. Toteż coraz więcej decyzji międzynarodowych zapada dziś z «konieczności poza ONZ, gdyż, jak słusznie konkluduje Bregman «San Francisco stało się dalszym ciągiem Teheranu i Jałty. Stanowiło ono punkt szczytowy polityki kapitulacji Zachodu wobec imperializmu sowieckiego. Z chwilą więc, gdy ta polityka dobiegła końca, cała organizacja, stworzona w San Francisco, znalazła się pod znakiem zapytania».

Książka napisana jest poprawnym, przejrzywym stylem dziennikarskim. W pewnych sformułowaniach ucieka się autor do zbyt znoszonych, kolokwialnych chwytów w rodzaju: «Rosja, która wychodzi z założenia: „Ty mów, a ja zdrów”», «nie ma powodu tym się zbytnio przejmować», albo: «Widząc, że ten numer nie przejdzie, dość szybko zrezygnowali ze swego żądania»...

Do niektórych zagadnień podchodzi Bregman zbyt symplicystycznie, upraszczać sobie ocenę według formułki «czarne-białe». Cechuje go niecierpiący w Anglii kompleks polskiej racji moralnej (selfrightousness). W sumie stwierdzić należy, że raport Bregmana przedstawiony jest równie żywo jak rzetelnie. Warto, by jego pokroju ludzie podróżowali na wszelkie konferencje międzynarodowe,

choćbyśmy nawet nie mogli w nich uczestniczyć oficjalnie. Zawsze czy to w kularach (jak w ONZ), czy poprzez konferencje prasowe i kontakty osobiste, możemy stanowisko swoje wyjaśniać i forsować.

Dzieje pustego fotela wzbogacają naszą literaturę polityczną i doskonalą się właśnie nadają do tłumaczenia procesów polityki zagranicznej.

Jerzy LERSKI

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST
„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

List do Redakcji

Recenzja z książki Tadeusza Nowakowskiego («Wiadomości» nr 145/146) zawiera dygresję na temat nienawiści, w której Zygmunt Nowakowski twierdzi, jakoby «policzkował sam siebie z własnej nieprzymuszonej woli».

Józef Relidziński («Wiadomości» nr 148) w rozwinięciu tezy Nowakowskiego zalicza mnie do «rodzimych upodleńców».

Stwierdzam, że nie przyjmuję do wiadomości tych obelg, nie tylko dlatego, że stanowią one wyzywające pogwałcenie dobrych obyczajów pisarskich (naruszonych już artykułem Mękarskiego w «Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza») ale dlatego także, ponieważ zmuszony jestem fraktować je jako wybuch głośnej nienawiści właśnie, z którą dyskutować nie podobna.

Nie czuję się więc obrażony inwektywami, młotanymi pod moim adresem przez niektóre organy prasy emigracyjnej, uważając że samo plucie nie jest argumentem, odsądzanie zaś od czci i wiary pisarza, który śmie wyrazić odmienny od przyjętego pogląd, jest jak wykonywanie egzekucji bez sądu i należy do praktyk piętnowanych często na tych samych łamach jako sprzeczne z podstawowym prawem człowieka do wolności sumienia i słowa.

Napaść bowiem i zorganizowana nagonka, bez konstruktywnego rozprawy z zagadnieniem, jakie podróż moja do Polski i książka wydana w jej wyniku stawia, jest nazbyt tanią próbą wybrnięcia z moralnego kryzysu, wywołanego moim artykułem w nr 12 «Kultury», abym na tej podstawie mógł uznać autorytet P.T. Napaśćców i Naganiaaczy, albo mieć dla ich metod szacunek.

Aleksander JANTA.

New York, w lutym 1949.
62 West 58th Street.



KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 120 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZECH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.
w BELGII 20 fr. belg.; w ARGENTYNIE 2,50 peso.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 1200 fr.; ½-roczna 650 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.
w NIEMCZECH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; ½-roczna 10 fr. szw.
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol.; ½-roczna 4 dolary
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso
w BELGII roczna 180 fr. b.; ½-roczna 100 fr. b.

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr., przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

- W W. BRYTANII: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.
We WŁOSZECH: Jan Grochowki, 81, via della Croce, Roma
- W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
- W NIEMCZECH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone.
- W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10
- W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Polaca», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.
- W KANADZIE: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 107, Givins St., Toronto, Ontario.
- W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”, Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziewanowski.
- W BELGII: do nabycia w Librairie et Bibliothèque „Slave”, 13, rue de Roumanie, Bruxelles.

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

*W jednym z następujących numerów KULTURY
ukáže się w całości ostatnia powieść*

ANDRÉ MALRAUX

WALKA Z ANIOŁEM

WSPOMNIENIA GEN. ANDERSA

pt.:

BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU

Wydanie polskie w luksusowej sztywnej oprawie zawiera
520 str. tekstu, 80 ilustracji i szkiców oraz indeks.

CENA 725 frs.

Wydanie w języku francuskim w oprawie zwykłej.

CENA 575 frs.

Do nabycia w Składnicy Książki Polskiej

„LIBELLA”

12, rue St-Louis en l'Île — Paris IV^e

OSTATNIE WYDAWNICTWO INSTYTUTU LITERACKIEGO

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Str. 322. Autoportret autora.

Cena we Francji 380 frs.; w Anglii 9/6.

Do nabycia we wszystkich przedstawicielstwach „Kultury”